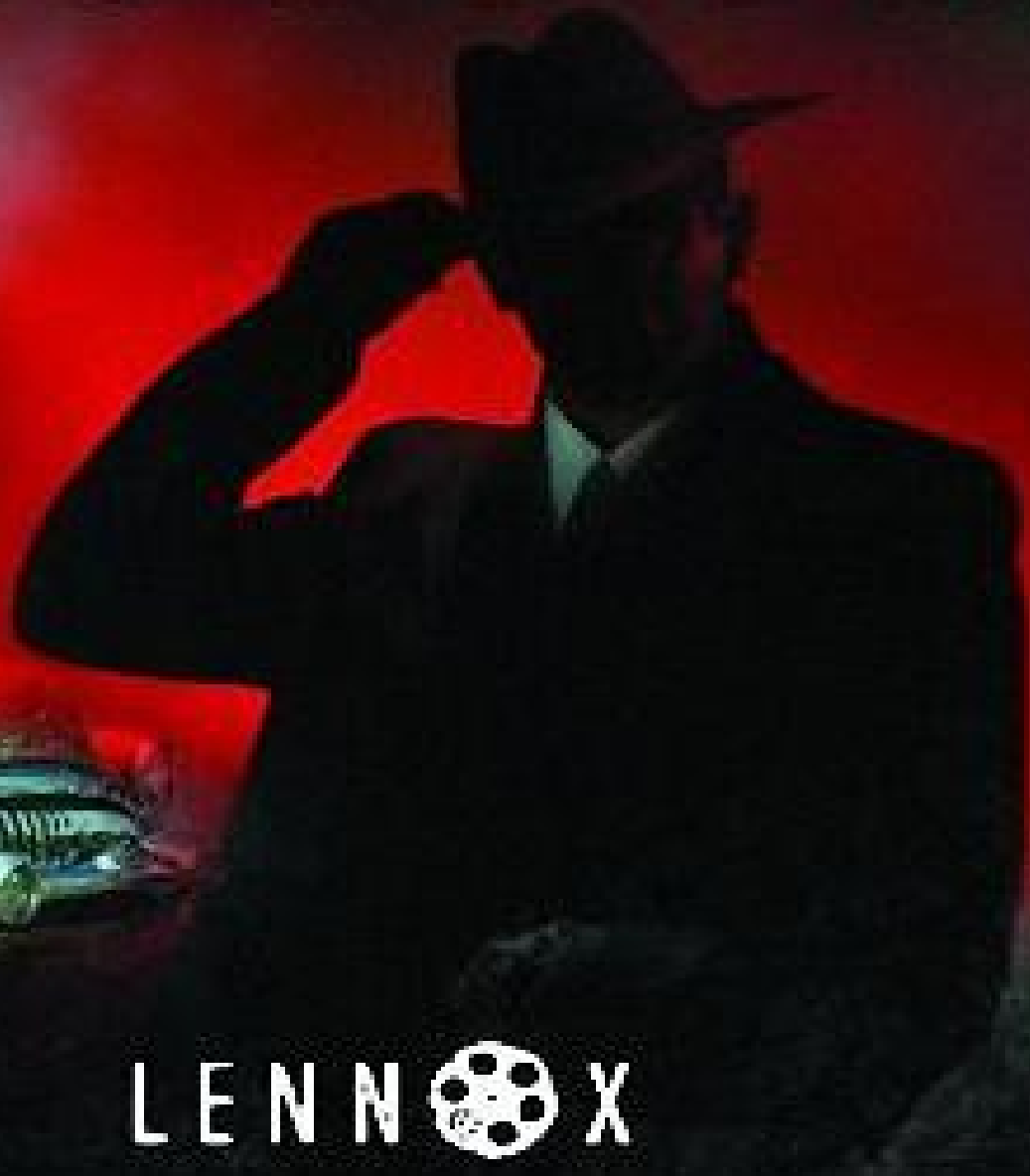


Craig Russell!



LENN  X

Genialna reinkarnacja czarnego kryminału!



Craig

Russell

LENNOX

Przełożył:

Jacek Majewski

Musiałem w swoim życiu wydobywać się z wielu matni, ale ta przebija wszystkie.

Opieram się o ścianę na pierwszym piętrze pustego stocznioowego magazynu. Opieram się o ścianę, bo chyba inaczej nie wstanę. Próbuję sobie przypomnieć, czy w dolnej lewej części brzucha, tuż nad biodrem, są jakieś ważne narządy wewnętrzne. Staram się przywołać w pamięci rysunki anatomiczne z wszystkich przewertowanych za młodu encyklopedii, bo jeśli tam w dole są jakieś istotne narządy, to w zasadzie jestem udupiony.

Opieram się o ścianę pustego stocznioowego magazynu, usiłując przywołać w pamięci rysunki anatomiczne, a trzy metry przede mną leży na ziemi kobieta. Nie muszę sobie przypominać żadnych encyklopedii z dzieciństwa, żeby wiedzieć, że w czaszce mieści się jeden z najważniejszych narządów, choć przez ostatnie cztery tygodnie ze swojego nie robiłem zbyt wielkiego użytku. Tak czy inaczej, leżącej na podłodze kobiecie zostało niewiele czaszki, a twarzy nie ma już w ogóle. A szkoda, bo była to piękna twarz. Naprawdę piękna.

Obok kobiety bez twarzy leży duża płócienna torba, z której po rzuceniu na brudną podłogę wysypała się połowa zawartości, absurdalnie dużo używanych banknotów o wysokich nominałach.

Opieram się o ścianę pustego stocznioowego magazynu, trzymając się za ranę w lewym boku i usiłując przywołać w pamięci rysunki anatomiczne, a na podłodze leżą martwa kobieta pozbawiona swojej pięknej twarzy oraz wielka torba gotówki. Ale to jeszcze nie całość moich kłopotów, bo jest tam też zwalasty jak niedźwiedź mężczyzna, który spogląda na leżącą dziewczynę, na torbę, a teraz i na mnie. Trzyma w rękach strzelbę - tę samą, która odjęła twarz dziewczynie.

Bywałem w lepszych sytuacjach.

Chyba powinienem coś wyjaśnić.

I

Cztery tygodnie i jeden dzień temu nie znałem jeszcze Frankiego McGaherna. Nie wiedziałem też wtedy, że jest to bardzo pożądany stan rzeczy. Przyznaję, że moje życie nie było wolne ani od wlotów, ani od upadków, tych naliczyłem więcej, i że znałem sporo ludzi, z którymi inni woleliby nie spotkać się twarzą w twarz, lecz Frankie McGahern był jasną gwiazdą, która miała dopiero pojawić się na moim nieboskłonie.

Nazwisko McGahern było mi oczywiście znane. Frankie był jednym z bliźniaków McGahern. Słyszałem już wcześniej o Tamie, starszym od Frankiego o trzy minuty, który był

sławnym w Glasgow gangsterem średniego kalibru - jednym z tych, których wielcy bossowie nie ruszali głównie dlatego, że więcej byłoby z tego kłopotów niż pożytku.

Zabawnym faktem dotyczącym bliźniaków McGahern - zależnie od tego, co kto uważa za zabawne - było to, że choć pod względem fizycznym niczym się nie różnili, to na tym właściwie ich podobieństwo się kończyło. W przeciwieństwie do brata Tam był bystry, twardy i naprawdę niebezpieczny. No i był zabójcą. Zawziętość, którą wyniósł z zaułków i podwórek Glasgow, zyskała profesjonalny szlif podczas wojny w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Ze szczura miejskiego Tam przeistoczył się w udekorowanego orderami Szczura Pustyni 1.

Z kolei Frankie wymigał się od służby z powodu słabowitego płuca. Kiedy Tam był w czynnej służbie, jego mniej sprawny brat pilnował rodzinnego interesu. Po powrocie z Bliskiego Wschodu Tam utarł Frankiemu nosa, przejmując z powrotem pełną kontrolę nad małym imperium McGahernów. A ponieważ miał łeb na karku, interesy znowu zaczęły iść dobrze.

Choć trudno było lekceważyć poczynania McGahernów, nie robiły one zbyt wielkiego wrażenia na Trzech Królach - triumwiracie bossów glasgowskiego półświatka, kontrolujących niemal wszystko, co dzieje się w mieście. W dużej mierze to właśnie dzięki nim miałem co robić w swoim fachu. Trzej Królowie wyznaczyli Tamowi McGahernowi pewne nieprzekraczalne granice, ale poza tym nie wtrącali się w poczynania braci. Tam był czymś więcej niż wilkiem, którego nie chcieli wywoływać z lasu: był złym, wściekłym, 1 Szczury Pustyni (ang. Desert Rats) - słynna brytyjska VII dywizja pancerna walcząca podczas II wojny światowej w Afryce Północnej.

psychopatycznym wilkiem, którego lepiej nie drażnić. Na szczęście rewir łowiecki miał

wytyczony dość precyzyjnie.

To się jednak zmieniło osiem tygodni i dwa dni temu.

Osiem tygodni i dwa dni temu Tam McGahern spędzał akurat wieczór w obskurnym mieszkaniu nad barem w dzielnicy Maryhill, posuwając pewną dziewiętnastolatkę i czyniąc to bez wątpienia z ostentacyjną pogardą dla wszelkiej finezji, charakterystyczną dla Szkotów i będącą przedmiotem zazdrości wszelkiej maści żigolaków. McGahern był właścicielem baru na parterze, a przyszedł tam, żeby na piętrze przelecieć tę dziewczynę.

Mniej więcej o wpół do trzeciej nad ranem stosunek został zakłócony przez głośnie walenie do drzwi na parterze. Z tego, co wiadomo, intruz wykrzykiwał też przez otwór na listy niewybredne opinie o pewnym elemencie anatomii Tama McGaherna, kwestionując jego zdolność do zaspokojenia przyjaciółki. McGahern zbiegł po schodach ubrany tylko w koszulę i skarpetki z monogramem, dzierząc w ręku nóż kuchenny. Kiedy jednak z impetem otworzył

drzwi, stanął twarzą w twarz z dwoma roslymi, ubranymi jak spod igły dżentelmenami, z których każdy dzierzył w rękach obrzyna. Zatrzasnąwszy drzwi, McGahern odwrócił się i zaczął gramolić z powrotem po schodach. Goście wyważyli jednak drzwi i wypalili do niego jednocześnie z czterech luf.

W Glasgow nazywano to lewatywą z ołowiu.

Dowiedziałem się tego wszystkiego od Jocka Fergusona, przyjaciela z glasgowskiej dochodzeniówki. No, może bardziej znajomego niż przyjaciela. A pewnie bardziej informatora niż znajomego. Ferguson powiedział mi też, że kiedy przyjechał pierwszy policyjny wolseley 6/90, Tam McGahern jeszcze żył. Podobno dwaj policjanci stwierdzili, że wycofujący się McGahern zainkasował salwę w tyłek, który wraz z kroczem zamienił się w krwawą miazgę. Krwawe smarki, jak lubią to określać moi kolesie z policji.

W klasycznym, natchnionym epizodzie zbierania danych wywiadowczych jeden z policjantów spytał rannego gangstera, czy rozpoznał ludzi, którzy go postrzelili. Kiedy Tam McGahern spytał: „Wylizę się?” - policjant odparł: „Pewnie”, na co McGahern powiedział:

„W takim razie sam dopadnę skurwieli” - i umarł.

Historia ta została mi zrelacjonowana przez mojego policyjnego informatora przy whisky i paszteciku w barze Pod Końskim Łbem. W podobny sposób opowiadano ją we wszystkich barach Glasgow. W całym mieście sporo się mówiło o zgonie Tama McGaherna, ale choć przy tego rodzaju zabójstwach zazwyczaj szeptem wymieniało się też potencjalnych sprawców, tym razem lista była pusta. McGahernowi nie brakowało wrogów, ale większości pomógł opuścić Glasgow, a wielu również ten świat. Jeśli nawet Tam rozpoznał zabójców, ich nazwiska zabrał ze sobą do grobu.

Wszyscy wiedzieli, że żaden z Trzech Królów nie miał z tym nic wspólnego.

Dopatrywano się w tym jakiegoś zlecenia z zewnątrz. Mówiono o jakimś angielskim tropie.

Wymieniano nawet nazwisko Morrisona. Pan Morrison, a raczej ktoś tylko posługujący się tym nazwiskiem, miał z Trzema Królami podobny układ jak ja. Pracował dla nich na zasadach pełnej poufności i ceniono go za bezstronność i niezależność. W przeciwieństwie do mnie Morrison nie zbierał jednak dla Trzech Królów informacji. Zajmował się eksmisjami, a konkretniej - eksmisjami z tego padołu płaczu. Nikt nic nie wiedział o panu Morrisonie, włącznie z tym, jak wygląda. Niektórzy wątpili w ogóle w jego istnienie, uważając, że jest tylko postacią wymyśloną przez Trzech Królów na postrach, aby utrzymywać karność w szeregach. Chodziły słuchy, że jeśli ktoś stawał z Morrisonem twarzą w twarz, to następne oblicze, jakie oglądał, należało już do świętego Piotra. W tym wypadku nawet Morrison nie wchodził jednak w grę. Zabójstwa dokonano profesjonalnie, lecz

jednocześnie w sposób zbyt spektakularny i mało elegancki. Co więcej, Trzej Królowie dali jasno do zrozumienia, że pan Morrison nie został zaangażowany, a to miało wagę oficjalnego oświadczenia. Pogłoski i domysły mimo wszystko nie ustały, były to jednak tylko napędzane chorobliwą wyobraźnią spekulacje pomniejszych uczestników gry o regułach przewyższających ich zdolności pojmowania.

Co do mnie, wisiało mi to kalafiorem. Morderstwo McGaherna zaczęło mnie zaprzętać dopiero cztery tygodnie i jeden dzień temu, kiedy zawarł ze mną znajomość jego brat Frankie.

Nie było to przypadkowe spotkanie. W Glasgow może mnie odszukać każdy, kto chce. Oficjalnie wynająłem jednopokojowe biuro przy ulicy Gordon, lecz moje główne godziny urzędowania - codziennie od wpół do ósmej do dziewiątej wieczorem - przypadały na czas mojej bytności w barze Pod Końskim Łbem. Tam właśnie znalazł mnie Frankie McGahern. Przy pierwszym zetknięciu z Frankiem odniosłem wrażenie, jakby elegancki garnitur został powieszonym na niewłaściwym wieszaku. Mimo kosztownego stroju i złotej biżuterii Frankie zachował wygląd typowego glasgowczyka: był drobny i ciemnowłosy, miał

kiepską cerę i za grosz taktu.

- Ty jesteś Lennox? - Frankie zadał pytanie tak, jakby chciał sprowokować bójkę.

- Tak, to ja.

- Nazywani się Frankie McGahern. Chcę z tobą porozmawiać.

- Nie ma sprawy - odparłem ze swoim standardowym rozbrajającym uśmiechem. W

mieście, gdzie większość napotykanych kolesi może mieć w podręcznej kieszeni wszystko, od brzytwy po gnata kalibru .45, opłaca się mieć na podorędziu rozbrajający uśmiech.

- Nie tutaj.

- Czemu nie?

- Nie pogrywaj ze mną. Wiesz czemu.

Faktycznie wiedziałem. Niemało bywalców baru aż nazbyt starało się sprawić wrażenie, że nie łowią każdego słowa, jakie padnie za siną zasłoną papierosowego dymu.

Wielu z nich prawdopodobnie nie widziało teraz Frankiego, lecz ducha Tama McGaherna.

McGahernowie byli przedmiotem ożywionych dywagacji, a kiedy podszedł do mnie Frankie, mnie też one objęły. A to nie było mi w smak. Sposób, w jaki zwrócił się do mnie Frankie, był w istocie zadziwiająco niezręczny i rzucający się w oczy. Krążył już dowcip, że po tym, jak zastrzelono Tama, Frankie przy każdym pukaniu do drzwi pytał: „Kto przybywa, przyjaciel czy lewatywa?”.

- Więc gdzie?

Podał mi wizytówkę, na której widniał adres jakiegoś warsztatu samochodowego w Rutherglen.

- Spotkajmy się w warsztacie jutro wieczorem o wpół do dziesiątej.

- A o co chodzi?

- Mam dla ciebie robotę. Z twojej branży. Trzeba się czegoś dowiedzieć.

- Unikam dowiadywania się pewnych rzeczy - powiedziałem. - Wydaje mi się, że ta, o którą ci chodzi, jest jedną z nich.

Wyprostowały się drobne barki wewnątrz eleganckiej marynarki. Pokryta dziobami po ospie skóra na twarzy Frankiego napięła się jak u kota, który cofa uszy tuż przed skokiem na mysz. Tylko że ja byłem dużą myszą. Nachylił się w moją stronę.

- Sam zdecydujesz, czy się zjawisz, czy nie. Ale jeśli ty nie znajdziesz mnie, to ja znajdę ciebie. *Capito?*

Język włoski, czy jakikolwiek inny romański, wymawiany ze szkockim akcentem zawsze wydaje mi się przekomiczny. Frankie wyłapał rysujący się na mojej twarzy wyraz rozbawienia i zrobił jeszcze jeden krok w moim kierunku i w kierunku przemocy.

- W takim razie mamy problem, przyjacielu - rzuciłem, odwracając się od kontuaru, żeby mieć go na wprost siebie. Audie Murphy i Jack Palance zazwyczaj w takiej właśnie chwili sięgali do kabury, a stojące w rogu saloonu pianino przestawało grać. Tutaj jednak efekt naszego małego tańca był tylko taki, że wokół przycichły odgłosy rozmów. Małe oczka McGaherna sprawiały wrażenie jeszcze mniejszych niż zwykle. Przypominały oczy szczura.

Biła z nich nienawiść. Nagle McGahern jakby zorientował się, że mamy widownię, i stał się mniej pewny siebie.

- To nie koniec, Lennox.

- Och, wydaje mi się, że jednak tak.

- Moje pieniądze są równie dobre jak każdego z pieprzonych Trzech Królów czy kogokolwiek innego. Wykonasz dla mnie tę robotę. Ja cię nie proszę, tylko informuję. Przyjdź

jutro wieczorem. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Zamówiłem kolejną whisky i rozcieńczyłem ją wodą z mosiężnego kurka zamontowanego na kontuarze. Zdałem sobie sprawę, że nadal trzymam w ręku wizytówkę McGaherna i wsunąłem ją do kieszeni marynarki. Wielki Bob, barman, oparł na kontuarze umięśnione przedramiona upstrzone sinymi tatuażami.

- To niezłe ziółko. - Kiwnął głową w kierunku, gdzie w zasłonie dymu papierosowego zniknął McGahern. - Chyba lepiej byś wyszedł na zrobieniu tego, o co mu chodziło. To mniej kłopotliwy

wariant.

Zaśmiałem się.

- Chce, żebym się dowiedział, kto kropnął jego brata. Gdybym w to wszedł, miałbym więcej kłopotów, niż może mi ich narobić McGahern. Całe Glasgow wie, że Frankie jest bez Tama niczym. A ja nie mam ochoty ingerować w proces doboru naturalnego wśród gangsterów.

Wielki Bob wzruszył ramionami.

- Pilnuj się tylko, Lennox. McGahern to podstępny szczur.

*

Podczas zamykania pubu robiło się na ogół nieco zamieszania. Przeniknięte duchem prezbiterianizmu szkockie prawo regulujące sprzedaż alkoholu zachęcało do wyścigu z czasem podczas picia, chociaż ogólnie rzecz biorąc, glasgowczycy nie potrzebowali do picia żadnej zachęty. Kiedy natomiast mężczyźni, którzy wypili zbyt szybko, zbyt dużo i zioną chęcią mordy, wypchnie się w nocy na ulicę, działa to jak prowadząca do eksplozji reakcja chemiczna. Po dwóch kolejnych szklaneczkach whisky o wpół do dziesiątej opuściłem więc pub, żeby dotrzeć do domu, zanim rozpocznie się kotłowanie.

Glasgow lśniło na atramentowo po niedawnym deszczu. Drugie miasto Imperium było miastem czarnym - jego okazałe budowle rzucały cień na stanowiącą efekt ludzkiego znoju warstwę zaskorupiałego brudu, a niektóre z tutejszych dzieci były przekonane, że naturalna barwa kamienia to czerń. Deszcze, które były tu obfite i częste, nigdy nie usuwały pokrywającego miasto brudu, tylko rozmazywały go jak tłusta ścierka.

Dwieście metrów za sobą zobaczyłem zaparkowanego po drugiej stronie ulicy czarnego humbera. Oj, Frankie - pomyślałem - czemu musimy kontynuować ten taniec?

Udałem, że nie zauważyłem humbera i zacząłem iść w kierunku swojego austina atlantica.

Kiedy do niego doszedłem, znowu się obejrzałem. Humber ani drgnął.

Są pewne wojenne doświadczenia, które nie zacierają się w pamięci. Na przykład świadomość, że atak nie zawsze przychodzi z miejsca, z którego się go spodziewamy.

Frankie, który w przeciwieństwie do brata nie uczestniczył w działaniach wojennych, popełnił

błąd, wykonując w znajdującej się za mną zacienionej bramie krok w bok, aby zwiększyć swoją siłę rażenia. Było to niezręczne posunięcie, które go zdradziło, pozwoliło mi bowiem dostrzec jasny błysk światła latarni, odbijającego się w unoszonym do ciosu ostrzu brzytwy.

Kiedy ktoś rzuca się na nas z brzytwą, nie ma czasu na wygłupy, więc wykonując półobrót, bez namysłu kopnąłem przeciwnika w klatkę piersiową. Mocno. Słyszając, jak uchodzi z niego powietrze, zrobiłem wymach pokrytą skórą pałką, którą zawsze nosiłem w kieszeni marynarki. Trafiła go w głowę. Zamachnąłem się znowu, blokując mu pałką nadgarstek i brzytwa z brzękiem spadła na

ziemię.

Wiedziałem, że już po wszystkim, ale wkurzony byłem na Frankiego, że nie odpuścił, kiedy mu powiedziałem, że nie jestem zainteresowany. Schowałem pałkę, chwyciłem w garść lepkie od brylantyny włosy i pięścią wymierzyłem mu trzy szybkie i silne uderzenia w twarz.

Obtarłem sobie przy tym rękę, ale przy drugim uderzeniu poczułem, jak pęka mu chrząstka w nosie. Na jego drogiej koszuli wykwitła w świetle latarni ciemnoczerwona plama. Walnąłem go jeszcze raz, tym razem w usta, żeby mu rozkwasić wargi. Skończyłem. Pchnąłem go na ścianę, wytarłem sobie ręce o jego marynarkę i pozwoliłem mu osunąć się na ziemię, w objęcia nieświadomości.

- Mamy jakiś problem, panowie?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że podjechał czarny humber. Siedzący obok kierowcy pasażer był wielkim, zwalistym mężczyzną po pięćdziesiątce, ubranym w popielaty garnitur i kapelusz o szerokim rondzie, ciasno nasadzony na przyciętą na jeża siwą głowę. McNab.

- Absolutnie żadnego, panie nadinspektorze. - Wziąłem głęboki wdech i uśmiechnąłem się rozbrajająco, jednak nie na tyle, by powstrzymać McNaba i jego umundurowanego kierowcę przed wyjściem z nieoznakowanego humbera. McNab spojrział z wysokości swoich dwóch metrów na sponiewieraną postać Frankiego.

- No, no. Brat ostatnio zmarłego pana McGaherna. Cóż, do diaska, mogłoby cię łączyć z tą mendą, Lennox?

- Pan go zna? Obawiam się, że ja nie... Przechodziłem po prostu i zauważyłem, że potrzebuje pomocy. Chyba wypił ciut za dużo i przewrócił się.

- Zabawne, że ten upadek zamortyzował chyba nosem. - McNab pochylił się i odwrócił twarz Frankiego ku światłu. Faktycznie, linię nosa przerywało szpetne złamanie, a na spuchniętej wardze widniała ciemnoczerwona szrama. No cóż, Frankie i wcześniej nie był

piękniem.

- To się zdarza, panie nadinspektorze. Jestem pewien, że w swojej policyjnej karierze w Glasgow spotkał się pan z wieloma tego rodzaju niefortunnymi wypadkami na oddziałach więziennych.

McNab podszedł do mnie i przysłonił swoją postacią całe Glasgow. Milczał przez dłuższą chwilę, co było zapewne wyćwiczoną techniką zastraszenia. Starłem się nie okazać, jak dobrze mu to idzie. Na szczęście jego uwagę znowu przyciągnął Frankie, który się ocknął

i zaczął z cicha pojękiwać i bulgotać. Policjant w mundurze postawił go na nogi.

- Co się wydarzyło, McGahern? Chcesz wnieść skargę?

Frankie spojrział na mnie tępym, pełnym nienawiści wzrokiem, po czym zaprzeczył

ruchem głowy.

- No to jazda, Lennox - powiedział McNab. - Bądź jednak w zasięgu, gdybyśmy musieli się z tobą skontaktować.

- Dobrze jest mieć świadomość, że funkcjonariusz o pana doświadczeniu i randze patroluje ulice Glasgow, panie nadinspektorze.

McNab rzucił mi groźne spojrzenie.

- Dobranoc, panie McNab.

*

Dotarłem do swojego mieszkania około wpół do jedenastej, nalałem sobie whisky Canadian Club i sącząc ją, obserwowałem tramwaje, przejeżdżające od czasu do czasu samochody i tłumy przewalające się ulicą Great Western. Myśli miałem niewesołe.

Przyłożyłem Frankiemu McGahernowi nieco mocniej, niż powinienem. Może nie był aż takim gangsterem jak jego brat Tam, ale był wystarczająco niebezpieczny i miał

wystarczająco rozległe koneksje, żebym mógł się go obawiać.

Zaczynało do mnie jednak docierać coś jeszcze. Chodziło o detektywa nadinspektora Williego McNaba. Miał za sobą dwadzieścia pięć lat służby w glasgowskiej policji i dwóch synów policjantów. Był też znaczącą postacią w loży masońskiej i Zakonie Orańskim². No i sukinsynem pierwszej wody. Swoją karierę policyjną rozpoczął jako jeden z Kozaków Sillitoe, konnych oddziałów pogromców gangów, stworzonych w latach trzydziestych 2 Zakon Orański - lojalistyczna organizacja protestancka, działająca głównie w Irlandii Północnej i Szkocji.

przez ówczesnego naczelnika policji w Glasgow, Percy'ego Sillitoe. Krążyły pogłoski, że obecnie Sillitoe był szefem MI5. W okresie powojennym, pełnym podejrzliwości i nieufności, zamiast uganiać się za nożownikami w Glasgow, Sillitoe zaczął prześladować komunistów i obcokrajowców. Pod koniec lat trzydziestych Kozacy Sillitoe byli jednak równie agresywni jak gangi nożowników, które tępil.

Willie McNab rozpoczął więc karierę od rozwalania łbów członkom takich gangów, jak Bridgetown Billyboys, Norman Conks i Gorbals Beehive. Później stopniowo piął się po szczeblach kariery aż do stanowiska zastępcy szefa wydziału dochodzeniowego w Glasgow.

Nieczęsto spotykało się go patrolującego ulice miasta.

McNab pojawił się tam dziś wieczorem nie bez powodu, a jedynym powodem, jaki przychodził mi do głowy, był Frankie McGahern. Cholera. Przez cały wieczór starałem się właśnie uniknąć wciągnięcia w jakiegokolwiek gangsterskie porachunki stojące za śmiercią Tama McGaherna, a teraz przyłapano mnie na spuszczeniu lania jego bratu bliźniakowi.

Wypiłem jeszcze dwie szklaneczki whisky, zgasilem światło i nie zasłaniając zasłon w oknach, położyłem się na łóżku. Paląc, obserwowałem cienie rysujące się na suficie w świetle latarni ulicznych i reflektorów przejeżdżających samochodów. Czułem się kiepsko z powodu tego łomotu, jaki spuściłem McGahernowi. Kiepsko nie ze względu na niego, ale samego siebie. I wcale nie z powodu kłopotów, jakie mogło mi to sprawić. Czułem się kiepsko, bo ta bijatyka sprawiła mi przyjemność. Bo takim właśnie stałem się człowiekiem.

Człowiekiem odmienionym przez wojnę.

*

Z początku wydawało mi się, że zbudziły mnie odgłosy burzy. Włączyłem lampkę nocną i spojrzałem na zegarek. Było tuż przed trzecią rano, a odgłosy burzy okazały się łomotaniem gliniarzy do moich drzwi. Zniosłem się wilgotnym kaszlem, który zawsze chwycił mnie tuż po wstaniu, wymamrotałem jakieś przekleństwo i otworzyłem drzwi. Nie zdążyłem nawet się zorientować, ilu ich stało na półpiętrze. Pięść, która waliła w drzwi, wylądowała na mojej twarzy i posłała mnie na podłogę w głębi mieszkania.

Funkcjonariusze policji w Glasgow tradycyjnie rekrutują się spośród górali. Górale są na ogół wysocy i dobrze zbudowani i górują nad przeciętnymi glasgowczykami, choć zwykle nie można tego powiedzieć o ich intelekcie. To idealne kwalifikacje dla gliniarzy. Poza tym górale mają przyjemny, śpiewny akcent, więc szpetne przekleństwa, którymi raczył mnie rudowłosy niedźwiedź stawiający mnie teraz na nogi, brzmiały nieco jak namiętna serenada.

Drugi glina wykręcił mi do tyłu ręce i zatrzasnął na nich kajdanki. To nagłe wyrwanie ze snu i smak krwi w ustach sprawiły, że poczułem mdłości. W drzwiach stanęła wielka postać McNaba.

- O co, kurwa, chodzi, McNab?

McNab dał znak głową detektywowi w cywilnym ubraniu, który wymierzył mi w głowę cios dwudziestocentymetrową pałką i moje nagłe wyrwanie ze snu przestało być problemem.

II

W dużej celi aresztu, w której się ocknąłem, unosił się regulaminowy odór środków dezynfekcyjnych, zbutwiałych koców i starego moczu. Okazało się, że siedzę na krześle, a ręce mam nadal skute za sobą. Byłem ubrany tylko w podkoszulek i spodnie i albo w drodze na posterunek złapała nas nagła ulewa, albo ktoś chlusnął na mnie wodą, żebym się obudził.

McNab siedział na wyłożonej kafelkami pryczy. Obok mnie stał młodszy gliniarz o zawziętym wyrazie twarzy, z pustym wiadrem w rękach. Miał dużą twarz wiejskiego chłopca, zarumienioną od zbyt częstego przebywania na wietrznym polu podczas spędzonego na Hebrydach dzieciństwa. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i poluzował kołnierzyk.

Tak jakby miał przed sobą dużo ciężkiej fizycznej pracy. Z rezygnacją czekałem na mocny wycisk.

- Do czego dokładnie mam się przyznać? - spytałem McNaba, patrząc jednak na drugiego gliniarza, który właśnie owijał knykcie prawej dłoni mokrą ścierką.

- Nie pogrywaj ze mną, Lennox. Wiesz, czemu tu jesteś. - Podkreślił swoje słowa kiwnięciem głowy w kierunku młodziaka, którego pięść wylądowała na moim karku.

Wymuszanie z podejrzanego zeznań biciem to pewna sztuka. Wypróbowany sposób to cios w kark - powoduje silny ból, jeszcze przez wiele tygodni dający się we znaki przy każdym skręceniu głowy, a przy tym nie pozostawia żadnych śladów, które mogliby zauważyć sędzia i ława przysięgłych. Mokra ścierka wokół pięści dodatkowo zabezpiecza przed jakimikolwiek widocznymi urazami. Głównie urazami rąk ciężko pracującego i źle wynagradzanego funkcjonariusza państwowego, który się podjął spuszczenia aresztowanemu łomotu. McNab coś powiedział, poczekał, aż przestanie mi dzwonić w uszach, po czym powtórzył.

- Dlaczego zabiłeś Frankiego McGaherna?

Spojrzałem na McNaba skołowany.

- O czym pan gada? Przecież nie był martwy. Widział pan. Sam pan z nim rozmawiał, kiedy się ocknął.

Kolejne skinięcie głową. Kolejny paroksyzm bólu w mojej czaszce i dzwonienie w uszach.

- Ale przyszedłeś tam później jeszcze raz, żeby dokończyć dzieła. Dziwię ci się, Lennox. Za grosz finezji. Naprawdę zrobiłeś z niego krwisty befsztyk. Jeden z naszych praktykantów zarzygał tam cały chodnik. Czym się posłużyłeś, Lennox? Tylko łyżką do opon?

Spojrzałem na McNaba. Nie spuszczał ze mnie małych, szarych oczu, osadzonych w zbyt szerokiej twarzy. Trudno powiedzieć, czy naprawdę uważał, że to ja zabiłem McGaherna, w każdym razie wycisk, jaki dostawałem, sugerował, że jego zdaniem nie mówię wszystkiego, co wiem. A to był problem, bo nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

Zakomunikowałem mu to płynnym anglosaskim narzeczem i zainkasowałem kolejny cios w szyję. Ból spowodował mdłości i z trudem powstrzymałem odruch wymiotny.

- Boli cię szyja, Lennox? - McNab podniósł się z pryczy i stanął w pozycji sugerującej, że zaczyna się gra w debła. Spojrzałem w dół na jego stopy. Brązowe, wyglancowane półbuty. Nieskazitelnie zaprasowane mankiety spodni z ciężkiego tweedu. -

Cóż, przestanie ci dokuczać, kiedy zawisniesz na stryczku w więzieniu Barlinnie.

Podejrzewamy cię o dwa morderstwa. Dwóch McGahernów do kompletu.

- Tama McGaherna nie znałem w ogóle, a Frankiego spotkałem po raz pierwszy wczoraj wieczorem, kiedy podszedł do mnie w barze Pod Końskim Łbem.

- Czego chciał?

- Nie powiedział. Głównie dlatego, że nie byłem tym zainteresowany. Mówił tylko, że to robota w sam raz dla mnie. Zbieranie informacji. Domyśliłem się, że chciał, abym zbadał

sprawę śmierci jego brata.

- Robota w sam raz dla ciebie, Lennox? Szukanie morderców? Miałem wrażenie, że to nasze zadanie.

- Nie wszyscy mogą się do was zwrócić. Na przykład Frankie McGahern. W każdym razie czegokolwiek ode mnie chciał, powiedziałem mu, żeby spadał. Dlatego czekał na mnie na zewnątrz. Urażona duma. Nie rozumiem tylko, co wy tam robiliście. Musieliście go obserwować.

- Nie będę się tłumaczył komuś takiemu jak ty, Lennox. Ważne jest tylko to, żebyś nam powiedział, czemu potem pojechałeś do McGaherna i dokończyłeś dzieła.

- Ja nawet nie wiem, gdzie on mieszka.

- Czyżby? - McNab sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę, którą dostałem od Frankiego. Zupełnie o niej zapomniałem. - Znaleźliśmy to u ciebie w mieszkaniu. W twojej marynarce.

- Miałem jego wizytówkę, bo wręczył mi ją w barze. Spytajcie Wielkiego Boba, barmana. Tak czy inaczej, to i tak nie jego adres, tylko jakiegoś warsztatu samochodowego...

- Tam właśnie znaleźliśmy McGaherna. W warsztacie. Głowę miał zmiażdżoną łyżką do opon.

- Znaleźliście ją? Muszą być na niej odciski palców.

- Nie ma żadnych śladów. Miałeś na rękach rękawiczki.

Westchnąłem.

- Obaj wiemy, że nie uważa mnie pan za sprawcę. A ja wiem, że nim nie jestem. Więc o co chodzi?

- Nie mów mi, co uważam. - McNab chwycił mnie za włosy i szarpnął moją głowę do tyłu. Przez ten nagły ruch znów zabolą mnie szyja. Zbliżył do mnie twarz okrągłą jak księżyc w pełni i poczułem jego nieświeży oddech, przesiąknięty zapachem playersów. - A może to ty mi powiesz, o co chodzi, Lennox? Frankie domyślił się, że to ty załatwiłeś jego brata? A może poszło o forszę?

Milczałem. McNab puścił moje włosy i czekałem na kolejne uderzenie. Nie nadeszło.

McNab usiadł z powrotem na pryczy i kiwnął głową w kierunku drzwi. Młodzieniec z zakasanyimi rękawami odwinął ścierkę z pięści i ruszył do wyjścia.

- Przerwa na herbatę? - zapytałem z uśmiechem.

Osilek zatrzymał się na chwilę, ale zmył się po przeczącym ruchu głowy McNaba.

Wtedy McNab zdjął mi kajdanki. Wyjął paczkę playersów i zapalił jednego, sadowiąc się z powrotem na pryczy. Nadszedł etap kumpłowania się.

- Nie lubię cię, Lennox - powiedział beznamiętnie, tak jakby komentował aktualną pogodę. Może jednak nie był to etap kumpłowania się. - Niczego w tobie nie lubię - ani że wtykasz nos w nie swoje sprawy, ani że obracasz się w podejrzanym towarzystwie, ani nawet twojego jankeskiego akcentu. - Wziął do ręki gruby segregator, który leżał obok niego na pryczy. - Sprawdziałem twoje akta. Nic tu do siebie nie pasuje. Kanadyjczyk. Były oficer.

Bogaci rodzice. Droga szkoła prywatna. A potem zjawiasz się tutaj. Po co ktoś taki jak ty miałby tu mieszkać i zadawać się z typami, z którymi się zadajesz?

- Urodziłem się tutaj, a wychowywałem w Kanadzie. Mój ojciec pochodził z Glasgow.

- Moje zasoby ironii chwilowo się wyczerpały. Miałem przeszłość, którą lepiej było zostawić w spokoju, i nie podobało mi się, że McNab w niej grzebie.

Prawda była taka, że zostałem zdemobilizowany w Wielkiej Brytanii i wręczono mi wtedy bilet na statek do Halifaxu w Nowej Szkocji. Powrót z wojny przypominał jednak powrót z więzienia i gdy stałem oszołomiony zimnym blaskiem dnia, Glasgow już na mnie czekało jak złowieszczy zbir czający się w ciemnościach gdzieś za rogiem. I oto osiem lat później nadal tkwiłem w drugiej metropolii Imperium Brytyjskiego. Glasgow mi odpowiadało

- jego ciężki, mroczny klimat jakoś dodawał mi otuchy. Było to jedno z tych miast, gdzie można się ukryć w tłumie. Nawet przed samym sobą.

- Widzę, że miałeś po drodze trochę kłopotów - powiedział McNab, przewracając kciukiem papiery. - O włos uniknąłeś sądu wojennego.

- Zostałem honorowo zwolniony ze służby. - W ustach mi zaschło i miałem mdłości.

Szyja i głowa pękały mi z bólu. McNab mnie wkurzał i miałem ochotę walnąć go w ten wielki, okrągły, głupi pysk. Ale oczywiście nie mogłem.

- Tylko dlatego, że niczego ci nie udowodnili. Zabawne... Armia nie chciała udostępnić na twój temat żadnych informacji, ale kiedy żandarmeria wojskowa dowiedziała się, że mogę coś na ciebie mieć, od razu zadeklarowali chęć współpracy. Ci chłopcy nie za bardzo cię lubią, co, Lennox?

- Cóż zrobić? Nie można cieszyć się sympatią wszystkich.

- To miało coś wspólnego z czarnym rynkiem w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. Sprzedawanie cywilom wojskowych środków sanitarnych - prostytutkom chininy do aborcji i penicyliny na syfilis i rzeżączkę. Ciekawe interesy.

Milczałem.

- Taa... - ciągnął McNab - doprawdy niezły interesik. Pogłoski mówią jednak o tym, że poróżniłeś się ze swoim niemieckim współnikiem, którego w końcu znaleziono w hamburskim porcie, unosił się na wodzie twarzą w dół.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Pewnie tak samo jak ze śmiercią Frankiego McGaherna, co?

- Właśnie.

- I twierdzisz, że nigdy nie spotkałeś Tama McGaherna? Nawet w wojsku w czasie wojny?

Zmarszczyłem brwi. Byłem naprawdę zdezorientowany.

- Inne armie. I jeśli już o to chodzi, inne wojny. Słyszałem, że Tam McGahern był

Szczurem Pustyni.

Zapadła chwila milczenia. McNab i ja przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Jak na tak rosteo mężczyznę McNab ubierał się z wyszukaną elegancją. Pod brązową tweedową marynarką miał świeżą białą koszulę, a pod szyją nienagannie zawiązany bordowy krawat. Ja z kolei siedziałem nieogolony, w mokrym podkoszulku oraz spodniach i bez butów.

Schludność McNaba stanowiła broń psychologiczną i mogłem dać jej odpór tylko poprzez skupienie się na zaognionej czerwonej bruździe w miejscu, gdzie nieskazitelny kołnierzyk koszuli wpił się w jego szyję. Okazuje się, że z krochmalem można przesadzić.

- Pytał mnie pan o pieniądze. Co pan miał na myśli? - spytałem.

- To ja tu zadaję pytania, Lennox, a ty na nie odpowiadasz - odparł beznamiętnie.

Roześmiałem się, słysząc ten frazes rodem z filmów kryminalnych, czym udało mi się ponownie rozsierdzić McNaba. - No dobra, mądralo, chodzi o pieniądze, które zniknęły, gdy został zamordowany Tam McGahern. Jeśli wierzyć pogłoskom, było tego ładnych kilka tysięcy. - McNab upuścił na ziemię niedopałek papierosa i rozgniół go czubkiem buta o beton ruchem sugerującym, że

„przerwa na herbatę” się skończyła. - Teraz będę musiał

znowu poprosić tu Frasera - powiedział niemal przeprasającym tonem, co tylko bardziej mnie zaniepokoiło. - Nie mówisz mi wszystkiego. Tu chodzi o coś więcej niż tylko o to, że uraziłeś dumę Frankiego McGaherna. Rzucił się na ciebie z brzytwą, a nie nasyłał jednego ze swoich chłopców. Frankie może nie dorastał bratu do pięt, ale miał do dyspozycji sporą ekipę.

Moim zdaniem to, że sam chciał się z tobą rozprawić, świadczy o tym, że mieliście jakieś poważniejsze porachunki. To, co mi mówisz, nie trzyma się kupy.

Rozumiałem, o co mu chodzi. Spodziewałem się kłopotów ze strony Frankiego McGaherna, nie sądziłem jednak, że sprawy potoczą się tak szybko i przyjmą tak brzydki obrót. Z drugiej strony w Glasgow sprawy nieustannie przybierały brzydki obrót - szybko i z bliżej nieokreślonych powodów. McNab odczekał chwilę, dając mi szansę na odpowiedź, a gdy jej nie otrzymał, podszedł do drzwi celi, aby wezwać z powrotem rosłego młodzieńca ze wsi z obolałymi kostkami u rąk.

- Niech pan poczeka... - rzuciłem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć dalej. -

Naprawdę nic więcej nie wiem. Dla mnie to wszystko też nie ma sensu, ale mówię prawdę.

Dopóki wczoraj wieczorem w barze nie podszedł do mnie Frankie, nie miałem do czynienia z żadnym z McGahernów.

- Trudno mi w to uwierzyć, Lennox, biorąc pod uwagę kręgi, w jakich się obracasz.

- Nie obracam się w żadnych „kręgach”, panie nadinspektorze. Charakter mojej pracy sprawia, że miewam kontakty z pewnymi typami - włączając w to zresztą niektórych gliniarzy

- których inni ludzie na ogół unikają jak ognia. Z Frankiem McGahernem nie miałem jednak żadnych kontaktów. To samo dotyczy jego brata.

Kolejna chwila milczenia. McNab nie wzywał swojego osiłka. Nie siadał też jednak z powrotem na pryczy.

- Wszystko inne, co panu powiem, to będą banialuki obliczone tylko na uniknięcie bicia.

W korytarzu pojawił się jakiś inny gliniarz. Rozpoznałem go. Usiłowałem nie okazać ulgi, ale poczułem się w owej chwili jak jedyny ocalały z masakry na prerii, słyszący trąbkę nadciągającej kawalerii.

- O co chodzi, inspektorze? - McNab nie krył irytacji, że ktoś mu przeszkadza. Zanim odpowiedział, detektyw w korytarzu spojrzał znacząco na mnie, mój mokry podkoszulek i bosa stopy.

- Rozmawiałem z gospodynią pana Lennox, panie nadinspektorze. Potwierdza, że wrócił do domu około dziesiątej piętnaście i nie ruszał się z domu do chwili, gdy przybyliśmy, aby go aresztować.

Obtarta kołnierzykiem skóra na szyi McNaba spurpurowiała jeszcze bardziej. Nic nie rozwściecza

bardziej niż usłyszenie od kogoś prawdy, którą już od dawna znaliśmy, ale której głośne wypowiedzenie nie było nam na rękę.

- Może jej się tak tylko wydawać... - odparł McNab. - O tej porze pewnie już spała.

- Mówi, że to niemożliwe, aby nie usłyszała, że on wychodzi z domu. Gotowa jest to potwierdzić przed sądem.

Pręga pod kołnierzykiem McNaba znikła w powodzi czerwieni, jaka rozlała się po jego grubej szyi. Przez chwilę spoglądał groźnie na młodszego kolegę, po czym odwrócił się do mnie, mówiąc, że mogę iść.

*

Jock Ferguson czekał na mnie w sali przyjęć posterunku. Niechętne zwolnienie mnie przez McNaba nie oznaczało, że zostanę odwieziony do domu, więc poczułem ulgę, gdy Ferguson podał mi koszulę, moją marynarkę i jakąś parę butów.

- Nie ma skarpet? - spytałem, na co Ferguson wzruszył tylko ramionami.

To właśnie Jock Ferguson był tym moim przyjacielem, a raczej znajomym, a w zasadzie informatorem, od którego dowiedziałem się o śmierci Tama McGaherna. Był jednym z gliniarzy, z którymi miałem do czynienia przez ostatnie pięć lat. Tak jak ja, miał mniej więcej trzydzieści pięć lat, ale wyglądał na starszego, jak wielu mężczyzn, którzy podczas wojny przeszli z okresu dorastania od razu do wieku średniego. Może ja też sprawiałem podobne wrażenie na innych. Ferguson był inteligentniejszy od przeciętnego gliniarza i był

tego świadomy. Gliniarze zazwyczaj lubią, kiedy wszystko jest proste i oczywiste. Jock Ferguson był inny. Miałem wrażenie, że zawsze był w policji pewnego rodzaju outsiderem.

Biorąc pod uwagę jego inteligencję, nic w tym dziwnego. Wydawało mi się też, że nie daje mu spokoju to, jakim niegdyś był człowiekiem. Może właśnie dlatego w ogóle zwracał sobie mną głowę. Nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć w żaden inny sposób.

- Dzięki - powiedziałem. - To wszystko zaczynało już wyglądać niewesoło.

Ferguson nic nie odpowiedział i zauważyłem, że nachylony nad kontuarem starszy sierżant z ponurą miną uważnie nam się przygląda. Ferguson wyprowadził mnie z posterunku na ulicę.

- Odwiozę cię do domu - powiedział. Czarnoszare Glasgow wylaniało się stopniowo w posępnym świetle i czułem wokół nagich kostek jego chłodny oddech. - Poczekaj tutaj, zaraz podjadę samochodem.

- Co się dzieje w sprawie McGahernów? - spytałem, gdy ruszyliśmy morrisem Fergusona przez miasto. - McNab za czymś węszył i był wkurzony, że węszy w niewłaściwym miejscu.

Ferguson poczęstował mnie papierosem. Odmówiłem ruchem głowy, więc sam zapalił.

- Znasz to miasto - odparł. - Gnieżdżą się tu ze dwa czy trzy miliony ludzi, ale to nadal wiocha. Każdy każdego zna, każdy wie, co robią inni... i komu. Ale zabójstwo McGaherna...

zabójstwa McGahernów - poprawił się - wszystkich postawiły na nogi. Nikt nie wie, kto ich wykończył ani dlaczego. Góra mocno naciska McNaba, żeby to wyjaśnił. A problem z naciskami z góry polega na tym, że przenoszą się w dół.

- Wiem - odparłem - dotarły nawet na mój kark.

- Ale McNab nie ma pojęcia, od czego zacząć. Dlatego na razie szuka na oślep. Miałeś po prostu pecha, że mu się nawinałeś pod rękę.

- A ty masz jakiś pomysł? - W pobliżu nie było żadnych innych samochodów, minęliśmy tylko konia ciągnącego wóz pełen węgla oraz gromadę robotników w cyklistówkach, jadących rowerami na pierwszą szychtë. Odwróciłem nieco głowę i dotkliwy ból przypomniiał mi o spotkaniu z rumianym parobkiem McNaba.

- Ja? - parsknął Ferguson. - Nie. Tkwię w błogiej niewiedzy. Staram się trzymać od tej sprawy z daleka. Tak jak ty. Nie warto prosić się o kłopoty.

Rozmowa stopniowo wygasła, aż w końcu Ferguson zajechał pod mój dom. Gdy wysiadłem, wychylił się jeszcze z samochodu, opierając się na sąsiednim fotelu.

- Lennox... na twoim miejscu przez jakiś czas nie rzucałbym się w oczy. Jeśli masz zamiar wściubić w to swój nos, zapomnij o tym.

Patrzyłem, jak odjeżdża ulicą Great Western. Spośród wszystkich gliniarzy jemu mogłem chyba ufać najbardziej. Dlaczego w takim razie coś nie dawało mi spokoju? I dlaczego miałem wrażenie, że słowami, którymi właśnie mnie pożegnał, spuentował to, jak potraktował mnie McNab?

*

Moja kwatery mieściła się na piętrze dość okazałej wiktoriańskiej willi. Wspólne wejście wiodło do mieszkania na parterze, zajmowanego przez moją gospodynię, Fionę White, wraz z dziećmi. To właśnie ona wpuściła do domu policję jeszcze przed świtem.

Czekała na mnie, kiedy otworzyłem drzwi wejściowe.

- Chyba przydałaby się panu filiżanka herbaty - powiedziała bez uśmiechu.

Podążyłem za nią do kuchni w głębi mieszkania. Stała oparta o blat kuchenny z założonymi rękami.

- Nieszczerólnie pan wygląda - rzekła bez zbytniej troskliwości. - Panie Lennox, nie mogę sobie pozwolić na to, żeby po nocach łomotała mi do drzwi policja.

- Chce pani, żebym się wyniósł, pani White?

- Tego nie powiedziałam. Ale to jest porządna dzielnica. Kilku sąsiadów już się mnie dopytywało, o co chodzi. Pewnie uznali pana za jakiegoś wymachującego siekierą zabójcę.

- A skąd pani wie, że nim nie jestem?

- Przypuszczam, że wtedy by pana nie wypuścili. - Zapaliła papierosa i rzuciła paczkę na kuchenny stół. - Niech się pan poczęstuje. Muszę myśleć o swoich dzieciach, panie Lennox. Nie chcę, żeby były narażone na coś takiego.

- Byłem świadkiem, pani White, a nie podejrzanym.

- Nie wiedziałam, że policja wyciąga półprzytomnych świadków z domów w środku nocy.

- Trochę to potrwało, zanim doszli do tego, że jestem tylko świadkiem. - Sączyłem herbatę. Była słodka, gorąca i łagodziła bolesne pulsowanie w głowie. Nie miałem ochoty na kolejne przesłuchanie, tym razem w wykonaniu mojej gospodyni.

Na ulicy rozległ się klakson furgonetki z piekarni i pani White przeprosiła tonem sugerującym, że jeszcze nie skończyliśmy rozmowy, po czym chwyciła portmonetkę i wybiegła przed dom. Obserwowałem, jak wychodzi. Była szczupłą, może nawet nieco zbyt szczupłą, atrakcyjną kobietą o policzkach i oczach przywodzących na myśl Kate Hepburn.

Wyglądałaby jeszcze lepiej, gdyby nie kładący się cieniem na jej twarzy ciągły wyraz zmęczenia. Fiona White nie mogła mieć więcej niż trzydzieści pięć albo sześć lat, ale wyglądała na starszą.

Przywiązałem się do smutnej rodzinki White'ow, która wprawdzie przyjęła do wiadomości, że ich ojciec i mąż spoczywa gdzieś na dnie Atlantyku, ale sprawiała wrażenie, jakby wciąż oczekiwała jego powrotu z dawno zakończonej wojny. Popijałem w zamyśleniu herbatę.

- No więc... wolałaby pani, żebym się wyprowadził? - ponowiłem pytanie, gdy wróciła.

- Nie chcę, żeby coś takiego ponownie się wydarzyło. Tylko tyle mam na razie na ten temat do powiedzenia, panie Lennox. Gdyby to się powtórzyło, to sądzę, że powinien pan się rozejrzeć za jakąś inną kwaterą.

- Brzmi rozsądnie. - Dopilem herbatę i wstałem. - To się już nie powtórzy, pani White.

Przy okazji dziękuję, bo powiedziała pani policji, że byłem tutaj ubiegłej nocy. To wybawiło mnie z nieco, że tak powiem... niezręcznej sytuacji.

- Powiedziałam im tylko prawdę.

*

Policja sporo się napracowała w moim mieszkaniu i minęło pół godziny, zanim doprowadziłem wszystko do porządku. Kwatera obejmowała w gruncie rzeczy całe piętro domu, pierwotnie składające się z dwóch sypialni i łazienki. Z jasnych, sporej wielkości pokoi z dużymi przesuwными

oknami rozpościerał się widok na ulicę. Większa sypialnia została przerobiona na salon z aneksem kuchennym. Pani White nie zdzierła na czynszu, ale był on i tak dość wysoki.

Pierwszą rzeczą, jaką sprawdziłem, był egzemplarz książki H. G. Wellsa *Kształt rzeczy przyszłych*, wetknięty między inne książki na jednej ze środkowych półek. Otworzyłem ją i upewniłem się, że schowek utworzony przez wycięcie środkowej części kartek nadal mieści plik dużych, białych, szeleszczących pięciofuntowych banknotów. Były nietknięte. To było moje złoto Nibelungów z Niemiec, do którego udało mi się jeszcze coś dorzucić podczas pobytu w Glasgow. Miałem sporo książek i wydawało się to dość bezpieczną kryjówką, bo policjanci na ogół nie mają inklinacji literackich. Należało następnie sprawdzić, czy podłoga pod łóżkiem nie została naruszona. Podniosłem wycięty przez siebie fragment deski i sięgnąłem w głąb. Ręką wymacałem ciężki, twardy przedmiot zawinięty w ceratę.

Był bezpieczny. Na wypadek gdybym go kiedyś potrzebował.

Resztę dnia praktycznie przespałem, ale kolejnego ranka wstałem wcześniej, wykąpałem się, ogoliłem i ubrałem w jeden ze swoich bardziej szykownych ciemnych garniturów. Czułem potrzebę odświeżenia się po przeżyciach minionego dnia. Ból w szyi nadal mi dokuczał i pożyczyłem od pani White dwie saszetki aspiryny. Dręczyło mnie jednak coś jeszcze, czego jednak nie potrafiłem za bardzo sprecyzować. Gazety rozpisywały się o zabójstwie Frankiego McGaherna i miałem wrażenie, że oblicze mojej gospodyni tchnie jeszcze większym chłodem.

Racjonowanie benzyny skończyło się dwa lata temu, ale weszło mi w nawyk zostawianie samochodu pod domem, jeśli jechałem tylko do biura. Złapałem tramwaj do centrum i przekręciłem klucz w zamku mojego jednopokojowego biura przy ulicy Gordon.

Nieraz myślałem o zrezygnowaniu z tego lokum, jako że większość interesów załatwiałem w barze Pod Końskim Łbem, ale ze względów prawnych i podatkowych utrzymywanie go miało sens. Od czasu do czasu trafiały też do mnie za jego pośrednictwem zlecenia dotyczące zaginięcia, rozwodu, kradzieży w jakiejś fabryce i innych tego rodzaju mętnych spraw, pozwalające mi się wylegitymować jakąś mieszczącą się w granicach prawa działalnością wobec gliniarzy i urzędu podatkowego.

Największy niepokój wzbudziło we mnie właśnie to, co zastałem w swoim biurze.

Policja dokładnie przekopała moje mieszkanie, natomiast w biurze pozornie nie było żadnych śladów bytności kogokolwiek obcego, a tym bardziej jakiegokolwiek przeszukania.

Wiedziałem jednak, że się odbyło. Kąt ustawienia aparatu telefonicznego na moim biurku.

Pozycja kałamarza. Fakt, że krzesło zostało równo i schludnie wsunięte pod biurko. Była to wybitnie profesjonalna robota. Ktokolwiek dokonał tego przeszukania, był wyszkolony, aby nie zostawiać po sobie żadnych śladów. Policja nie musiała się czymś takim przejmować.

Po przejrzaniu każdej szuflady i każdego segregatora upewniłem się, że nic nie zostało zabrane. Sprawdziłem drzwi, zwracając szczególną uwagę na dziurkę od klucza. Nie dostrzegłem żadnych śladów włamania ani nawet tego, że ktoś majstrował przy zamku. A jedyny zestaw kluczy miałem ja. Ktokolwiek to zrobił, był dobry. Bardzo dobry. Nie miałem wątpliwości, że gdyby ta sama osoba odwiedziła moje mieszkanie, znalazłaby zarówno mój mały skarbczyk, jak i pakunek ukryty pod podłogą. Miałem jednak poczucie, że nie mam do czynienia ze zwykłymi złodziejami, a poza tym podczas obecności pani White byłoby znacznie trudniej dostać się do mojego mieszkania i potem je opuścić.

Próbowałem o tym nie myśleć, lecz skupić się na prowadzonej przez siebie sprawie dotyczącej czyjegoś zaginięcia. Tego typu legalne roboty były niezbędne - klient, który wystawiał pokwitowania i sam ich wymagał, pozwalał mi przedstawić coś przekonującego inspektorowi podatkowemu. Co najmniej połowie moich klientów nie zależało na kłopotaniu urzędu podatkowego i muszę przyznać, że sam nie lubiłem przysparzać mu zbyt wiele pracy.

Sprawa, którą zajmowałem się przez ostatni tydzień, dotyczyła zaginięcia żony pewnego

glasgowskiego biznesmena. Ona była młoda, ładna i pełna życia, a on - w średnim wieku, z brzuchem i kiepskimi zębami - zdecydowanie nie przypominał Roberta Taylora. Był to ewidentnie niedopasowany związek i wiedziałem, że nie zapewnię klientowi happy endu, na jaki liczył.

Postanowiłem skupić uwagę na sprawie zaginionej żony. Pomyślałem, że jeśli będę traktował całe to zamieszanie wokół McGahernów tak, jakby go nie było, to jakoś się z tej sprawy wykręcę. Zadzwoiłem do biura Johna Andrewsa, męża zaginionej, i umówiłem się na spotkanie u niego w domu o szóstej po południu.

Glasgow było miastem z zakasnymi do roboty rękawami. Przez sto lat jedyną racją jego istnienia było pełnienie funkcji fabryki dla całego imperium. To tutaj pośród zgrzytu metalu i hutniczego łoskotu rozpoczęła się rewolucja przemysłowa. Tutaj budowano statki handlowe i okręty wojenne. Tutaj montowano ogromne maszyny dla imperium brytyjskiego, a także wydobywano z ziemi napędzające te maszyny paliwo. Glasgow było miastem, gdzie wszelkie aspiracje do wysokiego statusu społecznego trąciły fałszem, a wille potentatów musiały sąsiadować z obskurnymi kamienicami czynszowymi. Bearsden, leżące na północnych obrzeżach miasta, pozowało na Surrey³, mimo że było o rzut umorusanym sadzą kamieniem od zaniedbanej, pełnej przemocy dzielnicy Maryhill. Dom Johna Andrewsa położony był w pewnej odległości od łuku ulicy w dużym, zadrzewionym ogrodzie. Nie do końca wiedziałem, czym właściwie zajmuje się Andrews - były to jakieś interesy, które ujmowało się lekceważącym, mglistym określeniem „import, eksport - tego typu sprawy”.

Cokolwiek robił, najwyraźniej się to opłacało. Widać było, że trzykondygnacyjna wiktoriańska willa o przydomku Dom Ardbreuch, w której mieszkał Andrews, została wybudowana nie tylko w celach mieszkalnych, lecz również po to, aby zrobić wrażenie.

Prawda wyglądała tak, że w związku z wydarzeniami, które rozegrały się od chwili mojego 3 Surrey - hrabstwo w południowej Anglii, jeden z najbogatszych rejonów kraju.

spotkania z Frankiem McGahernem, nie działałem nic nowego w sprawie zaginionej żony Andrewsa i nie miałem mu nic nowego do powiedzenia.

Podczas naszej rozmowy telefonicznej Andrews potraktował mnie dość szorstko. Nie lubił, kiedy dzwoniłem do niego do biura, mimo że w rozmowie z jego recepcjonistką podawałem zmyślane nazwisko i zmyśloną nazwę firmy, jakimi polecił mi się posługiwać.

Kiedy jednak zajechałem przed jego rezydencję, czekał na mnie przy drzwiach z uśmiechem sprawiającym wrażenie przyklejonego do twarzy. Uśmiechem, który jakby odklejał się w kącikach ust.

Andrews był niewysokim, grubawym mężczyzną o szpakowatych włosach i z wałeczkiem tłuszczu pod słabo zarysowaną szczęką. W butonierkę drogiego garnituru wetknięty miał świeży goździk. Gdy się witaliśmy, miałem wrażenie, że jego pulchna dłoń jest wilgotna.

- Przykro mi, że fatygował się pan na darmo, panie Lennox. Nie zdążyłem do pana zadzwonić. Tajemnica rozwikłana! - Wzruszył swoimi drobnymi ramionami w przesadnym geście, równie

falszywym jak jego uśmiech. Zacząłem mieć niewesołe przeczucia. A po incydencie z McGahernem przydałoby się coś mało skomplikowanego.

- Panie Andrews, czy coś jest nie tak?

- Nie tak? - Zaśmiał się, unikając jednak mojego wzroku. - Wprost przeciwnie.

Obawiam się, że to wszystko było strasznym nieporozumieniem. Lillian zadzwoniła do mnie dziś po południu, niedługo po naszej rozmowie. Okazało się, że została niespodziewanie wezwana do swojej mieszkającej w Edynburgu siostry, która nagle zachorowała. Lillian zostawiła mi w domu list, który jednak zsunął się za sekretarzyk. Dopiero gdy do mnie zadzwoniła, zorientowała się, jak bardzo się o nią martwiłem.

- Rozumiem - odparłem. Wiedziałem, że były to wierutne bzdury, czyli jak mówili o tym miejscowi, gówna prawda.

- Proszę, panie Lennox. - Andrews nie zaprosił mnie nawet do środka, tylko wyjął z kieszeni czek i wręczył mi go. Opiewał na kwotę znacznie wyższą niż ta, która mi się należała. - Sumienie mnie gryzie, że trudził się pan na próżno. Mam nadzieję, że to wynagrodzi panu kłopot, jaki sprawiłem.

Coś było w tym wszystkim stanowczo nie tak. Schowałem jednak czek do kieszeni.

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym rzucił okiem na ten list, który zostawiła panu żona? - spytałem.

Uczucie ulgi rysujące się na twarzy Andrews'a przekształciło się w zdenerwowanie.

- List? Po co? Och... Obawiam się, że wyrzuciłem go po przeczytaniu. Nie było sensu go zatrzymywać.

- Rozumiem. - Uniosłem nieco kapelusz i dodałem: - Cóż, cieszę się, że wszystko wróciło do normy. Do widzenia, panie Andrews.

Coś przemknęło przez jego twarz. Jakiś cień wątpliwości albo nadziei. Ale natychmiast zniknął.

- Do widzenia, panie Lennox.

*

Nie wróciłem od razu do domu, może dlatego, że nieoczekiwanie nie miałem nic do roboty. Aby sobie pozwolić na dom w Bearsden, trzeba zdobywać pieniądze na rozmaite sposoby, niekoniecznie zajmując się importem i eksportem. Skierowałem się na północ, przemierzając zielone przedmieścia Glasgow, i wkrótce skręciłem w kolejny zadrzewiony i okolony przystrzyżonymi krzewami długi podjazd. Kiedy jednak zajechałem przed niewielką rezydencją, nie stał tam żaden niski, pulchny biznesmen. Zamiast tego czekała tam na mnie grupka zakapiorów w tanich garniturach, podejrzliwie mnie obserwujących.

- Co mogę dla pana zrobić? - Glasgowski akcent osiłka, który podszedł do okna mojego samochodu, był równie gęsty jak pomada, którą wysmarował włosy. Miał na sobie obcisłe spodnie rurki i marynarkę do połowy uda. Najwidoczniej taka była najnowsza moda.

Zapewne nawiązywała do stylu „edwardiańskiego” i z tego, co słyszałem, jej zwolennicy nazywali siebie Teddy Boys⁴.

- Chciałbym się zobaczyć z panem Sneddonem.

- Ach, tak? Był pan umówiony? - Słysząc było, że odgrywanie roli recepcjonisty przychodzi mu z jakimś trudem.

- Nie. Proszę mu powiedzieć, że przyszedł Lennox. Chcę z nim pogadać.

- O czym?

- To sprawa między mną a panem Sneddonem.

Goryl w rurkach otworzył drzwi samochodu, po czym wprowadził mnie do rezydencji Snedдона. Przyglądałem się jego parodystycznym usiłowaniam, żeby sprostać roli kamerdynera. Powiedział, żebym poczekał w pseudogotyckim holu wejściowym. Sneddon przez pół godziny wystawiał na próbę moją cierpliwość, po czym wyłonił się z sali do snookera. Dawał mi tym samym do zrozumienia, że zdany jestem na jego łaskę i niełaskę i nie mogę odejść bez jego pozwolenia.

Willie Sneddon należał do panujących w Glasgow Trzech Królów. Choć silącą się na 4 Subkultura młodzieżowa istniejąca w Wielkiej Brytanii od początków lat pięćdziesiątych.

wielkopański rozmach rezydencję w Bearsden można by nazwać zamkiem Snedдона, jego królestwo rozciągało się w zasadzie na południe od rzeki Clyde. Był niezbyt wysokim mężczyzną, ubierającym się z zaskakującym smakiem i bez oglądania się na koszty. Już na pierwszy rzut oka było jednak jasne, że jego fachem jest przemoc. Posturę miał krępą, ale bez nadwagi. Był muskularny i żyłasty, jakby ktoś splótł go z kawałka liny. Co więcej, w jakiejś odległej przeszłości ktoś zostawił brzytwą trwały ślad na jego prawym policzku.

- Czego do cholery chcesz, Lennox? - rzucił tytułem powitania przez ramię, wprowadzając mnie do gabinetu pełnego książek, których nigdy nie przeczyta i prawdopodobnie nawet by nie potrafił przeczytać. Nie zaoferowano mi krzesła, ale i tak usiadłem.

- Miałem starcie z Frankiem McGahernem - powiedziałem, zapalając papierosa.

- Słyszałem, że to raczej on miał starcie z tobą - odparł Sneddon z nienaganną govańską⁵ dykcją. - Zabiłeś go, Lennox?

- Z tego zostałem oczyszczony. Załatwił go ktoś inny. Kto - oto jest pytanie. I właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Chciałem spytać, czy ma pan jakiegokolwiek informacje o tym, co stało się z jego bratem.

- Oskarżasz?

- Nie, panie Sneddon. Nie oskarżam, tylko pytam. Nie widzę powodu, dla którego miałby pan zlecić zabicie Tama McGaherna. Czy Frankiego. Nikt jednak nie zna tego miasta równie dobrze jak pan...

- Ach, tak? Przypuszczam, że nie rozmawiałeś z pozostałymi Królami?

- Faktycznie, nie rozmawiałem. Przyszedłem najpierw do pana. - Powiedziałem prawdę i on o tym wiedział. Gdyby zechciał, mógłby to bardzo łatwo sprawdzić. Choć próbował to ukryć, zauważyłem, że spodobała mu się myśl, iż stawiam go jakoś wyżej od pozostałych dwóch Królów. Nie nadmieniłem, że po prostu byłem akurat w okolicy.

- Nic nie wiem na temat zabójstwa Tama McGaherna. Oczywiście nawet gdybym wiedział, tobym ci nie powiedział i generalnie miałbym gdzieś, czy mi wierzysz, czy nie. Ale naprawdę nic nie wiem i wcale mi się to nie podoba. Nie muszę ci mówić, że w tym mieście wiedza oznacza władzę. Nie przywykłem tolerować braku ani tego, ani tego. Kto ci płaci za niuchanie w tej sprawie?

- Nikt.

Sneddon uniósł z powątpiewaniem brew. Mogło to szybko przeistoczyć się w kolejne 5 Govan - niegdyś robotnicza, biedna dzielnica Glasgow.

lanie, mające wydusić ze mnie informacje, których nie znałem.

- Naprawdę nikt. Wydaje mi się, że Frankie McGahern chciał, żebym dowiedział się, kto zabił jego brata, ale nie byłem tą robotą zainteresowany. Dlatego wszystko tak brzydko się potoczyło. Policja przestrzegła mnie, żebym się w to nie angażował, ale chyba mam przekorny charakter, więc jak ktoś próbuje mnie zniechęcić, dając mi wycisk, to zacinam się w sobie.

Sneddon pokiwał w zamyśleniu głową, a w jego oczach pojawił się chłodny, pełen wyrachowania błysk. Wydawało się, że podjął właśnie jakąś decyzję.

- No to już znalazłeś zleceniodawcę. Dowiedz się, kto sprzątnął Tama i Frankiego, a ja ci zapłacę.

- Jak mówiłem, zajmuję się tym na własny rachunek...

- Już nie. - Ton Sneddona dawał do zrozumienia, że nasza dyskusja dobiegła końca.

Sięgnął do szuflady swojego biurka z orzechowego drewna i wyciągnął pokaźny, zgrabny zwitek piąтакów. - To ci wystarczy na początek. Masz tu setkę. Jeśli mnie pierwszemu powiesz nazwisko zabójcy, dostaniesz jeszcze dwieście.

Wziąłem pieniądze.

- Nie mogę zagwarantować, że mi się uda. Nigdy nie daję gwarancji. Wie pan o tym.

- To będę uboższy o sto funciaków. Ale pozostałe dwieście dostaniesz tylko wtedy, gdy podasz mi to

nazwisko.

- Okej - powiedziałem, tak jakbym miał jakiś wybór. - Dzięki. Zobaczą, czego uda mi się dowiedzieć. Będę jednak musiał pogadać z pozostałymi dwoma Królami. Sprawy mogą się skomplikować.

- O to będziemy się martwić później, Lennox. Nie zapominaj tylko, kto ci płaci.

Czegoś się dowiesz - chcę o tym usłyszeć pierwszy. A jeśli powiem, żeby nie mówić o tym nikomu innemu, to tak będzie.

- W porządku. Może zaczniemy od tego, że powie mi pan coś więcej o Tamie i Frankiem. Nie za dużo o nich wiem. Nigdy nie miałem z nimi do czynienia. - Potarłem kark, przypomniawszy sobie, jak trudno było o tym przekonać McNaba.

- Nie mam wiele do powiedzenia - odparł Sneddon. - To była para drobnych, dorabiających się fenian⁶. Znasz pewnie ten gatunek: poprzednie pokolenie srało jeszcze na jakimś torfowisku pod Galway. Próbowali sobie tu wykroić małe imperium. Bardziej Tam niż Frankie. Tam był twardy, ambitny i bardzo bystry. Frankie był tylko... - Sneddon zmarszczył

⁶ Fenianie - pogardliwe określenie irlandzkich katolików.

czoło, starając się znaleźć odpowiednie określenie. - Frankie był tylko gnojkiem.

- Przypuszczałbym, że jako bliźniacy działali bardziej po partnersku.

- Tak, można by tak pomyśleć. Ale rozumu nie przydzielono im po równo. Tam i Frankie byli bliźniakami jednojajowymi tylko z wyglądu. Jak mówiłem, to Tam był

bystrzaczą... i siłą napędową ich poczynań. Ze wszech miar łośbim gościem. Frankie nie. To Tam wszystkim dyrygował i opiekował się Frankiem. Rzucił mu ochłapy ze stołu.

- Więc byli ze sobą blisko?

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Nie gustuję w takich typach, jeśli łapiesz, o co mi chodzi. Słyszałem jednak pewną historię o tym, jak Frankie narzucił się jakiejś kurwie, która działała niezależnie. Tam się o tym dowiedział i dał Frankiemu niezły wycisk. Ale jest też i inna historia o tym, jak Tam zapłacił pieprzoną fortunę za to, żeby jakiś palant wziął na siebie winę i spędził za Frankiego sześć miesięcy w pudle. Żeby tylko Frankie miał czystą kartotekę.

- Frankie nie był karany?

- Nie. - Sneddon zapalił papierosa, nie częstując mnie. - Żaden z nich nie był. Tam był

za sprytny. Frankie dlatego, że Tam jakby szczególnie dbał o to, żeby miał czyste konto. Ale, jak mówię, potrafił też dać Frankiemu wycisk.

- Jakie prowadzili interesy?

- Zarządzali trzema barami - Highlanderem, Imperialem i Westfieldem - i kilkoma biurami bukmacherskimi, przeprowadzili kilka w miarę udanych napadów z bronią w rękę i zapewniali ochronę jakiemuś burdelowi. Poza tym zajmowali się na małą skalę wymuszaniem haraczy. Ale, jak mówię, Tam McGahern był sprytnym gnojkiem. Zawsze miał jakiś szwindel na tapecie. Próbowaliśmy śledzić, co knuje, ale zawsze jakoś nam się wymykał.

- Okej - powiedziałem i wstałem, podnosząc kapelusz z ozdobnego biurka Sneddon. -

Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. Może to jednak być niełatwe. Wielu ludzi nerwowo reaguje na wzmiankę o sprawie McGahernów. Niechętnie o niej mówią.

Sneddon przechylił się na krześle i krzyknął w kierunku korytarza za moimi plecami:

- Pedikiurek!

Nagle w gabinecie pociemniało, jakby ktoś zamknął drzwi. Nie obracając się za siebie, wiedziałem jednak, że stanął w nich po prostu Pedikiurek McBride.

- Spotkałeś już Pedikiurka, prawda, Lennox?

- Nie w okolicznościach zawodowych - odparłem z niewyraźnym uśmiechem i odwróciłem się, skinieniem głowy witając stojącą w drzwiach bestię.

- Witam, panie Lennox - rzucił Pedikiurek swoim barytonem trolla, uśmiechnął się i usiadł na krześle przy drzwiach. Był przyjaźnie nastawionym gościem. Niezbyt rozgarniętym.

Czytał komiksy i od czasu do czasu przytaczał cytaty z „Reader’s Digest”. Torturował dla Sneddon ludzi.

- To będzie twardy orzech do zgryzienia, Lennox - powiedział Sneddon. - Ludzie nie są skorzy do gadania. Jeśli tak się zdarzy, chciałbym, żebyś posłużył się Pedikiurkiem.

- Niech pan posłucha, panie Sneddon... to nie bardzo w moim stylu. Bez urazy, Pedikiurek.

Pedikiurek McBride uśmiechnął się bez słowa z ciemnego rogu, w którym majaczyła jego złowieszcza, zwalista sylwetka. Konwersacja nie należała do jego mocnych stron. Miał

raczej reputację kogoś, kto innych nakłaniał do zwierzeń. Przydomek „Pedikiurek” pochodził

od stosowanych przez niego metod jako oprawcy na usługach Sneddon. Polegały one na tym, że McBride zdejmował ofierze buty i skarpetki i operując nożycami do prętów, recytował z zaskakującą dawką przesyconego ironią humoru słowa dziecięcego wierszyka:

„Było sobie pięć świneczek, poszły sobie na ryneczek”. Podobno duży palec każdej stopy zostawiał na koniec.

- Daję im szansę, żeby coś powiedzieli, zanim zajmę się dużymi palcami - wyjaśnił mi kiedyś zazwyczaj lakoniczny McBride. - Chyba że pan Sneddon powie, że nie chce, aby już kiedykolwiek chodzili. Bez dużego palca nie da się utrzymać równowagi, wie pan?

- To bardzo ciekawe - odparłem.

- Taa... - Wielką jak księżyc w pełni, poobijaną twarz Pedikiurka rozjaśniła niemal dziecięca duma, że tak wiele wie. - Czytałem o tym w „Reader’s Digest”.

*

Uśmiechałem się w duchu, opuszczając pseudomagnacką, pseudogotycką i pseudoszacowną rezydencję Sneddona. W ciągu zaledwie godziny zostałem zwolniony i ponownie zatrudniony. A po czeku Johna Andrewsa i pliku piątek Sneddona wzbogaciłem się już o dwieście funtów.

Jedynym mankamentem było to, że nie miałem pojęcia, od czego zacząć poszukiwania. Miałem na obolałym już karku glaskowską policję, ktoś bardzo profesjonalnie przeszukał moje biuro, a na dodatek dostałem obstawę neandertalskiego pedikiurzysty rodem z piekłą.

IV

Na początek zająłem się zlokalizowaniem dziewczyny, którą posuwał Tam McGahern tuż przed swoim nieszczęsnym zgonem. W rozmowach nie padało żadne nazwisko. W

normalnych okolicznościach wyciągnąłbym je od Jocka Fergusona przy jakimś dużym piwie w barze Pod Końskim Łbem. Za każdym jednak razem, kiedy przywoływałem w pamięci jego ostatnie słowa w samochodzie, kiedy się rozstawaliśmy, było to jak dotknięcie drutu pod napięciem okalającego temat „policja”. Ferguson był moim źródłem - zazwyczaj najważniejszym i niezawodnym - z którego tym razem nie mogłem skorzystać. Nie miałem innego wyboru, jak skoczyć na głęboką wodę i odwiedzić bar McGaherna w Maryhill.

Bar Highlander był zadziwiająco wyzbyty wszelkich kulturowych odniesień do szkockich gór i górali. Na ścianach nie widniały wielkie obrazy typu „Osaczony jeleń” albo

„Śliczny książę”⁷. Za barem nie było też obszernego zestawu najlepszych szkockich whisky.

Nie było aromatu wytarמושonych deszczami wrzosów, chyba że uznać za niego woń dymu i szczyń. Bar Highlander był raczej typową glasgowską spelunką, przynoszącą krociowe zyski.

To była pijacka fabryka. Mężczyźni, którzy tu przychodzili - a nie było tu żadnego pokoiku dla pań - pracowali przy opróżnianiu kolejnych kufli piwa, szklaneczek wzmocnionego sherry i najtańszej z dostępnych mieszanych szkockich cięższej niż w stoczniach i hutach, gdzie harowali. Przybyłem tuż po otwarciu, a bar już pękał w szwach. Mam niewiele ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale czułem się tak, jakbym zanurzył się po pierś w morzu cyklistówek, nad którym unosiła się mgła dymu tytoniowego.

W barze pracowało trzech barmanów, sprawnie i z ponurymi minami uwijających się przy kontuarze jak przy taśmie produkcyjnej. Wydawało się, że jeden z nich był starszy rangą, bo warknięciami rzucał pozostałym polecenia, obsługując jednocześnie nalewaki i dozowniki.

Był niskim, gniewnie wyglądającym mężczyzną w koszuli w paski z elastycznymi opaskami na rękawach, podtrzymującymi w górze białe mankiety. Dojrzał mnie w ciżbie klientów i zmarszczył czoło. Na chwilę zniknął mi z oczu i ani się obejrzałem, jak po moich bokach zjawiono się dwóch zakapiorów bez czapek, w tanich garniturach.

- Wszystko w porządku, kolego? - powiedział jeden z nich, odsłaniając w uśmiechu 7 The Bonnie Prince - Karol Edward Stuart (1720-1788), szkocki bohater narodowy i jakobicki pretendent do tronu brytyjskiego.

pożółkłe zęby. Był niskim, brzydkim młodzieńcem o tłustych, przylizanych blond włosach, zaczesanych do tyłu w kaczy kuper. Aż nazbyt się starał, żeby ta niby przyjazna odzywka zabrzmiała wystarczająco groźnie.

- W najlepszym. A u ciebie?

- Pewnie, kolego. Wydaje mi się, że nie należysz do tutejszych bywalców. - Na twarzy jego towarzysza widniał równie nieszczerzy przyjazny uśmiech. - Pozwól, że zapytam: co cię tu sprowadza?

Zrobiłem minę typu „tu mnie masz”.

- Jestem dziennikarzem. Prawdę mówiąc, jestem tutaj z powodu tego morderstwa.

Wiecie, tego na piętrze.

Znajdującymi się za mną drzwiami wszedł trzeci oprych. Był roślejszy od pozostałych dwóch, ale tak jak i oni za bardzo zgrywał twardziela.

- To kurewska bezczelność. Kurewska bezczelność - powiedział niski blondyn. - Pan McGahern był dżentelmenem. Wszystkich dobrze traktował. Słuchaj, kolego, pracowaliśmy dla pana McGaherna. W pewnym sensie nadal dla niego pracujemy. Udzielimy ci wszystkich informacji, jakich potrzebujesz.

- Naprawdę?

- O, tak... to żaden problem. Co tylko zechcesz wiedzieć.

- A czemu mielibyście to zrobić?

- Bo za wszelką cenę chcemy pomóc w złapaniu tych skurwieli, którzy załatwili pana McGaherna - powiedział wyższy, ciemnowłosey. - Trzeba to opisać w gazetach i w ogóle.

Większość klientów stała przy kontuarze w rzędach, głębokich czasem na cztery osoby. W Glasgow picie było zajęciem tak poważnym, że uprawiało się je na stojąco.

Przynajmniej do czasu, aż się upadło na podłogę. Rozrzucone po sali odrapane stoły zajmowali przede wszystkim starsi mężczyźni.

- Okej. Usiądźmy i pogadajmy. - Wskazałem na wolny stolik. - Zamówię najpierw kolejkę.

Przyjąłem od nich zamówienia i podszedłem do kontuaru. Kiedy wróciłem, przerwali gorączkową wymianę zdań. Na twarze wróciły uśmiechy. Zapowiadała się niezła zabawa.

Młodzieniec z ciemnymi blond włosami przedstawił się jako Bobby. Jego towarzysze mieli na imię Dougie i Pete. Piliśmy ciepłego, kwaśnego portera i rozmawialiśmy o nocy zabójstwa. Bobby i pozostali ostentacyjnie odmówili wdawania się w szczegóły w tak publicznym miejscu.

- Mamy klucze do mieszkania na piętrze. Możemy cię tam zabrać, kolego, i pokazać, gdzie to wszystko się wydarzyło - powiedział konspiracyjnie Bobby. Nikt mnie jeszcze nie zapytał o to, dla jakiej niby pracuję gazety. Bobby rozejrzał się po barze i zawahał na widok przechodzącego obok nas chwiejnym krokiem siedemdziesięciolatka. - Tutaj nie możemy rozmawiać.

- Okej - odparłem i wyszliśmy otwartymi bocznymi drzwiami pubu w zaułek śmierdzący moczem i

czymś jeszcze gorszym. Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, zastąpili mi w trójkę drogę. Od samego początku wiadomo było, że do tego właśnie zmierzają. Stałem na wprost nich i spojrzałem z góry, zaciskając w kieszeni pięść na skórzanej pałce.

- Nie jesteś dziennikarzem - oznajmił Bobby. Już się nie uśmiechał, a jego gwałtowne ruchy wskazywały, że jest zmobilizowany i gotowy do działania. - Jesteś tym jankesem Lennoxem. To ty załatwiłeś Frankiego.

- Jeśli chcesz się zabawić, gówniarzu - powiedziałem, podchodząc do niego i zmuszając go do zrobienia kroku w tył - to się zabawimy. I nie ma znaczenia, ilu masz ze sobą koleżków, bo to tobie dam wycisk. I to mocny, rozumiesz? Nie podoba mi się twój wygląd. I nie podoba mi się twój zapach.

Wyjąłem z kieszeni pałkę, a drugą ręką pchnąłem go w klatę. Zachwiał się i cofnął o kolejne dwa kroki. Za plecami miał już mur po drugiej stronie zaułka i stracił pewność siebie.

Zauważyłem, że pozostali dwaj podchodzą bliżej i odwróciłem się do nich.

- A jeśli chodzi o was... Jestem tu na zlecenie Williego Sneddona. Więc w tył zwrot, kurwa, bo skończycie jak wasi szefowie.

Mały blondyn spojrzał na mnie zmrużonymi oczami, próbując odzyskać nieco wiarygodności. Walnąłem go na odlew. Mocno. Kosmyki tłustych, jasnych włosów spadły mu na czoło. Z wnętrza pubu kilka twarzy pod cyklistówkami zwróciło się w naszą stronę.

- I co teraz zrobisz, frajerze?

Dwóch pozostałych nie wykonało żadnego ruchu. Spoglądali tylko z wściekłością na swojego kompana, który skompromitował ich wszystkich.

- Powiem ci, co zrobisz - kontynuowałem. - Nic. Bo właśnie tym jesteście... niczym.

Wasz szef nie żyje. Jego brat nie żyje. Za chwilę połkną was duzi chłopcy, więc nie udawajcie, że czegoś tutaj bronicie.

Czekałem na ich ruch. Nadaremnie. Patrzyli na siebie nawzajem niezdecydowani.

Inicjatywa należała do mnie.

- Teraz, ciotunie, tak jak mówiliście, zabierzecie mnie w trójkę na górę, pokażecie mi mieszkanie i powiecie wszystko, czego chcę się dowiedzieć. Wszystko. I to bez żadnych dąsów i ociągania. Bo inaczej znowu się spotkamy. I to w większym towarzystwie. Willie Sneddon dał mi do dyspozycji Pedikiurka McBride'a, na wypadek gdybyście nie zechcieli współpracować.

Ten argument powinien ich przekonać.

- Możemy porozmawiać na górze - zgodził się Bobby, tłustowłosy blondyn z czerwoną od uderzenia

twarzą. - W mieszkaniu.

Puściłem trzech niedoszłych twardzieli przodem. Skręciliśmy z zaułka w większą ulicę i od razu w drzwi znajdujące się tuż obok głównego wejścia do baru. Drzwi prowadziły do korytarza tak małego, że ledwo się w nim otwierały. Strome schody wiodły na równie mały podest, na którym po lewej widniały kolejne drzwi. To właśnie tu Tam McGahern dostał

w dupę z oplakany skutkiem. Widać było jeszcze niezdarne próby usunięcia śladów po tym wydarzeniu. Wchodząc na górę, słyszałem odgłosy i czułem zapachy dobiegające z pubu.

Idące przede mną opryszki skorzystały z okazji, żeby wymienić szeptem kilka słów. Kiedy doszliśmy na górę, Bobby otworzył drzwi.

- To tutaj.

- Dziewczęta przodem - powiedziałem.

Przekraczając próg, walnąłem największego z nich łokciem w twarz, po czym wymierzyłem pałką mocny cios w skroń drugiego. Ten większy ocknął się na tyle, żeby się na mnie zamachnąć, ale zrobił to tak niezdarnie, że bez trudu zrobiłem unik. Wykorzystując jego rozpęd, wypchnąłem go za drzwi i z całej siły rzuciłem twarzą na ścianę, gdzie zostawił

krwawy ślad, po czym, popchnięty przez mnie na bok, stoczył się po schodach na sam dół.

Bobby, mały blondyn, stał tylko, wlepiając we mnie oczy. Jego koleś zatykał sobie nos, próbując zatamować płynącą krew. Wymierzyłem mu silnego kopniaka prosto w krocze i przestał się przejmować swoim nosem. Kiedy padał na podłogę, kopnąłem go jeszcze w skroń i urwał mu się film. Bobby zaczął się wycofywać.

- I za co to, kurwa? - wyjęczał z wyrzutem, ale wsunął rękę do zewnętrznej kieszeni swojej przykrótkiej marynarki.

- Za to, co planowaliście w barze i na schodach. I po to, żeby wam pokazać, że nie jestem tu dla zabawy.

Zrobiłem krok w jego kierunku, a on wyjął z kieszeni brzytwę i zaczął wymachiwać nią w powietrzu przed sobą.

- Nie zbliżaj się, bo cię, kurwa, potnę - rzucił ochryple drżącym głosem.

Rozejrzałem się. Nie było zbyt dużego wyboru, więc poderwałem drewniane krzesło i z całej siły walnąłem go nim w ramię. Upuścił brzytwę, a ja szturchnąłem go krzesłem, którego noga trafiła go pod oko. Zatoczył się do tyłu, odrzuciłem zbędny już mebel na bok.

Dwukrotnie wymierzyłem mu cios w miejsce, w które trafiłem go krzesłem i które już zaczęło puchnąć. Nie mógł utrzymać się na nogach i kiedy padał, rzuciłem się i przygniotłem mu kolaniem mostek, wypychając powietrze z wąskiej klatki piersiowej. Chwyciłem otwartą brzytwę i zbliżyłem

do tego oka, które miał jeszcze otwarte. Ostrze niemal dotykało białka.

Zaczął skowyczeć.

- Zabiłeś kiedyś kogoś, Bobby? - wysyczałem. - Całkiem serio pytam: zabiłeś?

Potrząsnął energicznie głową, ale na tyle nieznacznie, żeby błyszczące bezlitośnie ostrze brzytwy go nie zadrasnęło.

- A ja tak - powiedziałem. - Dziesiątki razy. Na wojnie. Również w bezpośrednim starciu, tak jak teraz. Rozumiesz?

Wychrypiał coś, co uznałem za potwierdzenie.

- Mógłbym cię teraz wykończyć, zasańcu. A może po prostu cię oślepię. Wydłubię ci oko. To dla mnie małe piwo. Człowiek po prostu przyzwyczaja się do zabijania, łapiesz? Do robienia ludziom krzywdy. To taki nawyk. - Zrobiłem pauzę. - Ale teraz coś ci powiem..

Powiem ci, kogo nie zabiłem: Tama i Frankiego McGahernów. I naprawdę zaczyna mnie wkurzać, że ludzie mnie o to posądzają. Dotarło?

- Dotarło.

Jeszcze chwilę przytrzymałem ostrze przy jego oku, żeby podkreślić swoje słowa, po czym wstałem i wsunąłem brzytwę do kieszeni.

Rozejrzałem się po mieszkaniu. Znajdowaliśmy w głównym pokoju, pełniącym jednocześnie funkcję salonu i kuchni. Obok była jeszcze tylko sypialnia. Brakowało łazienki i ubikacji. Domyśliłem się, że te wygody znajdowały się za budynkiem i korzystał z nich też pub. Romantycznie.

Brudne okna do połowy zasłaniały poszarzałe firanki. Pod nogami miałem gołą drewnianą podłogę. Umebrowanie było stare i spartańskie. W jednym rogu stał stos skrzynek po piwie. Jeśli chodzi o wybór miłosnego gniazdko, Tam McGahern najwyraźniej nie był

casanową.

Bobby usiłował podnieść się z podłogi, ale stopą pchnąłem go na nią z powrotem.

- Chyba nie zamierzasz mi znowu sprawić kłopotu, co, Bobby?

Zaprzeczył energicznymi ruchami głowy.

- Siadaj. - Wskazałem stary, wysłużony fotel klubowy. - I nie ruszaj się stamtąd.

Podszedłem do drzwi, gdzie zaczynał dochodzić do siebie jeden z kolegów Bobby'ego. Postawiłem go na nogi i powiedziałem, żeby pozbiierał z ziemi kumpla leżącego u podnóża schodów i spadał stąd w podskokach. Przytaknął tępo i ruszył na dół.

Kiedy sobie poszli, wszedłem do sypialni. Stało tam stare łóżko z wezglowiem tak zardzewiałym, jakby zostało odzyskane z jakiegoś złomowiska. Pościel była jednak względnie czysta. Podłogę zrobiono z gołych desek, a w rogach pokoju wały się kłęby kurzu.

Coś przyciągnęło mój wzrok. W rogu pokoju leżał bladoniebieski skrawek materiału.

Podniosłem go. Była to kobieca chusteczka. Wykończona koronką, ale pośledniego gatunku.

Upstrzona była ciemnymi plamkami krwi - małymi, na ogół nie większymi od łebka szpilki.

Upuściłem chustkę - krew nie miała nic wspólnego z ranami Tama McGaherna. Przy tej odległości dwie strzelby zostawiały mało subtelne ślady.

Wróciłem do salonu, znalazłem jedyne całe krzesło i postawiłem je przed Bobbym.

Jedno oko miał już całkiem zamknięte, a twarz po tej stronie rozděła się brzydką czerwoną opuchlizną. Zaczesane wcześniej na boki kosmyki włosów wisiały mu teraz nad uszami jak połamane skrzydła. Sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozplakać. Miałem ochotę znowu go uderzyć. Wielką ochotę. Zamiast tego zapaliłem papierosa.

- Kto zabił Tama McGaherna? - spytałem.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nikogo tu nie było - znaczy w barze czy w pobliżu - kiedy to się stało.

- Nieprawda. Była dziewczyna.

- Poza dziewczyną.

- Jak ona się nazywa?

Zobaczyłem przez chwilę strach w jego oczach. Zastanawiał się, czy mnie okłamać.

Zrezygnował z tego.

- Wilma. Wilma Marshall.

- Panienska z branży?

- Raczej nie. Pracowała jako barmanka w jednym z jego pozostałych barów. Tym lepszym. Wilma miała nieco klasy. A Tam był typem faceta, który brał, co chciał.

- Gdzie ona teraz jest? W którym barze pracuje?

- W Imperialu, ale teraz jej tam nie ma. To była jej dorywcza robota. Od czasu tej strzelaniny zapadła się pod ziemię.

- Kto ją ukrył?

- Nie wiem.

Wstałem, a Bobby podniósł ręce.

- Słowo honoru... naprawdę nie wiem. To nikt z ekipy Tama. Może sama się na to zdecydowała. Zastanawialiśmy się tylko, czy to nie policja. Wie pan... ochrona policyjna czy coś takiego.

- Czy komukolwiek mówiła coś o wydarzeniach tamtej nocy?

- Tylko to, co prawdopodobnie już pan wie. Kiedy usłyszała huk strzelb, ukryła się w sypialni. Potem zerknęła nad parapetem i zobaczyła, jak dwóch facetów w eleganckich garniturach i z obrzynami wsiada do samochodu. Kilka innych osób też ich widziało. To samo... w eleganckich garniturach. I naprawdę kurewsko spokojni. Spacerkiem wrócili do samochodu, jakby im się w ogóle nie śpieszyło.

Poczęstowałem Bobby'ego papierosem i zapaliłem mu go. Ręka mu się trzęsła, gdy podnosił go do ust. Nie nadawał się do tej roboty. Tam i Frankie McGahernowie otaczali się zerami, żeby poczuć się kimś ważnym. Wkrótce z polecenia któregoś z Trzech Królów przyjdą tu znacznie więksi ode mnie dranie, żeby posprzątać po tym, co zostało z miniimperium McGahernów. Gdyby Bobby i jego kamraci stanęli im na drodze, po kilku godzinach znaleźliby się na dnie rzeki Clyde.

- A policja nic nie wie?

- Nic wiarygodnego. Przynajmniej jeśli chodzi o Tama. Chodziły słuchy, że to pana podejrzewali o wykończenie Frankiego. Teraz podobno gliny szukają Jimmy'ego Wallace'a, żeby z nim porozmawiać. Szukają go od chwili śmierci Frankiego.

- Jimmy'ego Wallace'a?

Bobby zgadł, co pomyślałem, i potrząsnął przecząco głową.

- To ślepa uliczka. Jimmy nie załatwił Frankiego, a już na pewno nie Tama. Tyle że zniknął z pola widzenia tego wieczoru, kiedy załatwili Frankiego.

- Czy Jimmy Wallace z wami pracował? Czy był jednym z ludzi McGahernów?

- Nieee. Nic z tych rzeczy. Wallace to dupek. Duppek z wyższych sfer. Ciągle kręcił się wokół Tama. A Tam jakoś go tolerował. Wallace zawsze miał przy sobie parę szylingów, choć chlał jak pieprzony smok. I był hazardzistą. Miałem wrażenie, że Tam ładował w niego sporo kasy.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Wyglądało na to, że Tam z jakiegoś powodu po prostu znosi jego towarzystwo. Podobno służyli razem w wojsku. Na pustyni.

- I twoim zdaniem Jimmy nie miał nic wspólnego z żadnym z tych morderstw?

- Nieee. Nie ma mowy. Był bardzo lojalny wobec Tama. Przede wszystkim dlatego, że dzięki niemu miał co do gęby włożyć. Nie wiem, co między nimi zaszło w przeszłości, ale miało się wrażenie, jakby Tam miał wobec Jimmy'ego jakiś dług wdzięczności czy coś takiego. W przeciwnym razie nie zdzierżyłby tych wszystkich głupot, które Jimmy wygadywał.

- To czemu wziął nogi za pas, kiedy zabito Frankiego?

- Nie mam pojęcia. - Bobby wzruszył ramionami i przyglądał złamane skrzydła tłustych włosów. Palce nadal mu drżały. - Kiedy zginął Tam, stracił chlebodawcę. A może myślał, że będzie następny w kolejce.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę i potrząsnąłem przecząco głową.

- To bez sensu. Gdyby tak było, to zmyłby się wtedy, gdy sprzątnęli Tama. Po co miałby się tu pętać do chwili, gdy przerobili Frankiemu głowę na dżem?

Bobby ponownie wzruszył ramionami, ale spojrzał na mnie niepewnie. Najwyraźniej spodziewał się kolejnej dotkliwej reprimendy za to, że nie potrafi wyjaśnić sprzeczności w tym, co mi opowiedział.

- Gdzie mieszka Jimmy Wallace? - spytałem.

- Przykro mi, panie Lennox. Tego też wiem.

- Czy zanim zginął Tam, pojawił się w okolicy ktoś nowy albo wydarzyło się coś niezwykłego?

Bobby spojrzał na mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem. Widziałem, że stara się wydusić z siebie cokolwiek, żeby tylko uniknąć kolejnego klapsa. I faktycznie udało mu się coś wygrzebać w pamięci.

- Jackie Gillespie pojawił się kilka razy.

- Ten od napadów z bronią w rękę? Tam szykował jakiś napad?

- Nie wiem. Ale widziałem Tama z Gillespiem w Highlanderze ze trzy albo cztery razy. Wyglądali na bardzo ożywionych i rozmownych.

- Gillespie... - powiedziałem bardziej do siebie niż do mojego nowego kompana. -

Gillespie to waga ciężka. Zupełnie nie ta liga, w której grali McGahernowie. - Potrząsnąłem głową, odrzucając tę myśl. - Ktoś jeszcze?

- Było jeszcze dwóch facetów, których nigdy wcześniej nie widziałem. Czasem Tam chciał, żebym go gdzieś zawiózł i raz pojechał na spotkanie z takim wielkim, grubym gościem, który zatrzymał się w hotelu Central. Zabrał ze sobą Jimmy'ego Wallace'a.

- Coś ci utkwiło w głowie na temat tego gościa?

- Nie, raczej nie. Poza tym, że wyglądał na obcokrajowca, a w każdym razie na nietutejszego. Widziałem go tylko z daleka, kiedy wychodził z hotelu z Tamem, ale z tego, jak wyglądał i jak był ubrany...

- A drugi nieznajomy?

- Ten był inny. Taki, kurwa, mikrus z tłustymi strąkami i opadającą powieką.

Uśmiechnąłem się w duchu, że to akurat Bobby nazywa kogoś mikrusem z tłustymi włosami.

- Co łączyło McGaherna z tym facetem?

- Nie wiem. Naprawdę. Ale było widać, że boi się Tama. W przeciwieństwie do tego drugiego, tego grubego obcokrajowca, no i pieprzonego Gillespiego, który nie boi się nikogo.

*

Zostawiłem Bobby'ego w mieszkaniu i wyszedłem na ulicę. Zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział. Prawdopodobnie ten obcokrajowiec i ten gość z opadającą powieką, o których wspomniał, nie byli istotni. Zwykle interesy. Intrygował mnie jednak Jimmy Wallace.

Wcześniej o nim nie słyszałem, ale z tego, co opowiedział mi Bobby, nie było w tym nic dziwnego. Nie mieszal się zbyt w poczynania McGahernów, choć wyglądało na to, że znajdował się na liście płac. Przyszło mi też do głowy, że Bobby zbyt szybko wykluczył go jako zabójcę. Może i był dupkiem, jak określił go Bobby, ale skoro służył kiedyś jako Szczur Pustyni, to idę o zakład, że potrafił dać sobie radę znacznie lepiej niż Bobby i jego kompani.

No i niewykluczone, że Wallace zabijał podczas czynnej służby. Pozostawało pytanie, czemu zmył się dopiero po śmierci Frankiego, a nie kiedy wykończyli jego protektora, Tama.

Nie tylko to mi się w tym wszystkim nie zgadzało. Nie dawał mi spokoju nieśpieszny, profesjonalny sposób wykonania zadania przez zabójców. Jeśli z miejsca zabójstwa uciekasz pieszo lub samochodem, ludzie notują twój numer rejestracyjny lub zauważają wystarczająco dużo, żeby potem cię opisać policji. Jeśli się nie śpieszysz, to gapie raczej za bardzo ci się nie przyglądają, tylko chowają się po kątach, na wypadek gdybyś jeszcze nie skończył używać broni. No i jeśli się nie gorączkujesz, tylko trzymasz nerwy na wodzy, potencjalni świadkowie obawiają się, że jeśli coś powiedzą, to możesz wrócić i zająć się nimi w późniejszym terminie.

Faktycznie, najwyższy profesjonalizm. Zupełnie tak samo jak podczas przeszukania mojego biura.

Trudno jest w Glasgow zniknąć bez śladu. Jak rzucił kiedyś w rozmowie Jock Ferguson, nie było to tak naprawdę miasto, tylko wielka wiocha. Wilmie Marshall nieźle się to jednak udawało. Rodzice i dwie siostry dziewczyny tłoczyli się w dwupokojowym mieszkaniu w przypominającej kolonię szcurków kamienicy czynszowej, gdzie ubikacja była wspólna dla wszystkich czterech rodzin mieszkających na danym piętrze. Dom Marshallów można by wręcz nazwać slumsem - trzeba by tylko to i owo w nim podreperować. Do takiej samej kategorii zaliczało się niemal trzy czwarte wszystkich domów w Glasgow. Każda dziewczyna zrobiłaby wszystko, żeby tylko się stąd jakoś wyrwać. To właśnie tego rodzaju miejsca rozbudzały od całych pokoleń wściekłe ambicje glasgowskich zabijaków i gangsterów. I może też kilku biznesmenów.

Nie skontaktowałem się z rodziną Marshallów, bo uznałem, że jeśli Wilma jest pod policyjną ochroną, to istnieje zbyt duże ryzyko, że Marshallowie pójdą prosto na policję. Nie mogłem nawet poddać ich mieszkania obserwacji: w glasgowskich czynszówkach wrzało życie - zarówno ludzkie, jak i inne - więc w tej pełnej ciekawskich oczu okolicy i mój zaparkowany na ulicy samochód, i ja sam zbyt łatwo rzucilibyśmy się w oczy.

Jak jednak wspominałem, w Glasgow trudno na dłużej zniknąć z pola widzenia.

Zauważyłem ją w pewne piątkowe popołudnie na ulicy Sauchiehall. Nie Wilnę Marshall, której powinienem szukać, lecz Lillian Andrews, żonę tego niedużego, nerwowego biznesmena z goździkiem w butonierce i wilgotnymi dłońmi, który w tak nieprzekonujący sposób starał się mnie swoją bajeczką przekonać, że jego kobieta ponownie pojawiła się po tajemniczym zniknięciu. Wcześniej dokładnie przyjrzałem się jej zdjęciu otrzymanemu od Andrews, więc teraz rozpoznałem ją natychmiast. Była dość wysoka i miała ciemne włosy oraz pełne usta, umalowane szminką o żywym odcieniu czerwieni. Drogi materiał uszytego na miarę zakietu i ołówkowej spódnicy opinał jej zabójcze kształty. Spowijająca szyję etola z lisa kosztowała przypuszczalnie więcej niż przeciętny glasgowczyk zarabiał w ciągu całego roku. Rysy twarzy miała regularne, choć trudno byłoby nazwać ją pięknnością. Niewątpliwie jednak Lillian Andrews była jedną z najbardziej atrakcyjnych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. Emanowała wręcz seksapilem.

Kiedy minęliśmy się na ulicy, zauważyła mój skupiony na niej wzrok i po jej pełnych ustach przemknął cień uśmiechu. Nie była to żadna zachęta, lecz zwykłe przyjęcie do wiadomości jedynej naturalnej reakcji, jaką mogła budzić u obdarzonego temperamentem mężczyzny. Oczywiście nie rozpoznała mnie, bo nie miała pojęcia, że to właśnie mnie wynajął jej mąż, bym ją odszukał, tyle że potem zrezygnował z moich usług. Uciekłem jednak wzrokiem. Sam nie wiem dlaczego. Już się tą sprawą nie zajmowałem, a ona najwyraźniej się odnalazła, ale z jakiegoś powodu nie chciałem utrwalić się jej w pamięci.

Szła w towarzystwie przyjaciółki - niższej kobiety o jasnoblond, lekko falujących włosach, niemal równie jak ona atrakcyjnej, choć nie tak szykownie ubranej. Odwróciłem się i spojrzałem w jedną z wystaw sklepowych, które były jeszcze bardzo skromne, mimo iż reglamentacja niemal się skończyła - wydaje się, że poczucie niedostatku dość dobrze zadomowiło się w zakamarkach szkockiej psychiki. Poczekałem, aż kobiety oddalą się ze dwadzieścia metrów i oddzieli mnie od nich

wystarczająca liczba przechodniów, i dopiero wtedy zacząłem je śledzić.

*

Udało mi się niepostrzeżenie towarzyszyć im podczas ich kilkugodzinnych zakupów.

Mogłem za nimi iść przez większe sklepy, takie jak Copland and Lye, na ogół jednak kręciłem się przy głównych wejściach, paląc i czekając, aż wyjdą. Czas płynął

bezproduktywnie i było to nudne. Są jednak pewne sytuacje, w których po prostu czuje się, że coś jest nie tak, i które nam nie dają spokoju jak ćmiący ból zęba. Jedną z nich było właśnie zapłacenie mi przez Johna Andrewsa, żebym przestał się zajmować tą sprawą. Poza tym Andrewsowie byli najdziwniejszą ze znanych mi dziwnych par. Wiem, że kobiety często wychodzą za mąż dla pieniędzy, ale Lillian Andrews mogła mierzyć znacznie wyżej, nawet w Glasgow.

Kobiety zniknęły na całe wieki w sklepie kuśnierskim Coupar's Furs, a gdy wreszcie się z niego wyłoniły, blondynka z radosną miną niosła pod pachą spory, obwiązany wstążką pakunek. Trudno było się zorientować, stojąc po drugiej strony ulicy, ale jej twarz wyrażała coś więcej niż radość z zakupu - miałem wrażenie, że przed chwilą otrzymała prezent.

Zaczęło się ściemniać i nie musiałem już tak dbać o osłonę, jaką stanowili przechodnie. Ulice zaczęła wypełniać gęsta mgła. Lokalny przemysł, ponad milion opalanych węglem pieców oraz przenikliwie wilgotny klimat - wszystko to sprawiało, że Glasgow ustępowało jedynie Londynowi, jeśli chodzi o gęstość i zabójczość występującego tu smogu.

Wiele noworodków zostało poczętych za tą wilgotną osłoną, lecz jeszcze więcej udusiło się pod jej całunem. Poprzedni rok był jak dotąd najgorszy w statystykach, jeśli chodzi o zgony z powodu smogu w miastach przemysłowych Wielkiej Brytanii, a wielki smog londyński zabił

tysiące osób⁸. Mówiono o uchwaleniu *Ustawy o czystym powietrzu*, ale jak na razie nic się w tej sprawie konkretnego nie działo. Dziś wieczorem smog jak zwykle spowił miasto i bez wątpienia niejedna dusza opuści ten padół, nie mogąc zaczerpnąć godziwego haustu powietrza.

Wykształciłem w sobie pewnego rodzaju szósty zmysł dotyczący smogu: potrafiłem mianowicie zawsze wyczuć go w płucach na ponad pół godziny przed tym, jak na dobre wypełniał miasto. Zapaliły się latarnie uliczne, ale ich światło ledwo przebijało się przez wszechogarniającą szarzyznę. Postawiłem kołnierz płaszcz a i opuściłem rondo kapelusza.

Smog mógł zamaskować moją obecność, lecz również utrudnić śledzenie kobiet. Musiałem zmniejszyć dzielący nas dystans.

Lillian Andrews pocałowała przyjaciółkę na pożegnanie i wsiadła do tramwaju. Też wsiadłem, lecz usadowiłem się możliwie najdalej od niej, jednocześnie przechylając w jej kierunku rondo kapelusza. Wysiadła przy ulicy Trongate. Zaczekałem kilka sekund, w ciągu których tramwaj ujechał ze sto metrów, po czym wyskoczyłem na ulicę przy wtórze jakichś niezrozumiałych glosów konduktorki. Smog zgęstniał już do tego stopnia, że widoczność zmalała do jednego,

dwóch metrów. Musiałem ruszać się szybko i zbliżyć do niej na tyle, aby słyszeć stukot jej obcasów na chodniku, którym zmierzała w kierunku dzielnicy Merchant City.

Zgubiłem ją.

Przystanąłem, starając się jeszcze raz dosłyszeć odgłosy szpilek, ale na próżno.

Zrobiłem kilka kroków do przodu, starając się nie tracić z oczu krawężnika - w smogu łatwo było zejść na jezdnię i zupełnie stracić orientację. Doszedłem za nią do Merchant City i za bardzo nie wiedziałem, na jakiej jestem ulicy. Znowu się zatrzymałem i zacząłem nasłuchiwać. Nic. Zakląłem, nie mogąc się zdecydować, czy iść przed siebie, czy starać się wrócić, skąd przyszedłem, brnąc przez siwy mrok. Podszedłem jeszcze kilka metrów do przodu. Kiedy mijałem wylot wąskiego zaułka, coś złapało mnie i mocno przyciągnęło do siebie.

- Widziałam cię wcześniej - powiedziała Lillian Andrews, wciągając mnie do zaułka.

Natychmiast spowił nas smog. - Jak mi się przyglądałeś. Śledziłeś mnie, prawda? - Nie dała mi nawet szansy na odpowiedź, zatykając mi usta swoimi. Język wepchnęła mi głęboko do ust. Odepchnęła mnie, oparła się o ścianę zaułka i rozpięła żakiet oraz bluzkę, odsłaniając w przyćmionym świetle pełne, mlecznobiałe piersi.

8 W wyniku utrzymującego się od 5 do 9 grudnia 1952 roku gęstego smogu zmarło w Londynie ponad dziesięć tysięcy osób.

- Tego chcesz? To dlatego za mną szedłeś?

Wlepiłem oczy w jej biust. Jej ręka znalazła się na moim kroczu, a natura dała jej coś, co mogła pochwycić. Czułem jeszcze aromat jej perfum, których ślad zostawiła na mojej twarzy podczas pocałunku. Pomyślałem o przestraszonym człowieczku, który próbował mnie przekupić, abym zapomniał o całej sprawie.

- Słuchaj... - Cofnąłem się. - Ja...

- Nie? - powiedziała z chłodnym uśmiechem. - Tak też myślałam.

Coś przypominającego stalowy młot walnęło mnie w potylicę i smog wniknął nagle w głąb mojej czaszki. Stal się jeszcze gęstszy. I ciemniejszy.

*

Jak wielu innych glasgowczyków podczas weekendu, w sobotę rano ocknąłem się na oddziale szpitala Western General. Przy moim łóżku siedziała ładna pielęgniarka, czytając

„Glasgow Herald”. Próbowałem usiąść, ale coś eksplodowało w mojej czaszce. Zamigotały jasne światła, a głowę bezlitośnie przeszył dotkliwy ból. Ostrożnie zbadałem opuszkami palców tył głowy, poczułem zlepione kosmyki włosów i skrzywiłem się, napotkawszy tam paskudną pręgę, a wzdłuż niej twarde wybrzuszenia szwów chirurgicznych.

- No, no... - powiedziała pielęgniarka - chyba nie chcemy tego robić, prawda?

Jęknąłem, usiłując powstrzymać falę mdłości.

- Musimy się oszczędzać. - Siostrzyczka nie rezygnowała z pełnego nieprzekonującej troski tonu. Zmagając się z bólem, zastanawiałem się, czy istnieje jakaś konwencja, jakaś reguła wymagająca od wszystkich pracowników służby zdrowia posługiwania się pierwszą osobą liczby mnogiej.

Pielęgniarka - drobna jak większość glasgowczyków - zmarszczyła w zakłopotaniu czoło.

- Chyba powinniśmy wezwać lekarza...

Spojrzałem na jej twarz w kształcie serca, okoloną brunatnymi włosami, jej głowę zwieńczał czepek pielęgniarski.

- Może faktycznie to zrobmy, siostro? - powiedziałem.

Obserwowałem jej oddalającą się drobną i schludną postać i w mojej pękającej od bólu głowie pojawiła się myśl, aby później spróbować ją poderwać. Przypomniały mi się wtedy wrażenia poprzedniego wieczoru: mleczna skóra Lillian Andrews, jej gorący, penetrujący moje usta język i wreszcie cios w głowę, zadany mi przez jej ukrytego w smogu współnika.

Pielęgniarka wróciła z młodym, chudym lekarzem o kiepskiej cerze, silącym się na autorytatywny ton.

- A, pan Lennox... zdaje się, że wczoraj wieczorem doznał pan urazu czaszki. Może zażyliśmy nieco nadmierną dawkę *uisce beatha* 9? - I znowu ta pierwsza osoba liczby mnogiej.

- Wyjaśnijmy pewne sprawy - powiedziałem. - Po pierwsze, kapitan Lennox. A po drugie, gdybyście zadali sobie trud zrobienia podstawowego badania krwi, to byście wiedzieli, że w organizmie nie miałem ani kropli alkoholu. Więc zanim zaczniesz mnie traktować protekcyjnie, synku, lepiej upewnij się, czy masz do tego podstawy natury obyczajowej i intelektualnej. A teraz powiedz mi... czy doznałem pęknięcia czaszki?

- Nie. - Policzki młodego stażysty pokrył rumieniec. Brytyjczykami tak łatwo zawsze się manipulowało. Tak przejmowali się sprawami przynależności klasowej i autorytetu. Już kilka razy od czasu demobilizacji zdarzyło mi się wykorzystać argument o swoim oficerskim statusie. Mój trudny do zidentyfikowania akcent też ich zbijał z tropu. Zabawne: tylu Brytyjczyków mówiło mi o brytyjskim „zdrowym lekceważeniu autorytetów”, tymczasem po Niemcach to oni właśnie najczęściej wypełniali bez kwestionowania polecenia „starszych rangą”. Ale Niemcy przynajmniej odrobili już z tego przedmiotu lekcje.

- Czy w wyniku tego uderzenia w głowę wystąpił jakiś poważny obrzęk?

- Nie wydaje mi się, panie... kapitanie Lennox.

- Czy w takim razie jestem w stanie kwalifikującym się do wypisania ze szpitala?

- Właściwie uważam, że powinien pan jeszcze u nas jakiś czas zabawić.

- A to dlaczego? Z tego, co pan mówi, mój uraz głowy nie jest aż tak poważny.

- Jest na tyle poważny, że uznajemy za wskazane przedłużenie pana pobytu pod opieką lekarską. - Starał się odzyskać przynajmniej część swojego nadszarpniętego autorytetu. - A jeśli ta rana została panu przez kogoś zadana, to być może należałoby zwrócić się do policji. Na razie jednak naszą największą troskę budzi nie stan pana głowy, lecz coś innego. Jak pan wie, gruźlica jest w Glasgow chorobą endemiczną i Państwowej Służbie Zdrowia bardzo zależy na tym, aby ją stąd wyrugować. Zresztą nie tylko stąd. Został pan tu przywieziony karetką pogotowia. Znalezione pana, cóż... nieprzytomnego w jakimś zaułku.

Rozumie pan więc, dlaczego uznaliśmy, że ma to coś wspólnego z pićciem.

- Ale co to ma wspólnego z gruźlicą?

- Otóż w ramach naszego programu zdrowotnego rutynowo wykonujemy prześwietlenie - to znaczy zdjęcie rentgenowskie - płuc każdemu, kto zostanie do nas przywieziony w takich okolicznościach. Są nawet plany, aby wprowadzić mobilne usługi 9 Dosłownie „woda życia”: irlandzkie określenie whisky, od którego pochodzi powszechnie znana angielska nazwa tego trunku.

rentgenowskie. Tak czy inaczej, zrobiliśmy panu prześwietlenie klatki piersiowej. Niestety na lewym płucu znaleźliśmy coś, co wygląda na mały cień. Możliwe jednak, że wynika to z wadliwej kliszy. Chcielibyśmy zrobić panu kolejne prześwietlenie.

Gruźlica? Przypomniałem sobie poranne napady kaszlu, towarzyszące pierwszemu palonemu papierosowi. I to, że zawsze byłem w stanie przewidzieć pogorszenie sytuacji ze smogiem w mieście.

- Na pana miejscu za bardzo bym się nie niepokoił. Jest całkiem prawdopodobne, że to po prostu skaza na kliszy. Czy ma pan skłonność do napadów kaszlu?

- Czyż w tym mieście wszyscy nie mają takiej skłonności? Tak, czasami. Rano.

- Czy to jest kaszel produktywny? To znaczy, czy coś pan odkrztusza? Chodzi przede wszystkim o krew.

Potrząsnąłem przecząco głową.

- W takim razie nie przejmowałbym się tym. Jeśli jednak jest to gruźlica, to zdiagnozowaliśmy ją na tyle wcześnie, żeby sobie z nią poradzić. Jest pewne miejsce, do którego moglibyśmy pana wysłać. Sanatorium położone na północy. Czyste powietrze. Pobyt mógłby działać cuda.

- To jedno z tych miejsc, w których nocą opuszcza się pokój nogami do przodu? Wolę już chyba ryzykować w smogu.

- Lepiej dmuchać na zimne.

*

Resztę dnia spędziłem na oddziale, podczas gdy lśniąca maszyna nowo powstałej brytyjskiej Państwowej Służby Zdrowia pracowała w pocie czoła jak staromodny parowiec.

Czekając na wyniki, skorzystałem z automatu telefonicznego w korytarzu, aby zadzwonić do pani White. Wyjaśniłem, że zostałem przyjęty do szpitala na obserwację ze względu na niepokojące objawy w klatce piersiowej. Pomiąłem szczegół, że po raz drugi w krótkim odstępie czasu zostałem wykorzystany jako worek treningowy. Powiedziałem, że dam jej znać, czy będę musiał pojechać do sanatorium. Zapewniłem ją też, że tak czy inaczej, będę płacił czynsz, aby nadal mieć do dyspozycji wynajmowane pokoje.

- Niech mi pan da znać, gdy tylko czegoś się dowie, panie Lennox. - Podobał mi się jej głos przez telefon. Brzmiał bardziej młodzieńczo. Dzięki temu łatwiej mi było sobie wyobrazić, jaka była wcześniej, przed wojną i związanymi z nią bolesnymi doświadczeniami.

Wczesnym popołudniem ponownie mnie prześwietlono, a godzinę później młody lekarz przyszedł, aby potwierdzić, że wyniki są pozytywne. Ponownie obejrzał moją głowę.

- Wspomniał pan coś o sanatorium... gdzie się ono znajduje?

Przez chwilę miał zdezorientowany wyraz twarzy.

- Ale rozumie pan, że naszym zdaniem pana zdrowie nie jest zagrożone?

- Tak, wiem o tym - powiedziałem z irytacją. Nie myślałem o sobie. Przypomniała mi się tania, wykończona koronką i upstrzona krwią chusteczka. - Chciałem się tylko dowiedzieć, dokąd wysłalibyście kogoś z objawami gruźlicy albo zapalenia oskrzeli. Gdzie znajdują się sanatoria?

Wyjaśnił, że większość przypadków gruźlicy na terenie Glasgow była leczona w szpitalu Hairmyers, skąd pacjenci odsyłani byli do sanatoriów na wsi. Podał mi trzy adresy: dwa w hrabstwie Inverness i jeden w hrabstwie Perth.

- Większość pacjentów z Glasgow odsyłano by do sanatorium w hrabstwie Perth -

wyjaśnił. - Rodzinom łatwiej jest ich odwiedzać. Z braku miejsc są oni jednak czasem przenoszeni dalej na północ.

VI

Przed odjazdem pociągu do Perth musiałem jeszcze skoczyć w jedno miejsce. Po wyjściu ze szpitala skierowałem się prosto do swojej kwatery. Przy wejściu zatrzymała mnie pani White. Spodobał mi się ton troski w jej głosie i powiedziałem, że z moim zdrowiem wszystko w porządku. Wszelkie oznaki ciepła znikły jednak, kiedy zobaczyła, jak krzywię się z bólu przy zdejmowaniu kapelusza.

- Z kim pan się bił tym razem? - Zmierzyła mnie surowym wzrokiem. Mogło się zrobić niemiło.

- Niech pani posłucha, pani White. Ktoś mnie wczoraj wieczorem napadł od tyłu pod osłoną smogu. Dostałem w głowę. Kiedy byłem w szpitalu, chcieli sprawdzić, czy mam gruźlicę. To szczerza prawda. Nie ma to nic wspólnego z pojawieniem się tutaj policji.

- Coś mi się zdaje, że pan przyciąga kłopoty. - Wzięła mnie za łokieć, obróciła bez ceregieli do tyłu i obejrzała moją potylicę. - Elspeth!... - zawołała do swojej dwunastoletniej córki. - Chciałabym, żebyś zaszła do sklepu rybnego i poprosiła pana Wilsona o torebkę lodu.

Pani White poprowadziła mnie do salonu i posadziła na skórzanej sofie Chesterfield, po czym zajęła się robieniem w kuchni herbaty. Wcześniej salon był mi znany tylko z perspektywy korytarza, więc skorzystałem z okazji, żeby się po nim rozejrzeć. Nieboszczyk White służył podczas wojny jako młodszy oficer marynarki wojennej i jego rodzina była dość dobrze sytuowana. Pokój był ładnie urządzone i wyposażony w drogie meble. Przy ścianie stał duży orzechowy zestaw radiowy z adapterem, ale telewizja - nowe medium, które zaczęło się już pojawiać w bardziej majątnych rodzinach - tutaj jeszcze nie zaznaczyła swojej obecności. Dom wyglądał na taki, w jakim jeszcze niedawno panował dostatek. W serwantce stało kilka kieliszków i filiżanek z porcelany kostnej, a także do połowy pełna butelka sherry Walnut Brown marki Williams i Humbert. Główną ozdobę na obramowaniu kominka stanowił mosiężno-marmurowy zegar, otoczony zdjęciami oprawionymi w srebrne ramki w stylu art deco: upozowane zdjęcie ślubne, portrety każdej z dziewczynek w wieku niemowlęcym oraz zdjęcie surowo wyglądającej starszej pary ze stojącą obok nich w pełnej skrzepowania pozie ładną młodą dziewczyną, w której natychmiast rozpoznałem Fionę White.

Wróciła z dużym dzbankiem herbaty i naląła mi pełną filiżankę. Chwilę później zjawiała się Elspeth z ceratową torbą. Fiona White wyjęła z torby trochę lodu, zawinęła go w kawałek płótna i łagodnie przyłożyła do mojego karku, instruując mnie, abym przytrzymał

tam kompres. Ból będący następstwem dwóch niedawnych pobić wreszcie zaczął nieco ustępować. W szklance wody rozpuściła dwa proszki od bólu głowy, postawiła ją obok mojej filiżanki i usiadła z dala ode mnie w obszernym i miękkim skórzanym fotelu klubowym.

- Dziękuję. - Mój wzrok ponownie zatrzymał się na zdjęciach. - To chyba niełatwe -

powiedziałem i natychmiast tego pożałowałem.

- Co? - W jej zielonych oczach pojawił się twardy błysk.

- No, samotne wychowywanie dziewczynek. - Jeszcze bardziej pogarszałem sytuację.

- Świetnie sobie radzę, panie Lennox.

- Tak, wiem o tym. Nie miałem na myśli... Chodzi mi o to, że doskonale pani idzie.

Wyobrażam sobie tylko, że to niełatwe zadanie. Robienie wszystkiego w pojedynkę.

Twardy błysk w jej oczach nie ustępował. Śmierć męża Fiony White była tylko kroplą w morzu danych statystycznych. Utrata jednego młodszego oficera marynarki liczyła się tylko w kontekście tysięcy innych zgonów marynarzy w czasie wojny. Sam w sobie, jego zgon nie wpłynął w żaden sposób na losy wojny. Natomiast dla Fiony White i jej dwóch córek było to tak, jakby zgasło słońce. Unicestwieniu uległ środek ich wszechświata. Wraz ze śmiercią męża umarła też osoba, jaką niegdyś była Fiona White. W dużej mierze tak samo jak gdzieś na pełnym krwi własnej i cudzej szlaku bojowym I Armii Kanadyjskiej, wiodącym przez włoskie miasteczka i wioski o nazwach prosto z przewodników turystycznych, zginął

chłopak, który niegdyś zwykł bawić się nad rzeką Kennebecasis. Oboje byliśmy ofiarami wojny.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie powinienem...

- Faktycznie, nie powinien pan - ucięła szorstko. - To wyłącznie moja sprawa, jak wychowuję dzieci.
- Zapadła niezręczna cisza, po czym pani White spytała: - Czym się pan właściwie zajmuje, panie Lennox? Mam wrażenie, że nieustannie prowokuje pan kłopoty.

Nikt mi nie wmówi, że ta rana na pana głowie to czysty przypadek.

- Mówiłem pani o tym, kiedy wynajmowałem mieszkanie. Jestem prywatnym detektywem. To znaczy, że ludzie płacą mi za to, żebym się czegoś dla nich dowiedział.

Niestety inni ludzie mają obiekcje co do zdobywania pewnych informacji.

- W takim razie dlaczego policja potraktowała pana w taki sposób owej nocy?

- Niektórzy ludzie, dla których pracuję, zwracają się do mnie, ponieważ nie chcą, a czasami nie mogą zwrócić się do policji. Policja tego nie lubi. Padłem ofiarą zawiści zawodowej. - Uśmiechnąłem się ironicznie, lecz albo nie pojęła żartu, albo nie dała tego po sobie poznać. Postanowiłem zakończyć temat. - Nie będzie mnie tej nocy w domu, pani White. Jadę do hrabstwa Perth w interesach. Tylko na tę jedną noc, najwyżej dwie.

Zażyłem proszki i opróżniłem filiżankę. Pani White zabrała ją, nie proponując mi dolewki.

- Dobrze, panie Lennox.

VII

Podróż do Perth okazała się podróżą w przeszłość. To pradawne miasto trudno było nazwać kosmopolitycznym i miało się tam poczucie, że nie tknęły go ani wydarzenia wojenne, ani późniejsze zmiany w brytyjskim społeczeństwie. Lata czterdzieste i pięćdziesiąte nigdy tu nie dotarły.

Przed stacją kolejową w Perth stała tylko jedna taksówka - kanciasty wóz rodem z wczesnych lat trzydziestych. Kierowca też był zaskakująco posunięty w latach. Poprosiłem o podwiezienie do najbliższego w miarę porządnego hotelu. Nie było sensu jechać od razu do sanatorium, bo znajdowało się pośród wzgórz w pewnej odległości od miasta, a wieczorne godziny odwiedzin niedługo się kończyły. Choć niepokoił mnie rocznik zarówno kierowcy, jak i samochodu, umówiłem się z sędziwym taksówkarzem, żeby zjechał po mnie o godzinie dziesiątej rano.

Hotel, do którego mnie zawiózł, leżał nad rzeką Tay, na którą miałem widok ze swojego pokoju. Łóżko było stosunkowo wygodne, a ulica mało ruchliwa, miałem jednak kłopot z zaśnięciem. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, zaczynały mnie bombardować chaotyczne myśli i obrazy. Znowu zobaczyłem półnągą Lillian Andrews, pogrążoną w zmysłowych oparach mgły, a także jej desperacko, choć zupełnie nieprzekonująco nadrabiającego miną, źle dobranego małżonka, no i profesjonalny sposób, w jaki posłużyła się seksem, aby zwabić mnie w zasadzkę w smogu, gdy zorientowała się, że za nią idę.

Dlaczego wszystko było takie skomplikowane? Dlaczego ja wszystko tak komplikowałem? Wiedziałem, że nie przestanę drążyć sprawę Andrewsów. Zarobku w niej nie było. Poza mną samym nikomu nie zależało na tym, abym się nią zajmował. Mimo to nie zamierzałem odpuszczać, dopóki coś się z tego wszystkiego nie wyłoni, jakiś zrozumiały dla mnie obraz. A może to, że nie potrafiłem odpuścić, wynikało tylko ze zranionej dumy, że ktoś zaskoczył mnie od tyłu. Próbowałem o tym nie myśleć. Przynajmniej na razie. Miałem ważniejszą sprawę do załatwienia, i to bardziej opłacalną. Głowa pulsowała mi jednak boleśnie od doznanego uderzenia, a myśli nie chciały się uspokoić. Minęły całe wieki, zanim wreszcie zasnąłem.

*

Mój staruszek taksówkarz pojawił się punktualnie co do minuty. Kiedy podałem mu adres sanatorium położonego na wzgórzach daleko za miastem, spojrział na mnie powątpiewająco.

- To kawał drogi jak na kurs taksówką.

- Pewnie tak.

- Będzie sporo kosztować. - Wyraźnie niepokoił się o to, czy dostanie swoją należność. Wręczyłem mu trzy półkoronówki.

- Resztę dopłacę później. Będę chciał, żeby pan poczekał na mnie, aż załatwię swoje sprawy w sanatorium.

Gdy ruszyliśmy drogą pośród wzgórz, wyszło słońce, jakby chcąc pokazać gościowi piękno

okolicznego krajobrazu. Samo sanatorium leżało na rozległym terenie, wznoszącym się stromo ku płaskowyżowi, na którym stała rozległa wiktoriańska budowla. Z

wypielegnowanych trawników buchały wybijające krzaki rododendronów. Wydawało się, że w budynku otworzono na oścież dosłownie każde okno, a pod ścianami i na płaskich fragmentach otwartej przestrzeni stały rzędy leżaków. Rozumiałem dlaczego. Sam czułem różnicę w jakości powietrza w porównaniu z Glasgow. Oddychanie to proces nieświadomy i nigdy nie zastanawiamy się, jakie powietrze wciągamy do płuc, tutaj jednak każdy oddech był

jak haust zimnej, przejrzystej źródlanej wody.

Pielęgniarka dyżurna w recepcji spoglądała na mnie protekcyjnie, gdy wyjaśniałem, że owszem, wiem, że nie są to godziny odwiedzin, ale niestety nie mogę przyjść później, ponieważ mój szef nalegał, abym tego popołudnia zjawił się jeszcze w pracy, a bardzo mi zależy na spotkaniu z kuzynką. Ponownie sprawdziła nazwisko, po czym powiedziała, żebym usiadł gdzieś w ogrodzie, dokąd ją przyprowadzą.

Spodziewałem się wątłej, bladej sierotki, kaszłającej w chusteczkę jak Dama Kameliowa. A konkretnie w chusteczkę bladoniebieską i wykończoną koronką.

Wilma Marshall sprawiała jednak wrażenie kobiety całkiem krzepkiej. Nie była aż tak młoda, jak mi mówiono - miała ze dwadzieścia dwa lub trzy lata. Była niewysoką brunetką i na ile umiałem ocenić, pod szczelnie okrywającym ją szlafrokiem miała wszystko na swoim miejscu. Twarz, bez makijażu i szminki, miała ładną i choć nie należała do piękności, to rozumiałem, o co chodziło Bobby'emu, gdy mówił, że „miała nieco klasy”. Przypuszczałem jednak, że stanowiła dla Tama McGaherna niewiele więcej niż okazjonalne źródło rozrywki.

Jedno z wielu, na jakie mógł sobie pozwolić dzięki swojej pozycji.

Wstałem i uśmiechnąłem się, gdy pielęgniarka prowadziła ją przez trawnik.

- Wilmo - rzekłem, gdy się zbliżały - wyglądasz dużo lepiej. - Wyglądała na zdezorientowaną, czego można się było spodziewać, skoro spotykała kogoś, kto wyraźnie nie był jej kuzynem, którego się spodziewała. Zapanowała jednak nad sobą i nic nie powiedziała do pielęgniarki.

- Dziękuję, siostró - powiedziałem i dopiero gdy pielęgniarka znalazła się poza zasięgiem słuchu, zaproponowałem Wilmie, aby usiadła.

- O co chodzi? - Wilma odezwała się z silnym akcentem dzielnicy Gorbals10 i „nieco klasy” prysło. Zmarszczyła brwi i przygryzła obfitą dolną wargę. - Myślałam, że mnie zostawicie w spokoju, tak jak obiecywaliście.

Teraz dotarło do mnie, dlaczego nie dała nic po sobie poznać, najwyraźniej brała mnie za kogoś innego.

- Zostawimy - obiecałem, idąc za ciosem. - Chodzi tylko o to, że musimy zachować ostrożność.

- Powiedziałałam wam wszystko, co wiem. I mówiłam, że już z nikim o tym nie chcę rozmawiać. - Zmarszczyła brwi jeszcze bardziej. - Po co pan tu przyjechał?

- Wiem, że już nam wszystko powiedziałaś, Wilmo. I wiem, że przechodzenie przez to jest dla ciebie udręką. - Przemawiałem jak gliniarz, bo intuicja mi podpowiadała, że za niego właśnie mnie bierze. - Chodzi o to, że za każdym razem, gdy o tym rozmawiamy, mogą ci się przypomnieć pewne nowe szczegóły.

- Co pan ma na myśli? O czym pan mówi?! - Zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

Zadawałem niewłaściwe pytania. Za kogokolwiek mnie uważała, nie miało to związku z policją. Zmrużyła podejrzliwie oczy i obejrzała się za siebie, sprawdzając, gdzie jest pielęgniarka.

- Posłuchaj, Wilmo - rzekłem najspokojniej i najbardziej zdecydowanie, jak potrafiłem. - Moim zadaniem jest dowiedzieć się, kto zabił Tama McGaherna. I zapewnić ci spokój i bezpieczeństwo.

Zorientowałem się, że te słowa postawiły ją już na dobre w stan gotowości.

- Kim pan jest? Czego pan chce? Jest pan z policji?

- Jestem przyjacielem, Wilmo. Chcę ci pomóc. Jak wspomniałem, moim zadaniem jest zidentyfikowanie zabójców Tama. Chciałem tylko zadać ci kilka pytań na temat tamtej nocy.

- Jak mnie pan znalazł? - Podejrzliwość Wilmy zaczęła się przekształcać w uczucie niepewności i wreszcie strach. - Nikt miał nie wiedzieć, gdzie jestem.

- Znalazłem twoją chusteczkę w mieszkaniu nad Highlanderem. Była upstrzona krwią.

Wtedy nie przyszło mi to do głowy, ale później domyśliłem się, że może to mieć coś 10 Gorbals - w latach pięćdziesiątych uboga dzielnica Glasgow leżąca na południe od rzeki Clyde, znana ze slumsów i wysokiego poziomu przestępczości.

wspólnego z gruźlicą.

- Nie mogę z panem rozmawiać. Musi pan iść. - Stawała się coraz bardziej roztrzęsiona.

Położyłem rękę na jej dłoniach.

- Nie masz się czego obawiać, Wilmo. Nikt inny nie wie, że tu jesteś. Nikomu o tobie nie powiem. Muszę się tylko dowiedzieć, kto zastrzelił Tama.

- Chcę, żeby pan sobie poszedł. - Wstała. - Niczego ani nikogo tamtej nocy nie widziałam. Ukryłam się tylko, aż sobie poszli.

- Bobby, ulubiona małpka Tama McGaherna, powiedział mi co innego. Wspomniał, że obserwowałaś ich przez okno. O co chodzi, Wilmo? Rozpoznałaś ich? Czy to był ktoś, kogo znałaś z Imperiala?

Rozejrzała się, jakby sprawdzała, czy w rododendronach nie kryją się jacyś szpiedzy.

- Teraz nie mogę mówić. Muszę się zastanowić. Niech pan przyjdzie później.

- Posłuchaj, Wilmo. Wiem, że się boisz. Muszę jednak zdobyć potrzebne mi informacje. I nie mogę zostawić cię w spokoju, dopóki mi nie powiesz, kto cię tu umieścił i co takiego zobaczyłaś lub usłyszałaś, że komuś zależy, aby zachować to w tajemnicy.

Powiedz mi, a obiecuję, że zniknę. Jeśli nie, to...

Wilma zafrasowała się i znowu zagryzła dolną wargę.

- To nie był Tam.

- Co?

- Wydaje mi się, że to nie Tam był ze mną tamtej nocy, tylko Frankie. To Frankiego zastrzelili przy drzwiach.

- Wilmo... to nie mógł być Frankie. Spotkałem Franka McGaherna pięć tygodni później.

- Uważali, że to świetny żart. - W oczach Wilmy zabłyśły łzy. - Już tak wcześniej robili. Zamieniali się. Jeden udawał drugiego. To się zaczęło ze dwa miesiące przed tamtą nocą. Tam umawiał się ze mną na spotkanie w mieszkaniu nad Highlanderem, ale czasem zjawiał się on, a czasem Frankie. Tylko że Frankie zawsze udawał Tama.

- Jesteś pewna, że tamtej nocy zjawił się Frankie?

Wilma przytaknęła.

- Niezły ubaw, co? Zobaczyć, czy głupia dziewczka potrafi odróżnić od siebie dwóch jednojajowych bliźniaków.

- Ale ty potrafiłaś.

- Frankie był... był inny niż Tam. - Zarumieniła się i po jej policzku potoczyła się łza.

- Wilmo... jesteś tego absolutnie pewna?

- Kobiecie coś takiego nie umknie. Ale nikomu o tym nie mówiłam. Znaleźli coś w jego ubraniu, co miało dowodzić, że to jest Tam. Tego właśnie nie potrafiłam zrozumieć.

Pomyślałam, że może jednak się mylę, więc trzymałam się oficjalnej wersji.

Niewidzącym wzrokiem zapatrzyłem się w rozległe tereny sanatorium. Już wszystko zaczęło się powoli układać, a tu nagle znów się rozsypało. Frankie zabity w mieszkaniu nad Highlanderem. Tam prowokuje ze mną bójkę i tej samej nocy znajdują go martwego w jakimś warsztacie samochodowym

w Rutherglen. Tam był twardym zawodnikiem z przeszłością frontową jeszcze bogatszą od mojej. Jeśli owej nocy to faktycznie był on, celowo dał się pobić, aby przekonać świat, że jest Frankiem. Ale po co? Frankie był zerem. Tylko Tam McGahern miał wystarczającą siłę przebicia, aby stworzyć organizację przestępczą. Dotarło do mnie coś innego: Jimmy Wallace, ten pieczeniarsz, o którym wspominał Bobby, musiał coś wiedzieć. Dlatego zniknął dopiero po drugim morderstwie. Wiedział, że za pierwszym razem zginął nie Tam, lecz Frankie. Za drugim razem zabito Tama i to był sygnał dla Wallace'a, żeby się zmywać.

- Kto cię tu przywiózł, Wilmo?

Przeszła obok pielęgniarka, spojrzała na nas, a potem na zegarek i wymownie zmarszczyła brwi. Wilma znowu wyglądała na roztrzęsioną.

- Nie wiem, kim oni są, ale zapłacili mi i kazali siedzieć cicho. Co jakiś czas do mnie zagląдают. Niech pan lepiej idzie.

- Opowiedz mi dokładnie, co wydarzyło się tamtej nocy.

- Nie teraz. Niech pan przyjdzie innym razem.

- Kiedy?

- Jutro odwiedziny są możliwe od trzeciej do wpół do piątej. Niech pan przyjdzie wtedy. Ale niczego nie obiecuję. Chcę się tylko wyplątać z tego galimatiasu.

- Jakiego galimatiasu, Wilmo?

Potrząsnęła głową. Najwyraźniej była bardzo przestraszona, więc odpuściłem.

- Zobaczymy się jutro, Wilmo. - Kiedy wstałem, wydawało się, że odetchnęła z ulgą.

Postanowiłem zmaćić tę ulgę. - I jeszcze coś... bądź tutaj jutro. I bez żadnych brzydkich niespodzianek. Spodziewam się, że będę twoim jedynym gościem. Jeśli zobaczę tu kogokolwiek, kto choć trochę wygląda na bandziora, to wrócę najbliższym pociągiem do Glasgow i postaram się, żeby każdy, kto chce cię znaleźć, dokładnie wiedział, gdzie szukać.

*

Zostawiłem ją siedzącą w ogrodzie. Zdawałem sobie sprawę, że jest spore prawdopodobieństwo, iż następnego dnia już jej tu nie będzie, nie mogłem jednak zbyt długo kręcić się po sanatorium, a poza tym przypuszczałem, że usunięcie jej stąd z dnia na dzień byłoby trudne do zorganizowania dla tego, kto ją tu umieścił. Poza tym liczyłem na to, że nastraszyłem ją wystarczająco, aby mnie posłuchała.

Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, było zabicie kolejnej doby wałęsaniem się po Perth. Czas płynął tutaj pięciokrotnie wolniej niż gdziekolwiek indziej. Mój staruszek taksówkarz podrzucił mnie do hotelu, gdzie w jadalni zjadłem nędzny obiad. Podano mi kotlet z baraniny, który braki w rozmiarach nadrabiał konsystencją tak odporną na poczynania noża i zębów, że mógłby znaleźć

zastosowanie przemysłowe. Uporałem się z nim do połowy, gdy jakiś wysoki i solidnie zbudowany młodzieniec spytał z szerokim uśmiechem i trudnym do zidentyfikowania akcentem, czy mógłby się do mnie dostać.

- Pewnie - powiedziałem. - Bardzo proszę.

- Jest pan Kanadyjczykiem, nieprawdaż? Poznaję po akcencie.

Starałem się, żeby mój uśmiech nie wyrażał nadmiernego zniecierpliwienia.

- Tak, to prawda.

- Miło mi pana poznać. Nazywam się Powell... Sam Powell. - Podał mi ponad stołem opaloną dłoń. Opalenizna nie była w Szkocji zbyt częstym widokiem. Przywitałem się.

Powell emanował niepokonanym optymizmem. Jego szeroki uśmiech ujawniał doskonały stan uzębienia, a przystojną powierzchownością typu dobrodusznego misia przypominał

aktora Freda MacMurraya. Niechęć, jaką do niego poczułem, była głęboka i natychmiastowa.

- Sam spędziłem sporo czasu w Kanadzie - wyjaśnił z energią rozpędzonego buldożera. - Mój biznes to traktory. Pracuję w firmie angielsko-kanadyjskiej. Zajmuję się sprzedażą.

- Rozumiem. - Podeszła kelnerka, żeby przyjąć od niego zamówienie. Do wyboru były tylko dwa dania główne. Siedziałem w milczeniu i uśmiechnąłem się ze złośliwą satysfakcją, gdy zamówił kotlet.

- Czy jest pan tu w interesach, panie... ?

- Lennox - odpowiedziałem. Kiedy meldowałem się w hotelu, nie wydawało się konieczne podawanie innego nazwiska. - Tak, w pewnym sensie.

- A czym się pan zajmuje, jeśli można spytać, panie Lennox? - Facet nie miał w rozmowie absolutnie żadnych oporów.

- Ubezpieczeniami - skłamałem. Ten najnudniejszy zawód świata zazwyczaj powstrzymuje dalszą rozmowę równie skutecznie, jak rzucony pod nogi podkład kolejowy.

Młodsze brata Freda MacMurraya to jednak nie zraziło.

- Naprawdę? To fascynujące. Ogólnymi czy komunikacyjnymi?

- Wszelkimi rodzajami. Zajmuję się roszczeniami. - Uratowało mnie przybycie jego kotleta. Teraz usta będzie miał w pełni zajęte czymś innym.

Nie tknąłem szarego galaretowatego tworu, który podano jako deser, i pożegnałem się z Powellem.

- Miło było pana poznać, panie Powell. - Mój jowialny ton był zupełnie szczery.

Wreszcie się od niego uwolniłem. Wstał z krzesła, uściśnął mi dłoń i ponownie zaprezentował

swój szeroki, hollywoodzko doskonały uśmiech. Nie posiadałem się ze szczęścia, dostrzegłszy coś, co wyglądało na zagnieżdżony między dwoma jego zębami wyjątkowo nieustępliwy kawałek chrząstki.

Nie chcąc ryzykować, że znowu natknę się na Powella w barze hotelowym, postanowiłem napić się gdzie indziej.

*

Następnego ranka podczas śniadania musiałem niestety ponownie ścierpieć wesołkowatość Powella. Uznałem, że właścicielka hotelu - chuda, surowa i ponura kobieta około pięćdziesiątki, pod względem temperamentu stanowiąca całkowite przeciwieństwo Powella - musi być utajoną sadystką, skoro torturuje mnie jego towarzystwem oraz hotelowym menu.

Znowu gimnastykowałem się, żeby dać odpór jego dociekliwości. Po wymeldowaniu się przystanąłem przed hotelem i zapaliłem. Był słoneczny wiosenny poranek. Płaszcz i torbę zostawiłem w hotelu z zamiarem odebrania ich nieco później, przed przyjazdem mojej zabytkowej taksówki z sędziwym taksówkarzem. Podczas spaceru nad rzeką rozmyślałem o Wilmie Marshall. Było bardzo prawdopodobne, że przełożyła naszą rozmowę na dzisiaj, bo musiała się z kimś skontaktować. Ktokolwiek to był, z pewnością znał sporo odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Ukloniłem się idącemu z naprzeciwka starszemu mężczyźnie, ubranemu w sportową kurtkę w pepitkę, czapkę o podobnym wzorze i wojskowy krawat. Minał mnie w milczeniu, jakby w ogóle mnie nie usłyszał ani nie zauważył.

Wcześniej wydawało mi się, że to policja umieściła Wilmę w sanatorium, ale policja nie płaci świadkom za nierzucanie się w oczy. Ktokolwiek to był, miał spore możliwości, może nawet dysponował usługami podkupionego lekarza. Spacerując, myślałem o tym, co mówiła Wilma o brzydkim dowcipie, jaki robili jej czasem bliźniacy McGahern, bzykając się z nią na zmianę, a udając, że za każdym razem chodzi o Tama. To matactwo wydawało się zupełnie bezsensowne, choć niezwykle okrutne.

Kawiarnia w Perth była jedynym ukłonem miasteczka wobec nowoczesności.

Wstąpiłem tam na chwilę na kawę, po czym wróciłem do hotelu po rzeczy przed umówionym przyjazdem taksówki. W recepcji zastałem właścicielkę. Jej niegustowna czarna sukienka, buty bez obcasów, pęk kluczy na pasku wokół talii i znużona twarz - wszystko to upodobniało ją bardziej do strażniczki w kobiecym więzieniu niż do serdecznej gospodyni.

- Panie Lennox, pana przyjaciel, pan Powell, zostawił coś w swoim pokoju. Pióro.

Mam jego adres, bo zapisał podczas rejestracji adres swojej firmy, więc tam mogę je wysłać.

Pomyślałam jednak, że być może wkrótce pan się z nim zobaczy.

- Obawiam się, że pani się myli... Nie znam pana Powella. Spotkaliśmy się po raz pierwszy wczoraj podczas obiadu.

Rzuciła mi swoje spojrzenie strażniczki więziennej.

- Ale pan Powell mówił, że pana zna. Chciał usiąść przy stole właśnie z panem.

Zmarszczyłam czoło.

- Może mnie z kimś pomylił.

W tej samej chwili do recepcji wkroczył taksówkarz, wziął moją torbę i wyszliśmy z hotelu do taksówki.

- Wujek Józek nie żyje - zagał taksówkarz.

- Wujek Józek? - Przez chwilę byłem zdezorientowany.

- Wujek Józek Stalin wyciągnął kopyta. BBC podawało dziś rano w wiadomościach. -

To była najradośniejsza uwaga, jaką do tej pory usłyszałem od mojego starszaka kierowcy, ale na tym mniej więcej zakończyła się nasza konwersacja podczas półgodzinnej jazdy do sanatorium.

- Niech pan tu zaczeka - powiedziałem, wysiadając przed ogromną wiktoriańską budowlą. Przeczynałem, że długo tam nie zabawię. Tym razem w recepcji zastałem ładniejszą i bardziej przyjaźnie nastawioną pielęgniarkę, ale kiedy spytałem o Wilnę, zmarszczyła czoło.

- Nie ma jej - wyjaśniła. - Wypisała się z samego rana. To dziwne, że nic pan o tym nie wie. Mówi pan, że jest jej kuzynem? - spytała podejrzliwie. - Przyjechał po nią brat.

- Jej brat? Jest pani pewna?

- Siedzę tu od samego rana. - Widziałem, że ma ochotę kogoś wezwać. Najwyraźniej nie dowierzała, że jestem kuzynem Wilny.

- Musieliśmy się nie dogadać - powiedziałem z wyrazem irytacji na twarzy.

Zastanowiłem się przez chwilę. - Jest pani absolutnie pewna, że to był jej brat? Taki dobrze zbudowany, przystojny facet - wygląda nieco jak Fred MacMurray za młodu... Wie pani, ten hollywoodzki aktor.

Jej podejrzliwe spojrzenie rozpuodziło się.

- Tak, to on.

VIII

Gdy wróciłem do Glasgow, był już późny wieczór. Panująca w Perth wiosna znikła bez śladu, a Glasgow znowu otulił smog. Jeśli o niego chodzi, najgorszym okresem w mieście były miesiące od listopada do lutego, ale w gruncie rzeczy można się go było spodziewać w każdej chwili, a dziś temperatura gwałtownie spadła.

Kiedy wcześniej siedziałem w pociągu, obserwując przez okno zmieniającą się pogodę, rozmyślałem o Powellu. Bez wątplenia to właśnie on w tak profesjonalny sposób przeszukał moje biuro, niejasno przeczuwałem, że ma na mnie oko ktoś, kto zna się na rzeczy.

Powell był zawodowcem i nie miałbym pojęcia, że coś miesza, gdyby mi tego sam nie zasygnalizował. Z jakiegoś powodu, którego na razie nie mogłem dociec, obwieszczał mi swoją obecność.

Kiedy wysiadłem z pociągu, jeszcze z torbą udałem się prosto do baru Pod Końskim Łbem. Po Perth musiałem się nieco po glasgowsku rozweselić. Podszedł Wielki Bob i nalał

mi szklaneczkę żytniej whisky z jedynej butelki nieszkockiej, jaką mieli w barze.

- Jak leci? - spytał bez tradycyjnego uśmiechu.

- W porządku. A co się dzieje?

- Był tu wcześniej jeden z chłopców Williego Sneddona. Szukał cię.

- Pedikiurek McBride?

- Nie, tylko jakiś chłoptaş na posyłki. Mówił, żeby ci powiedzieć, że Sneddon chce cię widzieć. Moim zdaniem, Lennox, grasz w niewłaściwej drużynie. Nie wiem, czemu zadajesz się z takimi typami jak Willie Sneddon.

- To moja sprawa, Bob. Przecież dobrze wiesz. Sneddon i ja od dawna harujemy ze sobą.

Kiedy skończyłem whisky, wyszedłem do budki telefonicznej i zadzwoniłem do Sneddona. Zdałem mu relację z dotychczasowych postępów w sprawie - mniejszych, niż oczekiwał i niż ja pragnąłem mu przedstawić. Powodem było głównie to, że z jakiejś nawet dla mnie niezbyt jasnej przyczyny wzbraniałem się przed podzieleniem z nim przekonaniem Wilmy, iż to Frankiego załatwiono na schodach tamtego mieszkania. Opierałem się tylko na jej intuicji, a poza tym taka wypowiedź mogłaby rozpętać niezłą burzę. Uznałem, że na razie zatrzymam to dla siebie. Kiedy zdałem swoją relację, przysłała kolej na Sneddona: zaangażował praktycznie wszystkich swoich ludzi do wywęszenia dla mnie jakiegoś tropu. I nic.

- Więc sądzisz, że to ten gość z hotelu capnął Wilmę? - Przez telefon, bez swoich pseudomagnackich włości i eleganckich ubrań, Sneddon nie kojarzył się już z nikim innym niż z govańskim bandytą, którym był.

- Jestem tego pewien. Czy z opisu z kimś się panu kojarzy?

- Nie... Z opisu wygląda na faceta, którego by się pamiętało. Poza tym pamięć do twarzy to jeden z elementów mojego fachu. Ma chyba za dużą ogładę, żeby można go było uznać za jednego z ludzi Młota Murphy'ego. Może to człowiek Cohena, chociaż w to wątpię.

Możliwe, że to amator, ale z tego, co mówisz, wydaje się to mało prawdopodobne. Chyba że to jakaś firma spoza naszego terenu.

- To nie jest amator. Nie mam wątpliwości, że to zawodowiec, ale jednocześnie nie wygląda na gangstera. Bez obrazy.

- Nie ma sprawy - powiedział Sneddon bez cienia ironii. - Popytam chłopaków, może im coś wpadnie do głowy.

Rozmowa była właściwie skończona, ale nie odłożyłem słuchawki.

- Panie Sneddon, czy słyszał pan o Lillian Andrews? Nie wiem, jakie mogła nosić nazwisko panińskie. - Opisałem mu olśniewającą urodę i figurę Lillian. - Tak jak koleś z Perth, jest prawdziwą profesjonalistką. I to działającą bez pardonu. Ale wątpię, żeby kiedykolwiek musiała pracować na ulicy.

- Tu jest sporo seksownych dziewczyn, Lennox. Poza tym nie znam wszystkich dziwek w Glasgow. Z tego, co mówisz, wynika jednak, że ma zbyt dużą klasę, żeby pracować w którymś z klubów Danny'ego Dumfriesa. Plac Blythswood też odpada... Jeśli pracuje w jakimś lokalu, to musisz pogadać z Arthurem Parksem. Dam mu znać, że powinien się ciebie spodziewać. - Uśmiechnąłem się. Wiadomość od Snedдона znaczyła, że mogę liczyć na pełną współpracę Parksa. - Czy ta kobieta jest jakoś zamieszana w sprawę McGahernów?

- Nie - powiedziałem - ale jest zamieszana w coś, z czym mam problem, panie Sneddon. Doceniam pana pomoc.

- Lennox...

- Tak?

- Nie omieszkaj informować mnie na bieżąco, czego dowiesz się o Tamie McGahernie. Nie lubię niespodzianek.

Odwiesiłem słuchawkę, czując się bardzo niewyraźnie. Jeśli Wilma miała rację, że to Frankie zginął pierwszy, a nie Tam, to chowałem w zanadrzu niezłą niespodziankę.

IX

Następnego wieczoru znalazłem się w miejscu, w którym randka była gwarantowana.

Pod warunkiem że miało się przy sobie wystarczająco dużo pieniędzy.

Powiedziałem wykidajle o byczym karku, że pan Parks spodziewa się mnie.

Wprowadził mnie do pokoju, który niegdyś służył za bawialnię.

Ulica Park Circus położona była na glasgowskim West Endzie, urozmaicając monotonię wszechobecnej wiktoriańskiej architektury łukiem okazałych georgiańskich kamienic. Większość budynków w całości zajmowały stosunkowo majątne rodziny, niektóre zostały jednak podzielone na osobne mieszkania. Arthur Parks był akurat właścicielem całej kamienicy, podzielił ją jednak na duży apartament dla siebie na wyższych piętrach i na dwa mniejsze mieszkania - jedno na parterze, a drugie w przyziemiu. W tych dwóch mieszkaniach prowadził jeden z najbardziej lukratywnych interesów na świecie, związany z najstarszym zawodem świata.

Znajdowałem się w mieszkaniu na parterze. W salonie, do którego zostałem wprowadzony, ujrzałem trzy dziewczyny. Kiedy wszedłem, wszystkie wstały. Jedna mogła mieć około trzydziestki, pozostałe dwie były znacznie młodsze, z czego jedna miała chyba nie więcej niż dziewiętnaście lat. Wszystkie były ładne i zaokrąglone tam, gdzie trzeba, i wszystkie uśmiechały się ponętnie. Podniosłem rękę.

- Przykro mi, dziewczęta, jestem tu w interesach, a nie dla przyjemności. - Ich uśmiechy zgasły równie szybko i automatycznie, jak się pojawiły. Zajęły z powrotem miejsca na kanapie i kontynuowały rozmowę, jaką prowadziły, gdy wszedłem. Usiadłem w dużym skórzanym fotelu i zapaliłem papierosa. Po chwili wszedł drobny, łysy, podobny do ptaka biznesmen, ubrany w nieskazitelną garnitur i dziewczęta powtórzyły swój występ. Ocenilem, że ma prawie sześćdziesiątkę, wybrał jednak najmłodszą z dziewcząt.

- Nie ufaj mu, jeśli zaproponuje ci lizaka - powiedziałem, kiedy wychodzili z salonu.

Policzki małego biznesmena zapłonęły czerwienią. Nie starałem się ukryć swojego zniesmaczenia.

Pozostałe dwie dziewczyny popatrzyły na mnie wilkiem, a do salonu wszedł kolejny mężczyzna. Tym razem był to szpetny popapraniec Arthur Parks. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i był nienagannie ubrany, a zza okularów o bardzo grubych szklach patrzyły na mnie nienaturalnie wyolbrzymione oczy. Dolna warga zawijała mu się na górną jak u ryby, dostrzegłem też ślady po kiepsko wykonanej operacji zajęczej wargi. Mówił

afektowanym barytonem.

- A, pan Lennox! - huknął, teatralnym gestem podając mi wiotką dłoń. Wszystko robił

w sposób teatralny. - W czym mogę panu pomóc?

Podałem mu zdjęcie Lillian Andrews, które dostałem od jej męża. Parks ujął je w wymanikiurowane palce. Rzucający się w oczy turkusowy pierścień pasował do ciężkich spinek do mankietów. Ciekawe, czy w zestawie znajdowały się też kolczyki.

- Rozpoznaje ją pan?

- Mmmm... bardzo miła. - Zabrzmiało to jak komentarz abstynenta na temat wyborczego wina. Bo choć Arthur Parks sprzedawał cipki, sam nie był nimi zainteresowany.

Ostatnią odsiadkę w więzieniu zaliczył za oddawanie się praktykom homoseksualnym w męskiej toalecie na Dworcu Centralnym. Przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegam na jego twarzy przeblysł jakiegoś wspomnienia, który jednak szybko zniknął. Albo Parks świadomie go stłumił.

- No więc... Zna ją pan? - spytałem.

- Nie. Nie znam.

- Nie wygląda pan na zbyt przekonanego.

Jeszcze raz spojrział na zdjęcie, tym razem ostentacyjnie je studiując.

- Nie, nie znam jej. Po prostu wydała mi się do kogoś podobna. Ale to nie może być tamta osoba. Kobieta, o której myślę, była blondynką. Zresztą już nie żyje.

- Niech mi pan coś o niej opowie.

- Daj pan sobie spokój, Lennox. To w żaden sposób nie może być Margot Taylor. Po prostu jest między nimi pewne podobieństwo. Margot nie żyje od trzech lat. Była jedną z moich dziewczyn, ale dowiedziałem się, że robi na boku lewizny. Dostała za to nieco po buzi i wyrzuciłem ją. Mniej więcej pół roku później zginęła w wypadku samochodowym. Jeden z jej absztyfikantów jechał z nią po pijanemu. Dobrze jej tak. Gdyby nie robiła mnie w konia, dalej by tu pracowała. I byłaby bezpieczna.

- Jak dalece ta kobieta przypomina Margot?

- Nie za bardzo. Po prostu jakoś mi ją przypomina. Coś takiego w oczach. - Zwrócił mi zdjęcie. - Przykro mi, nie mogę panu więcej pomóc.

Włożyłem zdjęcie z powrotem do portfela.

- Jeszcze jedno. Czy kiedykolwiek zaglądali tutaj bracia McGahern?

- Broń Boże... - Zaśmiał się teatralnie. - Nie wpuściłbym takich oprychów do swojego przybytku.

- Czy wie pan coś o niezależnym burdelu gdzieś na West Endzie, któremu zapewniali ochronę McGahernowie?

- Nie za bardzo - odparł Parks. - Coś o tym słyszałem... że to potencjalna konkurencja i tak dalej. Ale to raczej nie trwało długo i o ile zdążyłem się zorientować, nie odbierało mi klienteli. Tak czy inaczej, przykro mi, że nie mogę panu pomóc. - Parks skinął głową na starszą prostytutkę siedzącą na sofie. - Czy chciałby pan spędzić nieco czasu z Leną? Firma stawia.

Nieco arystokratycznie wyglądająca Lena zareagowała, przechylając do tyłu głowę i wyzywająco rozchylając czerwone wargi. Ja też widziałem ten film z Ritą Hayworth, Leno -

pomyślałem.

- Nie, dziękuję, odpuszczę sobie. - Nie chodziło bynajmniej o to, że Lena wydawała mi się nieatrakcyjna. Parks fałszywie odczytał moją odmowę i poczęstował mnie własną wersją dąsu à la Rita Hayworth. - Nie pieprzę się z kurwami - powiedziałem. - Ani z ciotami.

*

Następnego ranka próbowało się przebić wiosenne słońce, ale niezbyt dysponowane o tej wczesnej godzinie Glasgow dawało mu do zrozumienia, że ma się odchrzanić, i zaciągnęło wokół niego zasłonę fabrycznego dymu. Zjadłem śniadanie w zajezdzie przydrożnym przy ulicy Dumbarton, po czym około wpół do dziewiątej ruszyłem do Bearsden. W przeciwnym kierunku pędził nieprzerwany sznur samochodów, co wskazywało na to, że większość prywatnych właścicieli samochodów w Glasgow rezydowało przy pełnych zieleni uliczkach Bearsden.

Zaparkowałem za rogiem w pobliżu rezydencji Andrewsów i zacząłem wałęsać się po ulicy, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Wreszcie z podjazdu, szemrząc jak leśny strumyk, wytoczył się bentley Johna Andrewsa.

Lillian Andrews otworzyła drzwi z tak obojętnym wyrazem twarzy, jakby spodziewała się zobaczyć na progu listonosza. Miała na sobie pastelowo niebieski sweter z podwójnym sznurem pereł ciasno opinającym jej szyję, granatowe spodnie rybaczeki i pantofle na niskim obcasie. Strój był dość skromny, ale wyglądała w nim bardziej seksownie niż większość kobiet we francuskiej bieliźnie. Przez drobną chwilę sprawiała wrażenie, jakby mnie rozpoznała, ale natychmiast się opanowała. Była dobra. Bardzo dobra.

- Tak? - spytała obojętnie. Niemal przekonała mnie, że nigdy wcześniej się nie zetknęliśmy.

- Witam ponownie, pani Andrews. Miło mi donieść, że smog chyba już zniknął.

- Przykro mi - powiedziała i zaczęła zamykać drzwi. - Nie kupuję niczego u komiwojażerów.

Nogą zablokowałem drzwi i pchnąłem je barkiem tak mocno, że niemal przewróciła się do tyłu. Staliśmy w korytarzu, a jej ciemne oczy zapłonęły nienawiścią.

- Wynocha! I to już!

- Muszę z panią porozmawiać, pani Andrews.

- O czym? - Wycofała się w kierunku wieszaka na płaszcze i podniosła słuchawkę telefonu w kolorze kości słoniowej. - Jeśli pan nie wyjdzie, zadzwonię na policję.

- Może pani to zrobić - powiedziałem, zdejmując kapelusz. - No, ale policja mnie zna.

Wiedzą, że informacje, które im przekazuję, są dość wiarygodne. - Uśmiechnąłem się na myśl o rumianym wiejskim młodzieńcu, który sporo się natrudził, żeby faktycznie tak było. - Więc jestem pewien, że zainteresuje ich to, dlaczego pani mąż jest cały czas taki przestraszony i dlaczego zastawiła pani na mnie pułapkę we mgle jednego z ostatnich wieczorów.

- Pan zna mojego męża? - Odłożyła słuchawkę.

- Tamtego wieczoru pani tego nie wiedziała, prawda? Wszystko wiem o tej pani sztuczce ze zniknięciem i odnalezieniem się. Chcę tylko wiedzieć, czemu pani mnie wciągnęła w tę zasadzkę i kto zrobił mi ten przedziałek na głowie.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Nigdy w życiu pana nie widziałam.

- Nie pogrywaj ze mną, Lillian. - Zamknąłem za sobą drzwi. - Coś w tym wszystkim śmierdzi. Jeśli mi nie powiesz, o co chodzi, będę chyba zmuszony porozmawiać z twoim mężem.

- Proszę bardzo. - Roześmiała się. Nie był to blef.

Chwyciłem ją za przegub i pociągnąłem za sobą do nowocześnie urządzonego salonu.

Sofa i fotele były tu tak niskie, że aby się z nich wydobyć, należało korzystać z windy. Obok stał niski, lekki stolik do kawy. W pomieszczeniu było przepierzenie z drewna i kutego żelaza w geometryczne wzory. Z rogu wyglądało małe, szare oko nowego telewizora. Rzuciłem ją na jedno z krzeseł. Jak na gospodynię domową z przedmieść nie wydawała się zbyt przejęta tym szorstkim traktowaniem. W jej ciemnych oczach nadal widziałem nienawiść. Nie lęk.

Nienawiść.

- Posłuchaj, Lillian. Możesz udawać do woli, ale oboje wiemy, że to ty łapałaś mnie za kutasa tuż przed tym, jak dostałem po łbie. Interesowało cię tylko, czy cię śledziłem, bo byłem na ciebie napalony, czy też miałem inne powody. Otóż miałem. To ma związek z tym, czym się zajmuję, ale nie wyjawię ci szczegółów. Moja zawodowa ciekawość szybko ustąpiła jednak miejsca powodom bardzo osobistym po tym, jak twój goryl próbował rozłupać mi czaszkę. - Usiadłem naprzeciwko niej i położyłem kapelusz obok na sofie. - Więc o co chodzi?

Wpatrywała się we mnie z zaciętym wyrazem twarzy, ale nienawiść zdawała się słabnąć. Zaśmiała się cynicznie, jakby coś wreszcie pojęła.

- Pracuje pan dla Johna, prawda? Płacił panu za to, żeby mnie pan szpiegował, co?

Nic nie powiedziałem, ale ona jakby utwierdziła się w swoim przekonaniu.

- Tak właśnie myślałam. W porządku - zrobiłam błąd. Związałam się z kimś. Kimś dla siebie nieodpowiednim. Uciekłam z nim. Miałam zamiar odejść od Johna. Ale potem się opamiętałam i wróciłam do domu. Mój... przyjaciel... cóż, nie potrafił się pogodzić z tym, że wracam do Johna, i groził, że obrzydzi mi życie. Zgodziłam się więc spotkać z nim owego wieczoru, żeby mu powiedzieć, że między nami koniec. Wspomniałam mu, że ktoś mnie śledzi. Dlatego panu przyłożył. Przykro mi, ale właśnie w taki sposób mu odbija. Między innymi z tego powodu z nim zerwałam.

- Naprawdę? Muszę powiedzieć, że to najbardziej wspaniałomyślny zazdrosny kochanek, o jakim kiedykolwiek słyszałem - pozwala ci na obnażenie przede mną cycków i wepchnięcie mi języka do połowy gardła.

Wyjęła papierosa z paczki leżącej na stoliku do kawy i przypaliła oprawioną w marmur zapalniczką. Postukała w pudełko wąskimi palcami o polakierowanych na czerwono paznokciach.

- Nie rozumie pan. Takie sprawy nie są proste. Seks nie jest prosty. Kiedy jestem z nim, staję się inną osobą.

- I już wszystko skończone?

- Najzupełniej.

- W takim razie nie będziesz miała chyba żadnych oporów przed podaniem mi jego adresu. Chciałbym złożyć mu wizytę. Wyrównać nieco rachunki.

Znowu spojrzała na mnie z zaciętością.

- Nie zrobię tego. Chcę o tym wszystkim zapomnieć. To człowiek agresywny i niebezpieczny, jak zresztą sam pan się przekonał. Proszę dać temu spokój.

- Jak się nazywa?

Podeszła do kredensu i wysunęła jedną z szuflad. Wyjęła z leżącego tam portfela dziesięć banknotów pięciofuntowych i zaoferowała mi je, wyciągając w moim kierunku rękę.

- Niech pan to weźmie.

- Twój mąż już mi zapłacił.

- A teraz ja ci płacę. Żebyś o tym wszystkim zapomniał. Wróciłam do męża, a on się w niczym nie połapał. Źle się czuję z tym, co się wydarzyło owego wieczoru. Niech pan to weźmie. Powiedzmy, że jest to odszkodowanie.

Wziąłem pieniądze i schowałem do kieszeni. Jak sama powiedziała: tytułem odszkodowania.

Wstałem i włożyłem kapelusz. Odprowadziła mnie do drzwi.

- Czy możemy się umówić, że spuszczaamy na tę całą niefortunną sprawę zasłonę milczenia, panie

Lennox?

- Zgoda. Jeszcze tylko jedna rzecz... Czy słyszałaś kiedyś o Margot Taylor?

Ściągnęła usta w zamyśleniu.

- Nie, nic. Dlaczego pan pyta?

- Nieważne. To kobieta, która jest do ciebie trochę podobna. Pomyślałem po prostu, że może jesteście spokrewnione.

Patrzyła za mną, stojąc w drzwiach, aż zniknąłem z podjazdu. Przez chwilę siedziałem w samochodzie, kontemplując przednią szybę. Trzy rzeczy wydawały się bardzo jasne. Po pierwsze, że gdyby otrzymana łapówka nie do końca mnie jednak przekonała, Lillian Andrews by się ze mną przespała, żebym tylko nie mieszał się w jej sprawy. Mój zysk byłby wtedy podwójny. Po drugie, że nazwisko Margot Taylor, którym ją w ostatniej chwili zaskoczyłem, wywołało jednak jakąś reakcję, którą pośpiesznie starała się ukryć.

I po trzecie, że wszystkie moje pierwotne podejrzenia na jej temat były uzasadnione.

Zwróciła się do mnie po nazwisku.

A ja wcale jej się nie przedstawiłem.

Obudziłem się w środku nocy z łomotem serca. Koszmar rozplynął się, zanim zdążyłem uświadomić sobie jego treść, ale była tam jakaś młoda, pełna strachu twarz krzycząca coś do mnie, błagająca mnie o coś - po niemiecku.

Zapaliłem w ciemnościach papierosa. Gdy się zaciągałem, jego czubek oświetlał

ściany głęboką czerwienią, która potem przygasiała. Z jakiegoś powodu zacząłem wspominać rodzinne strony. Kiedy ktoś pytał mnie, skąd pochodzę, uciekałem się do takiego swojego żarciku. Przez te wszystkie lata mój akcent trochę się zatarł i niektórzy tutejsi ludzie uważali mnie za Amerykanina, a inni za Anglika albo nawet Irlandczyka. Kiedy ktoś mnie naciskał, a nie zdarzało się to często, mówiłem, że pochodzę z Rothesay, i chociaż ludzie byli tym nieco zdezorientowani, na ogół ich ta odpowiedź zadowalała. W istocie była to prawda, choć Rothesay, które miałem na myśli, nie było tym, o którym oni myśleli - żalonym turystycznym miejscem wypadowym dla glasgowczyków, położonym na szkockiej wyspie Bute. Moje Rothesay znajdowało się gdzieś indziej, gdzieś bardzo daleko - dzieliły mnie od niego zarówno ocean, jak i cała ostatnia wojna.

Leżałem sobie więc, paląc w ciemnościach i rozmyślając o Rothesay i Saint John. O

wycieczkach rowerowych i spływach kanu wzdłuż rzeki Kennebecasis. O mojej elitarnej edukacji w Szkole Kolegialnej.

O wielkim domu z końca XIX wieku, w którym się wychowałem i który zawsze pachniał szlachetnym starym drewnem. O chłopaku, mającym śmiałe pomysły i jeszcze wznioślejsze ideały, który poległ w Europie jako jedna z ofiar ostatniej wojny.

Ale nie ja jeden na niej poległem. Kiedy tak leżałem w ciemnościach, uzalając się nad sobą, usłyszałem cichy, stłumiony płacz kobiety. Dobiegał z mieszkania pani White.

*

Poranne słońce znowu usiłowało zaznaczyć swoją obecność, przebijając się przez siwe kłęby fabrycznego i hutniczego dymu unoszącego się nad miastem. Pojechałem samochodem do miasta Newton Mearns na południe od Glasgow. Ludzie mieli jeszcze świeżo w pamięci powstanie państwa Izrael i najnowszym dowcipem było nazywanie Newton Mearns, ze względu na jego głównie żydowską populację, Tel Awiwem nad rzeką Clyde. Musiało natomiast powstać sporo obozów koncentracyjnych, żeby wreszcie dobić pozostałości starych antysemickich dowcipów. Dla równowagi muszę jednak powiedzieć, że jedna z rzeczy, jakie w Glasgow mi się podobają, to otwarta, przyjazna postawa jego mieszkańców. Glasgow było miejscem trudnym, mrocznym i pełnym przemocy i zawsze miałem problem ze zrozumieniem tego ze względu na serdeczność jego mieszkańców. Prawdopodobnie należało do najmniej antysemickich miast w Europie, choć biorąc pod uwagę, że od wyzwolenia obozów nie minęła jeszcze dekada, było to bardzo względne twierdzenie.

Żydowska społeczność Glasgow w dużej mierze zawdzięcza swoje istnienie pewnemu oszustwu.

Wiele żydowskich rodzin uciekających przed dziesiętnastowiecznymi pogromami w Rosji zostało wysadzonych na ląd w glasgowskim porcie przez nieuczciwych kapitanów, którzy mówili im, że statek dopłynął do Nowego Jorku. Wśród tych rodzin, które z niecierpliwością wypatrywały na nabrzeżu Clydebank widoku Statuy Wolności, była też rodzina Cohenów, którą gorzkie doświadczenie nauczyło działać bezkompromisowo, agresywnie i bezwzględnie. Do pokolenia wnuków pierwszych Cohenów, którzy się tu osiedlili, należał Jonny Cohen. Przystojniak Jonny.

Czyli drugi z Trzech Królów.

Przed złożeniem Jonny'emu wizyty zadzwoniłem i umówiliśmy się u niego w domu.

W odróżnieniu od Sneddon Jonny Cohen mieszkał w nowocześnie wyglądającym domu, zaprojektowanym przez jakiegoś dobrze zapowiadającego się londyńskiego architekta i bardziej przypominającym domy, jakie można by zobaczyć w Beverly Hills.

Na podjeździe Jonny'ego nie widać było żadnych zbirów w spodniach rurkach. Nic nie wskazywało na to, aby mieszkał tu ktoś inny niż dobrze prosperujący, oddany rodzinie biznesmen.

Nacisnąłem dzwonek. Drzwi otworzył wysoki, śniady, ciemnowłosy mężczyzna. W

jego dużej, przystojnej twarzy uwagę przyciągał dołek w podbródku, w którym mógłby przechowywać drobniaki. Jonny Cohen miał wygląd przywodzący na myśl najbardziej męskie gwiazdy Hollywoodu. Taki typ mężczyzny wywołuje w kobietach zachwyt. Wszelkie zakusy na niego skazane były jednak na niepowodzenie, gdyż jako mąż stanowił wzór wierności. Był

też kochającym i niezwykle opiekuńczym ojcem. Z kolei jako gangster górował inteligencją nad pozostałymi Trzema Królami. Inteligentny, bezwzględny i cholernie niebezpieczny. Ale gościnnie.

- Cześć, Lennox - rzucił Jonny swoim głębokim barytonem, uśmiechając się szeroko. -

Wchodź...

Są tacy ludzie, których spotyka się w swoim życiu i do których mimowolnie czuje się natychmiastową sympatię. Jonny Cohen był właśnie takim człowiekiem i kiedy się z nim obcowało, pojawiał się odruch, aby przymknąć oko na fakt, że jest groźnym przestępcą. Jonny to niewątpliwie ktoś, komu lepiej się nie narażać, a jego firma zapewniała sporą część klienteli miejscowym szpitalom, jak również, gdy czasem okazywało się to niezbędne, zakładom pogrzebowym. Według Einsteina wszystko jest jednak względne, więc w Glasgow nie wypadało mieć facetowi za złe kilku morderstw na koncie. Poza tym Jonny działał

zgodnie z własnym kodeksem etycznym. Nie zajmował się udzielaniem lichwiarskich pożyczek, jak pozostali dwaj Królowie, a pieniądze czerpał z nielegalnego hazardu, prostytucji i sieci restauracji oraz klubów. Jonny Cohen był jednak przede wszystkim księciem rabusiów: jego sukces opierał się na wyjątkowej skuteczności napadów z bronią w rękę, które planował, organizował, a niejednokrotnie sam przeprowadzał.

Jonny wprowadził mnie do rozległego salonu, który wypełniały modernistyczne meble podobne do

tych w domu Andrewsów. W rogu też stał telewizor. Widząc, że patrzę w tamtą stronę, Jonny wyjaśnił:

- To pomysł Racheli. Wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym to kupił. Typ Ferranti T1325. Kosztował mnie pięćdziesiąt osiem cholernych gwinei. Będą pokazywać koronację księżniczki Elżbiety. Też masz coś takiego?

Skwitowałem śmiechem jego przesadne wyobrażenie o mojej kondycji finansowej.

- Nie... to się nigdy nie przyjmie. Zostanę przy radiu.

Zaproponował mi, żebym usiadł. Taki to właśnie był gangster z tego Przystojniaka Jonny'ego Cohena: proponował człowiekowi, żeby usiadł. Był uprzejmym facetem, chyba że akurat stał na ladzie bankowej z pończochą na głowie, żeby zakamuflować swoją gwiazdorską fizjonomię, i wywijał ci przed nosem obrzynek.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Lennox?

- Zajmuję się zabójstwem Tama McGaherna. Może mógłbyś mi w czymś pomóc.

- Słyszałem, że policja namierzyła cię za załatwienie jego brata.

- Pomylili się. Miałem starcie z Frankiem tego wieczoru, kiedy został zabity. Chciał, żebym się dowiedział, kto zabił Tama. Powiedziałem mu, że mnie ta robota nie interesuje.

- Więc czemu teraz się tym zajmujesz?

- Bo jestem przekorny. Właśnie dlatego jestem ciekawą i złożoną osobowością.

Ludzie w granatowych mundurach cały czas mi powtarzali, że mam się od tego trzymać z daleka.

Jonny podszedł do stolika na kółkach, który wyglądał jak część wyposażenia statku kosmicznego. Napełnił dwie szklaneczki szkocką z wodą sodową.

- A kto ci za to płaci? - spytał, jakby nie wiedział.

- Willie Sneddon.

Jonny uśmiechnął się drwiąco.

- Jeśli pracujesz dla jego ekipy, to znaczy, że ich potencjał intelektualny wzrósł o tysiąc procent.

- Nie pracuję dla niczyjej ekipy. Wiesz o tym, Jonny. Wynajął mnie jednak do zadania, którego policja nie może albo nie chce wykonać.

- W czym mogę pomóc?

Zrelacjonowałem większość tego, co wiedziałem o zabójstwie Tama. Opowiedziałem mu też o zniknięciu Wilmy Marshall z sanatorium w Perth i o przystojnym, jowialnym koleśku, który przedstawił mi się w hotelu, zanim ją potajemnie wywiózł. Nic nie mówiłem Sneddonowi o tym, że według Wilmy przez pomyłkę zastrzelono nie tego bliźniaka, o którego chodziło zabójcom. To znaczyło, że ten szczegół też musiałem pominąć w mojej relacji dla Jonny'ego.

Jonny siedział przez chwilę w milczeniu, kontemplując swoją szkocką.

- Tam McGahern był wrednym skurwielem. Wszyscy w tym biznesie wyrządzamy ludziom krzywdę, Lennox. Ale chodzi w tym właśnie o to - o biznes. McGahern krzywdził

ludzi, nie wspominając o czymś jeszcze gorszym, bo to lubił. Naprawdę to lubił. Jego brat Frankie był palantem. Spojrzałeś na niego nie tak jak trzeba i zaczął srać ogniem. Ale to wszystko - po prostu świr. Dlatego kiedy opowiadałeś, jak się rzucił na ciebie owej nocy, wcale mnie to nie zdziwiło. Ale z Tamem było gorzej. Tam miał poważnie nie po kolei w łepetynie. Czy wiesz, że nigdy nie zaliczył żadnej odsiadki? To samo z Frankiem. Bóg jeden wie, ile razy obu przesłuchiowano, ale żaden z nich nie został nigdy aresztowany czy nawet zatrzymany na noc.

- Interesy nie wymagały od nich nadmiernego wysiłku intelektualnego -

powiedziałem. - Udzielanie lichwiarskich pożyczek i wymuszanie haraczy w zamian za ochronę. Jeśli udało im się uniknąć odsiadki, to po prostu mieli szczęście.

Jonny pokręcił przecząco głową.

- To nie miało nic wspólnego ze szczęściem. Patrząc na Tama McGaherna, nigdy byś się tego nie domyślił, ale był bystry jak diabli. Dochrapał się sierżanta, służąc w Szczurach Pustyni. Został odznaczony. Możesz mi wierzyć albo nie, ale krążyły pogłoski, że miał

widoki na awans na oficera. Podobno kiedy służył w wojsku, jakiś konował od głowy sprawdził jego iloraz inteligencji, który okazał się niebotyczny. Ale ten sam psycholog pokrzyżował szansę Tama na awans, bo napisał w protokole, że jego zdaniem Tam jest kompletnie walnięty. No, ale my wszyscy i tak to wiedzieliśmy. Tamowi zawsze nieco za dużą przyjemność sprawiało robienie ludziom krzywdy i często przeszkadzało mu to w trzeźwej ocenie sytuacji. Jednocześnie był jednak naprawdę bystry i zaczął się powoli stawać groźny. Każdy może być bandziorem. Ale niektórym bandziorem udaje się przejść do następnej klasy tego ulicznego uniwersytetu i zamiast po prostu spuszczać łomot wszystkiemu, co się nawinie, w nadziei, że wycisną w ten sposób nieco kasy, zaczynają ruszać głową, planować, kombinować. Coś takiego działo się właśnie z Tamem McGahernem. - Jonny dopił szkocką i wstał, żeby nalać sobie następną. Kiwnął głową w kierunku mojej szklanki, ale podziękowałem. Zamyślił się na chwilę, po czym spytał: - Czy Sneddon opowiadał ci, że kiedyś zebraliśmy się w trójkę, żeby pogadać o Tamie McGahernie?

- Nie, nic nie wspomniał.

- Nie dziwię się. Nie chcę za bardzo mącić, ale faktem jest, że mieliśmy naradę nad tym, czy trzeba coś zrobić w sprawie Tama. Coś nieodwracalnego, jeśli łapiesz, o co mi chodzi. Alternatywą było

zaakceptowanie tego, że kiedyś Tam może tak urosnąć w siłę, aby realnie zagrozić Trzem Królom.

- I co postanowiono?

- Zostawić go na razie w spokoju. Przynajmniej dopóki to zagrożenie nie przekroczy pewnych granic. Tam zdawał sobie sprawę, że jeśli wyjdzie przed szereg, dostanie za swoje.

- Może któryś z pozostałych Królów postanowił samodzielnie zrobić z tym porządek.

- Cóż, nie ja. I nie wydaje mi się, aby Sneddon wynajmował cię do tej sprawy, gdyby to było jego dzieło. Nawet jeśli by wynajął do tego zabójstwa kogoś zamiejscowego. A Murphy... Młot Murphy nie potrafi zrobić niczego dyskretnie ani finezyjnie. Gdyby to on załatwił któregokolwiek z McGahernów, wszyscy byśmy o tym wiedzieli.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Młot Murphy był tym Królem, z którym najmniej miałem ochotę wdawać się w jakiegokolwiek interesy. Większość tego, co Jonny mówił o Tamie McGahernie, można by odnieść też do Młota Murphy'ego. Z wyjątkiem inteligencji.

Przydomek Michaela Murphy'ego pasował do niego jak ulał, odznaczał się bowiem istotnymi cechami tego popularnego narzędzia - był równie jak ono tępy i starcie z nim bolało. Jonny miał rację. Murphy zawsze dbał o to, żeby nie było wątpliwości, kto stał za różnymi brutalnymi posunięciami. A stał za wieloma. Dopuszczałem jednak wiele możliwości: niezależnie od tego, czy to Tamowi, czy Frankiemu zmasakrowano głowę w warsztacie w Rutherglen, to zabójstwo idealnie pasowało do sposobu działania Młota Murphy'ego.

- Tak czy inaczej - ciągnął Jonny - wszyscy dbaliśmy o to, żeby Tam McGahern za bardzo nie rozwinął skrzydeł. Nie było mu to w smak, ale dopóki trzy główne firmy działały w porozumieniu, nic na to nie mógł poradzić.

- Słyszałem, że wokół Tama kręcił się niejaki Jimmy Wallace. Chyba nie był zbyt zaangażowany w jego interesy, ale Tam podobno go tolerował.

- Jimmy Wallace? - Jonny pokręcił głową w zamyśleniu. - Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

Łyknąłem nieco szkockiej. Była w dobrym gatunku, ale wolałbym się napić żytniej.

Nie usłyszałem tu jak dotąd niczego, czego bym już nie wiedział. Jonny chyba to wyczuł.

- Nie na wiele się przydałem, co? Przykro mi. Pomógłbym, gdybym mógł... nawet jeśli pracujesz dla niewłaściwych ludzi. - Zamilkł na chwilę. - Można by pociągnąć jeden trop. Tam McGahern lubił kobiety. Może odnalezienie tej Wilmy niewiele dało, ale McGahern na ogół lubił zadawać się z profesjonalistkami. I to takimi z doświadczeniem.

- Już próbowałem indagować Arthura Parksa - powiedziałem. - Bez większych efektów.

- Arthur Parks to człowiek Sneddona. McGahern nigdy by tam nie poszedł. Nigdy też nie zjawiał się w żadnym z moich lokali. Gdzieś na West Endzie była jakaś grupa dziewczyn pracujących niezależnie.

Jankesi nazwaliby je call-girls: wszystko dyskretnie zaaranżowane dla nadzianych klientów. No i dziewczyny z najwyższej półki. McGahern zapewniał im ochronę. Ale nie pracowały dla niego, tylko odpalały mu działkę za dostarczanie chłopaków do obstawy i tak dalej. Krążyły pogłoski, że McGahern miał niezłego fioła na punkcie jednej z nich - tej, która zawiadywała całym tym interesem.

Zastanowiłem się nad tym, co mówił. Dziewczyny z najwyższej półki. W Glasgow, kiedy mowa o kobietach pieprzających się za kasę, było to dość względne określenie.

Pomyślałem o wyglądzie Wilmy Marshall.

- Masz jakiś adres albo telefon?

- Nie. Jak mówiłem, wszystko odbywało się w wielkiej dyskrecji i trzymaliśmy się od tego z daleka. Młot Murphy chciał im wcisnąć swoją ochronę, ale nie wiedział, gdzie ich szukać. Poza tym to by się równało z wypowiedzeniem wojny McGahernowi. Krążyły też pogłoski, że te kurwy dbały o dobre stosunki z policją. Albo miały kontakty z jakimiś wysoko postawionymi osobistościami. Najdziwniejsze jest to, że w pewnym momencie jakby zapadły się pod ziemię. Zresztą od samego początku nie rzucały się za bardzo w oczy.

Jonny skończył i rozłożył ręce w geście mówiącym „to wszystko”. Nie powiedziałem mu wszystkiego, co wiem, i on pewnie postąpił tak samo. Tak to było w tym środowisku, ale przynajmniej zdobyłem nieco nowych informacji.

- Słuchaj, Jonny, może mógłbyś mi pomóc w czymś innym. Czymś zupełnie niezwiązanym z McGahernem. Czy spotkałeś kiedykolwiek tę kobietę? - Wyjąłem otrzymane od Johna Andrewsa zdjęcie jego żony. - Wydaje mi się, że ona też jest profesjonalistką. Teraz nazywa się Lillian Andrews, ale Bóg jeden wie, jakim nazwiskiem posługiwała się wcześniej.

- A o co chodzi? - Wziął ode mnie zdjęcie i przyjrzał mu się. - Niezła.

- Tylko do oglądania - powiedziałem. - Jest żoną Johna Andrewsa, właściciela dużej firmy eksportowej. Żle się jednak dzieje w państwie Bearsden i coś śmierdzi w całym tym interesie. Andrews trzęsie portkami ze strachu i wydaje mi się całkiem możliwe, że ona go szantażuje albo jakoś inaczej trzyma w garści.

Jonny jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu.

- Wiesz co... wydaje mi się, że gdzieś ją już widziałem. - Potrząsnął głową, najwyraźniej zirytowany, że nie może sobie przypomnieć. - Czy mogę zatrzymać to zdjęcie na dzień, dwa? Trochę posprawdzać?

- Pewnie. Ale muszę je dostać z powrotem. Mam tylko to jedno.

Kontynuowaliśmy jeszcze przez chwilę pogawędkę na różne ogólne tematy, po czym podziękowałem Jonny'emu za poświęcenie mi swego czasu i skierowaliśmy się do wyjścia.

Po drodze wpadło mi w oko stojące na szafie z książkami zdjęcie jego rodziców. Siedzieli przy

kawiarnianym stoliku gdzieś na wolnym powietrzu, w blasku słońca, którego nie uświadczą się w Glasgow.

- Jak się mają twoi staruszkowie? - spytałem.

- Mają się dobrze, Lennox. Dzięki za zainteresowanie. Martwię się o nich. Wiesz, te kłopoty z Arabami.

- Sam nigdy nie miałeś na to ochoty? - spytałem.

- Izrael? Nie. Tam nie uświadczysz przyzwoitego dania rybnego na kolację. Poza tym nigdy nie kręciła mnie polityka. To był konik mojego taty. Pamiętam, że przed wojną ciągle mówił o kłopotach na Bliskim Wschodzie. Nigdy nie mogłem się połapać, co takiego dzieje się w tym cholernym Falkirk11, że tak się tym przejmuje.

Zaśmiałem się.

- Ale na Boga - ciągnął - nigdy bym się nie spodziewał, że w ich wieku zdecydują się na emigrację...
- Wzruszył ramionami, spoglądając na zdjęcie. - To tylko świadczy o tym, że nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

Uśmiechnąłem się. Rozmawiałem teraz nie z Jonnym gangsterem, lecz z Jonnym oddanym synem. Synem, który sfinansował emigrację swoich podstarzałych rodziców do 11 Falkirk - miasto położone w środkowej Szkocji, na wschód od Glasgow.

Izraela. Żydowskim chłopakiem z Newton Mearns, który służył w Niemczech w brytyjskiej Drugiej Armii i z nią przekroczył bramę obozu położonego na Pustaci Lüneburskiej, ponad sześćdziesiąt kilometrów na północ od Hanoweru, i noszącego nazwę nikomu wcześniej nieznaną - Bergen-Belsen.

- Faktycznie, Jonny, nigdy nie wiadomo.

*

Kiedy wyszedłem od Jonny'ego Cohena, miałem jasno wytyczony cel. A może raczej obiekt zainteresowania. Po godzinie wyczekiwania w samochodzie przed barem Highlander wreszcie go dostrzegłem. Przeciąwszy jezdnię, dogoniłem Bobby'ego i jego dwóch kumpli w chwili, gdy mieli już wchodzić do baru. Wszyscy trzej nosili jeszcze ślady naszego poprzedniego spotkania. Dougie, największy z całej trójki, najwyraźniej uważał, że ma jeszcze coś do nadrobienia pod względem korekty wyglądu.

- Czego, kurwa, chcesz, Lennox? - zjeżył się, odgradzając mnie od Bobby'ego swoją dość roslą sylwetką. - Powiedzieliśmy ci, kurwa, wszystko, co...

Przerwałem mu kwestię, waląc go mocno z byka w grzbiet nosa. Osunął się bezwładnie po ścianie pubu. Pete, jego wierny druh, obrócił się na pięcie i zaczął wiać. Bobby znowu stał jak sparaliżowany.

- Nie trawię wulgarnego języka - wyjaśniłem Bobby'emu, łapiąc go pod ramię i zmuszając do przejścia ze mną na drugą stronę ulicy. Oszołomionego jeszcze Dougiego zostawiliśmy siedzącego pod ścianą.

Wepchnąłem Bobby'ego na siedzenie obok siebie i odjechałem w kierunku rzeki Clyde. Nabrzeże Clyde było jeszcze trochę zrujnowane po wojennych nalotach i zaparkowałem na jednym z częściowo oczyszczonych po bombardowaniach placów nad rzeką. Wywlokłem Bobby'ego z samochodu i zaprowadziłem w pobliże pirsu. Czarna woda mieniła się tęczowymi kręgami oleju silnikowego.

Bobby przyglądał mi się posępnie spod tego oka, którego mu poprzednio nie zamknąłem.

- Któregoś dnia popchniesz za daleko niewłaściwą osobę.

- Naprawdę? Cóż, dopóki ten dzień nie nadejdzie, zawsze mogę posłużyć się tobą. -

Pchnąłem go i zatoczył się na skraj pirsu. Jego ohydne spiczaste buty zachrobotwały na grubym żwirze.
- To bardzo proste, Bobby. Zataiłeś coś przede mną. Mówiłem ci, że chcę wiedzieć wszystko o Tamie McGahernie.

- Nic nie zataiłem - zaprotestował. - Powiedziałem wszystko, co wiedziałem!

Ponownie pchnąłem go w klatkę piersiową i przechylił się niebezpiecznie do tyłu.

Złapałem go za cienki jak sznurowadło krawat.

- Nie umiem pływać! - pisnął.

Roześmiałem mu się w twarz.

- To jest jebana Clyde, Bobby. Zanim będziesz miał szansę się utopić, zginiesz od zatrucia metalami ciężkimi. Zresztą gównu nie tonie. A teraz powiedz mi... co z tą kurwą, do której zwykł chadzać McGahern? Tą, której załatwiał ochroniarzy.

Nienawiść i strach malujące się na twarzy Bobby'ego nie zostawiały już miejsca na żadne inne emocje, a jednak przez chwilę przemknął przez nią cień dezorientacji.

- Jaką kurwą?

- Tą od tego luksusowego przybytku na West Endzie. Tą, z którą pieprzył się McGahern.

Wreszcie zaskoczyło.

- A, tak... tą. Nawet o niej nie pomyślałem. Nie sądziłem, że to ważne. Niczego nie zataiłem. Po prostu nie przyszło mi to do głowy.

Szarpnąłem za sznurówkę i odciągnąłem go od krawędzi pirsu. W pewnym sensie byłem rozczarowany, że zamiast tego nie wrzucam go do Clyde.

- Jak ona się nazywa?

- Molly. Nazwiska nie znam.

- Opowiedz mi coś o niej.

- Nie da rady. Nigdy jej nie spotkałem. Tam miał innego gościa, który służył tam za wykidajkę. Powiedział, że ja, Dougie i Pete nie jesteśmy wystarczająco bystrzy do takiej roboty. - Bobby wyglądał na urażonego i poprawił sobie krawat. - Nie wiem, co jest niby takiego cholernie szczególnego w byciu wykidajką dla kilku kurew.

- Kim był ten gość?

- Nie wiem. Nigdy go nie spotkałem.

- Więc nie wiesz, gdzie znajdował się ten burdel?

- Tego nie powiedziałem. Którejś nocy Tam miał się spotkać z tą dziwką, ale coś go zatrzymało w Imperialu. Kazał mi zamówić telefonicznie taksówkę. Kurs miał być na ulicę Byres. Albo jakąś poprzeczną. Nie pamiętam dokładnie.

- To długa ulica.

Bobby wzruszył ramionami.

- To było dawno. Nie pamiętam numeru domu. Zresztą i tak by to chyba niewiele dało.

- Dlaczego?

- Słyszałem któregoś wieczoru, jak Tam rozmawiał z Molly przez telefon. Tak z miesiąc przed tym, jak został zabity. Odniosłem wrażenie, że ona zwija interes. Albo przenosi go gdzieś indziej.

Kiwnąłem głową, przypominając sobie, co powiedział Jonny Cohen o tym, że cały ten interes w pewnym momencie jakby zapadł się pod ziemię.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Sam nie wiem. Wydaje mi się, że Tam obawiał się problemów ze strony Trzech Królów, gdyby dowiedzieli się, że macza palce w tym interesie.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że Tam może się niepokoić czymś takim.

Bobby wzruszył ramionami. Po raz pierwszy bliżej mu się przyjrzałem. Był młodszy, niż początkowo sądziłem. Skrzywiona twarz i wpół przymknięte oko, które mu zafundowałem, sprawiały, że wyglądał niemal bezbronnie. Poczulem, że nie mam już ochoty dawać mu w kość.

- Słyszałem, jak mówił coś Jimmy'emu Wallace'owi o Młocie Murphym. Niewiele do mnie dotarło,

bo rozmawiali po cichu, ale domyśliłem się, że Tam liczy się z jakąś akcją Młota Murphy'ego przeciw nim.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedział Bobby.

- Mówiłeś mi, że nie masz pojęcia, kto mógł stać za zlikwidowaniem Tama i Frankiego.

- Bo nie mam. Wszyscy wiedzą, że to nie był Młot Murphy. Wprawdzie aż się rwał do tego, żeby dać wycisk Tamowi, ale pozostali dwaj Królowie powiedzieli „nie”.

- Tam o tym wiedział?

Bobby przytaknął.

- Czemu Tam rozmawiał o tym z Jimmym Wallace'em? Z tego, co mówiłeś, wydawało mi się, że Wallace nie był bezpośrednio zaangażowany w działalność Tama.

- Bo nie jest. Nie był. Ale Tam często go o coś pytał. Dużo z nim rozmawiał. Tak jakby Wallace mógł mu coś doradzić.

Wyjąłem z portfela kilka funciaków i wcisnąłem je Bobby'emu do przedniej kieszeni jego przykrótkiej marynarki. Wyjął je i obejrzał. Nastrój mu się nieco poprawił.

- A to za co?

- Spraw sobie nowy garnitur.

*

Włosi stanowili największą społeczność imigrantów w Glasgow. Niektóre rodziny mieszkały tu od lat dwudziestych albo jeszcze dłużej, ale kiedy wybuchła wojna, większość z nich została repatriowana albo internowana. Teraz bardzo się starali wzbudzić sympatię.

„Triest” był niewielką włoską restauracją położoną w okolicach centrum. Często tam jadałem i z czasem zapoznałem się z prowadzącą ją rodziną. Z początku Rosseli byli zaskoczeni moją podstawową znajomością włoskiego. Potem zaskoczenie przerodziło się w nieufność, gdy zdali sobie sprawę, że jest to wrywkowa wiedza najeźdźcy - czyli wyzwoliciela - na temat kultury narodu, w którego okupacji brał udział. Teraz witali mnie już bez emocji jak stałego bywalca i to mi odpowiadało, tak jak panująca tam bezpretensjonalna atmosfera i tanie, ale niezłe jedzenie.

Usiadłem w rogu pod postrzępionym, lecz barwnym plakatem wychwalającym walory słonecznego Rimini i zacząłem jeść spaghetti, popijając je cierpkim czerwonym winem.

Próbowałem wyrzucić z pamięci obraz Lillian Andrews. Zgodziłem się nie wtykać nosa w mętne interesy, jakimi się zajmowała, ale powiedzmy sobie szczerze - moje słowo znaczyło prawdopodobnie równie mało jak jej. Wszystko to jednak będzie musiało poczekać.

Tymczasem postępy mojego dochodzenia do sedna sprawy McGahernów były dalekie od spektakularnych. Po spotkaniu z Bobbym udałem się na pocztę główną przy ulicy Waterloo i przewertowałem książkę telefoniczną w poszukiwaniu prawników i pośredników w handlu nieruchomościami, którzy mogliby się zajmować sprzedażą przy ulicy Byres. Kilku znalazłem. Podzwoniłem, mówiąc, że jestem amerykańskim inżynierem zajmującym się projektowaniem silników okrętowych, który przeprowadził się do Glasgow. Tłumaczyłem, że szukam jakiejś nieruchomości przy ulicy Byres, i pytałem o szczegóły oraz o orientacyjne ceny domów, które zmieniły tam właściciela w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Większość niechętnie udzielała informacji, ale w końcu udało mi się uzyskać adresy siedmiu domów.

Dobrze znałem ulicę Byres, która dochodziła do ulicy Great Western niecały kilometr od mojej kwatery. Miałem zamiar następnego dnia sprawdzić te adresy.

Pomijając to, nie miałem żadnych innych tropów, które mógłbym podjąć, chyba że chłopcy Sneddona coś znajdą na temat Powella, sobowtóra Freda MacMurraya.

Włosi to podobno eksperci od kawy. Ta wiedza chyba jednak ominęła jedno albo dwa pokolenia rodziny Rosselich, toteż zostawiwszy niedopitą filiżankę mętnego płynu, wyszedłem na ulicę.

Jest jedna rzecz, która miastu Glasgow zawsze się udaje - deszcz. Jego strugi lśniły w świetle latarni ulicznych, kiedy biegłem w kierunku swojego samochodu. Miałem właśnie otworzyć drzwi, gdy podjechał ciemnozielony Riley RMB, tak lśniący i wymuskany, jakby dopiero co opuścił linię produkcyjną. Ktoś uchylił w nim drzwi i na deszcz wychyliła się głowa Jonny'ego Cohena.

- Lennox! Zostaw samochód. Potem cię tu odwiozę.

- Co się dzieje, Jonny?

- Chcę ci coś pokazać.

XI

Wyjechaliśmy z centrum miasta i skierowaliśmy się na wschód. Zająłem miejsce obok kierowcy, ale wsiadając do riley'a, zauważyłem z tyłu dwóch rosnących drabów. Nie było nic dziwnego w tym, że jako jeden z Trzech Królów Jonny Cohen podróżował z obstawą. Faktem było też, że naprawdę lubiłem Jonny'ego i ufałem mu na tyle, na ile można ufać komuś takiemu jak on, ale jeśli szef gangu w towarzystwie dwóch goryli niespodziewanie zwija człowieka z ulicy, w głowie zaczynają zapalać się światełka ostrzegawcze.

- Nie przejmuj się chłopakami. - Jonny chyba czytał w moich myślach. - Nie są tu z twojego powodu.

- O co chodzi, Jonny? - spytałem. Jechaliśmy za miasto autostradą A8. Chociaż Jonny starał się rozproszyć moje obawy, czułem potrzebę kontrolowania, dokąd jedziemy. Spojrzał

na mnie, a na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech.

- Jedziemy obejrzeć świński film - odparł.

Tuż za miejscowością Shotts skręciliśmy z głównej drogi i podjechaliśmy do bramy niewielkiej fabryki. Zobaczywszy Jonny'ego, umundurowany nocny stróż przyłożył palec do czapki i otworzył przed rileyem bramę.

Wiedziałem, że to miejsce istniało, choć nie miałem pojęcia, gdzie się znajduje. Tak jak pozostali dwaj Królowie, Jonny Cohen musiał prowadzić jakiś półlegalny interes służący do prania brudnych pieniędzy. Domyślałem się jednak, że to miejsce to coś więcej: Jonny Cohen był znany jako jeden z głównych importerów i dystrybutorów twardej pornografii sprowadzanej z kontynentu. Podobno wysyłał tego sporo na południe i co dwa tygodnie kursowała do londyńskiego Soho pełna furgonetka. Za sprawą jego przedsiębiorczości nieprzyzwoitym czasopismom i filmom udało się zająć jedno z poczesnych miejsc na liście szkockich towarów eksportowych. No cóż, spójrzmy prawdzie w oczy - nikt nie walił konia przy whisky i ciasteczkach.

Zaparkowaliśmy przed jednym z magazynów fabrycznych i Jonny wprowadził nas do środka.

W środku zastaliśmy dwóch mężczyzn. Jeden był w średnim wieku, niski, ale umięśnieniem i zaciętym wyrazem twarzy przypominał eksboksera. Drugi, energiczny i ubrany jak pracownik banku, wyglądał na jeszcze starszego. Stali obok projektora filmowego na taśmę 8 mm. Na ścianie naprzeciwko rozwieszono białe prześcieradło.

- Panowie są moimi współnikami - wyjaśnił Jonny. - Pozwólcie, że na razie nie będziemy tu wymieniać nazwisk. Chodzi w każdym razie o to, że my nie tylko importujemy pornografię, ale też ją sami produkujemy. I to w Edynburgu. Moi tu obecni przyjaciele są, że tak powiem, odpowiednikami Sama Goldwyna i J. Arthura Ranka¹² w kinematografii porno.

- Pan Cohen opisał nam z grubsza kobietę, która pana interesuje - powiedział

mężczyzna o wyglądzie menedżera bankowego. - Opowiedział też, jak pan opisał jej wyjątkowy...

magnetyzm, bo tak chyba należałoby to nazwać. Ale dopiero gdy pokazał nam zdjęcie... Czy mógłbym jeszcze raz na nie spojrzeć?

Jonny przytaknął i podał mu zdjęcie Lillian Andrews. Ten przyjrzał się przez chwilę zdjęciu i uśmiechnął się, pokazując je eksbokserowi, który kiwnął twierdząco głową.

- Nie, nie ma wątpliwości - powiedział. - To na pewno Sally Blane.

- Sally Blane? - zdziwiłem się.

W odpowiedzi „menedżer bankowy” podał mi zdjęcie, a „bokser” włączył projektor i zgasił jarzeniówki. Na ekranie pojawił się napis *Wybór pani domu*. Czarno-biały film był

niemy, więc nie słyszałem głosu, ale natychmiast rozpoznałem młodszą Lillian Andrews, która na filmie otwierała właśnie drzwi komiwojażerowi.

- Tak, to niewątpliwie ona - powiedziałem - ale jest jakaś inna.

- Młodsza. Nakręciliśmy to jakieś pięć czy sześć lat temu - wyjaśnił bankowiec. - Na ekranie Lillian/Sally robiła już komiwojażerowi bardzo profesjonalnie laskę. - Sally pracowała dla nas mniej więcej przez sześć miesięcy. Miała do tego wrodzony talent. Można powiedzieć, że została do tego stworzona. Proponowaliśmy jej więcej pieniędzy niż jakiegokolwiek innej naszej dziewczynie, żeby u nas została, ale zrezygnowała i już nigdy więcej się do nas nie odezwała. Była jednak taką dziewczyną, która zapada w pamięć.

- Gdzie ją znaleźliście?

- Rozpuściliśmy wici, że szukamy nowych talentów. Jeden z naszych ludzi skierował

ją do nas i przyszła z siostrą na casting. - Starłem się nie wyobrazić sobie, na czym może polegać casting do pornosa. - Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że mogła wcześniej pracować w jednym z edynburskich burdeli.

Skierowałem znowu wzrok na ekran. Lillian i „komiwojażer”, oparci o zlew, byli już zaangażowani w pełny stosunek w pozycji wyglądającej na nieprawdopodobną i bardzo niewygodną. Przypomniałem sobie swoje pierwsze spotkanie z Johnem Andrewsem - jaki był

12 Sam Goldwyn (1879-1974) i Joseph Arthur Rank (1888-1972) - znani producenci filmowi.

pompacyjny, obcesowy i zażenowany, a jednocześnie strasznie zaniepokojony o kobietę, którą kochał. To było coś więcej niż małżeństwo dla pieniędzy - to była ukartowana intryga.

- Okej - powiedziałem - starczy już tego oglądania. Więc Blane to jej prawdziwe nazwisko?

„Menedżer bankowy” wyłączył projektor i zapalił światło.

- Nie mam pojęcia. Wszystkie rachunki regulowaliśmy wyłącznie gotówką. Żadnych podatków,

żadnych nazwisk, pełna dyskrecja. Wydaje mi się jednak, że to był jej pseudonim zawodowy. Jej siostra też dla nas pracowała, a posługiwała się zupełnie innym nazwiskiem.

„Bokser” włożył szpulę z powrotem do puszkę, którą odłożył na stos innych.

Następnie wręczył mi dużą szarą kopertę.

- To są kadry z niektórych naszych filmów, w których występowała Sally. -

Edynburska wymowa „boksera” obfitowała w długie, płaskie samogłoski. - Pomyśleliśmy, że mogą się przydać, jeśli potrzebne są panu jakieś dowody.

- Dzięki - powiedziałem. Robiło mi się trochę niedobrze na myśl o nieodległej przyszłości, w której pokażę Johnowi Andrewsowi zdjęcia jego żony uprawiającej seks za pieniądze. Trzeba było odpuścić tę sprawę, kiedy miałem ku temu okazję. Nadal mogłem to zrobić. Ale wiedziałem, że tego nie zrobię.

*

Jonny Cohen podrzucił goryli do jednego ze swoich klubów, po czym zawiózł mnie pod włoską restaurację, gdzie stał zaparkowany mój samochód.

- Dzięki za pomoc, Jonny - powiedziałem, gdy się zatrzymaliśmy. - Sporo było z tym zachodu, a w końcu ta sprawa zupełnie cię nie dotyczy. Doceniam to. - Zacząłem otwierać drzwi, aby wysiąść, gdy poczułem na przedramieniu dotyk ubranej w rękawiczkę dłoni Jonny'ego.

- Nie powiem, że nie ma za co, Lennox. Jesteś moim dłużnikiem. Któregoś dnia mogę cię poprosić o rewanż za tę przysługę.

Zastanowiłem się na chwilę nad jego słowami, po czym kiwnąłem głową.

- W porządku, Jonny.

Stojąc na chodniku, patrzyłem, jak ciemnozielony riley oddala się z delikatnym warkotem. Gdzieś w głębi czułem nieokreślony niepokój. Pracowałem dla Snedдона. Byłem dłużnikiem Jonny'ego Cohena. Coraz bardziej wciągała mnie sprawa, za którą już nikt mi nie płacił. Pomyślałem, że chyba gorzej być nie mogło.

Ale myliłem się. Mogło.

XII

Pamiętam, że przed wojną widziałem pewien film o cyrku, w którym pogromca lwów włożył głowę do paszczy lwa. Pomyślałem wtedy, że to dość głupi sposób zarabiania na życie. Teraz przyszła kolej na mnie. Był jeszcze jeden Król, który dopełniał trójcy.

Młot Murphy.

Nazwisko takie jak Murphy było w Glasgow wizytówką. Wyróżniało człowieka, określało, skąd pochodzi, z kim trzyma i jaką wyznaje religię. Dla protestanckiej większości Glasgow takie nazwisko jak Murphy oznaczało wroga - fenianina, katola, taiga¹³. Może Glasgow było najmniej antysemickim miastem w Europie, ale nadrabiało to zapiekłą wzajemną nienawiścią między protestantami a katolikami. W gruncie rzeczy nie miało to nic wspólnego z religią, lecz z pochodzeniem. Protestanci byli rodowitymi Szkotami, a katolicy potomkami irlandzkich imigrantów, którzy przybyli tu w dziewiętnastym wieku.

Młot Murphy miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt, ale nikt nie powiedziałby o nim, że jest niski. Sprawiał wrażenie, jakby był równie szeroki, jak wysoki. Napakowany mięśniami. Napakowany nienawiścią. Pozostali dwaj Królowie zwykli żartować sobie z niedostatków jego inteligencji. Murphy nie był uczonym, to pewne, ale nie można było lekceważyć jego bezwzględnej, iście zwierzęcej przebiegłości.

Wszyscy znali historię Młota Murphy'ego. Krążyły o niej legendy. A poznawszy ją, człowiek wolał unikać poznania go osobiście.

Już w młodym wieku Murphy doszedł do wniosku, że urodził się bez szans. Zdał

sobie sprawę, że nie dysponuje wystarczającą inteligencją, aby zdobyć wykształcenie, które pozwoliłoby mu wyrwać się z zatłoczonej czynszówki w Maryhill, gdzie gnieździł się w jednym mieszkaniu z rodzicami, pięcioma braćmi i dwiema siostrami. Zrozumiał też, że brytyjski system klasowy ściśle kontroluje rynek pracy, a on jako katolik z robotniczego środowiska Glasgow nie ma nawet książeczki z kartkami żywnościowymi. Dla młodego Murphy'ego było oczywiste, że nigdy nie zakosztuje w życiu tych rzeczy, którymi inni obdarowani zostali tylko dlatego, że nie urodzili się w czynszówce. Chyba że sam sobie je weźmie.

¹³ Taig - pogardliwe określenie irlandzkiego katolika, używane głównie przez lojalistów w Irlandii Północnej i Szkocji.

Wszystko to rozpaliło gdzieś głęboko w jego trzewiach mroczną, wściekłą furję. Z

początku przemoc była dla niego sposobem dania upustu tej furii. Była to przemoc dla samej przemocy, której pełną podniecenia plemienną atmosferę zapewniały mecze między Celtikiem a Rangersami w ramach piłkarskich derbów Glasgow. Potem próbował połączyć przemoc ze strategią przetrwania i odnoszenia sukcesów. Chodziło o przemoc produktywną.

Szóstka braci stanowiła gotowy do działania gang. Firma Murphych nigdy nie brylowała wyobraźnią.

Podążała utartą ścieżką: poczynając od wymuszania haraczy za ochronę, kradzieży samochodów i włamań poprzez lichwiarskie pożyczki aż po przejście strefy wpływów innego gangu.

Wszystko zaczęło się od mało znaczącego wydarzenia - starcia między dwoma podrzędnymi gangami drobnych kombinatorów o kontrolę nad bezwartościowym kawałkiem glasgowskiego terytorium. To wtedy jednak narodziła się legenda i Murphy zdobył swoją ksywę.

Liderem drugiego gangu był Paul Cochrane. Rywalizacja tego rodzaju zwyczajowo przebiegała na drodze wojny pozycyjnej - poprzez niekończące się walki gangów. Postępy mierzono przechwytywaniem kontroli nad kolejnymi barami, kantorami bukmacherskimi i sklepami, od których wymuszano haracze. Murphy zasugerował jednak Cochrane'owi, aby rozstrzygnęli to bezpośrednio między sobą, poprzez indywidualną potyczkę w obecności obu gangów. Zwycięzca miał objąć przywództwo nad oboma gangami. Cochrane nie zapytał, co miało się stać z przegranym.

Spodziewano się, że będą w użyciu jakieś rodzaje broni i Cochrane miał parę kastetów domowej roboty, z których wystawały krótkie, ale zabójcze kolce. Murphy posłużył się pięściami, stopami, czołem, a nawet zębami. Kopnięcia i ciosy Cochrane'a nie robiły wrażenia na zaprawionej w bojach twarzy Murphy'ego. Kiedy Cochrane rzucił się na niego z kastetem, Murphy złamał mu rękę. Walka była szybka, brutalna i bardzo jednostronna.

Cochrane zasygnalizował swoją nie złamaną ręką, że się poddaje.

Triumfujący Murphy zwrócił się wtedy do zgromadzonych członków gangu Cochrane'a, oświadczając, że są odtąd pod jego całkowitą kontrolą. Że są teraz silniejsi, lepsi, twardsi. Obiecał im więcej pieniędzy i władzy. Miał to być dla wszystkich nowy, dobry początek. Następnie spokojnym, dobitnym głosem powiedział, że każdy, kto mu się sprzeciwi, zostanie potraktowany dokładnie tak samo, jak za chwilę Cochrane.

Użył wtedy ołowianego młota budowlanego z krótką rączką.

W obecności czterdziestu świadków Michael Murphy popełnił morderstwo. Co więcej, zrobił z tego widowisko - skrajny pokaz psychotycznej przemocy, mający wstrząsnąć mężczyznami, dla których przemoc była chlebem codziennym. Kiedy skończył, zmusił

byłego zastępcę Cochrane'a do zebrania z ziemi szpadlem tego, co zostało z głowy niegdysiejszego szefa konkurencyjnego gangu. Uzyskał efekt, o jaki mu chodziło.

Wszyscy się o tym dowiedzieli. Łącznie z policją.

Murphy został naturalnie aresztowany. Mógł z powodzeniem skończyć na szubienicy.

Był już jednak żywą legendą. U wielu ludzi budził wręcz zabobonny strach. Może niektórym wydawało się, że jeśli będą świadczyć przeciwko niemu, nawet egzekucja nie powstrzyma go przed powrotem w celu dokonania zemsty.

Policja wiedziała, że zabił Cochrane'a. Wiedzieli gdzie, kiedy i jak to się odbyło. Nie potrafili jednak doprowadzić do postawienia go w stan oskarżenia. Murphy'ego zwolniono.

Jeszcze dwóch innych bossów miało marnie skończyć za sprawą ołowianego młota Murphy'ego. Potem jego organizacja przestępcza błyskawicznie zdobyła wpływy w zachodnim Glasgow. Rozrosła się do tego stopnia, że po zakończeniu drugiej wojny światowej jedyną przeszkodą w sięgnięciu po całkowitą dominację w mieście okazali się Willie Sneddon i Jonny Cohen, dwaj najjobrotniejsi lokalni czarnorynkowi spekulanci.

Sprawy wkrótce przybrały niewesoły obrót. Tuż po wojnie dostępne było sporo nielegalnej broni. Konflikt między trzema jeszcze niekoronowanymi Królami groził

przekształceniem Glasgow w kolejne Chicago. Na początku 1949 roku Sneddon i Cohen połączyli siły i zdrowo dali się Murphy'emu we znaki. Uzbrojeni bandyci Cohena co drugi tydzień nękali bukmacherów Murphy'ego, a zbiry Sneddona kaleczyły lub zabijały najwyższych rangą członków jego gangu. Murphy nie pozostawał im dłużny, równie bezwzględnie dezorganizując ich interesy. W końcu jednak, gdy niemal zginął od ładunku wybuchowego podrzuconego do jego jaguara, zaproponował rozejm.

Jonny Cohen opracował wtedy tak zwany Układ Trzech Królów. W październiku 1949 roku przy obiedzie w eleganckim, urządzonym w stylu art deco barze Regent Oyster w glasgowskiej dzielnicy biznesowej trzech najgroźniejszych i najpotężniejszych przestępców Glasgow podzieliło między siebie strefy wpływów i przynoszące największe profity nielegalne procedury. To był akt koronacji Trzech Królów. Zawarty wtedy układ okazał się udany i stabilny i obecnie, pięć lat później, świat przestępczy Glasgow nadal funkcjonował

względnie spokojnie.

Młot Murphy nieustannie wystawiał jednak na próbę ograniczenia, jakie narzucał mu układ. Bukmacherzy obstawiali, że spośród Trzech Królów to właśnie Młot Murphy doprowadzi w końcu do zerwania rozejmu. Przy każdym załatwianym wspólnie interesie Murphy martwił się tym, że został wykiwany przez pozostałych dwóch. Zazdrościł też rywalom układów z policją, których sam nie zdołał sobie wyrobić. Zawsze gdy ktoś z jego ludzi został aresztowany, podejrzewał, że stoją za tym Sneddon lub Cohen, urabiający opłacanych przez siebie skorumpowanych gliniarzy.

Murphy był kapryśny, nieprzewidywalny i paranoidalnie podejrzliwy - nie sposób było przewidzieć, jaki akurat drobiazg wprawi go w wojowniczy nastrój. A teraz ja miałem się dowiedzieć, czy nie maczał palców w zamordowaniu Tama McGaherna.

Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym po prostu niespodziewanie pojawić się u Młota Murphy'ego, tak jak u Jonny'ego Cohena czy nawet Williego Sneddona. Zadzwoiłem do niego ze swojego biura. Udało mi się tylko zamienić kilka słów z jednym z jego goryli, ale przekazałem wiadomość oględnie wyrażającą to, o czym chciałem z Murphym porozmawiać.

Powiedziano mi, abym zadzwonił ponownie następnego dnia.

Reakcja nastąpiła jednak już w ciągu dwóch godzin.

Po telefonie do Murphy'ego zadzwoniłem do biura Johna Andrews, ponownie przedstawiając się sekretarce umówionym pseudonimem i podając nazwę wymyślonej firmy.

Odmówił rozmowy ze mną. Wyjaśniłem sekretarce, że mam pilną sprawę, i ponownie spróbowała mnie połączyć, ale znowu zostałem splawiony. W pewnym sensie byłem zadowolony, że odwleka się chwila pokazania Andrewsowi kadrów z jego żoną. Ponownie przyszło mi do głowy, jak łatwo byłoby odpuścić sobie całą tę przykrą sprawę.

Bóg mi świadkiem, że trudno polubić człowieka pokroju Johna Andrews. Czułem się jednak tak, jakbym był coś winien samemu sobie. Chłopcu znad rzeki Kennebecasis.

Chciałem sobie udowodnić, że pomimo całego gówna, przez które musiałem się w życiu przeczołgać, potrafię jeszcze zrobić to, co należy. Natknąłem się na istotę ludzką, która w jakiś sposób i z jakichś powodów była wykorzystywana i manipulowana. Może całą tę sprawę opacznie rozumiałem, ale wiedziałem, że jeśli ją zlekceważę, zlekceważę również resztki przyzwoitości, które jeszcze we mnie pozostały.

*

Miałem zwyczaj jadać obiad w herbaciarniach położonych na rogu ulicy Argyle. Coś w ich dużych panoramicznych oknach, sklepionych sufitach i wystroju z czarnego marmuru przypominało mi lokal w Saint John¹⁴, do którego czasem chodziłem z rodzicami jako chłopak.

Właśnie tam zmierzałem, żeby coś zjeść, gdy zgarnęło mnie z ulicy dwóch wielkich Iroli ze złamanymi nosami, ubranych w ciemne garnitury.

14 Miasto w kanadyjskiej prowincji Nowy Brunszwik.

- Przysłał nas pan Murphy. Chce się z tobą zobaczyć. Teraz. Wsiadaj do taksówki. -

Moi opiekunowie wzięli mnie między siebie i wskazali na czarną taksówkę, która podjechała do krawężnika. Chcąc nie chcąc, skorzystałem z zaproszenia. Próbowałem odpędzić od siebie myśli o tym, że był to utarty sposób postępowania Murphy'ego i że Bóg wie ilu ludzi zostało już tak zgarniętych z ulicy, i to prawdopodobnie przez tych samych dżentelmenów, biorąc pod uwagę ich niewątpliwą wprawę w przeprowadzaniu takich akcji. Tych uprowadzonych nikt już więcej nie zobaczył żywych.

Wywieźli mnie do dzielnicy Baillieston, która pod zachmurzonym niebem była jeszcze brzydsza i bardziej ponura niż zwykle, a złomowisko, na którego teren weszliśmy, wtapiało się doskonale w otaczający nas krajobraz. W rogu placu stało kilka baraków z blachy falistej. Na tym tle błyszczący jak ostrze brzytwy srebrzystoszary bentley, świadczący o obecności Młota Murphy'ego, rzucał się w oczy jak powiewający nad królewskim zamkiem proporzec.

Moi opiekunowie doprowadzili mnie do głównego baraku. Zostali na zewnątrz, a ja wszedłem do środka. Za biurkiem siedział Młot Murphy. Otaczająca go aura, tak jak w przypadku bentleya, kojarzyła się ze świeżo naostrzoną brzytwą. Ubrany był w szare mohery, a świeżo ostrzyżone włosy

lśniły brylantyną. Od naszego ostatniego spotkania zapuścił

cienkie wąsy. Colmanowski 15 wąsy pasowały do jego nieforemnej irlandzkiej fizjonomii nie lepiej niż uczesanie na Tony'ego Curtisa i moherowy garnitur.

Czasem trudno jest sobie wyobrazić, jak pewni ludzie mogą uciekać się do aktów skrajnej przemocy, bo tkwiące w nich brutalne skłonności zupełnie nie przejawiają się w ich wyglądzie zewnętrznym. Z Młotem Murphym było inaczej. Miało się przy nim nieustannie poczucie, że za chwilę komuś lub czemuś przyłoży pięścią. Patrząc na jego niezwykle zwartą budowę, odnosiło się wrażenie, że furia jest pewnego rodzaju energią wiążącą ściślej komórki jego ciała.

Przemknęło mi przez głowę, aby rzucić jakiś dowcip na temat jego nowych wąsów, ale uznałem, że wolałbym jednak wyjść żywy z tego baraku.

- Witam, panie Murphy. Chciał się pan ze mną widzieć?

Murphy spojrzał na mnie z nienawiścią. Wiedziałem, że nie powinienem tego brać do siebie. Nienawiść emanowała z niego we wszelkich okolicznościach.

- Słyszałem, że to ty chciałeś rozmawiać ze mną - powiedział. W jego silnym glasgowskim akcencie pobrzmiwały jeszcze echa irlandzkiego Galway, z którego przybyli 15 Ronald Charles Colman (1891-1958) - brytyjski aktor, noszący charakterystyczne cienkie wąsy.

tutaj jego rodzice. - Ale coś się wydarzyło. Coś, co będziesz mi musiał wytłumaczyć.

- Jeśli będę mógł...

- Węszysz w sprawie śmierci Tama McGaherna. Słyszałem, że trochę się przy tym rozbijasz.

- Nie bardziej, niż jestem do tego zmuszony.

Murphy podniósł się z krzesła.

- Chodź za mną.

Wyszliśmy na plac i przeszliśmy do jednego z sąsiednich baraków. Zauważyłem, że moja eskorta znowu pojawiła się po bokach. Jeden z goryli otworzył kłódkę i weszliśmy do środka. Ten barak służył za magazyn części silników i innych bardziej wartościowych elementów odzyskanych na złomowisku. Na ziemi leżało coś większego, zawiniętego w poplamiony smarem koc. Pakunek był wielkości ludzkiego ciała. Poczulem, jak serce zaczyna mi mocniej bić. Cokolwiek było zawinięte w ten koc, nie chciałem na to patrzeć. Wszyscy wiedzieli, że Młot Murphy był zabójcą, ale nikt, włącznie ze mną, nie chciał być podlegającym oskarżeniu świadkiem jego poczynań. Coś takiego mogło złamać dobrze rozwijającą się karierę.

- Niech pan posłucha, panie Murphy...

- Zamknij się, kurwa, i patrz - warknął Murphy. Jeden z goryli zatrzasnął za nami drzwi. Zamknąłem

się, kurwa, i patrzyłem. Drugi goryl odsunął koniec koca zasłaniający twarz.

- O kurwa - wymamrotałem.

- Ty to zrobiłeś? - spytał Murphy.

- Ja? Kurwa, nie. Myślałem, że to wy...

Murphy spojrzał na mnie beznamiętnie. Po chwili powiedział:

- Gdybyśmy my to zrobili, a ty byś na to patrzył, to leżałbyś tu teraz obok niego. -

Przez chwilę zadumałem się nad dalszymi losami mojej obiecującej kariery, spoglądając na zwłoki niegdysiejszego wiernego pacholka Tama McGaherna - Bobby'ego. Ktoś skorygował

jakimś ciężkim przedmiotem jego fryzurę w kaczy kuper. Miał wielkie wgniecenie z jednej strony czaszki i sporo jej zawartości było teraz na zewnątrz zamiast wewnątrz. Próbowałem się opędzić od narzucającego się obrazu trzykilogramowego ołowianego młota. W końcu Młot Murphy nie miał powodu, aby kłamać.

- To kto? - spytałem.

- No cóż, dałeś mu w skórę. A ktoś dokończył dzieła.

- Była między nami różnica zdań. Poróżniliśmy się o to, kto powinien zostać następcą pana Churchilla. On twierdził, że Rab Butler, natomiast ja jestem zwolennikiem Tony'ego Edena. - Dowcip nie chwycił, więc czym prędzej kontynuowałem: - Bobby i jego kolesie nie powiedzieli mi wszystkiego, co chciałem wiedzieć na temat McGaherna. Co więcej, planowali dla mnie małą niespodziankę, ale pokrzyżowałem im szyki. W każdym razie dałem też Bobby'emu kilka funciaków. Był na swój sposób żaloszny. Płotka zgrywająca ważniaka.

- A może to ta pizda Sneddon? - Murphy powiedział to tak, jakby chodziło o podwójne nazwisko. Wilmingtonowie-Smythowie i Pizdy-Sneddonowie.

- Nie. Sneddon nawet nie wie, kto to jest Bobby. Gdybym zechciał, żeby Sneddon się zaangażował, to przysłałby Pedikiurka McBride'a, aby udroźnić przepływ informacji. Ale do tego tylko by się to sprowadziło. Skąd macie ciało?

- Sneddon, Cohen i ja rozparcelowujemy między siebie bary McGaherna. Jak zwykle, wykiwali mnie. Sneddonowi dostał się bar Arabian, żydek zgarnął Imperiala, a ja zostałem z pieprzonym Highlanderem.

- Highlander to niezły interesik. Z tego, co widziałem - powiedziałem swobodnym tonem, jakbyśmy omawiali walory różnych modeli samochodów, a z leżących przed nami zwłok nie unosił się odór krwi i rozbryzganej tkanki mózgowej.

- W każdym razie - kontynuował Murphy - ten zwłok leżał w mieszkaniu nad barem.

- Tym samym, w którym zabito McGaherna?

Murphy przytaknął.

- Nie chcieliśmy, żeby policja się wywiedziała, więc ten tu koleś zostanie przemielony.

A więc to prawda - pomyślałem. Murphy był właścicielem zakładu przetwórstwa mięsnego w Rutherglen, niedaleko miejsca, gdzie Tam McGahern miał warsztat. Krążyły pogłoski, że to właśnie tam Murphy pozbywał się kłopotliwych pozostałości różnych brzydko zakończonych operacji biznesowych. Ale to nie wszystko. Podobno dorabiał też na boku, przetwarzając padlinę dla Jonny'ego Cohena i Williego Sneddona. Stałem się wybredny, jeśli chodzi o źródło zakupu pasztecików mięsnych.

- Nie łapię - powiedziałem. - Nie był nikim ważnym. Nic nie wiedział. Po co go zabijać?

Murphy wzruszył ramionami.

- Takie plotki jak on giną bez przerwy. Na pewno nic o tym nie wiesz?

- Nic. Nie przypuszczałem, że jeszcze go kiedyś spotkam.

- Teraz już nie spotkasz. - Murphy kiwnął głową i goryl zasłonił z powrotem twarz Bobby'ego. - Chciałeś ze mną porozmawiać o zabójstwie Tama McGaherna. Od dawna się o to prosił. I należało mu się ode mnie. Ale ja tego nie zrobiłem ani nikogo do tego nie wynająłem. Tak to wygląda... - Szturchnął zawinięte w koc ciało Bobby'ego czubkiem robionego na miarę buta. - Wszyscy potencjalni sprawcy poza podejrzeniem. Ale jest jedna rzecz, jaką ci chciałem powiedzieć o McGahernie. Coś, co wyszło na jaw dopiero w tym tygodniu.

- Tak?

- Mam udziały w pewnym biurze podróży. Jestem cichym współnikiem, można by tak to ująć.

Jasna sprawa - pomyślałem.

- Nie mam żadnych oficjalnych powiązań z tym interesem - ciągnął Murphy - więc McGahern nie mógł przypuszczać, że się o tym dowiem.

- O czym?

- Tam McGahern w ciągu dwóch miesięcy trzykrotnie wyjeżdżał z Glasgow. Do tego samego miejsca - Amsterdamu. Co taka plotka jak McGahern mogła, kurwa, robić w Holandii?

- Zajmować się przemytem tulipanów? - rzuciłem z uśmiechem, ale szybko spowaźniałem. Wyraz twarzy Murphy'ego sugerował, że chętnie pozbawiłby mnie tego uśmiechu na stałe. - Nie wiem. Ma pan jakiś pomysł?

- Żadnego. Ale to świeża informacja i pomyślałem, że może ci się przydać. - Sięgnął

do kieszeni marynarki i wyciągnął złożoną kartkę papieru. - Tutaj mam zapisane dokładne daty wyjazdów do Holandii i powrotów. Nie było jednak żadnych rezerwacji hotelowych.

- Dzięki. - Spojrzałem na kartkę i schowałem ją do kieszeni. - Potrzebny mi był jakiś nowy trop.

*

Taksówka Murphy'ego odwiozła mnie z powrotem na ulicę Argyle. Bez goryli.

Podskakując na wybojach, zbliżała się do centrum miasta, a ja siedziałem z tyłu i rozważałem, co może wynikać z tych nowych informacji. Po co McGahern tyle razy jeździł do Holandii?

Dopiero w taksówce przypomniałem sobie, co mówił Bobby o spotkaniu McGaherna z jakimś obcokrajowcem w hotelu Central. Może ten grubas był Holendrem. Gdy taksówka dowiozła mnie na miejsce, wróciłem do biura i zadzwoniłem do Williego Snedдона. Jęknął, gdy opowiedziałem mu o Holandii, i spytał, czy potrzebuję więcej pieniędzy, żeby tam pojechać.

- Na razie mi starczy - powiedziałem. - To może nie mieć żadnego związku z jego śmiercią. Najpierw posprawdzam wszystko na miejscu, zanim zacznę rezerwować miejsce na prom.

- Coś jeszcze?

- W tej chwili nie. - To Sneddon płacił, ale nie miałem zamiaru mówić mu o nowym przedziałku Bobby'ego. Są takie rzeczy, których lepiej byłoby nie widzieć. Rozważałem, czy powiedzieć mu o tym, co mówiła Wilma - że owej nocy nad Highlanderem był z nią Frankie -

ale wstrzymałem się. - Prawdę mówiąc, to pan ma lepsze rozeznanie w tego rodzaju interesach, jakie prowadził McGahern. Z czym się panu kojarzy Amsterdam, jeśli chodzi o interesy?

- Czy ja wiem? Chyba z diamentami. Ale McGahern to nie ta liga. Nawet ja musiałbym korzystać z usług ekspertów, gdybym w to wszedł. Popytaj Cohena.

Powiedziałem, że tak zrobię i odwiesiłem słuchawkę. Ponownie spróbowałem skontaktować się z Johnem Andrewsem, z takim samym rezultatem jak poprzednio.

Zastanawiałem się, czy nie wysłać mu tych zdjęć, ale nie miałem gwarancji, że to nie jego żona otworzy kopertę. Pomyślałem o wysłaniu ich do jego biura z napisem „poufne - do rąk własnych”, ale wystarczyłaby nieuważna albo wścibska sekretarka, żeby sprawa przybrała niepożądany obrót. Nieprzyzwoite zdjęcia żony w zwykłej szarej kopercie niezbyt dobrze wpływają na reputację w świecie biznesu.

Odpuść, Lennox.

XIII

Umówiłem się z Elsie, pielęgniarką, która tak troskliwie zajęła się moją poturbowaną łepetyną, na randkę w Trocadero. Zazwyczaj unikałem sal tanecznych Glasgow. Zbijały niezłą kasę, bo tam właśnie zawierała damsko-męskie znajomości klasa robotnicza. A ponieważ Glasgow było miastem zdecydowanie robotniczym, w każdy piątkowy i sobotni wieczór tancbudy pękały w szwach.

Moja niechęć do tych lokali wynikała z faktu, że pomimo całego zadęcia i pseudohollywoodzkiego blichtru miały urok miejskich rzeźni.

I często tym właśnie się stawały. Wykidajłów było tam niejednokrotnie więcej niż barmanów, a potrącenie kogoś i wylanie przez przypadek drinka mogło człowieka kosztować podbite oko.

Elsie, moja ładniutka pielęgniareczka, była jednak „zapalona do tańców”, więc na czwartą randkę umówiliśmy się do Trocadero. Podejrzywałem też, że czuła się tam pewniej, licząc na to, że obecność tłumu pohamuje moje nieczne zamiary.

Wcisnęliśmy się do środka o wpół do dziewiątej i tak jak wszystkich nowo przybyłych natychmiast ogarnęła nas fala lepkiego gorąca buchającego z tysiąca stłoczonych tam ciał.

Kapela robiła, co mogła, aby zrównoważyć natężenie dźwięku z rozpoznawalnością granej melodii, a była akurat w trakcie jakiejś wersji *Niebieskiego tanga* orkiestry Raya Martina.

Utorowaliśmy sobie drogę przez ciżbę, po czym zostawiłem Elsie na skraju parkietu, a sam poszedłem po jakieś drinki. Wracając, dostrzegłem dwa wolne miejsca przy jednym ze stolików i poprowadziłem ją w tamtym kierunku. Tak jak to nieznaną się glasgowczycy mają w zwyczaju, Elsie wdała się w konwersację z trójką dziewczyn, które już siedziały przy stoliku. Tańczyliśmy i piliśmy cały wieczór, ale alkohol w gorącej jak szklarnia tancbudzie w ogóle nie szedł do głowy.

Tuż po dziesiątej zagęszczenie w Troc zwiększyło się jeszcze bardziej wraz z falą spóźnialskich, wyplutych z pubów na ulice zgodnie z obowiązującymi w prezbiteriańskiej Szkocji przepisami dotyczącymi sprzedaży napojów alkoholowych. Pojawiła się grupa niemających więcej niż dziewiętnaście lat podrostków, którym biła z oczu radośnie mordercza nienawiść. Można było z dużą dozą przygnębiającej pewności przewidzieć dalszy bieg wydarzeń i intuicja podpowiedziała mi, że powinniśmy z Elsie opuścić lokal.

- Będzie zadyma - powiedziałem, kiedy zaprotestowała. Miałem rację. Ledwo dotarliśmy do drzwi, a dały się słyszeć znajome odgłosy rozpoczynającej się bijatyki gangów.

Zaparkowałem za rogiem w pobliżu szpitala. Glasgow znowu spowijała mgła, nie tak gęsta jak owej nocy, kiedy natknąłem się na Lillian Andrews, ale na tyle, aby dać nam pewne poczucie intymności.

Po pewnej dozie pocałunków i pieszczot Elsie odepchnęła mnie od siebie.

- Wystarczy już, panie Lennox. - Uśmiechnęła się z kokieterijnym wyrzutem, ale w jej głosie pobrzmiwała nuta zdenerwowania.

- O co chodzi, Elsie? Nie podobam ci się?

- Myślę, że jest pan bardzo miły. - Poddała mnie uważniejszym oględzinom w panującym w samochodzie półmroku. - A nawet bardzo przystojny.

- To ci nie przeszkadza? - Położyłem dłoń na swoim lewym policzku.

- Nie, wcale nie. Te szramy nie wyglądają aż tak źle i dodają panu męskości. Jak się pan ich dorobił?

- Nadstawiłem drugi policzek. Niestety w kierunku niemieckiego granatu. Te szramy to w zasadzie dzieło latającego mnie chirurga.

Elsie zmarszczyła czoło i przesunęła opuszki palców po sieci cienkich białych blizn.

Znowu spróbowałem ją objąć, ale odsunęła się.

- Muszę wracać...

Wysiedliśmy i ruszyliśmy w stronę stacji pielęgniarek.

- Dowiedziałam się tego, co pana interesowało - powiedziała po drodze. - Nie udało mi się dowiedzieć wszystkiego, ale rozmawiałam z przyjaciółką, która pracuje w Hairmyres.

Specjalizują się tam w leczeniu gruźlicy.

- Czego się dowiedziałas?

- Wilma Marshall została umieszczona przez policję w szpitalu Hairmyres. Tamtejsi lekarze doprowadzili do zapadnięcia płuca i zaaplikowali jej kurację tym nowym lekiem na gruźlicę - streptomycyną. Źle na nią jednak reagowała, więc podali jej nikotynę, aby zneutralizować skutki uboczne. Spędziła w Hairmyres dwa tygodnie, a następnie przewieziono ją do sanatorium w Perthshire. To wszystko, czego udało mi się dowiedzieć.

Moja przyjaciółka bardzo niechętnie udzielała tych informacji. Powiedział pan, że jest jej kuzynem? - Na ładnej, owalnej twarzy Elsie malował się cień podejrzliwości.

Przytaknąłem.

- Moja ciotka bardzo się o nią martwi.

Byliśmy już blisko stacji pielęgniarek. Pociągnąłem Elsie łagodnie w kierunku ciemnego wylotu uliczki, dokąd nie sięgał osnuty mgłą krąg światła latarni ulicznej.

Pocałowałem ją, po czym podkasałem jej spódnicę, a ona zaprotestowała. Ale zbyt mało zdecydowanie. Później, gdy wynurzyliśmy się z ciemnego zaułka, trochę płakała i musiałem ją pocieszać. Kazała mi obiecać, że znowu się z nią spotkam, i powiedziałem, że zobaczymy się w następny weekend. Obiecałem, ale było to kłamstwo i oboje o tym wiedzieliśmy.

Kiedy wracałem do samochodu, uczucie ciężkości w klatce piersiowej znowu ostrzegło mnie, że mgła wkrótce zgęstnieje w dławiący smog. Jadąc do domu ulicą Great Western, musiałem zachowywać prędkość niewiele większą od tempa piechura, kierując się widokiem linii krawężnika wzdłuż jezdni. Kiedy przyjechałem i podszedłem do drzwi, Fiona White jeszcze nie spała.

- Miły wieczór, panie Lennox? - Po jej słowach w powietrzu pojawił się lekki zapach sherry. W sobotni wieczór do tego właśnie sprowadzała się w Glasgow rozrywka dostępna dla wojennej wdowy z klasy średniej.

- Udany, pani White. A jak u pani?

Przez jej twarz przemknął niemal szyderczy uśmiech. Sięgnęła za siebie i podała mi kopertę.

- Jakiś dżentelmen dostarczył to dla pana dziś po południu.

- Czy zostawił jakąś wiadomość?

- Nie. Dobranoc, panie Lennox.

*

Rzuciłem kopertę na łóżko, na razie jej nie otwierając, zdjąłem krawat i powiesiłem na wieszaku marynarkę. Włączyłem radio, zapaliłem papierosa i wyjrzałem przez okno na ulicę.

Smog jeszcze szczelniej opatulił miasto. Pomyślałem o zapłakanej twarzy małej Elsie. Był

taki czas, kiedy nie wykorzystałbym w taki sposób kobiety. Kiedyś faceta takiego jak ja miałbym za najgorsze ścierwo. Był taki czas, kiedy nie zrobiłbym wielu rzeczy, które robiłem teraz.

Radio miałem zawsze nastawione na Serwis Zagraniczny BBC, stację radiową stworzoną do przekonywania Kanadyjczyków takich jak ja, a także Australijczyków i Nowozelandczyków, że pozostanie częścią Imperium Brytyjskiego to świetny pomysł.

Słuchanie Serwisu Zagranicznego weszło mi w krew. Może dlatego, że jak na ironię sprawiało, iż czułem się tak, jakbym z powrotem trafił do Nowego Brunszwiku. Wysłuchałem wiadomości. Malenkov objął po Stalinie stanowisko sowieckiego premiera. Partyzanci ruchu Mau Mau zamordowali dwóch członków Kenijskiej Straży Narodowej. W Kaesong16 nadal impas. Kolejne starcia między Arabami i Izraelczykami. Hunt i Hillary założyli bazę u podnóża Everestu. Kontynuowane są przygotowania do czerwcowej koronacji.

Otworzyłem kopertę przekazaną mi przez Fionę White. Na załączonej notce widniało:

„Warto obejrzeć”. Był tam też klucz z przywieszką, na której widniał adres w położonym pod Glasgow miasteczku Milngavie. Obróciłem kopertę i dobrze ją wytrząsałem, ale nic więcej w niej nie było. I żadnego śladu wskazującego, kto ją przekazał. Przyszło mi do głowy, że to od Williego Snedдона, ale kiedy wcześniej rozmawiałem z nim przez telefon, nic o tym nie wspomniał. Może przekazał to ktoś inny, kto nie chciał się afiszować zaangażowaniem w sprawę, licząc się z tym, że

chłopcy w niebieskich mundurach mogą znowu mnie odwiedzić i znaleźć jakieś ślady. Postanowiłem, że zadzwonię do Sneddona i dowiem się, o co chodzi. Na razie miałem jednak do odnalezienia inną posiadłość.

*

Następnego dnia zjawiłem się na ulicy Byres z listą adresów, które zebrałem, dzwoniąc po radcach prawnych i agentach nieruchomości. Jeden adres znajdował się przy samej ulicy Byres, a pozostałe przy jej przecznicach. Dominowała tu zabudowa szeregową -

rzędy wiktoriańskich kamieniczek, ściśniętych razem i stojących tak blisko jezdni, że z przodu miały tylko symboliczne skrawki ogródków. Ich mury z czerwonego piaskowca szerniały od sadzy. Niektóre zostały podzielone na niezależne mieszkania. Tuż za rogiem mieścił się uniwersytet i wiele tych domów i mieszkań zajmowali średnio zamożni nauczyciele akademicy.

Najpierw obejrzałem każdy dom od zewnątrz. Żaden z nich nie wyglądał na były burdel. Albo może wszystkie tak wyglądały. Miałem na podorędziu jakąś lipną historyjkę, ale jakoś nie kwapiłem się do chodzenia od drzwi do drzwi. Jeden z domów przy ulicy Dowanside, około trzystu metrów od zbiegu z Byres, wyglądał równie obiecująco jak każdy inny. Obok niego odchodził od Dowanside stromo w górę wąski zaułek. Poszedłem nim i skręciłem na tył domu, starając się jak najmniej rzucać w oczy w to ciche niedzielne popołudnie. Tył domu był chroniony ogrodzeniem, zauważyłem jednak, że nowy lokator rozpoczął porządkowanie zapuszczonego ogrodu. Właściciele burdeli nie spędzają zbyt wiele czasu w ogrodzie.

Afektowany akcent spotykany w glasgowskiej dzielnicy Kelvinside jest zadziwiającym popisem fonologicznej ekwilibrystyki. Snobistyczni kelvinsideczycy nie 16 Kaesong - miasto koreańskie, w którym toczyły się w latach 1950-1953 działania zbrojne podczas wojny koreańskiej.

potrafią poprawnie naśladować standardowej angielskiej wymowy, więc zamiast tego instynktownie, zgodnie z typową glasgowską manierą, starają się na siłę spłaszczyć każdą wypowiedzaną samogłoskę. Kawaleria staje się wtedy kewelerią, a kasa kesą. Kobieta, która otworzyła drzwi, pastwiła się nad samogłoskami wyjątkowo okrutnie. Była drobną, niczym niewyróżniającą się panią domu pod czterdziestkę o matowych, rudawych włosach i nieżyczliwym spojrzeniu. Z głębi domu dobiegały odgłosy dzieci.

- W czym mogę pomóc? - spytała.

- Witam panią. Nazywam się Wilbur Kaznyk. Przyjechałem tu na wakacje ze Stanów i miałem nadzieję spiknąć się ze starym kumplem, towarzyszem broni. Nazywa się Frank Harris. Nie mam jego dokładnego adresu, ale wiem, że mieszkał gdzieś przy ulicy Dowanside. Ktoś mi powiedział, że sprzedał dom i przeprowadził się. Wydaje mi się, że właśnie państwo od niego ten dom kupiliście.

Przez chwilę mierzyła mnie podejrzliwie wzrokiem, po czym krzyknęła przez ramię w głąb domu:

- Henry... jakiś człowiek szuka niejakiego Frenka Herrisa.

Henry wynurzył się zza swojej żony. Ze swoim niewielkim wzrostem i grubymi szklami na nosie przypominał kreta. Powtórzyłem fikcyjną historyjkę o tym, że jestem gościem z Ameryki.

- To nie ten dom - powiedział. - Kupiliśmy go od niejakiej pani McGahern, młodej wdowy, której mąż chyba zginął na wojnie.

- Czy poznaliście państwo panią McGahern? - zaryzykowałem, idąc za ciosem. -

Chodzi o to, że może to ona kupiła ten dom od Franka i ma jego aktualny adres.

- Nigdy nie poznaliśmy pani McGahern - powiedziała żona Henry'ego. -

Przeprowadziła się już wcześniej. Wszystko zeletwieliśmy przez Mesona i Brodiego, jej redców prewnych. - Adres miałem właśnie od Masona i Brodiego. - Może to ich powinien pan zapytać. Mają biuro przy St Vincent. Do widzenia.

Zatrzasnęła drzwi. To tyle na temat międzykontynentalnej przyjaźni. Wiedziałem jednak przynajmniej, że tego adresu szukałem. Byłem też raczej pewien, że Tam McGahern nie miał jakiejś ukrytej żony. Musiałem znaleźć sposób, żeby wyciągnąć od Masona i Brodiego potrzebne informacje.

*

Pomyślałem o zajściu do baru Pod Końskim Łbem na tradycyjny pasztecik i piwo, ale przypomniał mi się zakład mięsny Młota Murphy'ego i postanowiłem zjeść podwieczorek przy ulicy Byres. Ciasta były zbyt drogie i zbyt słodkie. Stopniowo rezygnowano z racjonowania żywności i cukier dopiero co przestał być dostępny tylko na kartki, dlatego obfite słodzenie stało się oznaką powracającego dobrobytu. Siedziałem przy oknie i obserwowałem, jak toczą się sprawy tego świata, a w każdym razie ulicy Byres. Piłem herbatę i zastanawiałem się, w jakim jestem punkcie. Na zewnątrz światło słoneczne padające na ludzi i przejeżdżające samochody budziło nastrój równie radosny jak prezbiteriański kaznodzieja. Nostalgia za Kanadą dopadała mnie najsilniej w takie właśnie brytyjskie niedziele.

Podjąłem wreszcie decyzję, zapłaciłem, wróciłem do samochodu i pojechałem do Bearsden. Zaparkowałem tam, gdzie poprzednio, i skręciłem w kierunku podjazdu do domu Andrewsów. Z podjazdu z piskiem opon wyjechał na ulicę beżowy kabriolet mg TF i odskoczyłem do tyłu, kryjąc się za rosnącym obok gęstym krzakiem. Zauważyłem, że za kierownicą siedziała blondynka, która towarzyszyła Lillian Andrews owego wieczoru w smogu. Byłem też prawie pewien, że obok niej siedziała Lillian. Poczekalem, aż samochód zniknie w ulicy Drymen, i podszedłem do drzwi.

Otworzył mi John Andrews. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę z fularem i bladoniebieski sweter podkreślający jego wydatny brzuch, który wcale nie wymagał

podkreślania. Biorąc pod uwagę, że nie odbierał moich telefonów, spodziewałem się, że mój widok go zaskoczy lub wręcz rozżłości. Ale z jego zaskoczenia przebijał strach.

- Czego pan chce, Lennox?

- Musimy porozmawiać, panie Andrews.

- Nasza umowa jest już nieaktualna. Już to przecież sobie wyjaśnialiśmy. Moja żona wróciła - nic jej się nie stało.

Pokazałem mu kopertę.

- Musimy omówić to, co mam w tej kopercie, panie Andrews. Obawiam się, że to ważne. Mogę wejść?

Andrews przez chwilę wyglądał na niezdecydowanego, po czym cofnął się, wpuszczając mnie do środka. Próbowałem nie dać po sobie poznać, że znam drogę do nowocześnie urządzonego salonu. Andrews nie usiadł ani nie zaproponował mi krzesła.

Wręczyłem mu kopertę ze zdjęciami. Chociaż od tak dawna to planowałem, nagle uświadomiłem sobie, że nie bardzo wiem, co powiedzieć. Poczekalem, aż obejrzy zdjęcia. W

połowie oględzin nie tyle usiadł, ile padł na niską sofę. Oglądał jednak dalej. Kiedy skończył, spojrzał na mnie. W jego oczach dostrzegłem udrękę. Głęboką udrękę, ale żadnego zdziwienia. Ani zawodu.

- Jest pan teraz usatysfakcjonowany, panie Lennox? - powiedział z głuchą nienawiścią. - Jest pan szczęśliwy, że mnie upokorzył?

- Nie, panie Andrews. Nie sprawia mi to absolutnie żadnej przyjemności. Mogłem zostawić sprawy własnemu biegowi...

- Więc czemu, do diabła, pan tego nie zrobił? - Oczy mu zwilgotniały. - Czemu nie dał

pan temu spokoju, kiedy o to prosiłem?

- Ponieważ, panie Andrews, wydawało mi się, że ma pan kłopoty. Teraz wydaje mi się tak jeszcze bardziej. Wyobrażam sobie, że oglądanie tych zdjęć nie było dla pana miłe, ale wiem też, że ich widok pana nie zaskoczył. Czy ma pan jakieś kłopoty, panie Andrews? Czy ktoś pana szantażuje albo coś takiego?

Zaśmiał się gorzko.

- Wie pan, ja kochałem swoją żonę. Nadal ją kocham. Lillian jest taka piękna. Taka piękna. Nie mogłem uwierzyć, że w moim wieku może mnie jeszcze spotkać takie szczęście.

Widzi pan, moja pierwsza żona zmarła.

- Przykro mi. A więc od samego początku miał pan wrażenie, że to jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe?

I znowu gorzki śmiech.

- Dziękuję, Lennox. Dziękuję za zwrócenie uwagi, jakie to powinno być oczywiste.
- Niech pan słucha - wiem, że wpadł pan w tarapaty. Jeśli tylko mogę, chciałbym panu pomóc.
- Rozumiem. Reklamuje pan swoje usługi...
- Nie robię tego dla pieniędzy. Już mi pan zapłacił, i to z naddatkiem. Chcę po prostu pomóc.
- Więc niech mnie pan zostawi w spokoju. Niech pan się ode mnie odwali. Jasne, że mam kłopoty. Ożeniłem się z dziwką i naciągaczką, która puści mnie w samych skarpetkach.

To są właśnie moje kłopoty. I niech mi pan wierzy, nie potrzebuję dodatkowych. A pan potrzebuje, panie Lennox?

Wziąłem swój kapelusz.

- Jak pan chce. Ale nadal uważam, że za tym wszystkim kryje się coś więcej. Gdyby pan jednak potrzebował pomocy, niech pan dzwoni do mojego biura albo pod ten numer. -

Zapisałem mu numer do swojego mieszkania. - I jeszcze jedno... Może nie jest pan tego świadom, ale Lillian tak naprawdę ma na imię Sally. Sally Blane. Uznałem, że powinien pan to wiedzieć. Jeśli nie zmieniła prawnie nazwiska i wyszła za pana pod fałszywym, to małżeństwo jest nieważne. Mógłby pan się od niej uwolnić.

Nadal wpatrywał się we mnie z głuchą nienawiścią, ale wziął ode mnie kartkę z numerem.

*

Wstąpiłem do baru Pod Końskim Łbem na dwa drinki. Były mi potrzebne. Nie lubiłem Andrewsa. Nie lubiłem jego nalanej, szpetnej twarzy, jego pozerstwa i sposobu mówienia. Mimo to gdzieś w głębi duszy czułem litość dla cierpiącego bliźniego. Znowu mnie to zaskoczyło. Sądziłem, że tego rodzaju wrażliwość uległa we mnie unicestwieniu wraz z chłopcem znad Kennebecasis.

Z dwóch drinków zrobiły się trzy albo cztery i znowu zacząłem myśleć o swojej pielęgniarce. A potem o Fionie White, mojej gospodyni. O jej oczach przypominających oczy Kate Hepburn. O pocałunkach, którymi miałem ochotę rozluźnić jej zawsze zbyt zaciśnięte usta. O tym, jak łatwo byłoby jednej przetrąconej istocie zbliżyć się do drugiej.

I o tym, jaki ten cały świat jest do dupy.

Wielki Bob spytał, czy nalać mi kolejną szklaneczkę, ale podziękowałem. Zacząłem wpadać w ten szpetny nastrój rozdrażnienia, w którym jeden drink za dużo wystarcza do pojawienia się neodpartej ochoty, żeby dać komuś w mordę - komukolwiek, byle tylko poczuł się gorzej ode mnie. Miałem w sobie więcej szkockiej krwi, niżbym chciał się do tego przyznać.

Wyszedłem w zimną, wilgotną glasgowską noc. Zostawiłem samochód przed barem i wróciłem do domu piechotą. Był to długi spacer i nocne powietrze pomogło mi stopniowo ochłonać. W końcu

stanąłem przed domem. Zastony w mieszkaniu Fiony White na parterze były zaciągnięte, ale na ich krawędziach sączyła się ciepła poświata. Obie dziewczyny pewnie już spały w sypialni na tyłach domu, śniąc o ojcu, którego teraz pamiętały tak naprawdę już tylko z fotografii.

Cicho otworzyłem drzwi, po czym zamknąłem je i szybko wbiegłem po schodach na górę. Dzisiejszy wieczór nie był odpowiedni do tego, aby natknąć się na panią White. Groziło to tym, że nasza potrzeba bliskości mogłaby się okazać zbyt duża.

A może tylko tak się łudziłem.

XIV

Z Jockiem Fergusonem spotkałem się Pod Końskim Łbem w porze obiadowej.

Wcześniej umówiłem się z nim telefonicznie i z grubsza opowiedziałem mu o tym, czego chciałbym się dowiedzieć. Obcowanie z gliniarzami zawsze ma jednak swoją cenę. Są z natury dociekliwi. Wścibscy.

- Po co ci te informacje? - spytał Ferguson. - Czy my też powinniśmy się tym zainteresować?

- To sprawa, nad którą pracuję. Coś w niej śmierdzi. Najpierw ten facet prosi mnie o odnalezienie zaginionej żony, potem próbuje mnie przekupić, żebym od tego odstąpił, po czym jego żona obnaża przede mną cycki, a jej gach robi mi dziurę w głowie.

- Prowadzisz barwne życie, Lennox. Co ma do tego ta firma?

- On jest jej właścicielem. Albo nią zarządza. Był dość oględny, jeśli chodzi o to, czym konkretnie się zajmują.

- No więc udało mi się to sprawdzić. Jeśli twój klient nazywa się John Andrews, to jest właścicielem firmy. Nazwa SIC to skrót od Skonsolidowany Import nad Clyde.

„Skonsolidowany”, ponieważ kupił wiele mniejszych firm i przekształcił je w jedną dużą.

Mają magazyny wzdłuż Clyde i duże biuro przy placu Blythswood.

- Co eksportują?

- Maszyny fabryczne, części zamienne - tego typu towary. Na cały świat - do Ameryki Północnej, na Bliski i Daleki Wschód... Mówisz, że miałeś konfrontację z żoną faceta?

- Można by tak to ująć. Jutro mają mi wyciągać szwy.

- Były tego warte? - spytał Ferguson.

- Co mianowicie?

- Cycki. - Ferguson miał niemal uśmiech na twarzy, co u niego było ewenementem.

- Udało mi się dowiedzieć, że była kiedyś prostytutką - odparłem, ignorując jego pytanie. - Może nadal nią jest. W każdym razie grała kiedyś w pornosach. Wiesz, takich, jakie lubicie oglądać na tych waszych męskich policyjnych imprezkach.

Spojrzał na mnie krzywo.

- Facet jest alfonsiem?

- Nie. Właśnie o to chodzi. Wygląda na uczciwego glasgowskiego biznesmena, jeśli to nie sprzeczność sama w sobie. Najwyraźniej nic nie wiedział o przeszłości żony.

- I dopiero ty go z nią zapoznałeś.

- Chociaż... może się mylę, mówiąc, że nic nie wiedział. Kiedy pokazałem mu zdjęcia...

- Zdjęcia? Pokazałeś mu zdjęcia jego pieprzącej się z kimś żony? Niezły z ciebie numer.

- W każdym razie... - Musiałem jakoś przeboleć zniesmaczenie Fergusona. - Kiedy pokazałem mu zdjęcia, wcale nie wyglądał na wstrząśniętego. Bardziej na smutnego.

Zrezygnowanego.

- Jakaś intryga?

- Czy ja wiem. - Odgryzłem kęs pasztecika, w którym było więcej tłuszczu niż smaru na osi traktora. Glasgow zdecydowanie nie było potęgą kulinarną. - Ale tym mi to pachnie.

Coś się w tym wszystkim nie zgadza. Jego żona używała kiedyś innego nazwiska, ale nie wiem, które jest prawdziwe, a które to pseudonim zawodowy. Szantaż też mi tutaj jednak nie pasuje.

Ferguson wzruszył ramionami.

- W każdym razie daj mi znać, jeśli uznasz, że dzieje się coś, o czym powinniśmy wiedzieć.

Kontynuowaliśmy rozmowę na inne, błahe tematy, dopóki nie dokończyliśmy swoich pasztecików i piw. W gruncie rzeczy to Ferguson starał się podtrzymać tę towarzyską rozmowę. W każdym razie jak ognia unikał jakiegokolwiek wzmianki o zabójstwie McGahernów.

A właśnie ten temat powinien być się pojawić, choćby tytułem podkreślenia jego wcześniejszych ostrzeżeń.

*

Następnego dnia udałem się do mojego rejonowego lekarza, który usunął mi szwy z potylicy. Była to spora ulga, bo zaczęły mnie już cholernie swędzieć. Później poszedłem do swojego biura i to właśnie tam odebrałem ten telefon. Zadzwoiła jakaś młoda kobieta. Siła się na akcent sugerujący, że należy do klasy średniej, ale co chwila pojawiały się w jej wypowiedzi elementy glasgowskiego dialektu, jak kompromitujący, nieokrzesany krewny, który stara się chyłkiem wepchać na przyjęcie. Nie przedstawiła się, nawet gdy wprost spytałem o jej nazwisko.

- Wystarczy panu informacja, że byłem bliską przyjaciółką Tama McGaherna. Wiem, że rozpytywał pan o niego. Mam pewne informacje, których pan szuka.

- Więc niech mi je pani po prostu przekaże.

- Nie przez telefon. Spotkajmy się nad rzeką, przy ulicy Broomielaw, dziś o dziesiątej wieczorem.

- Wie pani co? - powiedziałem. - Zawsze kiedy słyszy się takie kwestie na filmach, pojawia się w końcu jakiś zbir... „Nie przez telefon. Spotkajmy się osobiście w jakimś ustronnym, ciemnym miejscu, gdzie będziesz mógł dostać w głowę łyżką do opon”. Po jakie licho miałbym się z panią spotykać w jakimś odludnym, ciemnym miejscu?

- Bo ludzie w to zamieszani są niebezpieczni i nie chcę, żeby mnie z panem widziano.

- Mam lepszy pomysł. Zgodnie z porzekadłem, że najciemniej jest pod latarnią, spotkajmy się w hali głównej Dworca Centralnego i nie o dziesiątej, tylko o dziewiątej. Jak późno się kładę, robią mi się zmarszczki.

Zaczęła protestować, ale odwiesiłem słuchawkę.

*

Dworzec Centralny był tuż za rogiem mojego biura przy ulicy Gordon, ale postanowiłem najpierw pójść do domu i odświeżyć się. Potem wróciłem samochodem do centrum, zaparkowałem przy Argyle i przespacerowałem się do dworca, żeby zrobić wstępny rekonesans.

Dotarłem tam wcześniej - mniej więcej za dwadzieścia dziewiąta. Stałem pod głównym zegarem dworcowym i zacząłem lustrować rozkład jazdy, jakbym planował podróż.

Mimo późnej godziny po dworcu nadal kręciło się sporo ludzi. Nadjechał pociąg z Edynburga i przez dworzec przetoczyła się fala podróżnych. Potem hala znowu przycichła. Była za dziesięć dziewiąta.

Uświadomiłem sobie, że obok mnie pojawiła się jakaś nieduża postać. W zasadzie najpierw uświadomiłem sobie bijący od niej odór. Był to mężczyzna, który mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Albo dwudziestu. Długotrwałe picie sprawiło, że trudno było zgadnąć. W

zagłębienia jego od dawna niemytej twarzy głęboko wżarł się brud i jego rysy sprawiały wrażenie, jakby naniesione zostały węglem na podkład zszarzałej skóry. Spojrzał na mnie i obnażył w uśmiechu szczątki swojego uzębienia.

- W porządku, kolego?

- Pewnie. A u ciebie?

- No cóż... nie mogę narzekać. Nic by to nie dało. Miałbyś może kilka zbędnych pensów? - Włóczęga posługiwał się typową dla Glasgow gardłową gwarą, która wprawiała mnie w zupełną konsternację, kiedy po raz pierwszy się tu sprowadziłem. Z początku miałem wrażenie, że spora część glasgowczyków posługuje się rdzennym językiem gaelickim.

Dopiero po kilku tygodniach zorientowałem się, że w gruncie rzeczy mówią po angielsku.

- Niech zgadnę - powiedziałem. - Zabrakło ci na bilet powrotny do domu i chciałbyś ode mnie

pożyczyć tę kwotę, tak? I obiecujesz, że jeśli dam ci swój adres, to jutro rano natychmiast mi ją zwrócisz przekazem, tak?

- Nieee. - Uśmiechnął się szerzej. Wolałbym, żeby tego nie robił. - Nieee, wcale bym tak nie powiedział. Powiem ci dokładnie, na co mi te pieniądze potrzebne. Na gorzałę. Wiesz, mógłbym kręcić. Ale prawda jest taka, że chciałbym od ciebie kilka pensów, żeby się schlać.

- Podziwiam twoją szczerłość.

- To zawsze najlepsza zasada, kolego. Powiem ci coś, co jest szczerą prawdą: cokolwiek mi dasz, zostanie pieczołowicie zainwestowane. Dasz mi ze dwa szylingi, a gwarantuję ci, że spośród tych, którzy cię poproszą tutaj o wsparcie dziś wieczór, nikt nie da rady być pijany tak długo, jak ja. Znaczący, w przeliczeniu na każdego zainwestowanego pensa.

- Podziwiam też twoją nawijkę - powiedziałem.

- Dzięki, kolego. Jestem czołowym ekspertem w tej dziedzinie.

Roześmiałem się, wręczyłem mu półkoronówkę i ulotnił się.

Dworcowy zegar wybił dziewiątą. Znowu rozejrzałem się wkoło, ale nie dostrzegłem w pobliżu żadnej tajemniczej blond *femme fatale*. Ani żadnych goryli z rękami wbitymi w kieszenie marynarek. Odczekałem jeszcze dziesięć minut. Nic. Po pięciu kolejnych minutach opuściłem dworzec. Moja rozmówczyni najwyraźniej uznała Dworzec Centralny za zbyt mało romantyczne miejsce na schadzki. Poszedłem ulicą Gordon, minąłem grupkę palących taksówkarzy, po czym skręciłem w Hope i ruszyłem w kierunku Argyle, gdzie zaparkowałem samochód.

Rzucili się na mnie w chwili, gdy otwierałem drzwi samochodu.

Tuż za mną stał zaparkowany duży bedford, co obudziło moją podejrzliwość, jako że reszta ulicy Aryle była praktycznie pusta. Ponieważ zwróciło to moją uwagę, niejako spodziewałem się czegoś niespodziewanego i usłyszałem, jak biegną w moim kierunku od strony bedforda. Czterech drabów, po dwóch z każdej strony.

Pierwszy zamachnął się na moją głowę kawałkiem ołowianej rury. Nie miałem ani czasu, ani miejsca, żeby uskoczyć, więc natarłem na niego, osłabiając siłę ciosu. Jednocześnie wymierzyłem mu kolaniem silne uderzenie w krocze. Naprawdę silne. Kiedy zgiął się w pół, doprawiłem hakiem w twarz. Usłyszałem jęk i gdy padał na chodnik, wyrwałem mu z ręki rurę. Pozostała trójka też już się do mnie dobierała, więc zacząłem na oślep wymachiwać rurą.

Trafiłem dwóch. Jeden dostał w twarz i wrzasnął, gdy rura rozorała mu policzek.

Dwóch na razie leżało na ziemi, jeden był ogłuszony, a jeden jeszcze nietknięty. Nie miałem szans wygrać tej potyczki, ale im nie chodziło o bijatykę. Próbowali mnie zgarnąć z ulicy, tylko nie wyszedł im element zaskoczenia.

Ktoś kopnął mnie w górną część uda, chybiając krocza, w które mierzyłem.

Zainkasowałem trzy silne ciosy w twarz, ale utrzymałem się na nogach. Znowu machnąłem rurą i zahaczyłem o czyjąś głowę. Zaczynałem słabnąć. Znowu dostałem w twarz i poczułem smak krwi. Padłem na chodnik i zaczęła się seria kopniaków. Ale ustała.

Usłyszałem pisk opon cofającego się bedforda i zgrzyt sprzęgła. Furgonetka z pełną prędkością ruszyła ulicą, a jednocześnie dał się słyszeć przenikliwy odgłos policyjnego gwizdka i tupot nadbiegającego posterunkowego. Zwlokłem się z ziemi i zdążyłem jeszcze zobaczyć tył furgonetki, zanim skręciła w ulicę West Campbell. Młody policjant chwycił

mnie za ramię i podtrzymał na nogach.

- Nic panu nie jest?

- Wszystko okej. - Wyplułem na chodnik nieco czerwonej śliny. Wokół zaczęło się tworzyć małe zbiegowisko. Z ciemnego przejazdu ulicą Argyle pod widniejącą na ścianie Dworca Centralnego ogromną reklamą *Schweppes* wynurzył się zielono-pomarańczowy tramwaj. Gdy przejeżdżał obok, większość pasażerów gapiła się w naszą stronę.

- O co poszło?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparłem. - Napadli mnie, kiedy wsiadałem do samochodu. Może chcieli go ukraść.

Młody gliniarz przyglądał mi się sceptycznie.

- A kto to był?

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć? Mówiłem, że wsiadałem po prostu do samochodu, kiedy się na mnie rzucili.

- Zapamiętał pan numer rejestracyjny tej furgonetki?

- Nie - skłamałem. - Niestety nie.

XV

Mam awersję do posterunków policji. Gdy wkroczyłem na komisariat przy placu St Andrew's, znowu poczułem na karku wspomnienie pięści wiejskiego chłopaka. Poprosiłem o rozmowę z inspektorem Fergusonem, a starszy sierżant zmierzył mnie podejrzliwie wzrokiem. Z mojego doświadczenia wynikało, że wszyscy starsi sierżanci są podobni.

Większość to starsi gliniarze, zbliżający się do końca swojej kariery lub oddelegowani za biurko ze względów zdrowotnych. Wszyscy mieli taki sam znużony, zblazowany wyraz twarzy: wydawało się, że bez bycia cynicznym palantem nie ma co marzyć o zdobyciu tej małej korony nad belkami. Temu konkretnemu koleśowi powiedziałem, że byłem umówiony.

Jock Ferguson zjawił się pięć minut później i zaprowadził mnie do swojego gabinetu.

- Chciałbym cię prosić o przysługę, Jock. Chcę się dowiedzieć, na kogo zarejestrowany jest ten samochód. - Podałem mu karteczkę z zapisanym numerem rejestracyjnym bedforda. Zdawałem sobie sprawę, że kuszę los. Ferguson wziął kartkę i spojrzał na nią.

- Słyszałem, że ostatniej nocy byłeś zamieszany w jakiś uliczny happening.

Rozumiem, że właśnie z udziałem tej furgonetki?

Przytaknąłem.

- Dlaczego powiedziałeś posterunkowemu, że nie zauważyłeś numeru rejestracyjnego?

- Mały zanik pamięci - odparłem, ale Ferguson się nie roześmiał. - Zależało mi na dyskrecji.

- A to dlaczego? Przecież powiedziałeś posterunkowemu, że pewnie chodziło im o twój samochód.

- Mam wrażenie, że to ma coś wspólnego ze sprawą, którą się zajmuję.

- Wiesz co, Lennox? Zdaje mi się, że ta sprawa to sprawa McGahernów. A jeśli tak, to wdepnąłeś w niezłe gówno. Ale ostrzegałem cię. - Głos Ferguson brzmiał beznamiętnie i nie doszukałem się w nim tonu groźby. - Czy wściubiałeś nos tam, gdzie nie trzeba?

- Ja? Skąd... Przecież mnie znasz. Nie jestem ciekawski. Ale biorąc pod uwagę moje starcie z Frankiem McGahernem, może komuś wydaje się, że się w to angażuję. Chodzi po prostu o to, że z jakiegoś powodu dostałem wycisk, a ci koleś odjechali właśnie tą furgonetką.

- Kiwnąłem głową w kierunku kartki z zapisanym numerem rejestracyjnym bedforda.

- W porządku... Sprawdzę to. Daj mi czas do jutra.

*

Zjadłem obiad w jakiejś garkuchni i poszedłem do biura. Kiedy dotarłem na miejsce, poczułem

lekkie mdłości. To mogło być przez te jajka, które właśnie zjadłem, ale najprawdopodobniej sprawił to widok elegancko ubranego Williego Sneddona i odstawionego w trzyczęściowy garnitur Pedikiurka McBride'a, których zastałem pod drzwiami biura.

Pedikiurek uśmiechnął się do mnie i poczułem się jeszcze bardziej nieswojo.

- Byliśmy akurat w mieście - wyjaśnił Sneddon - i pomyślałem, że dowiem się, co słyhać nowego.

Otworzyłem drzwi i wpuściłem Sneddona i Pedikiurka do środka.

- Niewiele mam do zrelacjonowania - powiedziałem. Zaproponowałem im whisky, ale Sneddon odmówił za nich obu. - Ale ktoś się zaczyna denerwować. - Opowiedziałem Sneddonowi o nieudanej próbie zgarnięcia mnie na Argyle.

- Rozpoznałeś któregoś z nich? - spytał Sneddon.

- Nie. Ale gdyby to była sprawka któregoś z pozostałych dwóch Królów, to nie wysyłaliby kogoś, kogo znam. Zresztą ta wersja i tak nie pasuje. Wydaje mi się, że to jakaś niezależna ekipa, może nawet jakoś zamieszana w sprawę McGahernów. Coś czuję, że mamy w mieście nowych graczy. Ci faceci byli rośli i pełni entuzjazmu, ale nieporadni, niedoświadczeni.

- Ktokolwiek to jest, stara się cię odstraszyć. - Sneddon miał na sobie dwurzędową moherową marynarkę podobną do tej, jaką nosił Młot Murphy, kiedy go ostatnio spotkałem.

Sięgnął do kieszeni marynarki. Przez chwilę miałem wrażenie, że wyciągnie spluwę. Wyjął jednak złotą papierośnicę. Spluwa pewnie ważyłaby mniej. Zapalił.

- Nie. Oni mieli zamiar zrobić coś więcej. Chcieli mnie zgarnąć z ulicy. Może byli równie zainteresowani tym, co mógłbym im powiedzieć, jak ja tym, co oni mogliby mi powiedzieć. A może miała to być wycieczka bez biletu powrotnego.

- Też tak pomyślałem - rzekł Sneddon. Strzepnął popiół papierosa na podłogę. -

Dlatego przydzielam ci Pedikiurka jako obstawę. Na wszelki wypadek.

- Potrafię się o siebie zatroszczyć, panie Sneddon.

- To nie propozycja. To informacja. - Sneddon zmarszczył brwi.

- Ludzie wiedzą, że dla mnie pracujesz, nawet jeśli to tylko czasowy układ. A nikt nie pogrywa z kimś, kto dla mnie pracuje. Jeśli coś takiego odpuścę, zostanie to opacznie zrozumiane. To mógł być równie dobrze ten feniański pojeb Murphy, sprawdzający, na ile może sobie pozwolić. Od teraz jesteś pod opieką Pedikiurka. - Sneddon wstał, zbierając się do wyjścia. W przeciwieństwie do Pedikiurka. - Ale słuchaj uważnie, Lennox. Jeśli się dowiem, że próbujesz mu się wymknąć, to poproszę go, żeby ci nieco skrócił paznokietki u stóp.

Słyszysz?

- W takim razie rezygnuję. - Wyjąłem z portfela pieniądze, które dostałem od Sneddon, i wyciągnąłem je w jego kierunku. - Tu jest cała kwota. Nie mogę pracować tak, jak by pan chciał. Rozmawiam z różnymi ludźmi, którzy wzięliby natychmiast nogi za pas, gdyby im tylko zaświtało, że ktokolwiek, a szczególnie Pedikiurek, wie o tym, że są moimi informatorami. Wynajął mnie pan właśnie dlatego, że jestem niezależny. Ponieważ pan wie, że kupując moją lojalność na krótko, kupuje ją pan w stu procentach. Doceniam pana troskę, ale ryzyko jest nieodłącznym elementem mojego fachu i umiem o sobie zadbać.

Sneddon spojrzał na mnie spode łba, a to nie wróżyło nic dobrego. Nie wziął

pieniędzy, więc położyłem je na biurku. Wszyscy trzej już staliśmy. Niepokojące było to, że Pedikiurek przestał się uśmiechać. Poczulem, jak moje palce w butach mimowolnie się kurczą.

- Niech ci będzie, Lennox. - Podniósł pieniądze i oddał mi je. - W końcu to własnego karku nadstawiasz.

Zapadło milczenie. Odezwałem się wreszcie, między innymi po to, żeby je przerwać.

- Przy okazji: dostałem od pana te klucze. Co mam z nimi zrobić?

Sneddon spojrzał na mnie bez wyrazu.

- O czym ty, kurwa, mówisz?

Wyjąłem klucz z szuflady biurka, dokąd go wrzuciłem, i podałem Sneddonowi. Przy kluczu była nadal przywieszka z adresem w Milngavie.

- To nie ode mnie - powiedział Sneddon.

Pożałowałem, że w ogóle o tym wspomniałem. Uznałem, że to od Sneddon, a przecież mogło chodzić o Jonny'ego Cohena, a nawet Młota Murphy'ego.

- Moja pomyłka. - Wyciągnąłem rękę po klucz, ale Sneddon nadal oglądał przywieszkę.

- Ale chyba wiem, co to może być za klucz. McGahern mieszkał z bratem na West Endzie. Nie można się dostać do tego mieszkania, bo jeszcze tam się roi od glin. Krążyły jednak pogłoski, że Tam kupił również kilka innych lokali. Kilka miesięcy temu. Jednym z nich był jakiś dom w Milngavie. Słyszałem, że była to inwestycja. Miał zamiar go wynająć albo sprzedać z zyskiem.

- Sprawdź to - powiedziałem. Spojrzałem na Pedikiurka, który nadal się nie uśmiechał, a potem znowu na Sneddon. - Czy mamy jasność, że pracuję nad tym samodzielnie, panie Sneddon?

- Chyba to, kurwa, powiedziałem, nie? Ale donoś mi o wszelkich nowych szczegółach, Lennox, bo

klnę się na Boga, że inaczej każę Pedikiurkowi sprawić mi naszyjnik z twoich palców.

*

Dzielnice Milngavie i Bearsden sąsiadowały ze sobą na północ od rzeki Clyde i obie pięły się po szczeblach drabiny społecznej. Ale Milngavie, dziwacznie i z pewną przekorną dumą wymawiane przez miejscowych jako *Millguy*, miało jednak pewien kompleks niższości wobec swojego sąsiada.

Począłem do wieczora i podjechałem pod adres podany przy kluczu. Sam dom był

jednym z wielu niczym się niewyróżniających parterowych domów wybudowanych dwadzieścia lat temu. Tutaj jednak ktoś zamontował w dachu okno mansardowe, najwyraźniej przekształcając strych w sypialnię. Jeśli Tam McGahern miał zamiar tu zamieszkać, to skromny charakter domu odzwierciedlał niejako jego status w przestępczej hierarchii Glasgow, przynajmniej w porównaniu z zaprojektowanym na zamówienie, nowoczesnym domem Jonny'ego Cohena w Newton Mearns i pseudowielkopańską rezydencją Williego Sneddona. Wręcz trudno było sobie wyobrazić eleganckiego i szpanującego gangstera w tym banalnym otoczeniu.

Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy, w pewnej odległości od domu, i obserwowałem. Zapadł zmierzch i w sąsiednich domach zaczęły zapalać się światła, ale dom McGaherna pozostał ciemny. Odczekałem jeszcze dziesięć minut, po czym wysiadłem z samochodu i przeciąłem ulicę, kierując się w tamtą stronę. Brama z kutego żelaza zaprotestowała piskiem, gdy ją otworzyłem, ale sąsiednie domy były na tyle oddalone, że nikt nie powinien tego usłyszeć. Szybko przemierzyłem ścieżkę prowadzącą przez starannie utrzymany ogród i wsunąłem klucz w zamek. Pasował. Wślizgnąłem się w mrok korytarza.

Przede wszystkim obszedłem cały dom i zaciągnąłem zasłony w każdym z pomieszczeń, jednocześnie zapalając w nich światło. Przyniosłem ze sobą latarkę, ale nic bardziej nie gwarantuje przyjazdu policji niż doniesienie o świetle latarki dostrzeżonym przez kogoś z zewnątrz w nieoświetlonym domu.

Widok, jaki ujrzałem, zaskoczył mnie. Nie była to nieruchomość kupiona jako inwestycja, ponieważ wszędzie walały się osobiste rzeczy Tama McGaherna. Gliny nie zdawały sobie sprawy z istnienia tego domu. Nikt nie wiedział, że Tam uwił sobie tu gniazdko. No, prawie nikt - wiedziała osoba, która przesłała mi klucz.

Umeblowanie było skromne i gustowne. Nie tego można by się spodziewać po gangsterze, który dorastał w Gorbals, i przez chwilę miałem wątpliwości, czy rzeczywiście jest to dom McGaherna. Ale tak było. W sypialni od strony ulicy stała duża orzechowa szafa wypchana eleganckimi, szytymi na miarę garniturami, które noszą tylko gwiazdy filmowe i gangsterzy. W szufladzie sekretarzyka zalegała gotówka: dochody skrywane przed oczami bankierów i urzędników podatkowych.

Nad kominkiem w salonie stał rząd fotografii. Tam z matką. Tam z Frankiem i z matką. Wszystkie przedstawiały Tama z okresu powojennej prosperity. Z wyjątkiem jednego, na którym widać było młodszego, opalonego Tama w mundurze Szczura Pustyni z belkami sierżanta na oliwkowozielonym rękawie. Stał uśmiechnięty wraz z grupą innych mężczyzn w blasku zdecydowanie nieszkockiego

słońca i na tle zapiaszczonego pojazdu wojskowego.

Grupa składała się z pięciu mężczyzn. Trzech miało wyraźnie ciemniejszą karnację i wyglądało na obcokrajowców. Wyjąłem szczyryk, podważyłem tył ramki i wysunąwszy wojenne zdjęcie, schowałem je do kieszeni. Przy okazji sprawdziłem tył zdjęcia. Widniało tam tylko jedno słowo: „Gedeon”.

Uwolniłem też sekretarzyk od jego brzemienia, dokonując orientacyjnej kalkulacji podczas upychania obwiązanych gumkami plików po kieszeniach marynarki. Oceeniłem, że było tam ponad sześćset funtów.

Ktokolwiek przesłał mi klucz, mógł zdawać sobie sprawę z istnienia tej gotówki. Jeśli tak, to miałem zamiar zadbać o jego prawo pierwszeństwa, zabezpieczając znalezisko.

Powiedzmy, że podjąłem się roli biura rzeczy znalezionych. Małe imperium Tama McGaherna i tak było już rozdrapywane, więc to mógł być mój niewielki udział w tym przedsięwzięciu.

Przetrzasując resztę domu Tama McGaherna, odnajdywałem w nim coraz to nowe anomalie. Pewne rzeczy pasowały do kogoś takiego jak McGahern, inne nie. Weźmy na przykład książki. Były ich dziesiątki. I to nie jakieś tanie, szmirowate czytała - wyglądało na to, że McGahern interesował się historią, a kilka tomów stojących na półkach sprawiało wrażenie poważnych opracowań naukowych. Reszta to wydania z klubu książki oraz atlas świata i atlas samego Bliskiego Wschodu.

Przypomniałem sobie o opinii wojskowego psychologa na temat poziomu inteligencji Tama. Dowody na jej trafność miałem przed sobą. Inteligencja z pewnością pozwoliła mu przeżyć wojnę, ale przy okazji została też zdiagnozowana tkwiąca w nim psychotyczna furia.

U Tama odruchy zawsze wygrywały z rozsądkiem. Zabiła go własna wściekłość. Co więcej, załatwił go ktoś, kto z premedytacją liczył na to, że wściekłość przyćmi Tamowi zdrowy rozsądek.

Miałem poczucie, że znajduję się w pewnym prywatnym miejscu. W miejscu, gdzie McGahern spędzał czas samotnie. To był jedyny powód, który tłumaczył, dlaczego zdecydował się na bzykanie w tej obskurnej norze nad Highlanderem. Jeśli miał jakieś tajemnice, tu właśnie należało szukać ich śladów. Obszedłem dom i pogasiłem wszystkie światła z wyjątkiem kuchennego. Miałem zamiar przeszukać cały dom pomieszczenie po pomieszczeniu. Nie było potrzeby, żebym nadmiernie afiszował się swoją obecnością. Z

kuchennej szuflady wyjąłem nóż do chleba z masywnym trzonkiem i obszedłem na czworakach całą podłogę, obstukując trzonkiem linoleum. Przeszukałem każdą szafkę i szufladę oraz sprawdziłem ściany w poszukiwaniu jakiejś skrytki. Nic.

Znalezienie jej zabrało mi kolejną godzinę. Była w łazience. Stała tam nowa, zabudowana wanna, a jej boczna ścianka została niedawno porządnie wyłożona kafelkami.

Dlatego moją uwagę zwróciła nierówna fuga pod dolną krawędzią dwóch płytek. Użyłem noża do podważenia ich, po czym włożyłem rękę pod wannę przez powstały w ten sposób otwór. Szukając po

omacku, po chwili wymacałem palcami zawiązaną troczkiem tekstylną torbę. Wyciągnąłem ją i otworzyłem. Bingo!

Kwadratowa torba o boku długości około dwudziestu centymetrów była szczelnie wypełniona. Wysypałem jej zawartość na pokrytą linoleum podłogę. Był to przestępczy odpowiednik tratwy ratunkowej, zapewniający możliwość odwrotu w sytuacji awaryjnej.

Robił imponujące wrażenie. Zbyt imponujące jak na drugoligowego glasgowskiego gangstera.

W tej płóciennej torbie Tam miał wszystko, co było niezbędne do gładkiej ucieczki na wypadek złego dla siebie obrotu spraw. Poszedł jednak na dno szybciej od „Titanica” i nie miał okazji skorzystać z tego starannie sporządzonego zestawu ratunkowego. Były tam pieniądze, notes kieszonkowy i trzy paszporty - dwa brytyjskie i jeden amerykański. Gdyby nie to, że w każdym z nich widniało zdjęcie Tama McGaherna, a pod nim inne nazwisko, nie rozpoznałbym, że są podrobione. Wyglądały na najzupełniej autentyczne.

Tej klasy fałszywki były kosztowne i czasochłonne, poza tym wymagały kontaktów, o które bym Tama nie podejrzewał. Przeliczyłem dolary. W ciasno zwiniętych rolkach opiętych gumkami było ich w sumie dwa tysiące. Przypomniałem sobie, jak McNab pytał mnie, czy wiem, co stało się z pieniędzmi, które zniknęły, gdy został zamordowany Tam. To nie mogły być jednak te pieniądze - było ich sporo, ale nie tyle, aby skłonić McNaba do sięgania po przemoc fizyczną. Wystarczało jednak, aby móc zaszyć się na drugim końcu świata lub raczej, biorąc pod uwagę obecność fałszywego amerykańskiego paszportu, po drugiej stronie Atlantyku.

Uważnie zwinąłem z powrotem pliki banknotów i opasałem je gumkami, po czym schowałem do kieszeni marynarki, aby dotrzymały towarzystwa pozostałym sześciu setkom.

W końcu sam kiedyś w przyszłości mogę potrzebować takiej tratwy ratunkowej. Wyglądało na to, że będę musiał wyreparować kolejny tom dzieł H. G. Wellsa.

Po utrwaleniu w pamięci fałszywych nazwisk figurujących w paszportach przetarłem dokumenty chusteczką, po czym włożyłem je z powrotem do torby, którą wepchnąłem na poprzednie miejsce pod wanną. Uznałem, że najlepiej będzie coś zostawić, aby mogli to ewentualnie znaleźć jacyś kolejni goście. Zatrzymałem notes, w którym widniały rzędy inicjałów i liczb. Przy pierwszych oględzinach nie było jasne, czego mogą dotyczyć i chciałem w spokoju przyjrzeć im się później. Włożyłem wyjęte wcześniej płytki na swoje miejsce, wyłączyłem resztę palących się świateł i po ciemku zszedłem na dół do wyjścia.

Właśnie otwierałem zamek u drzwi wejściowych, gdy usłyszałem znajomy dźwięk: piszczący protest bramy na drugim końcu ogrodu Tama McGaherna.

XVI

Starając się zrobić to jak najciszej, szybko z powrotem przekręciłem klucz w zamku.

Wróciłem przez ciemny dom do kuchni, gdzie posłużyłem się latarką, żeby znaleźć tylne drzwi, prowadzące na zewnątrz. We wpuszczanym zamku tkwił masywny klucz. Miałem zamiar zabrać ze sobą klucz, wyjść do ogrodu za domem i zamknąć drzwi od zewnątrz z nadzieją, że niespodziewanym gościom nie zachce się zaczerpnąć wieczornego powietrza.

Wsunąłem latarkę do wypchanej gotówką kieszeni i przekręciłem klucz. Drzwi się jednak nie otworzyły - w połowie obrotu klucz się zacinał. Ocenilem, że ktokolwiek szedł

ścieżką, już prawdopodobnie był przy drzwiach wejściowych. Jeszcze raz spróbowałem otworzyć drzwi, przekręcając klucz kilka razy w obie strony i robiąc przy tym stanowczo za dużo hałasu. Nic. Usłyszałem, jak ktoś przekręca klucz w drzwiach frontowych i otwiera je.

Naparłem całym ciałem na drzwi, dociskając je do framugi i ponownie próbując przekręcić klucz. Tym razem przekręcił się w zamku z głośnym szczękiem. Wymknąłem się w mrok ogrodu, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie zamknąłem ich za sobą na klucz, tak jak planowałem, bo narobiłbym zbyt dużo hałasu, a ktokolwiek wszedł do domu, i tak pewnie słyszał ich otwieranie. Była bezksiężycowa noc, a ogród z tyłu okalał żywopłot. Z tego, co udało mi się dostrzec, znajdowałem się na niewielkim podeście z betonowych płyt.

Poruszałem się po omacku, bojąc się, że wpadnę na coś i zdradzę swoją obecność. W kuchni zabłysło światło. Dzięki temu mogłem się nieco lepiej rozeznac w otoczeniu, ale znaczyło to, że prawdopodobnie z kuchni też byłem widoczny. Rozpaczliwie przetrząsałem ogród w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, ale jego niewielka przestrzeń, składająca się z trawnika okolonego niskimi krzewami, nie wróżyła powodzenia.

W rozświetlonej kuchni ujrzałem trzech mężczyzn. Jednego z nich rozpoznałem natychmiast. Rzuciłem się do przodu i przykucnąłem pod parapetem okiennym, przywierając do ściany. Wyjąłem z kieszeni skórzaną pałkę, gotów do jej użycia, gdyby się otworzyły tylne drzwi. Wydawało mi się, że między najdalej ode mnie położoną krawędzią ściany a żywopłotem jest jakaś szpara, która dawałaby możliwość obejścia tamtędy domu. Zacząłem pomału przesuwać się w tamtym kierunku, trzymając się blisko ziemi i starając się poruszać bezszelestnie.

Byłem właśnie naprzeciw drzwi kuchni, kiedy usłyszałem odgłos naciskanej klamki.

Rzuciłem się na oślep w kierunku rogu domu. Drzwi kuchenne otworzyły się i na nieduży trawnik padła smuga żółtawego światła, okalająca cień zwalistego mężczyzny. Dałem nura za róg domu, licząc na to, że moje gramolenie się po betonowych płytach nie przyciągnęło uwagi stojącej w drzwiach postaci.

Znalazłem się w wąskiej przestrzeni między żywopłotem a ścianą domu. Stopy wrosły mi w ziemię, bo przesmyk pokryty był tłuczonym kamieniem i najlżejszy ruch spowodowałby jego chrzęst, przyciągając uwagę typa stojącego w drzwiach. Stałem ukryty poza zasięgiem światła, mogąc zza

rogu śledzić rozwój sytuacji. Do otwartych drzwi podszedł drugi mężczyzna i omiótł ogród światłem latarki. Cofnąłem szybko głowę. Mężczyźni wymienili kilka słów w nieznanym mi języku, po czym zamknęli drzwi. Światło w kuchni zgasło i ogród znów pogrążył się w ciemności.

Zacząłem przesuwać się wzdłuż pozbawionej okien ściany domu, starając się zminimalizować towarzyszący każdemu krokowi chrzęst żwiru. Wyrząłem za róg, żeby sprawdzić, co dzieje się z drugiej strony domu. Zasłony były nadal zaciągnięte, ale przy krawędziach okien widziałem sączące się z wnętrza światło. Szybko oszacowałem odległość rogu domu, za którym czaiłem się w ciemności, od bramy frontowej. Przy bramie stał

zaparkowany wolseley, którego tam nie było, gdy wchodziłem do domu. Uznałem, że mógłbym bezszelestnie przemknąć się przez trawnik i szybciej zwiać, korzystając z piszczącej bramy, niż forsować sięgający mi do ramion ligustrowy żywopłot, w który mógłbym się zaplątać. Już miałem ruszyć zza rogu, gdy dostrzegłem, że w ciemnym wnętrzu zaparkowanego wolseleya na chwilę rozjarzył się i przygasł bursztynowoczerwony ogień.

Ktoś zaciągnął się papierosem. Najwyraźniej zostawili na zewnątrz czujkę.

Cofnąłem się i wymamrotałem kilka słów, o których znajomość nie posądzałyby mnie moja matka. Oparłem się ścianę i dokonałem oceny sytuacji. A była to sytuacja typowo lennoxowska: czaiłem się w ciemnościach z kieszeniami wypchanymi niemal dwoma tysiącami amerykańskich dolarów i sześcioma setkami funtów szterlingów i musiałem sobie poradzić z czterema bandytami, z których jeden tkwił w samym środku mojej drogi ewakuacyjnej, a o drugim, znajdującym się w tej chwili w budynku, wiedziałem już, że jest prawdziwym zawodowcem. Z początku myślałem, że będę miał szczęście, jeśli wydostanę się stąd z gotówką. Teraz byłbym szczęśliwy, uchodząc z tego cało.

Nie pozostawało nic innego, jak siedzieć cicho i czekać, aż faceci w domu skończą to, co mają do zrobienia, albo znajdą to, czego szukają. A jeśli przyjechali po tę gotówkę? Mogą pójść po rozum do głowy i wydedukować, że ulotniła się właśnie przez niezamknięte tylne drzwi. A wtedy zaczną przeszukiwać okolicę. Naparłem na żywopłot dochodzący niemal do ściany domu. Przy odrobinie wysiłku mógłbym precyzyjnie się przezeń do sąsiedniego ogrodu.

Narobiłbym jednak hałasu.

W ciemności nie mogłem sprawdzić, która jest godzina, ale oceniłem, że spędziłem w domu około dwóch godzin, a tutaj ze dwadzieścia minut. Wynikałoby z tego, że jest około wpół do pierwszej. Niewiele działo się o tej porze w Milngavie i w okolicy nie słychać było nawet odgłosów samochodów. Postanowiłem czekać.

Nie trwało to długo. W pewnej chwili usłyszałem, jak drzwi frontowe się otwierają i goście wychodzą z budynku. Nic nie świadczyło o tym, aby zamierzali szukać jakiegoś intruza. W milczeniu wrócili do wolseleya i wsiedli. Ostatni odwrócił się, aby zamknąć bramę, starając się zminimalizować towarzyszący temu pisk. Wprawdzie stał w świetle latarni, jednak twarz miał ocienioną rondem kapelusza. Ale odniosłem wrażenie, że patrzy prosto na mnie i serce podeszło mi do gardła. Odwrócił się i wsiadł do samochodu, który potoczył się po spadzistej ulicy i dopiero sto metrów dalej zapalił silnik.

W głuchoj ciszy Milngavie jeszcze przez jakiś czas słyshałem dźwięk oddalającego się samochodu. Odczekałem kolejnych dziesięć minut, chcąc zyskać pewność, że w domu McGaherna nie zaczął się jakiś piąty bandzior, po czym jak najciszej przeciąłem trawnik, wyszedłem przez bramę i wróciłem do swojego zaparkowanego nieopodal samochodu.

Kiedy jeszcze czekałem w ogrodzie przy domu, myślałem o człowieku, którego zobaczyłem w świetle padającym z kuchni Tama McGaherna, i o dziwnym języku, w jakim rozmawiał z pozostałymi dwoma smagłymi, wyglądającymi na cudzoziemców mężczyznami.

Bez względu na język, jakim się posługiwał, nie zmieniło to wrażenia, jakie odniosłem podczas naszego pierwszego spotkania. Nadal przypominał mi Freda MacMurraya.

XVII

Zapaliłem papierosa, żeby złagodzić kaszel, z którym się obudziłem. Było już jasno i usłyszałem za oknem odgłos kopyt konia pociągowego idącego ulicą Great Western. Gdzieś na drugim końcu miasta fabryczny gwizdek stanowczo oznajmiał początek kolejnego monotonnego dnia dla mas.

Siadłem na skraju łóżka, paląc jeszcze przez chwilę, po czym wyciągnąłem spod poduszki szarą kopertę. Włożyłem do niej rzeczy znalezione w domu McGaherna: gotówkę, zdjęcie z okresu wojny i notes. Wróciłem do domu po pierwszej w nocy i kiedy skradałem się do siebie na górę, dostrzegłem chłodny, biały blask sączący się przez chwilę spod drzwi pani White, akurat na tyle długo, aby dać mi do zrozumienia, że zakłóciłem jej spokój. Nie było szans, żebym od razu zaczął operację podważania fragmentu deski w podłodze, aby dostać się do mojego schowka. Byłem też zbyt zmęczony, żeby brać się do drążenia kolejnej książki.

Siedziałem, wpatrując się uparcie w notes i nie mogąc pogodzić się z tym, że rzędy liczb i liter same z siebie nigdy nie wyjawiają mi swojego sensu. Po dziesięciu minutach uśmierzyłem swoją frustrację, po raz kolejny przeliczając pieniądze. Całkiem ładnie na tym wyszedłem. I dokładnie to chciałem zrobić - wyjść z tego. Zrezygnuję z tych dwóch setek, które miał mi dać Willie Sneddon za przekazanie mu właściwego nazwiska. Rozważałem nawet oddanie mu tej zaliczkowej setki - byłem w końcu nieźle do przodu - ale odrzuciłem tę myśl. Gdybym to zrobił, byłby to tylko ewidentny sygnał, że coś jednak po drodze zwojowałem. Powiem po prostu Sneddonowi, że zabrnąłem w ślepy zaułek: że nikt niczego przede mną nie ukrywa, tylko ludzie w gruncie rzeczy nie mają pojęcia, kto stoi za sprawą McGahernów.

Rzecz jasna, sam to wszystko rozkręciłem z czystej ciekawości oraz przekory, ale dwa tysiące funtów stanowiły poważny argument przemawiający za okiełznaniem tej ciekawości.

Może nadszedł czas, żeby ruszyć dalej. Albo nawet wrócić do domu. Dysponowałem już rozsądną gotówką - może nie fortuną, ale sumą pozwalającą przeżyć w Kanadzie przez dłuższy czas. Poza tym oczywiście moja rodzina miała pieniądze.

Oczami wyobraźni widziałem mglisty obraz siebie kupującego jakiś dom w Rothesay lub

Quispamsis,

z

łodzią

zaczumowaną

przy

Gondola

Point17.

Częścią

tego

nieprawdopodobnego marzenia była obecność pani White i jej dzieci. Oszukiwałem jednak sam siebie - to nie brak gotówki trzymał mnie tutaj. Za oceanem wszyscy spodziewaliby się powrotu młokosa znad Kennebecasis - chłopaka, którym niegdyś byłem, ale który już nie istniał. A może raczej chłopaka, którym nigdy nie byłem, bo prawda jest taka, że zawsze coś we mnie tkwiło - jakiś zarodek zła. Wojna tylko pozwoliła mu się rozwinąć. Było wiele zwrotów, którymi można by opisać, co wojenne doświadczenia na froncie zrobiły z mężczyznami: odmieniły ich, odarły ze złudzeń, zabiły. Sam zwykłem uważać, że wojna mnie ubrudziła. Czułem się po niej brudny i nie chciałem wracać do Kanady, dopóki nie poczuję się czysty. Prawda była jednak taka, że w miarę upływu czasu i zadawania się z ludźmi, z którymi się zadawałem, czułem się coraz brudniejszy.

Powiedziałem sobie w końcu, że czas zmienić płytę, i myjąc się, goląc i ubierając, zacząłem rozmyślać, jak mógłbym umyć ręce od sprawy McGahernów, zachowując dla siebie niedawne znalezisko, które leżało już ukryte bezpiecznie w skrytce pod podłogą.

Rozpocząłem dzień w optymistycznym nastroju, zdecydowany, aby zapomnieć o sprawie McGahernów.

Nie trwało to długo.

17 Gondola Point - położona nad rzeką Kennebecasis dzielnica miasta Quispamsis, które wraz z Rothesay znajduje się na południu kanadyjskiej prowincji Nowy Brunszwik.

XVIII

To Jock Ferguson rozwiązał moje przyjemne złudzenia, choć intencje miał jak najlepsze.

I zrobił to na moją własną prośbę.

Chciałem postawić Fergusonowi obiad w Trieście jako podziękowanie za sprawdzenie numeru rejestracyjnego furgonetki. W jego przypadku nie mogłem liczyć na nic bardziej zbliżonego do faktycznej łapówki. Z początku odmówił i oświadczył, że pasztecik i piwo w barze Pod Końskim Łbem całkowicie wystarczą, ale nalegałem i w końcu się zgodził.

Spotkaliśmy się tuż po pierwszej.

- Jak już mówiłem, wiesz ciekawe i skomplikowane życie, Lennox. - Ferguson patrzył na mnie z taką samą podejrzliwością, z jaką wcześniej zlustrował przyniesione mu spaghetti. - Sprawdziłem ten numer rejestracyjny furgonetki, który mi podałeś.

- I?

- I nie ma to nic wspólnego ze sprawą McGahernów.

Tak ci się tylko wydaje - pomyślałem. Do licha, niezły zbieg okoliczności, że po wywabieniu mnie z domu telefonem obiecującym informacje na temat Tama McGaherna tuż za mną parkuje furgonetka pełna zbirów.

- No to do kogo należy ta furgonetka?

- Powinieneś rozważyć złożenie oficjalnego doniesienia. To jakaś ewidentnie śmierzcząca sprawa...

- Jock... - zniecierpliwiłem się.

- Bedford jest zarejestrowany na SIC. - Ferguson przesunął kartkę z nazwą firmy i adresem po plastikowym blacie stołu w moim kierunku. - Skonsolidowany Import nad Clyde.

- Firma Johna Andrewsa?

- Właśnie. Najwyraźniej nie jest aż taki niewinny, za jakiego go miałeś. Chyba włożyłeś kij w mrowisko.

A więc to tak. Próbowałem ukryć dreszcz, jaki mnie przebiegł. A myślałem, że wreszcie uwolnię się od sprawy McGahernów. Telefon, który otrzymałem i który miał mnie zwabić w upatrzone miejsce, dotyczył konkretnie Tama McGaherna. Potem, gdy nikt się nie zjawił w umówionym miejscu, napadli mnie jacyś bandyci z furgonetki zarejestrowanej na firmę Johna Andrewsa. W cokolwiek była zamieszana Lillian Andrews - a byłem pewien, że chodzi właśnie o nią, a nie o Johna Andrewsa - miało to jakiś związek z Tamem lub Frankiem McGahernami. Bez wątplenia od początku moje przeczucia co do roli Johna Andrewsa były słuszne. To Lillian pociągała za sznurki.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się Ferguson. Na brodzie miał odrobinę sosu pomidorowego ze spaghetti. - Wyglądasz na nieco wytrąconego z równowagi.

- Jak spaghetti? - Gestem wskazałem jego brodę i wytarł ją serwetką.

- Naprawdę dobre. Nigdy wcześniej tego nie jadłem. Właściwie nigdy jeszcze nie byłem w żadnej włoskiej restauracji. Zaskoczony?

- Kulturalna nędza glasgowczyków nigdy nie przestaje mnie zaskakiwać.

- Nie o to pytam, baranie. Czy jesteś zaskoczony, że to była jedna z firmowych furgonetek Johna Andrewsa?

Zapaliłem papierosa, usiadłem wygodniej na krześle i uśmiechnąłem się.

- Ostatnio już nic mnie nie dziwi.

*

Miałem zamiar zadzwonić do Johna Andrewsa, ale zmieniłem zdanie. Po cóż miałby teraz odbierać moje telefony? Poza tym, skąd mogłem wiedzieć, czy Lillian i jej pomagierzy nie podsłuchują teraz wszystkich jego rozmów telefonicznych, nawet w biurze? Musiałem wymyślić jakiś sposób spotkania się z Andrewsem sam na sam. Może przechwyć go rano, kiedy będzie w drodze do firmy. Musiałem to przemyśleć. Kiedy się rozstawaliśmy, Jock nie tylko doceniał już nieco bardziej walory włoskiej kuchni, ale też coraz bardziej zaczynał go interesować Andrews, SIC i cały ten cholerny interes, w jaki się uwikłałem. Lepiej będzie w najbliższym czasie nie rzucać mu się za bardzo w oczy.

Główny wniosek płynący z mojego spotkania z Fergusonem był następujący: jeszcze nie wypłatałem się z tego całego McGahernowskiego bałaganu. Najchętniej zupełnie bym o nim zapomniał, ale teraz, gdy już wiedziałem, że sprawa Andrewsów też jest z nim jakoś powiązana, nabrałem przekonania, że pewni ludzie nie pozwolą mi o nim zapomnieć.

Spędziłem popołudnie na dalszych bezowocnych usiłowaniach, aby rozszyfrować zapiski z notesu, który zabrałem z ustronia Tama w Milngavie. Przystudiowałem też zdjęcie, które tam znalazłem. Gedeon. Dlaczego glasgowski gangster pokroju McGaherna zapisał imię biblijnego sędziego na odwrocie fotki, która przedstawia go z grupką towarzyszy broni? Z

widniejących na zdjęciu bezmiernych piaszczystych przestrzeni, palącego słońca i pustynnych mundurów można było wnioskować, że nie zostało ono bynajmniej zrobione na plaży w Mallaig¹⁸. To był Bliski Wschód. A Fred MacMurray i jego kompani, których widziałem poprzedniej nocy, posługiwali się obcym językiem, który w moich uszach nie brzmiał zbyt europejsko.

*

Było coś w tym całym galimatiasie, co nie dawało mi spokoju. Ten niepokój szybko zaczął trącić paranoją i kiedy za piętnaście czwarta wyszedłem z biura do domu, nabrałem przekonania, że ktoś mnie śledzi. W Glasgow nie panował zbyt duży ruch uliczny i powinienem zauważyć, gdyby

rzeczywiście tak było. Spoglądałem co jakiś czas w lusterko i nie dostrzegłem, aby ktoś siedział mi na ogonie, jednak tkwiące gdzieś w brzuchu nieprzyjemne uczucie nie mijało.

Zrobiłem sobie kanapki i dzbanek dobrej kawy, zużywając resztę swoich drogocennych zapasów. Jadłem, leżąc na łóżku i czytając. Z radia dobiegały ciche odgłosy Serwisu Zagranicznego BBC, a ja próbowałem się jakoś odprężyć. Co jakiś czas pojawiał się jednak odruch, aby odchylić firankę w oknie i sprawdzić, czy tak jak na filmach nie stoi tam przypadkiem jakiś oparty o latarnię i palący papierosa zakapior. Mniej więcej o wpół do dziewiątej pani White zawołała mnie na dół do telefonu, który znajdował się w użytkowanym wspólnie korytarzu, i bez słowa podała mi słuchawkę.

- Lennox. Czy to pan, Lennox? - Natychmiast rozpoznałem ten głos.

- Wszystko w porządku, panie Andrews?

John Andrews zaśmiał się gorzko.

- Już po mnie, Lennox. Mam nadzieję, że nie zapomnisz tej rozmowy do końca życia.

Rozmowy z umarlakiem. Samo to, że ze mną rozmawiasz, oznacza, że mnie ukatrupią.

- Kto pana ukatrupi, panie Andrews? Lillian? Jeśli grozi panu jakieś niebezpieczeństwo, powinien pan zadzwonić na policję. Albo ja mogę porozmawiać ze znajomym detektywem, Jockiem Fergusonem z wydziału centralnego... - zaproponowałem, choć musiałbym wtedy tłumaczyć Jockowi Fergusonowi, że ma to związek z Tamem McGahernem, czyli wyszłoby na jaw, że wtykałem nos właśnie w te sprawy, przed którymi mnie przestrzegano.

- Nie, żadnej policji. Nie mów nic policji - zaczął się gorączkować.

- Okej, okej. Żadnej policji. Kto chce pana zabić, panie Andrews?

- Wrobili mnie. Mieli to wszystko ukartowane od samego początku, od chwili gdy poznałem Lillian...

- Z głosu Johna Andrewsa wnioskowałem, że był po kilku głębszych. Z

18 Popularna miejscowość wypoczynkowa na zachodnim wybrzeżu Szkocji.

odgłosów dobiegających ze słuchawki wynikało, że nie dzwoni z domu. Może z jakiegoś pubu. Poczulem niepokój. Andrews nie był człowiekiem impulsywnym, a tym bardziej odważnym, przypuszczałem więc, że zdobył się na telefon do mnie dopiero pod wpływem czegoś wysokoprocentowego.

- W co pana wrobili?

- Chodzi o mój biznes. Był im potrzebny, żeby to wszystko zagrało. Nie rozgryzłem całości, ale wiem już wystarczająco dużo. I to kolejny powód, żeby mnie sprzątnęli. Lillian zmuszała mnie do fałszowania dokumentów frachtowych. Do zmieniania różnych szczegółów. Ale nie po to dzwonię. Dałem się wrobić jak dziecko. Ale ciebie też w to wciągnęli. Właśnie dlatego do ciebie dzwonię, Lennox. Jak powiedziałem, ja już jestem trupem, ale ty jeszcze mógłbyś się z tego wszystkiego jakoś

wykręcić.

- To wszystko nie ma sensu. W co pana wrobili? I w jaki niby sposób mnie w to wciągnęli?

- Przykro mi... - powiedział i czułem, że mówi to szczerze. - Za moim pośrednictwem.

Wciągnęli cię w to z moją pomocą. Kiedy Lillian zaginęła... kiedy rzekomo zaginęła...

powiedzieli mi, żebym skontaktował się z tobą. Chcieli cię w to wciągnąć.

Zastanowiłem się nad tym, co mówił Andrews. Pozornie nie miało to wszystko sensu, ale poraziło mnie jakieś głębokie intuicyjne przeświadczenie, że to jednak prawda.

- Gdzie pan jest? - spytałem. - Przyjadę po pana.

- Nie... nie, tu nie jest bezpiecznie. Nigdzie już nie jest bezpiecznie.

- Zamilkł na chwilę i wsłuchałem się w odgłosy dobiegające z baru. - Pomóż mi, Lennox. Musisz mi pomóc.

Zastanowiłem się. Spojrzałem na brązowawy, kwiecisty wzór tapety na przeciwległej ścianie i poczułem lekki powiew wpadający przez szparę pod drzwiami frontowymi.

- Niech pan posłucha, Andrews, ma pan gdzieś w pobliżu samochód?

- Stoi na zewnątrz.

- Niech pan od razu tam idzie i do niego wsiądzie. Jest pan na tyle trzeźwy, żeby prowadzić?

- Chyba tak.

- W takim razie niech pan wsiądzie do samochodu i wyjedzie z miasta trasą północną.

Niech pan jedzie Aberfoyle. Niech pan nie jedzie Maryhill przez Bearsden i Drymen. Proszę nie przejeżdżać w pobliżu swojego domu ani biura i niczego stamtąd nie zabierać. Niech pan ani nigdzie indziej nie jedzie, ani po drodze się nie zatrzymuje. Słucha mnie pan?

- Tak. Zrozumiałem. - Czułem, że czerpie otuchę z mojego zdecydowania.

- Na północnym krańcu Loch Lomond jest hotel. Nazywa się Royal. Zna go pan?

- Wiem, gdzie to jest.

- Niech pan natychmiast jedzie i wynajmie tam pokój pod fałszywym nazwiskiem.

Spotkamy się tam później wieczorem. Niech pan posłuży się nazwiskiem Jones... albo nie, niech pan użyje nazwiska Fraser, żebym łatwiej mógł pana odszukać. Rozumie pan?

- Tak. Hotel Royal, pan Fraser.

- Powtarzam: niech pan w żadnym wypadku nigdzie się nie zatrzymuje. Przywiozę panu ubranie na zmianę, szczoteczkę do zębów i inne rzeczy. Wyciągnę pana z tego, Andrews. Obiecuję.

- Dzięki, Lennox. - Słyszałem, jak drży mu głos. Facet był na skraju załamania nerwowego. Właściwie już się poddał, a teraz usiłował wskrzesić w sobie jeszcze jakąś nadzieję. - Nie wiem, jak panu dziękować.

- Kiedy tam przyjadę, może pan zacząć od opowiedzenia mi wszystkiego, co pan wie o tym, co knują Lillian i jej pomagierzy.

- Czemu pan to robi? Czemu mi pan pomaga?

- Jest pan moim klientem, panie Andrews. A może po prostu naoglądałem się za dużo westernów. Teraz moja kolej, żeby stanąć po stronie dobra. - Zaśmiałem się gorzko z własnego dowcipu. - Niech mi pan mówi Kennebecasis Kid.

Po odłożeniu słuchawki wbiegłem na górę, wrzuciłem do podręcznej torby kilka rzeczy dla Andrews'a i zabrałem klucze oraz kurtkę. Byłem już z powrotem w połowie schodów, kiedy coś mi przyszło do głowy i wróciłem na górę. Otworzyłem drzwi swojego mieszkania, ze stojącego na półce nad kominkiem wazonu wyjąłem zgięty gwóźdź i wślizgnąłem się pod łóżko. Podważyłem gwóździem kawałek deski, wyjąłem go i sięgnąłem ręką do wnętrza schowka. Wymacałem zawinięty w ceratę pakunek, wyciągnąłem go i owinałem prochowcem, po czym wróciłem na dół i wyszedłem z domu na ulicę. W

samochodzie położyłem pakunek na siedzeniu obok siebie i przykryłem go płaszczem.

Wszystko to robiłem szybko i mechanicznie. Nie miałem ochoty zastanawiać się nad powagą całej sytuacji.

Prawda była jednak taka, że telefon Andrews'a napędził mi stracha. Cokolwiek łączyło Lillian z Tamem McGahernem i jakkolwiek montowali przekręt, chodziło o coś dużego.

Pracowali nad tym od miesięcy, od kiedy Lillian przydybała Andrews'a - łatwowiernego, samotnego wdowca, prowadzącego interes, który był im potrzebny do skutecznego swoich planów. Wyjeżdżając z miasta, usiłowałem mimo wszystko spokojnie przemyśleć całą sprawę. Co tak naprawdę łączyło McGaherna z Lillian? Może to ona była ową „panią McGahern”, która sprzedała dom na West Endzie. Widziałem też oczywiście bezpośrednie dowody na to, że Lillian Andrews była profesjonalistką, jeśli chodzi o robienie laski. Nie musiałem więc strasznie się wysilać, żeby wyobrazić ją sobie w roli burdelmamy. Nie pasował mi natomiast udział Tama McGaherna w przekręcie Lillian i spółki. McGahernowie grali po prostu w innej lidze. Było bardziej prawdopodobne, że Tam odgrywał w tym wszystkim jakąś drugorzędną rolę, ale zaczął się szarogęsić. Takie mogło być właśnie powiązanie między nim a Lillian. A może polegało ono po prostu na tym, że ktoś ze współników Lillian zabił Tama. I Frankiego.

Byłem już poza Glasgow. Ściemniało się i miejski zamęt zaczął ustępować coraz ciemniejszym wzgórzom rejonu Trossachs. To zadziwiające, że można znajdować się w czarnym sercu najbardziej uprzemysłowionego brytyjskiego miasta, a po dwudziestu minutach jazdy samochodem obserwować już wokół siebie pełen dramatyzmu, bezludny krajobraz. Na drodze panował spokój i od pięciu minut nie widziałem żadnego innego samochodu, więc przystanąłem na poboczu.

Facetom, którzy próbowali mnie zgarnąć z ulicy Argyle, bardzo zależało na moim towarzystwie. Dlatego mimo pewnych wewnętrznych oporów tym razem zabezpieczyłem się nieco lepiej. Gdy się zatrzymałem, wyjąłem z bagażnika łyżkę do opon i położyłem ją obok siebie, w nogach fotela dla pasażera. Uznałem, że pasuje do sytuacji, biorąc pod uwagę, że moi potencjalni przeciwnicy posłużyli się właśnie łyżką do opon, żeby zmiażdżyć Frankiemu McGahernowi głowę. Choć byłem już teraz niemal pewny, że drugim bliźniakiem McGahern, który rozstał się z życiem, był Tam.

Moje główne zabezpieczenie leżało jednak na fotelu obok mnie, zawinięte w ceratę i przykryte płaszczem. Rozpakowałem zawiniątko, wydając rewolwer Webley Mk IV kalibru

.38 oraz pudełko amunicji. W identyczną broń byłem wyposażony w czasie wojny. Ten rewolwer zdobyłem natomiast w taki sposób, że jego zaginięcie nigdy nie zostanie powiązane z moją osobą.

Otarłem webleya ze smaru, otworzyłem bębenek i załadowałem sześcioma nabojami.

Następnie zatknąłem go za pas i w tej niezbyt wygodnej pozycji przykryłem połą dwurzędowej marynarki. W takich sytuacjach zawsze przychodzi mi do głowy myśl, że paradując z bronią u pasa, nieuchronnie kusi się los, bo zazwyczaj w końcu czyni się z niej użytek. Dziesięć lat temu nie było to żadnym problemem, a wręcz tego właśnie wówczas ode mnie oczekiwano. Teraz sytuacja nieco się zmieniła - mogłem skończyć na stryczku.

Z parkingu przy hotelu Royal rozciągał się widok na Loch Lomond. Siedziałem w swoim austinie, czując jak twarda, zimna stal webleya wrzyna mi się w ciało i obserwując chmury mknące na tle gór oraz połyskującą, czarną toń jeziora. Spojrzałem na zegarek.

Minęła dziewiąta. To było już moje drugie potajemne rendez-vous w tym tygodniu. Tym razem nie parkowała jednak za mną żadna furgonetka, a ja przygotowałem się na wszelkie niemiłe niespodzianki. No i mogłem podziwiać coś przyjemniejszego niż rozkład jazdy na Dworcu Centralnym.

Odniosłem wrażenie, że kobieta w średnim wieku siedząca w małej recepcji jest właścicielką hotelu. Gdy powiedziałem, że chciałbym rozmawiać z panem Fraserem, zmarszczyła brwi, a w mojej głowie rozdzwoniły się wszystkie dzwonki alarmowe. Pojąłem natychmiast, że John Andrews nie dotarł na spotkanie. Aby upewnić się, czy Andrews nie był

zbyt przerażony albo zbyt pijany, żeby zapamiętać właściwe nazwisko, spytałem jeszcze o pana Jonesa. Potem o Andrews. Wyjaśniłem, że to moi koledzy, z którymi byłem umówiony na spotkanie biznesowe w hotelu. Drobną kobietą pokręciła głową przecząco z wyrazem troski na twarzy. Najwyraźniej czuła, że sprawia mi zawód, mówiąc, że tego wieczoru nikt nie zameldował się w hotelu.

Wróciłem na parking. Poza moim, stały tam dwa inne samochody, ale oba wyglądały na puste i żaden z nich nie był bentleyem Johna Andrewsa. Na wszelki wypadek rozpiąłem jednak marynarkę i oparłem dłoń na kolbie webleya. Stałem tak przez kilka sekund, upewniając się, że na parkingu nic na mnie nie czyha poza ciemną sylwetą szczytu Ben Lomond na tle fioletowo-czarnego nieba. Uruchomiłem austina i ruszyłem w drogę powrotną do Glasgow trasą przez Drymen, na wypadek gdyby Andrews zignorował moje ostrzeżenie, aby nie jechać przez Bearsden. Może idiota podjechał jednak do domu, żeby coś zabrać. Co do jednego Andrews miał rację: rozmawiałem wtedy z umarlakiem.

Stojący na drodze szczupły młody policjant zatrzymał mnie, wymachując latarką.

Nieco dalej stała grupka innych funkcjonariuszy oraz zaparkowany na poboczu ambulans Bedford. Z miejsca, gdzie się zatrzymałem, zauważyłem wyrwę w balustradzie przy drodze.

Upewniłem się, czy wypychająca mi marynarkę kolba rewolweru nie rzuca się za bardzo w oczy, po czym opuściłem szybę.

- Co się dzieje, panie władzo? - spytałem.

- Wypadek, proszę pana. Obawiam się, że ktoś spadł.

- Nie żyje?

- Nie miał szans. Niech pan tylko uważa podczas mijania pozostałych pojazdów.

Będzie pan musiał nieco zjechać na pobocze.

- W porządku. - Ruszyłem i wjechałem dwoma kołami na trawę. Przejeżdżając obok fragmentu przerwanej balustrady, spojrzałem w dół. Kątem oka zobaczyłem klapę bagażnika samochodu, który spadł. To był bentley. Przeniosłem uwagę z powrotem na drogę i pojechałem dalej. Nie musiałem już na to patrzeć - wiedziałem, że tam w dole leży John Andrews. Po takim upadku samochód pewnie jest dokumentnie roztrzaskany, ale ciekaw byłem, czy lekarza policyjnego zastanowi choć przez chwilę, dlaczego głowa kierowcy też jest całkiem zmiażdżona.

*

Nie był to ranek napawający otuchą. W Glasgow trudno znaleźć prawdziwą kawę, a moje zapasy się wyczerpały. Byłem zmuszony kupić lokalnie produkowany substytut: butelkę gęstej kawy z cykorią, którą rozcieńczało się wrzątkiem. Dziś postanowiłem odpuścić sobie tę przyjemność i poszedłem prosto do biura. Wzmiankę znalazłem w kupionym po drodze

„Glasgow Herald”. W krótkim tekście zatytułowanym „Prezes firmy Skonsolidowany Import nad Clyde ginie w tragicznym wypadku” nie było w zasadzie żadnych istotnych szczegółów poza informacją, że Andrews został znaleziony martwy na miejscu wypadku. Skrzywiłem się, czytając to, ale ze wstydem przyznaję, że nie ze współczucia dla Johna Andrewsa, tylko ponieważ wiedziałem, że niejaki inspektor Jock Ferguson najprawdopodobniej przeczyta dziś tę samą wzmiankę i zapuka do moich drzwi. No, ale nie było jeszcze najgorzej: przynajmniej nie spowoduje to wizyty

nadinspektora Williiego McNaba wraz z jego parobkiem. Taką miałem w każdym razie nadzieję.

Nadal łapałem się na tym, że instynktownie oglądam się za siebie, ale teraz miałem ku temu znacznie poważniejsze powody. Johna Andrewsa nie zabito dlatego, że wybrał się na przejażdżkę na wieś. Ten, kto go zabił, zapewne wiedział, że Andrews ma się z kimś spotkać i że najprawdopodobniej jestem to ja. Istniała oczywiście możliwość, że był to faktycznie tylko wypadek. W końcu podczas naszej rozmowy telefonicznej Andrews wydawał się nieźle pijany i może to po prostu alkohol, ciemność i nagły zakręt na drodze przyczyniły się do jego śmierci. Był w każdym razie cień szansy, że tak to właśnie przebiegło. Ale niezależnie od tego, czy śmierć Johna Andrewsa nastąpiła w wyniku wypadku, czy czyjegoś celowego działania, postawiła mnie w stan gotowości. Dowiedziałem się, że stał się przedmiotem intrygi uknutej przez Lillian i jej współników i że ja też zostałem w tę intrygę wciągnięty. Nie powiedział mi jednak wystarczająco dużo, żeby nadać jakiś kierunek moim poszukiwaniom.

Uznałem, że będę musiał pójść do Sneddona i powiedzieć mu wszystko, co wiem. Musiałem mu też przyznać rację - potrzebna mi była ochrona.

Sneddona nie było, kiedy zadzwoniłem, ale zostawiłem dla niego wiadomość, że chcę z nim porozmawiać. Wyrzałem przez okno swojego biura na ulicę Gordon, obserwując ludzi zaprzątniętych swoimi codziennymi sprawami. Przejeżdżały tramwaje. Taksówki znikwały pod żelaznym skratowanym sklepieniem Dworca Centralnego i znowu się spod niego wyłaniały jak krzątające się w pobliżu kamienia czarne żuki. Była trzecia po południu. W nadmorskich prowincjach Kanady - jedenasta rano. Nie miałem pojęcia, dlaczego to robię, ale zawsze gdy byłem w stresie, myślałem o tym, jaka jest akurat pora dnia w domu. Robiłem tak wszędzie w Europie, kiedy patrzyłem na ginących wokół mnie ludzi - wyobrażałem sobie na przykład, co robią w danej chwili moi rodzice i jakie jest akurat światło w ich ogrodzie w Nowym Brunzswiku.

Otworzyłem szufladę biurka - od czasu gdy moje biuro zostało w tak profesjonalny sposób przeszukane, zacząłem ją zamykać na klucz - i wyjąłem notes oraz zdjęcie, które znalazłem w domu McGaherna. Po raz kolejny przyjrzałem się ciągowi liter i liczb w notesie.

Zauważyłem, że większość liczb miała końcówkę 51 lub 52. Rok 1952? Czy mogły to być numery i daty transportów morskich? Andrews powiedział, że wykorzystywali jego firmę do szmuglowania towarów. Teraz, kiedy już nie żył, nie miałem żadnej możliwości, aby zyskać dostęp do dokumentów SIC.

Jeszcze raz przyjrzałem się zdjęciu. Widniało na nim pięciu mężczyzn. Tak jak poprzednio, odniosłem wrażenie, że dwóch czy trzech z nich było cudzoziemcami, bo jak na Szkotów byli zbyt smagli. Szkoci to najbielsi ludzie na świecie. Czasem wręcz sinobiali.

Jedyne, co w Glasgow przypominało jako tako opaleniznę, to barwa zamszowych broksów.

No, ale z drugiej strony na tym zdjęciu nawet Tam wyglądał na opalonego. Niemniej jedyna opalona twarz, jaką ostatnio widziałem, należała do jowialnego sobowtóra Freda MacMurraya.

Podniosłem słuchawkę telefonu i wykręciłem edynburski numer. Nadszedł czas, aby poprosić

znajomych o pewne przysługi.

XIX

Choć Glasgow było drugą metropolią imperium brytyjskiego, to znacznie od niego mniejszy Edynburg był stolicą Szkocji. Edynburczycy nazywali swoje miasto Atenami Północy - przypuszczalnie dlatego, że nikt z nich nie widział na własne oczy Aten. Jeśli Glasgow można by nazwać miastem czarnym, to Edynburg zasługiwał na miano szarego.

Szare były tu budynki i szarzy byli ludzie. Edynburg był też najbardziej zanglicyzowanym miastem Szkocji i może właśnie dlatego jego mieszkańcy należeli do największych anglofobów, jakich można sobie wyobrazić. Nienawidzi się bowiem najbardziej tego, czym się chce być, ale czym się nie jest.

Kiedy pociąg zajechał na stację Waverley, powitał mnie transparent głoszący *Ceud Mille Failte*, co podobno znaczy „Sto tysięcy powitań”. Znając jednak nieco mentalność edynburczyków, bardziej skłaniałbym się do odczytania go jako „Odpieprz się, angielski sukinsynu”.

Edynburska zajadłość skierowana była jednak nie tylko przeciw Anglikom. Do ostrej, wielowymiarowej rywalizacji dochodziło też między Edynburgiem a Glasgow. Usilnie podkreślano różnice kulturowe między tymi dwoma głównymi miastami Szkocji. W Glasgow nazywano dzieci *weans*, a w Edynburgu *bairns*. W Edynburgu doprawiano rybę z frytkami solą i sosem, a w Glasgow solą i octem. Z niewytłumaczalnych powodów glasgowczycy kończyli wypowiedziane przez siebie zdania partykułą „ale”, a edynburczycy zaimkiem pytajnym „co?”.

Od tego szkockiego kalejdoskopu kulturowego dostawałem czasem zawrotów głowy.

Na postoju wzięłem taksówkę do Zamku Edynburskiego i wysiadłem na Esplanadzie.

Nadgorliwy mały kapral, który akurat pełnił wartę, nie chciał mnie wpuścić na teren garnizonu, dopóki nie przedstawiłem się jako kapitan Lennox i nie powiedziałem, że przybyłem na spotkanie z kapitanem Jeffreyem. Wskazał mi główny budynek biurowy i kiedy tam dotarłem, Rufus „Mafeking” Jeffrey już na mnie czekał - bez czapki i w cywilnym ubraniu. „Mafeking” było ksywą, którą mu nadałem wiele lat temu i której nie cierpiał, choć nie miał pojęcia, dlaczego tak go przezwąłem. Jeffrey był wysokim, tyczkowatym facetem o kręconych blond włosach, rzędnych na skroniach. Widać było, że nie jest zbyt uszczęśliwiony moim widokiem. Szczerze mówiąc, mnie też szczególnie nie cieszyły powroty do tego typu militarnych klimatów, nawet takich jak u malowanych żołnierzy na Zamku Edynburskim.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zaliczyć jakieś piwko na Royal Mile¹⁹, jeśli nie masz nic przeciwko temu, stary. - Uśmiech Jeffreyego był równie autentyczny, jak jego udawany arystokratyczny akcent, przyswojony niegdyś w prywatnej edynburskiej szkole z internatem.

Mignęła mi czerwona czapka wchodzącego do biura sierżanta żandarmerii wojskowej, co przywołało pewne niemiłe wspomnienia.

- Pewnie - powiedziałem i ruszyliśmy w dół Esplanadą.

Usiedliśmy w rogu pubu. Białe promienie marcowego słońca, przebijające się przez siwy dym z okna za „Mafekingiem” Jeffreyem utworzyły aureolę wokół jego kręconych blond włosów. Zaczęliśmy od leniwej pogawędki na temat tego, co wydarzyło się od czasu naszego ostatniego spotkania. Naprawdę leniwej, bo prawda była taka, że każdy z nas miał

gdzieś, co działo się w życiu drugiego. Ja nie lubiłem Jeffreya, a on mnie, ale miałem na niego haka, a poza tym kiedyś ocaliłem mu skórę. Miał więc wobec mnie dług wdzięczności.

Wdzięczność to zdecydowanie najlepsze podłoże, na którym może się rozwinąć szczerą nienawiść.

- Masz to zdjęcie, o którym wspominałeś? - spytał jednak w miarę sympatycznym tonem. Podałem mu je nad stolikiem. - Gedeon... - przeczytał na odwrocie. - Wiem, co to jest.

I sprawdziłem dla ciebie tego sierżanta McGaherna. Może zaczął służbę jako Szczur Pustyni, ale zakończył ją w innym charakterze. Wygląda na to, że sierżant McGahern był człowiekiem o - jak by to ująć? - szczególnych umiejętnościach.

- Urodzony zabójca.

- Zdecydowanie. Ale najwyraźniej był też niezłym taktykiem i urodzonym liderem.

Jak sam wiesz, Lennox, nasz ostatni europejski konflikt wymagał pewnych nowatorskich działań. Słyszałeś o SAS?

- Oczywiście. - Mentorski ton Jeffreya, tak samo jak jego udawany akcent, cholernie mnie irytowały. Należał do kategorii edynburskich Brytyjczyków, którzy z okazji Wieczorów Burnsowskich²⁰ czy tradycyjnych szkockich potańcówek wkładali kilty, a jednocześnie usiłowali wyrugować ze swojej wymowy wszelkie ślady szkockości.

- Jak wiesz, SAS utworzono do wykonywania misji specjalnych na tyłach wroga, 19 Główny trakt edynburskiej starówki, ciągnący się od Zamku Edynburskiego do opactwa Holyrood.

²⁰ Tradycyjne szkockie święto obchodzone w okolicach 25 stycznia na cześć Roberta Burnsa, narodowego wieszcza Szkotów.

przeprowadzania zamachów i tak dalej. Nie było to jednak posunięcie aż tak nowatorskie, jak by się wydawało. Pierwowzorem SAS były oddziały założone przez szalonego Orde Wingate’a²¹, który zresztą utworzył też później Chinditów.

- Gedeon?

- Oddziały Gedeona. Działały w Abisynii. Elitarne oddziały partyzanckie, składające się z przedziwnej mieszanki Brytyjczyków, Abisyńczyków, Sudańczyków i mośków.

- Żydów?

- Mhm. Dziwne, co? Sam nie mam do nich melodii, ale podobno Wingate zawsze bardzo wspierał

ideę ustanowienia przez naszych żydowskich przyjaciół własnego państwa w Palestynie. Wyczytniał najrozmaitsze harce na terenie, który dziś nazywamy Izraelem.

- A co to ma wspólnego z McGahernem? - spytałem. - Rozumiem, że należał do Oddziałów Gedeona?

- W latach 1943-1944 - zgodnie z tym, czego udało mi się dowiedzieć dzięki pogłoskom i wertowaniu oficjalnych akt. Chyba coś niecoś mi zawdzięczasz, stary.

- Chyba jednak jeszcze nie do końca wyrównaliśmy rachunki, stary. - Poczęstowałem go papierosem, żeby złagodzić wymowę tych słów.

- W każdym razie - powiedział Jeffrey, nachylając się w moją stronę, żeby skorzystać z ognia - twój sierżant McGahern należał do Gedeona. No i dość mocno się skumpłował z żydkami.

Dobrze było wiedzieć, że taka drobnostka, jak sześć milionów ofiar w żaden sposób nie osłabiła antysemityzmu Jeffreya. Pomyślałem o Jonnym Cohenie, którego doświadczenia wojenne, włącznie z wyzwoleniem Bergen-Belsen, były trudniejsze i bardziej autentyczne niż tego ścierwa, które siedziało właśnie przede mną. Miałem ochotę utrzyć Jeffreyowi nosa. Ale nic nie powiedziałem, dając mu mówić dalej. - I tu właśnie dochodzimy do tego pierwowzoru SAS. Kiedy w latach 1936-1939 Arabowie zaczęli się burzyć w Palestynie, Wingate zorganizował tam jednostki zwane SNS, czyli Special Night Squads²², które przeprowadzały ataki wymierzone w arabskie wioski i grupy terrorystyczne. Podobno SNS działały niezwykle bezwzględnie i na przykład spośród każdych dziesięciu jeńców jednego dla postrachu rozstrzeliwali. Słyszałeś o tym izraelskim generale? Wiesz, tym *ghaffirze* ²³ z opaską na oku?

- Mosze Dajan. Pewnie byś się zdziwił, Jeffrey, bo w przeciwieństwie do ciebie ten 21 Orde Charles Wingate (1903-1944) - brytyjski generał. W 1943 roku utworzył w okupowanej przez Japończyków Birmie 77. brygadę piechoty, zwaną Chinditami.

22 Specjalne Jednostki Nocne.

23 *Ghaffir* (z arab. strażnik, dozorca) - określenie ochotniczych członków paramilitarnej Policji Żydowskich Osiedli, działającej w Palestynie od 1936 roku.

ghaffir to żołnierz z prawdziwego zdarzenia.

- No więc tego swojego żołnierskiego fachu nauczył się od nas. Dajan należał do SNS.

Wingate dobierał do SNS Żydów, którzy wcześniej należeli do Hagany i Policji Żydowskich Osiedli, a z kolei część SNS-owców zwerbowano potem do Gedeona.

Jeffrey na chwilę jakby zgubił wątek. Podążając za jego wzrokiem, zobaczyłem przy barze smukłego młodzieńca o kobiecej urodzie. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat, a na sobie tanią niebieską marynarkę z serży, na której klapy wywinięty był rozpięty kołnierz koszuli. Młodzieniec spojrział na Jeffreya obojętnie i odwrócił się. Uwaga Jeffreya znowu skupiła się na mnie. Był to stary problem.

Upodobania Jeffreya były właśnie powodem, dla którego nadałem mu wymyśloną przez siebie ksywę. Nigdy nie doszedł do tego, dlaczego przezwiałem go „Mafeking”, a chodziło o to, że systematycznie oblegał młodych rekrutów aż do ich ostatecznej kapitulacji²⁴.

To właśnie skłonności Jeffreya, których niewątpliwie nabył podczas niegdysiejszych nocnych harców w dormitoriach szkolnego internatu, wpędziły go w tarapaty, z których go wyciągnąłem: chodziło o wpadkę z osiemnastoletnim poborowym lalusiem. To było z góry ukartowane i Jeffrey padł ofiarą szantażu. Niespecjalnie gustowałem w takich typkach jak on, ale był, kim był, a ja nie lubiłem, jak ludzie żerowali na tym, że ktoś urodził się taki, a nie inny.

Poza tym, bądźmy szczerzy, Jeffrey miał wówczas najrozmaitsze kontakty w administracji wojskowej, które miały mi się przydać pod koniec mojej kariery wojskowej, a także później, tak jak teraz. Złożyłem więc lalusiowi wizytę i zademonstrowałem, jak łatwo pozbawić go urody. Wręczył mi inkryminujące Jeffreya zdjęcia i negatywy, a ja w końcu jakoś nigdy ich Jeffreyowi nie oddałem. Ani nie zniszczyłem.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o pozostałych facetach ze zdjęcia? - spytałem.

- Niestety niczego pewnego. Ale mam dla ciebie kilka nazwisk. Jeden z tych koleśków dostał nieźle w kość. Podkreśliłem tutaj jego nazwisko... - Jeffrey wyrwał kartkę ze swojego notesu i przesunął ją po stoliku w moją stronę. Wzrok znowu uciekł mu na chwilę w kierunku chłopca przy barze.

Przyjrzałem się nazwiskom. Moją uwagę od razu przyciągnęło nazwisko dowódcy jednostki McGaherna: kapitan James Wallace.

- William Pattison - odczytałem nazwisko podkreślone przez Jeffreya.

- Starszy szeregowy, zgodnie z tym, co widnieje w kartotece - powiedział Jeffrey. - Z

²⁴ Oblężenie Mafekingu (1899-1900) było najsłynniejszą i decydującą operacją wojsk brytyjskich podczas II wojny burskiej.

tego, co wiadomo, został poważnie ranny. Pomyślałem, że to może być jakiś punkt zahaczenia, bo wiem, gdzie można go znaleźć.

- Ach tak?

- Tak... Trochę bym przeciągał strunę, starając się zdobyć adresy pozostałych, ale w aktach Pattisona napisano, że został odesłany do kraju i umieszczony w Domu Levendale.

- Nadal tam jest? - Znałem Dom Levendale, a raczej wiedziałem o jego istnieniu. Był

to dom opieki dla inwalidów wojennych.

- Tego nie wiem, stary, ale podejrzewam, że tak. Wiesz, ci którzy tam trafiają, nieczęsto stamtąd wychodzą.

- Dowiedziałeś się jeszcze czegoś o Oddziałach Gedeona? Albo o Tamie McGahernie?

- Niewiele. Niektóre materiały są nadal utajnione. Szczerze mówiąc, chodzi też o to, że jako pochodzący z glasgowskiej klasy robotniczej podoficer, sierżant McGahern obracał się w nieco innych kręgach. Poza tym chyba był rybojadem.

Zmarszczyłem brwi.

- No, katolikiem, stary. Piątkowa ryba. Wydaje się jednak, że był dobrym żołnierzem.

Mówisz, że nie żyje?

- Bez dwóch zdań. Wiesz może, gdzie jeszcze służył na Bliskim Wschodzie? Przed Abisynią albo po niej.

- Niestety nie. Sporo działał w Afryce Północnej ze Szczurami Pustyni, ale nie znam szczegółów. Obawiam się, Lennox, że to wszystko, co byłem w stanie zdziałać w tej sprawie.

Wszelkie dalsze węszenie zacznie wywoływać pytania - wiesz, o co chodzi. - Mówiąc to, nie spuszczał z oczu młodzieńca, który kierował się teraz do korytarza za barem.

- W porządku - powiedziałem. - Dzięki.

- Przepraszam, stary, muszę za potrzebą... - Jeffrey wstał z krzesła. Pożegnałem się z nim i patrzyłem, jak zmierza w kierunku toalety, do której chwilę wcześniej wszedł młody pedzio.

*

W przeciwieństwie do Glasgow w Edynburgu nie było metra, więc kiedy rozstałem się z Jeffreyem, pozwalając mu oddawać się w toalecie swojemu brzydkiemu procederowi, ruszyłem piechotą wzdłuż Royal Mile.

Marcowe niebo było bezchmurne, jak to często się zdarza w Edynburgu, ale również chłodne i posępne. Ciasna pięść miasta wypychała zamek w sterylny błękit. Edynburg dzieli się zasadniczo na średniowieczne Stare Miasto i georgiańskie Nowe Miasto, które są od siebie oddzielone parkiem Princes Street Garden i dworcem Waverley. Zszedłem ulicą The Mound w kierunku ulicy Princes i rozciągającego się za nią Nowego Miasta, ale zrezygnowałem z pierwotnego planu przejścia całej drogi piechotą i zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę. Gdy podałem adres na St Bernard's Crescent, na ponurym obliczu taksówkarza pojawił się na chwilę drwiący uśmiešek.

Edynburg jest miastem wyniosłej pruderii i pod tym względem zawsze, jako outsiderowi, wydawało mi się przeciwieństwem Glasgow. Glasgow ma może czarne serce, ale jest to ciepłe czarne serce, natomiast Edynburg to miasto pełne prezbiteriańskiej sztywności i nieuzasadnionego snobizmu. Glasgowczycy z upodobaniem mówili w takich wypadkach: „w futrze, ale bez majtek”. W zasadzie trudno byłoby sobie wyobrazić określenie bardziej pasujące do przybytku, który miałem właśnie odwiedzić. Mimo iż Glasgow miało reputację miasta, gdzie się ostro pije, gdzie są ostrzy mężczyźni i

jeszcze ostrzejsze kobiety, to właśnie Edynburg był szkockim centrum przestępstw na tle seksualnym, pornografii i prostytutce. Za tutejszymi firankami kryło się wiele ciemnych spraw.

Ulica St Bernard's Crescent położona była w samym centrum edynburskiej dzielnicy Stockbridge. Przy jej łagodnym łuku stały georgiańskie kamienice z piaskowca, których okna frontowe wychodziły na nieduży zadrzewiony park. Większość budynków miała cztery kondygnacje: trzy nad poziomem ulicy i jedną poniżej, z której okien widać było ogrodzenie z kutego żelaza. Ten rozkład miał szczególne znaczenie dla domu, do którego się wybierałem -

podobno im wyższe piętro się odwiedzało, tym więcej się płaciło.

Edynburscy taksówkarze znani są z tego, że swoją radością życia kojarzą się z pogrążonymi w depresji pracownikami zakładów pogrzebowych. Taksówkarzowi, który wiozł mnie akurat na miejsce, udało się jednak wykrzesać z siebie kolejny drwiący uśmiezek, gdy podjeżdżał pod wskazany adres na St Bernard's Crescent i informował mnie o wysokości należności. Zazwyczaj dawałem taksówkarzom sute napiwki, szczególnie w Londynie i w Glasgow, gdzie często na najlepszą pogawędkę w ciągu dnia można było liczyć właśnie na tylnym siedzeniu taksówki. Teraz jednak dokładnie odliczyłem zapłatę, nie dorzucając ani pensa więcej. Moje wymowne skąpstwo spłynęło jednak po mało przytomnym albo zubożonym taksówkarzu jak woda po kacze. Cóż, to w końcu był Edynburg.

Dom wyglądał jak wszystkie inne przy tej ulicy, choć farba na drzwiach frontowych i oknach wyglądała na świeższą, a schody na staranniej zamiecione niż u sąsiadów. Młoda kobieta, która mnie wpuściła, ubrana była dość skromnie w niebieski żakiet z serży, ołówkową spódnicę i białą bluzkę. Spytała, czy byłem umówiony, więc wyjaśniłem, że nie przyszedłem tu jako klient, lecz jako przyjaciel pani Gersons. Uśmiechnęła się i poprowadziła mnie do niedużego, przerobionego na coś w rodzaju biura pokoju obok sali recepcyjnej. Po drodze zwróciłem uwagę na gustowny wystrój, w jaki zainwestowała Helena. Nie zdziwiło mnie to, bo Helena Gersons była elegancką damą o wyrafinowanym guście. Tak, z całą pewnością burdel w Edynburgu przewyższał klasą burdel w Glasgow - pomyślałem, dokonując szybkiego porównania z lokalem Arthura Parksa.

Jestem cynicznym palantem, przyznaję. To, na co się napatrzyłem, i to, co robiłem, uczyniło ze mnie kogoś, kogo w gruncie rzeczy nie lubiłem. Mój sposób radzenia sobie z tym faktem często polegał na witaniu nowego dnia szyderczym uśmiechem lub kpina na czyjś temat. A może po prostu zaczynałem się aklimatyzować. Ludzie tutaj mieli inne podejście do życia: w Ameryce i Kanadzie nowy dzień zaczynało się z myślą „Kolejny dzień - kolejny dolar!”, natomiast glosgowskie motto brzmiało „Nowy dzień - to samo gówno”. Mój cynizm zazwyczaj powodował, że wisiało mi, co się dzieje wokół mnie.

Kiedy do biura weszła Helena Gersons, poczułem się jednak tak, jakby ktoś walnął

mnie w brzuch. Biorąc pod uwagę, że brzuch mieści się między sercem a kroczem, było to całkiem zrozumiałe. Helena Gersons była chyba najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu poznałem. Dziś miała na sobie dopasowany szary kostium, który tulił się do jej kształtów w sposób budzący wręcz zazdrość. Zebrane z tyłu kruczoczarne, lśniące włosy odsłaniały pełną gracji szyję. Miała czarne oczy, łukowate brwi i pełne usta, uszmińkowane na kolor głębokiej czerwieni. Uśmiech, jakim mnie

przywitała, był jednak nieco smutny.

- Lennox... - powiedziała z akcentem, który był bardziej angielski niż szkocki i w którym pobrzmiwała też delikatna kontynentalna nuta. - Nie sądziłam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę.

- Świat jest mały, Heleno. Jak się miewasz?

Uczyniła ręką gest wskazujący na otaczającą nas georgiańską architekturę.

- Nie chodzi mi o interesy, tylko o ciebie. Jak ty się miewasz?

- Świetnie. Ale powiedzmy sobie szczerze: gdyby naprawdę interesowało cię moje samopoczucie i losy, to odezwałbyś się do mnie znacznie wcześniej. - Zmarszczyła czoło. -

Przepraszam, to było niestosowne.

- Pewnie było stosowne. - Położyłem kapelusz na biurku.

Helena wrzuciła kilka kostek lodu do kryształowej szklaneczki i nie pytając, nalała mi whisky Canadian Club, a sobie szkockiej. Poczekalem, aż siądzie i założy jedną długą nogę w jedwabnej pończosze na drugą, po czym usiadłem naprzeciw niej.

- Jestem teraz obywatelką brytyjską. - Wzięła papierosa, którym ją poczęstowałem. -

Nie jestem już przesiedleńcem. Jestem już... osiedlona. Chociaż udało się dosłownie w ostatniej chwili. Policja sporządziła raport o mojej małej prywatnej inicjatywie i miałam być deportowana jako niepożądana cudzoziemka, ale na szczęście sprawa jakoś się opóźniła.

Roześmiałem się cynicznie. Helena Gersons miała duże wpływy w edynburskim establishmencie, wśród ludzi, którzy pociągają za sznurki, a których od czasu do czasu też pociągano za to i owo w tych twornych georgiańskich murach.

- Więc interesy idą dobrze? - spytałem.

- W porządku... o tej porze roku zawsze jest spokojniej, chyba że zawija jakiś statek.

Największy ruch jest podczas festiwalu²⁵. - Zaśmiała się, odsłaniając nieskazitelnie białe zęby. - I oczywiście wtedy, gdy w mieście odbywa się posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego Kościoła Szkocji. Dziewczęta często mają wtedy pełne ręce roboty, tak trudno sobie poradzić z tym religijnym ferworem.

Też się roześmiałem. Moją uwagę ponownie zwróciła jej doskonała angielszczyzna.

W jej wymowie pozostało już tylko słabe echo Wiednia, który opuściła, będąc niemal jeszcze dzieckiem, w 1936 roku.

- Nigdy nie myślałaś o powrocie? Chodzi mi o Wiedeń.

- To byłam zupełnie inna ja - powiedziała i nie było to pierwsze jej stwierdzenie, przy którym uderzyło mnie, że mógłbym to samo powiedzieć o sobie. Dobrze było znowu zobaczyć Helenę, znowu z nią porozmawiać. Był taki czas, kilka lat temu, że dużo ze sobą rozmawialiśmy. W nocy, otuleni cichym mrokiem. - Poza tym Austria nadal jest w zupełnej rozsypce. Bóg jeden wie, jakie będą jej dalsze losy i czy nie stanie się w końcu satelitą Rosji.

Tak czy inaczej, ludzie tacy jak ja są kłopotliwi, bo są przypomnieniem grzechów z przeszłości. - Jej oczy spoważniały. - Czego chcesz, Lennox?

- Czy to aż takie oczywiste, że czegoś chcę?

- Zawsze czegoś chciałeś.

- Oboje czegoś chcieliśmy. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, Heleno. W każdym razie masz rację, a przynajmniej po części. Pomyślałem, że możesz znać kogoś, o kim zbieram informacje. Ale to nie jest jedyny powód, dla którego tu przyszedłem. Naprawdę chciałem się z tobą zobaczyć.

Uniosła brew.

- Domyślam się, że i tak byłeś w mieście.

- Chodzi o pewną dziewczynę... - Zignorowałem trafność jej przytyku. - Ma za sobą przeszłość w branży. Wywierała jakieś naciski na jednego z moich klientów, choć nie do końca wiem, w jaki sposób.

25 Festiwal Edynburski - doroczny festiwal kulturalny odbywający się od 1947 roku.

Podąłem jej zdjęcie.

- Jeśli to twój klient, to czemu po prostu sam go nie zapytasz, o jakie naciski chodzi?

- On nie odbierze mojego telefonu. Już nigdy.

- Nie żyje? - Zacisnęła usta i przyjrzała się uważniej zdjęciu.

- Całkowicie. Wypadek samochodowy, moim zdaniem upozorowany, a ta panienska jest w to zamieszana. Ma na imię Lillian, ale kiedyś nazywała się Sally Blane. Grała trochę w pornosach.

Sposób, w jaki Helena ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w zdjęcie, sprawiał

wrażenie, jakby próbowała dopasować do siebie fragmenty jakiejś układanki. Spojrzała na mnie z zastanowieniem.

- Znałam Sally Blane. Niezbyt dobrze, ale przepracowała tu nieco godzin. Podobno potem wyjechała do Glasgow.

- To ona?

- Być może... Chodzi mi o to, że ta kobieta jest do niej i podobna, i zarazem niepodobna. Wiem, że to brzmi nonsensownie, ale jej twarz jest jakaś inna. Taka sama, a jednak inna. No, ale z drugiej strony nie znałam jej aż tak dobrze. Choć przez ten czas, kiedy tu pracowała, dobrze sobie radziła z klientami. Była dziewczyną z wyższego piętra, jeśli wiesz, o czym mówię. Wyższa jakość usług, wyższe dochody.

- Ale nie zabawiła tu długo?

- Nie. Miałam wrażenie, że kompletuje sobie własną, prywatną klientelę i buduje interesik. - Helena znowu zmarszczyła brwi, a robiła to pięknie. - Chwila, coś jeszcze sobie przypominam. Pod koniec jej pobytu tutaj zaczął po nią czasami przychodzić po pracy jakiś mężczyzna. To nie był klient. Może jej facet. Albo alfons. Wyglądał nieciekawie. Miał

glasgowski akcent.

- Jak wyglądał?

- Taki nieduży, żyłasty oprych. Nosił drogie ubrania i jeździł szpanerskim samochodem, ale to wszystko nie bardzo pasowało do jego fizjonomii, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem dokładnie, o co ci chodzi - powiedziałem, myśląc o drogim garniturze powieszonym na niewłaściwym wieszaku. - Czy kiedykolwiek były jakieś kłopoty z tym jej glasgowskim facetem? Jeśli był tym, o kim myślę, to zawsze starał się na siłę wcisnąć tam, gdzie nie trzeba.

- Nie, nic z tych rzeczy. Tutaj nie miewamy żadnych kłopotów. Nie daję sobie rozkazywać żadnemu gangsterowi ani nie stosujemy tu przemocy. Nie ma żadnych wykidajłów, bo przez większość czasu mamy w lokalu jakiegoś przedstawiciela miejscowej policji.

- Dobrze jest mieć funkcjonariusza na służbie. - Wyciągnąłem rękę po zdjęcie, ale Helena nadal je studiowała.

- To dziwne. Zapamiętałam ją inaczej. Czy to możliwe, żeby to była jej siostra?

Słyszałam, że ma siostrę, ale nigdy jej nie spotkałam.

- Przypuszczam, że to możliwe. Ostatnio jest jakaś moda na udawanie przez rodzeństwo siebie nawzajem. - Odebrałem od niej zdjęcie. Była na nim bez wątpienia ta sama twarz, co twarz Lillian/Sally w pornosie. Po raz drugi jednak ktoś się wahał, oglądając to zdjęcie. - Miała przyjaciółkę, Margot Taylor. Może to nawet była jej siostra. Margot pracowała dla Arthura Parksa w Glasgow i kombinowała podobnie. Wiesz - próbowała stworzyć własny interesik. Ale Parks nie wykazał się tolerancją, więc chyba dostała wciry i została wyrzucona.

- Przykro mi, ale to nazwisko nic mi nie mówi. - Helena wypięła nieco szkockiej, podnosząc do ust szklaneczkę trzymaną w długich, smukłych palcach z pomalowanymi szkarłatnym lakierem paznokciami. Kiedyś była pianistką. Chodziły słuchy, że czasami grała na pianinie dla swoich „gości”, którzy w osłupieniu słuchali w burdelu koncertowych wykonania Bacha i Mozarta. Helena była kimś w rodzaju cudownego dziecka, ale dojście do władzy nazistów pogrzebało jej szanse. Tuż

przed wcieleniem Austrii do III Rzeszy Helena wraz ze starszą siostrą wyjechały do ciotki do Anglii. Ich rodzice mieli pozatwierać ostatnie sprawy i do nich dołączyć, ale kiedy zlikwidowano granice między Niemcami a Austrią, wszystkie inne granice okazały się dla rodziny Gersonów nie do przebycia. Po wojnie Helena dowiedziała się, że w końcu udało im się wyjechać z Austrii. Ale na wschód. Do Oświęcimia.

Tuż po wybuchu wojny Helena, jej siostra i ciotka zostały aresztowane przez władze brytyjskie i internowane na wyspie Man jako cudzoziemki z wrogiego kraju. Nasze drogi skrzyżowały się tuż po wojnie.

Teraz piliśmy drinki, paliliśmy papierosy i rozmawialiśmy o wspólnych znajomych tylko po to, aby wypełnić ciszę. Jakakolwiek inna rozmowa zaprowadziłaby nas za daleko.

- Nie pracuję już z klientami. Prowadzę tylko to miejsce. Wiesz o tym, prawda, Lennox?

- Tak przypuszczałem.

- Któregoś dnia sprzedam ten interes i... - Zawiesiła głos i rozejrzała się wokół siebie po pokoju. Piękny ptak w wytwornej klatce. Zapadła cisza. Zaszliśmy jednak za daleko.

- Lepiej pójdę.

- Dobrze. Miło cię było zobaczyć. - Temperatura opadła, Helena wstała i uściśniła mi dłoń, jakbym był dyrektorem banku, w którym ma konto.

*

Kiedy wyszedłem na ulicę, czułem się podle i postanowiłem pójść do dworca piechotą. Idąc, pozwalałem przetaczać się przez moją głowę różnym scenom z przeszłości. Po spotkaniu z Heleną zaczęły mi się roić w głowie sentymentalne bzdury. Wypiłem kawę w dworcowej kafejce, po czym o wpół do piątej wsiałem do pociągu do Glasgow. Miałem ochotę jak najszybciej opuścić Edynburg i zanurzyć się z powrotem w mroczne objęcia Glasgow.

W pociągu panował spokój. Następny wypełnią urzędnicy wracających po pracy do Glasgow lub do którejś z sąsiednich miejscowości. Głupio melancholijny nastrój mnie nie opuszczał i potrzebowałem prywatności, żeby bez przeszkód pograżyć się w smętnej zadumie. Jedną z wygod, jakie fundowałem sobie na koszt klientów, były podróże pierwszą klasą. Znalazłem pusty przedział i usadowiłem się w nim, mając nadzieję na godzinną podróż w samotności. Niestety chwilę później do przedziału wtargnął w oparach fajkowego dymu niski gruby, łysiejący jegomość i usiadł naprzeciwko mnie, kładąc na sąsiednich fotelach swój prochowiec, gazetę i teczkę.

- Dzień dobry - powiedział.

Wymamrotałem coś w odpowiedzi, a on zniknął za szeleszczącą ścianą gazety.

Wyglądało na to, że przynajmniej nie będę niepokojony żadną towarzyską rozmową. Po kilku minutach rozległ się głośny syk pary i posapując, lokomotywa zaczęła ciągnąć za sobą skład.

Ruszyliśmy.

Za oknem przesuwał się ciemnopopielaty krajobraz, a ja starałem się podsumować wszystkie znane mi fakty dotyczące zabójstwa McGahernów. Niestety nie trwało to długo.

Siedzący naprzeciw mnie biznesmen złożył gazetę i zabrał się do przeglądania numeru czasopisma „Country Life”. Nie wyglądał na gościa mającego jakieś wiejskie hobby typu strzelanie albo polowanie, a raczej na mieszkańca przedmieść. Moja próżna ciekawość drogo mnie kosztowała. Zauważył, że mu się przypatruję, i najwyraźniej odebrał to jako zachętę do zagajenia rozmowy.

- Dobrze jest wydostać się przed godzinami szczytu - powiedział. Mimo charakterystycznej szkockiej wymowy „r”, trudno było wywnioskować z jego akcentu, czy pochodzi z Glasgow czy z Edynburga i czy należy do klasy robotniczej czy średniej.

Przytaknąłem ze zdawkowym uśmiechem.

- Interesy w Edynburgu skończone? - spytał.

- Tak jakby.

- Nie, nie, niech pan mi nie mówi! Bardzo proszę, niech pan mi zrobi tę małą przyjemność. To jest mój popisowy numer na przyjęciach: z wyglądu nieznanym mi osobom odgaduję ich zawód i różne fakty z ich życia.

- Naprawdę? - powiedziałem. Odpieprz się - pomyślałem.

- Tak... a teraz pan. Pan jest wyzwaniem. Trudno dokładnie zidentyfikować pana akcent. Choć oczywiście jest pan Kanadyjczykiem, nie Amerykaninem. Dalej będę zgadywał... mogę się mylić, bo pana akcent już trochę się zmienił... ale jednak stawiałbym na wschodnią Kanadę. Prowincje nadmorskie.

- Nowy Brunswik - powiedziałem. Byłem autentycznie pod wrażeniem, jednak nie na tyle, żeby kontynuować rozmowę.

- Teraz jeśli chodzi o zawód... - Tego człowieka o małych oczkach za okularami menedżera bankowego trudno było zrazić zwykłą obojętnością. - Rozgryzienie, co robi dana osoba, jest zazwyczaj łatwe. Wydaje mi się jednak, że w pana wypadku mamy do czynienia z czymś dość niekonwencjonalnym. - Zamilkł na chwilę i wziął do ręki pismo „Country Life”. -

Oto pytanie, które zawsze okazuje się pomocne. Ja poluję. Głównie strzelam. W polowaniach biorą udział ludzie dwóch odrębnych kategorii. Można powiedzieć, że są to dwa odrębne typy osobowości: myśliwy i tropiciel, który doprowadza myśliwego do zwierzyny łownej.

Oczywiście czasem myśliwy sam tropi swoją ofiarę. Załóżmy jednak, że pan i ja mamy oko na jelenia. Widziałby pan siebie jako tropiciela czy raczej jako myśliwego?

- Nie wiem - powiedziałem bez namysłu. - Może jako tropiciela.

- Tak. Tak właśnie bym pana zaklasyfikował. Jeśli chodzi o mnie, jestem czystej wody myśliwym. Poluję głównie na jelenie. To wspaniałe zwierzęta. Wie pan, jaka jest najistotniejsza cecha myśliwego? Szacunek dla ofiary. Kiedy strzelam do jelenia, kończę sprawę szybko. Chodzi o to, żeby położyć go maksimum dwoma strzałami. Żeby odbierając życie, robić to możliwie szybko i bezboleśnie. Jak mówię - z szacunku dla zwierzęcia.

Uśmiechnąłem się ze znużeniem. Właśnie wjeżdżaliśmy w mrok tunelu przed stacją Haymarket. Pociąg zatrzymał się, ale nikt się nie dosiadł. Lokomotywa wypuściła ogromny obłok pary, który popłynął ponad peronami. Czuję się osamotniony, uwięziony w tej kapsule z najnudniejszym człowiekiem na świecie.

- Uważam to za niezwykle - ciągnął, spoglądając na przesuwane się za oknem szare kadry rejonu Lothian - ale często okazuje się, że jesteśmy kimś innym. Że nie jesteśmy wcale kimś, za kogo się uważaliśmy. Na przykład ja - wiem, co pan sobie o mnie myśli: że jestem bezbarwnym człowieczkiem bez wyobraźni, pracującym pewnie w jakimś biurze.

- Ja... - zacząłem, nieco zakłopotany kierunkiem, w jakim zaczęła zmierzać rozmowa.

- Nic się nie stało. - Dziwny mężczyzna nie dał mi dokończyć. - Właśnie kimś albo czymś takim byłem. Czy raczej zapowiadało się, że będę. Nie jestem obdarzony zbyt bujną wyobraźnią. Jako dziecko nie zdawałem sobie jednak z początku sprawy, że ten brak wyobraźni nie jest moim jedynym deficytem. Widzi pan, panie Lennox, w młodym wieku zrozumiałem, że nie czuję w taki sam sposób jak inni. Nie cieszyłem się, nie smuciłem ani nie bałem tak, jak inni.

Wyprostowałem się na swoim siedzeniu.

- Skąd pan zna moje nazwisko?

- Nie twierdzę, że to mnie jakoś szczególnie wyróżniało spośród innych -

kontynuował, ignorując moje pytanie - bo tylko ja sobie z tego zdawałem sprawę i moje życie potoczyłoby się pewnie przewidywalnym torem, gdyby nie zdarzyło się jednak coś nieprzewidywalnego. Oczywiście mam na myśli wojnę. No, ale przecież doskonale pan wie, o co mi chodzi, panie Lennox. Widzi pan, podczas wojny odkryłem, że moje deficyty emocjonalne kompensuje mi pewna umiejętność, której brakowało innym. Potrafiłem mianowicie bez skrupułów zabijać. Bez żadnych zbędnych myśli, emocji czy późniejszego żalu. Wie pan, mam do tego po prostu talent. Tak jak inni mają talent do muzyki albo malarstwa. Jestem utalentowanym zabójcą. A to coś ze wszech miar pożądanego w kontekście wszelkich konfliktów zbrojnych. W końcu zwerbowano mnie do Grupy Dalekiego Zwiadu. Jestem pewien, że zna pan działalność tej grupy.

- Kim pan jest? I skąd zna pan moje nazwisko? - Zacząłem podnosić się z siedzenia.

- Proszę, panie Lennox, niech pan siada. - Ruchem tak szybkim, że niemal go nie zarejestrowałem, sięgnął do swojej teczki. Z rękojeści noża sprężynowego wyskoczyło bardzo długie i smukłe ostrze. - Niech pan po prostu usiądzie. Zapewniam pana, że choć jest pan rostry i doświadczony, to wszelki kontakt fizyczny między nami miałby niefortunne konsekwencje. Mam ogromne doświadczenie w

posługiwaniu się tym, co trzymam w ręku.

Usiadłem. Nie musiałem ponownie pytać, kim jest. Już wiedziałem. Na razie nie mogłem tylko wykombinować, jak ocalić skórę, dysponując tą wiedzą. Jak sam powiedział, byłem rostry i doświadczony, więc gdyby zaszła taka konieczność, próbowałbym to wykorzystać. Na razie jednak usiadłem z powrotem.

- To z powodu nabytych umiejętności zająłem się swoim obecnym fachem. Jestem świetnym fachowcem. Poza tym mam żonę i syna, wie pan, panie Lennox?

- Nie wiedziałem. Nic o panu nie wiem, panie Morrison. Poza tym, że najprawdopodobniej Morrison to nie jest pana prawdziwe nazwisko.

Uśmiechnął się i położył sprężynowiec na gazecie obok siebie, dyskretnie przykrywając go jedną ze stron.

- Rozumiem... sądzi pan, że pana zabiję, bo za dużo pan wie i widział pan moją twarz.

- Coś w tym rodzaju.

- To zrozumiałe. Niemieccy marynarze wierzą w małego duszka, zwanego klabaternikiem, który jest niewidzialny, lecz przynosi szczęście tym, z którymi płynie na statku. Jeśli człowiek zobaczy jednak twarz klabaternika, to wie, że wkrótce umrze. Muszę przyznać, że rzeczywiście tak się zawsze postrzegałem. Zapewniam pana jednak, że z naszym spotkaniem jest inaczej. Ci, których zabijam - czy to ludzie, czy zwierzęta - umierają szybko i najczęściej nieświadomi tego, co ich czeka. Dlatego nie widzę nic złego w tym, co robię.

Ludzie umierają cały czas, niejednokrotnie w strasznych męczarniach, spowodowanych ranami lub chorobą. Sam pan zapewne był świadkiem cierpień, jakie dotykają ludzi na wojnie. Agonii, w jakich niektórzy umierają. Zgony spowodowane chorobami lub wypadkami rzadko obywają się bez wielkiego bólu. Z moimi ofiarami jest inaczej. Nie cierpią wcale albo prawie wcale. Nie wiedzą, co ich czeka, a więc nie czują lęku. Sam pan więc widzi, panie Lennox, że gdybym miał zamiar pana zabić, to nawet by pan tego nie zauważył. Już by pan nie żył. Tak czy inaczej, wybrałem na spotkanie pociąg, bo jest idealnym miejscem na pogawędkę. Gdybym miał zamiar pana zabić, wybrałbym takie miejsce, z którego po fackie łatwiej się oddalić.

- Na razie mam wrażenie, że stara się mnie pan zagadać na śmierć. Czego pan chce, panie Morrison?

- Sprawa dotyczy tego, czego pan chce. - Uśmiechnął się, a w jego małych oczach za szklami okularów pojawił się zimny błysk. Przemknęło mi przez głowę, że dla wielu ludzi te małe, szpetne oczy menedżera bankowego były ostatnią rzeczą, jaką zobaczyli w swoim życiu. Mogłem sobie wyobrazić, że umierali właśnie tak, jak to opisywał. Chwilowy wstrząs.

Niedowierzenie. I wreszcie ostatnie spojrzenie w te oczy.

- Jednakże - kontynuował - mam dla pana pewnego rodzaju propozycję. Ale możemy to omówić później. Ach... to już nasza stacja. A w każdym razie moja stacja i obawiam się, że będę zmuszony

nalegać, aby mi pan przez część drogi towarzyszył. I bardzo pana proszę, panie Lennox, niech pan nie będzie niemądry. Mam też przy sobie inną broń.

Wysiedliśmy z pociągu. Morrison szedł nieco z tyłu z płaszczem przewieszonym przez ramię, żeby ukryć trzymany w ręku sprężynowiec. To była mała stacja z dwoma peronami i bocznicą, położona na skraju miasteczka, jak okiem sięgnąć otoczonego posępными bagnami. Zaczynało się ściemniać i Morrison wskazał mi, w którą stronę mamy pójść ze stacji. Zwróciłem uwagę, że oddalamy się od miasta i kierujemy w stronę górzystych pustkowi.

W głowie kłębiły mi się tysiące wyobrażeń na temat zakończenia naszej eskapady.

Pewnie - Morrison miał reputację najlepszego specjalisty w swoim fachu, ale jak sam przyznał, większość swoich ofiar zabijał z zaskoczenia. Ja natomiast byłem świadomy obecności tego małego ścierwa za moimi plecami i wysuniętego ostrza, ukrytego pod jego płaszczem. Na pewno miał też spore doświadczenie nabyte na polu walki, ale to samo dotyczyło mnie. No i nie grzeszył posturą. Po mniej więcej piętnastominutowym podejściu doszliśmy do brzydkiego kościoła, przypominającego wielką kamienną stodołę ze zbyt małą wieżą. Zatłoczony cmentarz ciasno otaczało ogrodzenie z kutego żelaza. Niektóre nagrobki były przekrzywione, inne pokruszone. To był bardzo konkretny wyraz szkockiego protestantyzmu: odstręczającego, złowieszczonego, posępnego i surowego.

- Kirk o' Shotts... - wyjaśnił Morrison. W półmroku widać było tylko jego ciemną sylwetkę. Rozejrzałem się. Wkoło żywego ducha. Miejsce na zabójstwo dobre jak każde inne.

Zwymyślałem się od idiotów, że nie zaatakowałem go wcześniej. Gdybym teraz spróbował, byłby na to przygotowany.

- Spokojnie. - Morrison jakby czytał w moich myślach. - Wiem, że to odludne miejsce jest idealne na zabójstwo, ale nie po to tu pana przyprowadziłem. Czy mogę już to schować? -

Schował wąskie ostrze z powrotem do rękojeści, po czym włożył nóż do kieszeni. - Niech mi pan nie sprawia kłopotów, panie Lennox. Przyprowadziłem tu pana w pańskim interesie, nie własnym. - Podszedł do jednego z rogów cmentarza i wyjął kawałek ułamanego nagrobka, który utkwiał w przerośniętej mchem trawie. - Mam szczególny sentyment do tego miejsca -

powiedział, wyciągając z zagłębienia po wyjętym odłamku metalową puszkę po tytoniu. - To była - w zasadzie nadal jest - Wielka Droga między Edynburgiem a Glasgow. W piętnastym wieku niebezpiecznie było nią podróżować, głównie ze względu na Bertrama Shotts'a, który był miejscowym rabusiem, a podobno także olbrzymem. Mówiono, że miał dwa metry wzrostu. Niektórzy twierdzili nawet, że dwa i pół. Podobno w pobliżu tego kościoła znajdowała się jego kryjówka i dlatego to miejsce zostało tak właśnie nazwane. - Morrison wyjął z puszkę złożoną na pół kopertę i nie otwierając jej, wsunął ją do kieszeni. - Oczywiście nie był żadnym wielkoludem, ale ludzie mają upodobanie do wyolbrzymiania znanych łotrów.

Z pewnością zgodzi się pan z tym, że moja reputacja robi znacznie większe wrażenie niż ja sam jako człowiek z krwi i kości.

- Po co mnie pan tu przyprowadził? Bo chyba nie w celu udzielenia mi lekcji historii, która absolutnie nikogo nie obchodzi?

- To miejsce, gdzie można spokojnie porozmawiać, a ja musiałem tu odebrać korespondencję. W taki właśnie sposób klienci dają mi znać, że mają dla mnie jakąś robotę.

Zostawiają mi w tej puszcze po tytoniu numer telefonu i termin, kiedy mam pod niego zadzwonić. Mam kilka takich „skrzynek pocztowych”, ale ta tutaj jest moją ulubioną. Dla policji to trudne miejsce do obserwacji, bo jest na odkrytym wzniesieniu. Oczywiście niektórzy z moich klientów, jak na przykład Trzej Królowie, korzystają z bardziej konwencjonalnego i bezpośredniego sposobu porozumiewania się ze mną. - Wyciągnął rękę w kierunku rozpościerającej się poniżej doliny, wskazując w oddali strzelistą stalową wieżę, wznoszącą się na tle niemal już całkiem ciemnego nieba. - Czasy się zmieniają, panie Lennox.

To nadajnik telewizyjny, wzniesiony około pięciu lat temu. Podobno telewizja to przyszłość.

Technika rozwija się coraz szybciej i coraz więcej ludzi z niej korzysta. Policja również.

- Nadal nie rozumiem, po co tu jestem.

- Przede wszystkim chciałem, żeby pan wiedział, jak się ze mną kontaktować.

- Mieszkam w Glasgow i czasem przydałby mi się jakiś w miarę porządny krawiec. A moja gospodyni ma czasem kłopoty ze znalezieniem hydraulika. - Potarłem brodę, ironicznie udając namysł. - Ale nie... raczej nie przewiduję, abym kiedykolwiek tak naprawdę potrzebował usług płatnego zabójcy.

Morrison spojrzał na mnie obojętnie. Mówił wcześniej o swoim socjopatycznym braku emocji. Najwyraźniej wiązało się to też z brakiem wszelkiego poczucia humoru.

- Nie, nie... Nie o to mi chodzi - powiedział. - Jak już mówiłem, mam dla pana propozycję. Chciałem, żeby pan wiedział, jak w razie potrzeby się ze mną kontaktować. Ale jeszcze do tego wrócę.

- O, doskonale - odparłem z sarkazmem, który znów pozostał niezauważony.

- Chciałem z panem porozmawiać przede wszystkim dlatego, że mam pewne informacje, które chyba pana zainteresują. Gdzieś tydzień temu wykonywałem pewną robotę dla pana Sneddona. Gdy odbierałem instrukcje, powiedział mi, że rozpracowuje pan dla niego zabójstwo Tama McGaherna. Że próbuje pan dojść, kto za tym stoi. Tak nawiasem mówiąc, to nie byłem ja.

- Jeśli sprowadził mnie pan tu tylko po to, żeby mi to powiedzieć, to mógł mi pan oszczędzić tego spaceru. Doszedłem do tego już wcześniej.

- Nie to mam panu do powiedzenia. Ze dwa i pół tygodnia temu w jednej z moich skrzynek kontaktowych ktoś zostawił pewien numer telefonu. Nie był to żaden ze znanych mi numerów. Mam stałą klientelę i nie nagłaśniam swoich usług. Jak panu wspomniałem w pociągu, panie Lennox,

jestem bardziej myśliwym niż tropicielem, ale z trafiającymi się okazjonalnie zadaniami detektywistycznymi też sobie radzę bez żadnych problemów. Mam kontakty... ludzi, którzy za odpowiednią rekompensatą wyświadczą mi pewne przysługi. I którzy, nawiasem mówiąc, nie mają zielonego pojęcia, czym się trudnię, choć prawdopodobnie domyślają się, że nie jest to zbyt zgodne z prawem. W każdym razie zleciłem jednemu ze swoich informatorów, który pracuje na Poczcie Głównej, aby sprawdził

ten numer. Okazało się, że jest to numer jednej z budek telefonicznych w Glasgow. Na ulicy Renfield. Ktokolwiek zostawił mi ten numer, bardzo uważał na to, aby nie zostać namierzonym. Rzecz jasna, ponieważ chodziło o budkę telefoniczną, do numeru dołączona była konkretna godzina, o której miałem pod niego zadzwonić.

- I zadzwonił pan?

- Nie, oczywiście, że nie. To mogła być pułapka zastawiona przez policję. Zamiast dzwonić, pofatygowałem się na ulicę Renfield, w okolice tej budki. I faktycznie, pięć minut przed umówioną godziną do budki wszedł niewysoki młodzieniec. Oczywiście mógł to być zbieg okoliczności, ale kiedy inny mężczyzna zaczął zniecierpliwiony pukać w szybę, młodzieniec otworzył drzwi, chwycił czekającego za kłapy i najwyraźniej czymś mu zagroził, bo tamten od razu się zmył.

- Taa, ale pan mówi o Glasgow. Coś takiego jest tam na porządku dziennym. -

Wyjąłem z papierośnicy papierosa i zapaliłem, częstując też Morrisona. Gdy mu go zapalałem, płomień zapalniczki oświetlił nagle jego okrągłą, pulchną twarz. Choćby człowiek nie wiem jak łamał sobie głowę, próbując odgadnąć jego profesję, chyba nigdy nie wykombinowałby, że to płatny zabójca. Pewnie dlatego był uważany za jednego z najlepszych w swoim fachu.

- Nie. To był właściwy gość. Okupował budkę przez dobre pół godziny. Bez wątplenia był to właśnie człowiek, z którym się miałem skontaktować.

- Rozpoznał go pan?

- Nie. Ale najwyraźniej był jakąś płotką. To kolejne zabezpieczenie ze strony tego, kto próbował mnie wynająć. Po ubiorze i po tym, że wyglądał na przestraszonego, gdy w końcu nie odebrał telefonu, którego odebranie mu zlecono, zorientowałem się, że to nie ten młodzik chce zostać moim klientem.

- A jak wyglądał?

- Jak mówiłem - niewysoki, może o kilka centymetrów wyższy ode mnie. Tani garnitur. Tłuste włosy zaczesane w coś, co chyba nazywa się obecnie kaczym kuprem.

- Ciemny blondyn?

Zapadła chwila milczenia i wyobraziłem sobie, że pan Morrison marszczy w ciemności czoło.

- Zna go pan?

- Znałem. Jeśli faktycznie chodzi o tego gościa, którego mam na myśli, to nie ma go już wśród żywych - powiedziałem i przemknęła mi przez głowę przyprawiająca o mdłości myśl o pasztecikach mięsnych. - Wydaje mi się, że chodzi o Bobby'ego, jednego z fagasów Tama i Frankiego McGahernów.

Górujący nad nami kościół Kirk o' Shotts odcinał się ciemną sylwetą na tle nieba, które nabrało barwy głębokiego, ciemnego aksamitu. Twarz Morrisona i szkła jego okularów znowu rozświetlił na chwilę blask papierosa, którym się zaciągnął.

- To by pasowało. Szedłem za nim od ulicy Renfield aż do jakiejś spelunki w Maryhill.

- Do Highlandera?

- Tak. Opowiedziałem panu Sneddonowi o tym drobnym wydarzeniu, a on poinformował mnie, że Highlander prowadzony jest przez McGahernów.

- Czy to nie narusza zasady poufności obowiązującej między zleceniodawcą a zleceniobiorcą?

- McGahernowie ani nigdy nie byli moimi klientami, ani nie byli brani jako tacy pod uwagę. Jak mówiłem, nie pracuję dla byle kogo. Jak pan jednak wie, sztuka zabijania jest czasem uprawiana w sposób daleki od doskonałości. W Glasgow jest mnóstwo ludzi, którzy na pana zlecenie pozbawiliby kogoś życia za marne dwadzieścia funtów. Albo i mniej. Ja jestem specjalistą i wynajęcie mnie sporo kosztuje. Jeśli świętej pamięci pan McGahern chciał

skorzystać z moich usług, musiało zająć coś szczególnego. Coś niecodziennego.

Zastanowiłem się nad tym, co mówił Morrison. Przyszedł mi też do głowy upozorowany wypadek Johna Andrewsa. Może był zaplanowany już kilka tygodni wcześniej.

Może istniały też jakieś plany co do mojej osoby.

- Pan Sneddon chciał, żeby pan się o tym dowiedział. Sam by panu to przekazał, ale powiedziałem, że i tak chcę z panem porozmawiać o pewnej innej sprawie.

- O tej pana propozycji.

- Właśnie. Widzi pan, panie Lennox, działamy niejako ramię w ramię. Obaj jesteśmy niezależni i obaj pracujemy zasadniczo dla tych samych ludzi, więc jesteśmy w pewnym sensie kolegami po fachu. Różnica między nami polega na tym, że pan jest tropicielem, a ja myśliwym. A skoro tak, to moglibyśmy dzielić się zdobyczą. Jak pan na pewno zdaje sobie sprawę, w mojej pracy anonimowość jest sprawą najwyższej wagi. Robię, co mogę, aby pozostać niewidzialnym i ujawniłem panu swoją tożsamość tylko dlatego, że dostrzegam możliwość współpracy między nami. Rzecz jasna w niektórych sytuacjach. Widzi pan, czasem konieczność prowadzenia obserwacji celu, śledzenia go i poznawania jego sposobu poruszania się i innych przyzwyczajęń naraża mnie na ryzyko identyfikacji. Pan jest natomiast urodzonym tropicielem, czującym się jak w domu pod osłoną ciemności, i ekspertem w odnajdywaniu ludzi. Moja propozycja jest prosta: podział zysku na pół przy każdym udanym wspólnym polowaniu.

Upuściłem na ziemię niedopałek i rozgniotłem butem fontannę pomarańczowych iskier. Spojrzałem na niewielką, ciemną sylwetkę zabójcy o powierzchowności menedżera bankowego.

- Dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam. Nie jestem zainteresowany tego rodzaju pracą. - Starłem się podkreślić swoje słowa zdecydowanym tonem. - Nie chcę mieć nic wspólnego z pana poczynaniami.

Morrison na chwilę zamilkł.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Ale uważam, że popełnia pan kolosalny błąd.

To bardzo lukratywne zajęcie. I czy się panu to podoba, czy nie, i tak ma pan już w nim swój udział.

- Co to ma niby znaczyć?

- Pamięta pan, jak w zeszłym roku pan Murphy zlecił panu odnalezienie pewnej młodej pary?

- Tak. - Faktycznie pamiętałem tę robotę. - Młot Murphy mówił, że to przysługa dla znajomego, którego córka uciekła, aby się potajemnie z kimś pobrać. Znajomy Murphy'ego chciał się po prostu upewnić, że jego córce nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

- Obawiam się, że prawda miało nieco mniej rodzinny charakter. W rzeczywistości ten młody człowiek był podwładnym pana Murphy'ego i ukradł mu sporo pieniędzy. Co więcej, przekazał policji pewne inkryminujące informacje. Pana zadaniem było ich odszukać. Moim -

żeby znowu zaginęli. Już na dobre.

- Dziewczyna też? - Pamiętałem ją. Miała nie więcej niż dwadzieścia dwa czy trzy lata.

- Dziewczyna też. Widzi pan więc, panie Lennox, że już kiedyś pan dla mnie tropił.

Tak czy inaczej, chciałbym, żeby pan to jeszcze przemyślał. Gdyby pan chciał się ze mną skontaktować, proszę posłużyć się tą „skrzynką” z puszki po tytoniu. A teraz proszę mi wybaczyć, ale opuszczę pana. Może pan złapać następny pociąg do Glasgow. Nie będę panu towarzyszył, bo muszę jeszcze zajść w jedno miejsce w tej okolicy. - Morrison zaczął się oddalać w kierunku ciemnego zarysu kościoła. Przystanął na chwilę. - Aha, i przypuszczam, że nie muszę podkreślać, jakie to dla pana ważne, aby postarał się pan zapomnieć moją twarz, jeśli nie przyjmie pan oferty współpracy.

- Nie musi pan. - Prawdę mówiąc, twarz Morrisona zatarła się w mojej pamięci równie szybko, jak kontury otaczającego nas krajobrazu w zapadającym zmroku. Taka to właśnie była twarz - idealna dla zabójcy.

Wróciłem do stacji Schotts drogą, którą przyszliśmy i która teraz wydawała się już czarna jak smoła. Idąc, musiałem się powstrzymać przed odruchem oglądania się za siebie, by sprawdzić, czy nie kroczy za mną dwuipółmetrowy duch Bertrama Schotts'a albo mający metr sześćdziesiąt cież socjopatycznego menedżera bankowego.

*

Gdy tylko wróciłem do Glasgow, zadzwoniłem do Sneddon, i to od razu ze stacji.

Tym razem przekazałem mu komplet informacji, włącznie z tą, że Bobby'emu, fagasowi McGahernów, przerobiono głowę na miazgę w bardzo podobny sposób, jak przerobiono na miazgę głowę jednego z braci McGahern w warsztacie samochodowym w Rutherglen.

Powiedziałem Sneddonowi, że odbyłem poufałą rozmowę z panem Morrisonem i że obaj byliśmy niemal pewni, iż to Bobby próbował go wynająć w imieniu Tama McGaherna.

Podzieliłem się z nim też swoimi podejrzeniami, że pierwszy zginął Frankie, a nie Tam.

- Czyli to Tamowi dałeś wycisk? - spytał Sneddon. - Nie przypuszczałbym, że okaże się takim popychadłem.

- Ja też nie. To było ukartowane. Nadinspektor McNab z jakiegoś powodu obserwował Frankiego. Wydaje mi się, że ten „Frankie” to był Tam i dał ten popis przed McNabem celowo. Z początku myślałem, że chodziło o rzucenie na mnie podejrzeń o dokonanie pierwszego morderstwa.

- Teraz już tak nie myślisz?

- Nie. Przez to, co się wydarzyło owego wieczoru, jeszcze bardziej stałem się podejrzany o dokonanie drugiego zabójstwa, co rzecz jasna nie ma sensu. Tam by mnie przecież nie wrabiał w morderstwo, którego sam padł ofiarą. To było na pewno ukartowane, ale sądzę, że nie po to, aby rzucić na mnie podejrzenie, tylko po to, aby McNab zobaczył, jak daję „Frankiemu” wycisk. Może McNab podejrzewał, że to Frankie zginął za pierwszym razem. Gdybym wdał się w bójkę uliczną z Tamem McGahernem, to tak jak pan mówi, musiałbym się nieźle natrudzić. Sądzę, że Tam celowo dał się obić, żeby przekonać McNaba, że jest Frankiem.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Pewnie Sneddon zastanawiał się nad tym, co mu powiedziałem.

- To nie ma sensu - powiedział wreszcie. - Po cholere Tam McGahern miałby robić to całe zamieszanie, żeby przekonać wszystkich, że jest Frankiem?

- Bo to Tam był ich prawdziwym celem, a z powodu tych gier, w jakie on i Frankie grali z biedną Wilmą Marshall, owej nocy to właśnie Frankie udawał, że jest Tamem i dlatego to jemu zaaplikowano tę lewatywę z ołowiu. Tam zdawał sobie sprawę, że ci, co chcą go dopaść, są zawodowcami. Próbował wykazać, że dopadli właściwego człowieka, licząc na to, że w ten sposób się od nich uwolni. Najwyraźniej to, co o mnie wiedział, skłoniło go do przypuszczenia, że powiem, by spadał na drzewo z tym swoim zleceniem, co da mu pretekst do napaści na mnie i do tego, żeby dać się obić przed policyjną widownią.

- W takim razie kto chciał go dopaść? Płacę ci właśnie za to, żebyś się dowiedział.

- Z całym szacunkiem, panie Sneddon, ale płaci mi pan za mało. Jak mówiłem, ci ludzie to profesjonaliści. Przeszukali moje biuro w taki sposób, że prawie nie sposób się było zorientować. I

jak gładko udało im się załatwić pierwszego z braci McGahernów. Dziwne, że przy drugim zabójstwie było inaczej. A koleś, którzy napadli na mnie na Argyle, mieli więcej mięśni niż rozumu.

- Mam rozumieć, że już nie chcesz tej roboty?

Westchnąłem. Bardzo chciałbym powiedzieć, że faktycznie nie chcę.

- Nie. Prawda jest taka, że ta sprawa ma związek z inną, nad którą pracuję.

- Coś powinienem o tym wiedzieć?

Wrzucając do automatu niemal wszystkie drobne, jakie miałem w kieszeni, zrelacjonowałem Sneddonowi całą historię Johna i Lillian Andrewsów. Wprowadziłem w tej opowieści tylko drobną zmianę w chronologii, żeby ukryć fakt, iż nie poinformowałem Snedдона od razu o rozsadzającym bólu głowy Bobby'ego. Gdyby Sneddon uznał, że nie zdawałem mu relacji na bieżąco, to mógłbym dostać małą nauczkę od paru jego chłopców.

Nie żebym od razu wylądował w szpitalu, ale żebym na przyszłość był nieco mniej zapominalski. Uznałem też oczywiście za rozsądne, aby nie wspominać o moim małym łupie spod wanny.

Poczułem się dużo lepiej, zdając tę całą relację. Opowiedzenie tej historii na głos pomogło mi wyraźniej zobaczyć różne jej aspekty. Sneddon znów słuchał w milczeniu, co jakiś czas wydając tylko pomruk. Zakończyłem, wycofując swoją deklarację niezależności.

Może jednak dobrze byłoby mieć Pedikiurka na podorędziu. Było to wołanie o pomoc: nie omieszkałem powiedzieć Sneddonowi, że John Andrews ostrzegął mnie, iż chcą mnie zrobić, tak jak jego. Sneddon mógł triumfować - w końcu moja deklaracja niezależności była dowodem sporego zadufania w sobie - ale nie zrobił tego.

- Przydzielę ci dwóch gości jako obstawę. Pedikiurka i drugiego, którego nie znasz.

Nazywa się Semple.

- Czy jest bardziej subtelny od Pedikiurka?

Sneddon roześmiał się do słuchawki.

- Nieee. Nie za bardzo. Ale to taki koleś, którego warto mieć przy sobie, jeśli zaczną się kłopoty.

- Prawdę mówiąc, czegoś takiego właśnie mi teraz potrzeba. Ale niech im pan powie, żeby nie afiszowali się swoją obecnością, jeśli nic się nie będzie działo.

- Załatwię to.

- W porządku, dzięki - powiedziałem.

Miałem już odłożyć słuchawkę, gdy Sneddon spytał:

- A tak przy okazji - jak on wygląda? Chodzi mi o Morrisona. Nigdy go osobiście nie spotkałem.

- Och... z grubsza tak, jak można by się spodziewać - powiedziałem. - Kawał chłopca.

Około metra dziewięćdziesięciu. Sprawia wrażenie prawdziwego twardziela.

- Mmm - mruknął Sneddon. - Jasne.

Sneddon dotrzymał słowa. Wieczorem poszedłem spać wcześniej, a kiedy następnego ranka rozsunąłem zasłony, zobaczyłem siedmio- albo ośmioletniego austina 16HP, zaparkowanego w odległości około pięćdziesięciu metrów po drugiej stronie Great Western.

Ktoś siedział za kierownicą. Oczywiście nie musieli to być wcale ludzie Sneddona, ale niejasne odczucie, które przez kilka ostatnich dni nie dawało mi spokoju, wskazywało na to, że jeśli ktoś faktycznie mnie śledził, to był w tym zbyt dobry, bym potrafił go namierzyć.

Po śniadaniu pojechałem ulicą Dumbarton na zachód, poza miasto. Ciemny austin 16HP wiernie dotrzymywał mi towarzystwa. Dojazd do Domu Levendale zajął mi zaledwie piętnaście minut. Był to rozległy budynek, zaprojektowany i wybudowany w sposób świadczący o ogromnym bogactwie i wysokim statusie. Kiedyś był arystokratyczną rezydencją z rodzaju takich, jakie widzi się pośrodku majestatycznych, pięknych posiadłości ziemskich w górskich rejonach północnej Szkocji. Tylko że z tą było inaczej: znajdowała się na obrzeżach miasta Bishopbriggs.

Wojna wszystko radykalnie zmienia. Co więcej, kiereszuje ludzi. I Dom Levendale stał się schronieniem dla poważnie pokiereszowanych.

To dziwne, że kiedy wojna się już skończyła, wszyscy chcieli o niej mówić. Opiewać ją. A kiedy o niej nie mówili, to oglądali o niej filmy, w których etatowym aktorem zdawał

się John Mills²⁶. Tak jakby istniało jakieś zbiorowe pragnienie, aby przekonywać się wzajemnie o tym, że była to w istocie wielka przygoda, która zbliżyła wszystkich do siebie i nawet z najgorszych wydobyła to, co najlepsze.

Był to rzecz jasna stek bzdur.

Ludzie w większości nie chcieli widzieć tej całej niedoli, jaką pozostawiła po sobie wojna - tej płątaniny złamanych ludzkich losów. Byli jednak i tacy, którzy nawykli do spoglądania prawdzie w oczy i obcowania z nią na co dzień. Ludzie pracujący w Domu Levendale troszczyli się o okaleczone ciała i umysły chłopaków, którzy posłużyli za mięso armatnie i wrócili jako starcy. Ślepi, poranieni, niespełna rozumu.

W Levendale siostra dyżurna, zmęczona kobieta po pięćdziesiątce, wprowadziła mnie 26 Sir John Lewis Ernest Watts Mills (1908-2005) - brytyjski aktor, znany przede wszystkim z ról w filmach wojennych z lat czterdziestych.

do jasnej świetlicy z widokiem na rozległy ogród otaczający budynek. Domyśliłem się, że to właśnie z nią rozmawiałem przez telefon. Pytała mnie wtedy, co mnie łączy z pacjentem, a ja wyjaśniłem, że mieliśmy wspólnego towarzysza broni.

- Czy znał pan Billy'ego, zanim... zanim został ranny? - spytała z zatroskanym wyrazem twarzy. Odniosłem wrażenie, że jej troska dotyczyła nie tylko jej pacjenta, ale i mnie.

- Nie, właściwie się nie znamy. Jak mówiłem, mamy wspólnego przyjaciela, z którym po wojnie straciłem kontakt i którego teraz próbuję odszukać. Pattisona natomiast nigdy wcześniej nie spotkałem.

- To może nawet i lepiej. Chyba powinnam pana uprzedzić... Billy odniósł bardzo ciężkie rany, które go poważnie oszpeciły.

- Napatrzyłem się na niejedno - odparłem.

Siostra zostawiła mnie w świetlicy. Rozejrzałem się po drewnianej boazerii, ozdobnych listwach przysufitowych i ogromnych, wychodzących na ogród oknach.

Wiktorianański architekt, który projektował ten dom, wyobrażał sobie pewnie arystokratyczną rodzinę spędzającą w tym pomieszczeniu poranki, rodzinę pewną swojego miejsca w *status quo imperium* brytyjskiego, nad którym nigdy nie zachodziło słońce. Dwie wojny wywróciły jednak świat do góry nogami, a imperium też dostało mocno w kość i teraz Dom Levendale ze swoją wytworną świetlicą stanowił schronienie dla kalekich weteranów wojennych, którzy inaczej nie mieliby się gdzie podziąć.

Siostra nie przesadziła ze swoim ostrzeżeniem. Kiedy wróciła do świetlicy, pchała przed sobą wózek inwalidzki. Było jasne, że starszy szeregowy William Pattison i granat nawiązali bardzo bliski kontakt. Zastanawiałem się tylko, kogo więcej ubyło w tym spotkaniu. Pattisonowi brakowało jednej strony twarzy, a jego usta zostały zredukowane do koślawej, pozbawionej warg szpary. Jeśli organizowano tu jakieś zajęcia artystyczne, z pewnością nie grywał podczas nich na trąbce. Na miejsce, gdzie powinien mieć prawą część szczęki, prawy policzek i oko, naciągnięte zostały nowe płaty skóry.

Lewa strona twarzy też była nieźle pokiereszowana. Wyglądała tak, jakby ktoś poprzesuwał wszystkie jej elementy, a potem nie potrafił ich ustawić z powrotem na miejsce.

Poza tym widać było, że te resztki twarzy, które przetrwały, uległy rozległym poparzeniom.

Lon Chaney nie był dla Pattisona żadną konkurencją. Maską wykrzywiła się w grymasie, w którym domyśliłem się skierowanego do mnie uśmiechu.

- Niewielu miewam gości - powiedział. Nie gadaj! - pomyślałem. Słowom dobywającym się z resztek jego ust towarzyszył odgłos mlaskania. Jak powiedziałem siostrze, napatrzyłem się na niejedno, ale widok Pattisona przyprawiał mnie jednak o mdłości.

Robiłem, co mogłem, żeby się uśmiechać. Pocieszałem się tym, że nawet jeśli mój uśmiech nie był zbyt przekonujący, to i tak Pattison nie mógł się ze mną pod tym względem mierzyć. -

Siostra mówiła, że znasz Tama.

- Nasze ścieżki się kiedyś skrzyżowały - powiedziałem. Uświadomiłem sobie, że on nie wie, iż McGahern nie żyje. Postanowiłem na razie o tym nie wspominać. Chciałem najpierw zobaczyć, jak potoczy się nasza rozmowa. Biedak i tak dźwigał spory krzyż.

- W jakiej służyłeś jednostce? - spytał Pattison. Zauważyłem, że prawą stronę ciała ma bezwładną. Pewnie sparaliżowaną.

- W Pierwszej Armii Kanadyjskiej. Włochy, Holandia i Niemcy.

- Skąd w takim razie znałeś Tama? - Nie wyczuwałem w głosie Pattisona podejrzliwości. No ale trudno być czegokolwiek pewnym, jeśli chodzi o wymowę człowieka bez połowy języka i połowy zębów.

- To długa historia. Byłeś z nim w Gedeonie?

- I wcześniej też. Tam był moim sierżantem. Nie spamiętam już, ile razy wybawił mnie z opresji.

- A co z... - Niezręcznym gestem wskazałem wózek inwalidzki.

- Och... to się zdarzyło już po tym, jak Tam wrócił do kraju. Przez moją idiotyczną nieostrożność. Zgrywałem chojraka i za późno padłem na ziemię.

- A jakiego rodzaju facetem był wtedy Tam? Szczerze mówiąc, poznałem go dopiero pod koniec wojny.

- Klasa. Absolutna klasa. Naszą jednostką dowodził pewien oficer - jak na oficera, bardzo dobry, bo w Gedeonie służyli twardziele, nawet oficerowie. Ale był tylko teoretykiem.

Kiedy zaczynały się kłopoty, inicjatywę przejmował Tam. Też byłeś podoficerem?

- Nie. Kapitanem.

- O, przepraszam, panie kapitanie. Nie chciałbym, żeby odebrał pan to jako brak szacunku. Dla oficerów, znaczy się.

- Nic się nie stało, Billy. Sam spotkałem sporo palantów z gwiazdkami na pagonach.

Tak czy inaczej, teraz nie jestem oficerem. - Podsunąłem sobie krzesło i usiadłem naprzeciwko wózka inwalidzkiego.

- Rozumiem, że wraz z Tamem przeszliście w Gedeonie niezły szlak bojowy, tak?

- O, tak. Nawalczyliśmy się zdrowo. Nasza jednostka składała się głównie z Żydów i Sudańczyków. Nie mam im absolutnie niczego do zarzucenia. Dużo się tam nauczyłem. To twardziele, szczególnie te żydowskie chłopaki. Od lat walczą z Arabami. Kiedy trzeba było dać z siebie wszystko, można było na nich liczyć. Teraz oczywiście mają własny kraj. Niech Bóg ma w opiece biedaków, którzy spróbują im go odebrać.

- Ci Żydzi w waszej jednostce... Tam powiedział mi, że niektórzy z nich należeli wcześniej do Specjalnych Jednostek Nocnych.

- Tak. To prawda. Większość, jeśli nie wszyscy. Właśnie to miałem na myśli.

Nawalczyli się jeszcze przed wojną. Likwidując arabskie oddziały partyzanckie, ochraniając iracki naftociąg i tak dalej. To naprawdę twarde skurczybyki. I nienawidzili Niemców.

Niewielu brali jeńców, jeśli wie pan, o co mi chodzi. A jednocześnie to były naprawdę zabawne chłopaki. Tam świetnie się z nimi dogadywał. Interesował się tym wszystkim. Wie pan, historią Bliskiego Wschodu i tego typu sprawami. Dlatego miał tak dobry kontakt z naszym oficerem, który był przed wojną dziennikarzem czy kimś takim. Korespondentem -

chyba tak ich nazywają. Specjalizował się właśnie w Bliskim Wschodzie.

- Nie wiesz, czy Tam utrzymywał potem kontakt z kimś z jednostki?

- Myślę, że tak. Do mnie w każdym razie zaglądał. Nie wie pan, że to właśnie dzięki Tamowi doprowadzono mi twarz do porządku?

Na chwilę zgłupiałem. Do porządku?! - pomyślałem i musiałem się naprawdę zmusić, żeby nie dać po sobie poznać zaskoczenia.

- Miałeś kontakt z Tamem od zakończenia wojny?

- Jasne. Odwiedził mnie ze cztery czy pięć razy. Na początku musiałem nosić na twarzy opatrunek. Przez całe miesiące. Rany po prostu nie chciały się zagoić i cały czas groziła mi infekcja. Chcieli mi załatwić wizytę u chirurga, który mógłby mnie doprowadzić do porządku, ale on był ciągle zajęty. Tam wszystko załatwił. Zapłacił za prywatną operację u najlepszego dostępnego chirurga plastycznego - doktora Alexandra Knoxa. Nie wiem, jak Tamowi udało się go przekonać, nawet jeśli w grę wchodziły pieniądze. W każdym razie to właśnie doktor Knox doprowadził mnie do porządku. Jestem naprawdę zadowolony z efektów.

- Świetna robota - powiedziałem z uśmiechem. Ale nie dzwoń do Sama Goldwyna i nie pytaj, czy potrzebuje kogoś do głównej roli męskiej - pomyślałem. - Kiedy ostatnio widziałeś się z Tamem?

- Mniej więcej rok temu - odparł Pattison i w kąciku jego niby-ust pojawiły się bąbelki śliny. Za zrobienie warg musiała być dodatkowa opłata. - Był naprawdę odstawiony. Zajął się biznesem i świetnie mu idzie.

- Znałeś brata Tama?

- Nie. Nigdy go nie poznałem, ale sporo o nim słyszałem. Wie pan, oni byli jednojajowymi bliźniakami, ale Tam nie znosił brata. Mówił, że nigdy nie potrafił zrozumieć, jak dwóch braci może być tak do siebie podobnych pod względem wyglądu, a jednocześnie tak odmiennych wewnątrz. Mówił, że jego brat jest do niczego. Że jest tchórzem. I szcurem.

- Dużo o nim mówił?

- O niczym dużo nie mówił. Słuchał. Jednak kiedy już coś powiedział, warto było posłuchać. Ale faktycznie... mówił trochę o bracie. Mówił, że brat to dekonnik i że wymigał

się od służby. Chyba martwił się tym, że musiał zostawić pod jego opieką rodzinny biznes.

Na chwilę zapadła cisza. Spojrzałem znowu w kierunku wykuszowych okien i powiedziałem coś o urodzie rozciągającego się za nimi ogrodu. Prawdę mówiąc, chciałem po prostu oderwać się na chwilę od widoku twarzy Pattisona.

- Czy spotkałeś może kiedyś w wojsku gościa, który nazywał się Jimmy Wallace? -

spytałem w końcu.

- Nie Jimmy Wallace, a Jamie Wallace. Wie pan, jak ci z wyższych sfer mają z imionami. To właśnie o nim mówiłem wcześniej, kiedy wspominałem naszego oficera. To właśnie on. Kapitan Jamie Wallace - gość, który był przed wojną dziennikarzem. Ekspert od Bliskiego Wschodu. To on był dowódcą jednostki, i to nawet niezłym, ale jak już mówiłem, gdy toczyły się walki, dowodzenie przechodziło w ręce Tama.

Rozważyłem, co właśnie powiedział. Oficer. Dlaczego zdemobilizowany oficer miałby pasożytować na jakimś podrzędnym gangsterze?

- A jak Tam się dogadywał z Wallace'em?

- Całkiem dobrze. Wallace polegał na Tamie, a Tam zawsze słuchał z zainteresowaniem, co kapitan miał do powiedzenia. Byli innymi osobowościami, ale wydawało się, że naprawdę dobrze się dogadują.

*

Kiedy wózek z Pattisonem został wreszcie wywieziony ze świetlicy, poczułem, że muszę jak najszybciej wyjść na zewnątrz. Stałem przed drzwiami frontowymi i wciągnąłem do płuc kilka haustów nieglasowskiego powietrza. Nie było nigdzie widać austina 16HP i domyśliłem się, że stoi poza terenem posiadłości. Wróciłem do swojego samochodu i usiadłem w nim, nie uruchamiając przez dłuższą chwilę silnika. Przechyliłem lusterko wsteczne tak, aby widzieć delikatną siatkę blizn na swoim lewym policzku. Kiedyś doprowadził mnie do porządku ktoś taki, jak lekarz Pattisona. Byłem przykładem, jakie znaczenie miała większa o jeden, dwa metry odległość, w której człowiek się znalazł od eksplodującego granatu. Mogłem skończyć jak Pattison. Mało brakowało. Poświęciłem jeszcze chwilę na wymyślenie kilku dowcipów na temat jego kiepsko zrekonstruowanej twarzy, śmiejąc się w duchu. Liczyłem na to, że w ten sposób uda mi się uśmierzyć tępy ból w trzewiach i pieczenie oczu, które pojawiały się za każdym razem, gdy przypominałem sobie tego nieszczęśnika.

Kiedy człowiek przeżył taką wojnę jak ja, uczył się śmiać z cierpienia. Byle było cudze. Śmiejąc się z niego, można było mieć nadzieję, że nas nie dosięgnie. Nie dopadnie. A najzabawniej było wtedy, jeśli człowiek naprawdę zaczynał w to wierzyć.

Austin 16HP znowu zjawił się za mną i towarzyszył mi z powrotem do miasta.

Trzymał się w dyskretnej odległości około trzech samochodów. Nie miałem wątpliwości, że ludzie Sneddon umieją posługiwać się nożycami do prętów albo roztrzaskiwać kolana młotem ciesielskim, ale inwigilacja nie była ich najmocniejszą stroną. Nie miało to jednak znaczenia. Dobrze mi było z poczuciem, że mam posiłki za plecami.

Byłem tego wieczoru umówiony na randkę. Zabrałem Jeannie, drobną, ciemnowłosą i seksowną kelnerkę, którą niedawno poderwałem, na film *Sudden Fear* z Jackiem Palance'em i Joan Crawford w kinie Regal na ulicy Sauchiehall. Zgodnie z obowiązującymi w Glasgow zasadami dobrego wychowania Jeannie obstawała przy tym, abyśmy nie siadali w ostatnim rzędzie. Miało to być publicznym świadectwem jej przyzwoitości. Prawda była taka, że byłem bardziej zainteresowany obejrzeniem filmu niż gmeraniem w jej bieliźnie, a oboje wiedzieliśmy, że do tego też dojdzie później w dusznej, ograniczonej przestrzeni mojego austina atlantica.

W Glasgow posiadanie roweru kupionego za własne pieniądze, a nie podwędzonego komuś innemu już było czymś szpanerskim. Własny samochód nadawał człowiekowi status hollywoodzkiego gwiazdora. Do powodzenia u dziewczyn bardziej przyczyniał się fakt, że byłem właścicielem stylowego austina A90 atlantica coupe niż moje łagodne usposobienie, ujmujące poczucie humoru i atrakcyjna aparycja.

- Trochę go przypominasz - powiedziała Jeannie, kiedy wychodziliśmy już z kina.

Wieczorne powietrze było zbyt chłodne jak na porę roku, jaką mieliśmy.

- Kogo?

- Jacka Palance'a. Jesteś przystojniejszy, ale trochę go jednak przypominasz.

- Tak myślisz? - Uśmiechnąłem się. Spojrzałem na Jeannie. Z pewnością nie mógłbym jej przyrównać do Joan Crawford, czy nawet Glorii Grahame, która jak zwykle grała pospolitą latawicę. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Jeannie, było w niej coś, co kojarzyło mi się z Carmen Mirandą: ciemne włosy i oczy, oliwkowa karnacja, pełne, zmysłowe usta. Ale kiedy dziś wieczorem po nią podjechałem, zdałem sobie sprawę, że to coś sprowadzało się prawdopodobnie do wypitej przeze mnie pół butelki żytniej whisky i przyćmionego dymem papierosowym światła. Kiedy teraz ponownie przyglądałem się mojej kelnereczce i oceniałem jej ciemne oczy, oliwkową karnację i pełne, zmysłowe usta, przypominała mi już tylko Edwarda G. Robinsona²⁷ z trwałą. Nagle mój zapal osłabł. - Tak, już mi to mówiono -

odparłem na jej wzmiankę o Jacku Palansie. - Jest po temu pewien powód.

- Ach, tak?

- To długa historia.

Zaparkowałem nieco dalej na ulicy Sauchiehall, bliżej sali tanecznej Locarno.

Poszliśmy w tamtym kierunku.

- To świetny samochód - powiedziała, kiedy otworzyłem jej drzwi. I dodała prowokująco: - Moglibyśmy urządzić sobie przejażdżkę?

- Pewnie - odparłem. Miałem pierwotnie plan, aby wywieźć Jeannie poza miasto, zaparkować na skarpie Glennifer Braes, skąd rozciągał się świetny widok Glasgow i nakłonić ją do zrobienia mi laski. Ale choć bardzo się starałem, nie mogłem wybić sobie z głowy obrazu Małego Cezara²⁸ międlącego w zębach cygaro. To właśnie wtedy zobaczyłem zaparkowanego w odległości kilku samochodów ode mnie ciemnego austina 16HP. Sneddon traktował sprawę mojego bezpieczeństwa chyba aż nazbyt serio. Zróbcie sobie wolne, chłopcy - pomyślałem.

- Jedną chwilę, to moi znajomi... - powiedziałem do Jeannie i podszedłem do 16HP.

Zobaczyłem, że za kierownicą nie siedzi Pedikiurek, i domyśliłem się, że to ten drugi zbir, którego Sneddon przydzielił mi jako obstawę. Facet zapalił jednak silnik, gdy tylko mnie zauważył. Zwróciłem uwagę, że na policzku ma spory opatrunek i dopiero wtedy go rozpoznałem: był to jeden z bandziorów, którzy napadli mnie na Argyle. A konkretnie był to ten koleś, któremu rozplątałem policzek kawałkiem rury. Było jasne, że bez wsparcia swoich kompanów nie ma ochoty na rewanż, bo wrzucił wsteczny, wycofał, po czym z piskiem opon wystrzelił ulicą Sauchiehall. Pobiegnęłam z powrotem do swojego samochodu i puściłem się za nim w pogoń.

Jego 16HP skręcił w ulicę Blythswood i pognał w kierunku rzeki. Przecinając z pełną prędkością skrzyżowanie z ulicą Bath, ledwo uniknął zderzenia z nadjeżdżającym z boku roverem. Wyminąłem tył rovera, ale dystans między mną a 16HP się zwiększył. Facet dojechał do końca Blythswood od strony Clyde i nie zwalniając, odbił w lewo w Broomielaw.

Musiałem ostro hamować, bo wyjechała mi przed maskę ciężarówka, a jej kierowca 27 Edward G. Robinson (1893-1973) - popularny amerykański aktor.

28 Mały Cezar - postać gangstera, grana przez Edwarda G. Robinsona w filmie o tym samym tytule.

rozwrzeszczał się na mnie z szoferki, oskarżając moją matkę o najrozmaitsze akty - wszystkie nieprzyzwoite, niektóre nielegalne i przynajmniej jeden, który uznałem za fizycznie niewykonalny. Wjechałem częściowo na chodnik, aby go wyminąć. Dopiero gdy spojrzałem w bok, zdałem sobie sprawę, że Jeannie nadal siedzi obok mnie. Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami i rozchylonymi w szoku ustami.

- Wsiądź - powiedziałem jak najłagodniej. - Muszę dogonić tego faceta. Interesy...

Siedziała oszołomiona, nie ruszając się z miejsca. Przechyliłem się, otworzyłem drzwi obok niej i pchnąłem ją w ich kierunku.

- Wyłaż! Szybko! - Wysiadła bez słowa i stanęła na chodniku, nadal się na mnie gapiąc. - Przykro mi, Jeannie... Zadzwoń...

Docisnąłem pedał gazu i pognałem atlantikiem wzdłuż Broomielaw w kierunku Targu Paddy'ego.

16HP nie było nigdzie widać, ale wiedziałem, że jeśli podejmę właściwe decyzje, zdołam go jeszcze dopaść. Albo zawrócił w stronę miasta w kierunku skrzyżowania Glasgow Cross, albo przekroczył Clyde i jest w południowej części miasta. Postawiłem na część południową, bo jadąc w kierunku miasta, ryzykowałby, że utknie w korkach i że go dogonię.

Przejechałem mostem Alberta. Na ulicy Crown nie było ruchu. Stąd mógł pojechać drogą na Carlisle albo wrócić w kierunku Govan i drogi na Paisley. Mógł nawet pojechać w kierunku Gorbals, ale uznałem, że byłoby to kiepskie posunięcie. Właściwie każdy, kto kiedykolwiek i z jakiegokolwiek powodu zapuszczał się w Gorbals, wykonywał kiepskie posunięcie. W tym wypadku austin 16HP rzucałby się w Gorbals w oczy tak samo, jak ksiądz na zebraniu oranżystów.

Idąc za głosem intuicji, skręciłem w kierunku Govan i pojechałem Paisley Road West.

Jechałem z maksymalną prędkością, ale 16HP nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Zatrzymałem się pod wiaduktem kolejowym, wyłączyłem silnik i opuściłem szybę.

Panującą na ulicy ciszę przerwał tylko na jakiś czas odgłos tramwaju nr 9, który przetoczył

się z wysiłkiem w pobliżu, zmierzając z Paisley do Maryhill. Z obszarzanego plakatu uśmiechał się do mnie głupawo Sam Costa²⁹ ze swoim groteskowym wąsem, przekonując mnie, że mydło do golenia marki Erasmic jest „w sam raz”. Wieczorne powietrze miało konsystencję zimnej, tłustej sadzy pokrywającej łuki wiaduktu.

Zniknął. Kiedy go straciłem z oczu, wysadzając z samochodu Jeannie, mógł pojechać w dziesięciu kierunkach. Przypomniałem sobie tę chwilę i poczułem się jak ostatni skurwiel, jak zwykle zresztą, kiedy wracałem pamięcią do swojego postępowania wobec kobiet.

²⁹ Sam Costa (1910-1981) - brytyjski śpiewak i prezenter radiowy.

W tym mieście były tysiące takich nieskomplikowanych, wiodących smutne życie dziewcząt, jak Jeannie, w salach tanecznych i kinach szukających odrobiny rozrywki. Każda z nich chciała tylko, póki jeszcze była młoda, przeżyć kilka chwil zapomnienia, udając, że nie zamieni w końcu codziennej harówki w jakiejś fabryce, a w najlepszym wypadku w jakimś sklepie, na codzienną harówkę jako niewolnica okazującego jej niewiele czułości i za grosz szacunku mężczyzny, który zostawi ją w końcu z gromadą dzieciaków. Monotonny rytm tygodnia tych dziewcząt urozmaicany był tylko wyzbytymi miłości, za to hojnie podlewanymi whisky obmacywankami w sobotnie wieczory. Czasami nie było nawet obmacywania, tylko bicie.

Myślałem o biednej Jeannie oraz jej skromnych marzeniach i aspiracjach i zrobiło mi się przykro, że tak bezceremonialnie wysadziłem ją z samochodu. Potem przypomniałem sobie, że wydała mi się podobna do Edwarda G. Robinsona i śmiejąc się, uruchomiłem silnik.

Zdawałem sobie sprawę, że zgubiłem 16HP, postanowiłem jednak na wszelki wypadek wrócić tą samą drogą i rozejrzeć się po nadbrzeżnych kejach. Znajdowały się tam dziesiątki zakątków, zaułków i podwórek, gdzie można było się przyczaić. Podejrzywałem jednak, że kierowca 16HP wykorzystał

mój chwilowy postój, aby maksymalnie zwiększyć dzielący nas dystans.

Jeśli Glasgow stanowiło przemysłowe serce imperium, to rzeka Clyde była jego główną arterią. Minąłem keję Mavisbank, keję Terminus z jej stacjami przeladunkowymi i wreszcie dok Kingston. Jadąc, obserwowałem jasne białe światła unoszące się nad ciemną, połyskliwą powierzchnią Clyde.

Nawet o tej późnej godzinie i w sercu miasta rzeka migotała światłami holowników, łodzi i barek, a co jakiś czas można było dostrzec fontannę iskier tam, gdzie jakaś nocna zmiana rzeźbiła w stali.

Kątem oka zauważyłem samochód stojący obok głównej drogi w wąskim ślepych zaułku między dwoma magazynami. To nie był jednak mój uciekinier. Zaparowane szyby sędziwego forda świadczyły o tym, że tym razem powodem przezornego odosobnienia było pospieszne cudzołóstwo.

Wjechałem w ulicę King, nie myśląc już o pościgu, tylko o powodach, dla których śledzili mnie wspólnicy Lillian Andrews, bo byłem już niemal pewien, że właśnie z nimi mam do czynienia. Facet za kierownicą był jednym z chcących mnie zgarnąć z ulicy partaczy z bedforda. Ich brak finezji nie pasował do profesjonalizmu, z jakim przetrząsnęto moje biuro. Nie pasował też do niejasnego poczucia, które nie opuszczało mnie od kilku dni, że śledzi mnie ktoś tak dobry, iż zupełnie nie dostrzegam jego obecności. To prawda, że facet z 16HP mógłby bardziej rzucać się w oczy, ale musiałby mieć wtedy napis za przednią szybą: LENNOX, ŚLEDZĘ CIĘ. A może działały dwie niezależne ekipy? To by tłumaczyło obecność sobowtóra Freda MacMurraya i jego bliskowschodnich kolegów.

Intuicyjnie czułem, że byli powiązani z Tamem McGahernem w jakiś inny sposób, nie przez Lillian. Nie dawało mi też spokoju to, co Rufus Jeffrey opowiedział mi o służbie wojskowej Tama i jego związkach z Bliskim Wschodem. To było coś, co mogło łączyć pana Podwójne Ubezpieczenie³⁰ i jego poganiaczy wielbłądów z Lillian. Wróciłem mostem Glasgowskim do miejsca, gdzie wysadziłem Jeannie, ale minęła już godzina z hakiem i oczywiście już tam jej nie zastałem. Wszystko się popieprzyło.

Poczułem, że muszę się napić.

³⁰ *Double Indemnity* - film z 1944 roku w reżyserii Billy'ego Wildera i według scenariusza Raymonda Chandlera. W tym czarnym kryminale Fred MacMurray gra agenta ubezpieczeniowego.

Gdy dojechałem do baru Pod Końskim Łbem, minęła już godzina od jego oficjalnego zamknięcia. Była to więc pora, kiedy interesy szły najlepiej, tyle że dyskretnie. Zapukałem w umówiony sposób i otworzył mi Wielki Bob. Był to taki szczególnie brytyjski zwyczaj, który wykorzystywał lukę prawną w przepisach dotyczących sprzedaży alkoholu, zezwalającą koncesjonariuszowi na podejmowanie prywatnie, bez opłat, swoich przyjaciół po zamknięciu lokalu. Innymi słowy, właśnie wtedy gliniarze zgłaszali się po swoje darmowe drinki, przymykając oko na obecność innych „przyjaciół” i na to, że kasa nadal jest otwarta.

Mój spieprzony wieczór toczył się dalej tak, jak się zaczął. Przy barze natknąłem się na dwumetrową, spoglądającą na mnie wilkiem postać.

- Dobry wieczór, panie nadinspektorze - powiedziałem, starając się nie dać po sobie poznać, jak nużą mnie te spotkania. Przemknęło mi przez głowę, aby zaproponować McNabowi, że postawię mu drinka, ale wyglądał na ukontentowanego swoim małym jasnym piwem i grymasem niezadowolenia na twarzy. Poza tym nie przepadałem za towarzystwem, w jakim się znajdował. Przy barze siedzieli wraz z nim dwaj wojskowi: major z cofniętym podbródkiem i bez czapki na głowie oraz sierżant, którego czapka leżała obok na kontuarze i miała mój najmniej ulubiony kolor - czerwony.

Pod koniec swojej dość, przyznaję, barwnej kariery wojskowej spędziłem sporo czasu w towarzystwie żandarmerii wojskowej. Pod wieloma względami komitywa ta przypominała moje późniejsze stosunki z policją, bo sprowadzała się do siedzenia w pomieszczeniu o grubych murach z dwójką koleśków bardzo chcących mi dokopać. Z żandarmerią było o tyle inaczej, że nie mogli tego zrobić, bo byłem oficerem.

McNab jakby czytał w moich myślach.

- Wiecie, Lennox był kiedyś oficerem. Kapitanem, prawda?

Przytaknąłem.

- Taak... - McNab zmierzył mnie wzrokiem. - Kiedyś był dżentelmenem i oficerem.

Teraz jest tylko frajerem.

Mały sierżant wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ja też się uśmiechnąłem, choć miałem ochotę walnąć McNaba w tę jego wielką, głupią policyjną michę.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, nadinspektorze, nie będę się do pana zgłaszał po referencje.

- No i mądrała. Wiesz, kim jesteś, Lennox? Szczurem babrającym się w nieczystościach tego miasta. Ale faktem jest, że docierają do ciebie czasem informacje, które do mnie nie docierają.

- Do czego pan pije, McNab? Szczerze mówiąc, mam już dość zniewag od takich jak pan. - Stałem na wprost niego. Zacząłem się zastanawiać, jakiego rodzaju wycisk mógłbym dostać w celi za złamanie McNabowi szczęki i coraz bardziej przekonywałem się do tej transakcji. Zmierzyłem wzrokiem małego sierżanta, a potem majora i chyba udało mi się dać do zrozumienia, że gdyby przyszło co do czego, to już bym się nie patyczkował i załatwił

sprawę hurtem. Sierżant przestał się uśmiechać, a wymoczek z gwiazdkami miał taką minę, jakby chciał jak najszybciej wrócić do Chelsea. McNab zrobił krok do przodu.

- Co, Lennox, chcesz popробować szczęścia?

- Odpuść, Lennox... - Wielki Bob przemieścił się za kontuarem w naszym kierunku. -

Nie warto z jego powodu ryzykować stryczka.

Nie wiem, czy to z powodu niespodziewanej sugestii, że może nie przeżyć tej konfrontacji, ale McNab jakby się zawahał. Po napiętej twarzy przemknął mu cień niepewności.

- Pytam jeszcze raz, McNab. O co panu chodzi?

- Spokojnie, stary... - Major żandarmerii, wyglądający na jeszcze mniej pewnego siebie, wślizgnął się między mnie a McNaba. Wcześniej wydawało mi się, że tego rodzaju afektowany sposób mówienia jest stosowany tylko przez chcących uzyskać komiczny efekt aktorów, takich jak Basil Radford i Naunton Wayne³¹. - Nadinspektor zasugerował, abyśmy tu przyszli, to pewnie uda nam się zamienić z panem kilka słów. Jeśli ma pan, że tak powiem, kontakty, może coś się panu obilo o uszy.

- O czym? - Nie spuszczałem wzroku z McNaba.

- Zeszłej nocy było włamanie do magazynu odzieżowego - powiedział McNab. -

Niewiele zabrano i w normalnych okolicznościach nie byłoby jakiegoś większego śledztwa, ale istotne jest, co skradziono. Z magazynu korzystała firma dostarczająca umundurowanie.

Dla armii, lotnictwa i policji.

- Więc co wzięli?

- Byli bardzo precyzyjni. Dobrali poszczególne rzeczy w taki sposób, żeby skompletować pięć mundurów policyjnych i trzy mundury wojskowe.

³¹ Basil Radford (1897-1952) i Naunton Wayne (1901-1970) - para występujących często razem popularnych brytyjskich aktorów charakterystycznych.

- I sądzi pan, że chcą przeprowadzić napad, podszywając się pod policjantów?

McNab spuścił wzrok i łyknął nieco piwa.

- Na to wygląda. Wprawdzie były to tylko mundury i ani na tych policyjnych, ani na wojskowych nie było żadnych emblematów ani dystynkcji...

- O niczym takim nie słyszałem - powiedziałem i McNab obrzucił mnie spojrzeniem. -

Taka jest prawda, McNab. Muszę jednak powiedzieć, że nie wydaje mi się, aby chodziło o któregokolwiek z Trzech Królów. Podszywanie się pod funkcjonariuszy policji to zbyt ryzykowna gra. Przyciąga uwagę i tak was, chłopaki, rozjusza, że trudno was udobruchać zwyczajowymi szarymi kopertami.

McNab spojrział na mnie tak, jakby zamierzał mi przywalić. Uśmiechnąłem się pod nosem: powiedziałem to celowo, żeby nadeprnąć mu na odcisk.

- Prawdę mówiąc - kontynuowałem - nie sądzę, aby poważyli się na coś takiego.

Rabunek w mundurze policyjnym to w razie wpadki dodatkowa dziesiątka do wyroku.

- Chcę, żebyś o to popytał - powiedział McNab.

- A niby po co miałbym to robić, panie nadinspektorze?

- Bo mogłoby ci to ułatwić życie.

- I mogłoby je znacznie utrudnić, gdyby się rozeszło, że kabluję. Ale może to zrobię.

Trzem Królom pewnie nie będzie w smak, że ktoś chce wykręcić tak ryzykowny numer na ich terenie.

Nie było już nic więcej do powiedzenia i bez pożegnania ruszyłem w kierunku swojego ulubionego stołka przy kontuarze. McNab i dwaj żandarmi opróżnili swoje kufle i wyszli. Wielki Bob odryglował drzwi i wypuścił ich, po czym wrócił do mnie.

- Słuchaj, Lennox. Jesteś dobrym klientem. I przyjacielem. Ale jeśli jeszcze kiedyś będziesz tu się stawiał jakiemuś pieprzonemu gliniarzowi, to dostaniesz szlaban do końca życia.

- Zgoda, Bob. Ten pojeb McNab wie, jak mnie wkurzyć. Chyba go już tu więcej nie zobaczymy. Słyszałeś, o co mu chodziło?

- Tak. Masz rację. Trzej Królowie nie porywaliby się na robotę z podszywaniem się pod gliniarzy. To jacyś inni gracze. Albo po prostu wyglup bandy dzieciaków.

- Nie wydaje mi się. Wygląda na to, że zapotrzebowanie było ściśle określone. -

Opróżniłem szklankę i Wielki Bob bez pytania dolał mi whisky.

- Na koszt firmy - powiedział. - Chyba ci to potrzebne.

- Tak, to był bardzo długi dzień.

- Ktoś cię tu dziś wcześniej szukał. Około ósmej. Ale nie przedstawił się.

- A jak wyglądał?

- Cholera... Czy ja wiem... - Wielki Bob potarł brodę w zamyśleniu i po chwili rozjaśniła mu się twarz. - To był taki wielki, szpetny kutas. Naprawdę wielki i szpetny. Ach, tak... i jeszcze coś: miał wielką szramę po brzytwie. Na prawym policzku. Tak jakby ktoś go kiedyś tam przejechał.

- Wielki, szpetny kutas ze szramą po brzytwie... - powtórzyłem. Przyszła mi do głowy połowa twardzieli, z którymi robiłem interesy, ich matki, a nawet niektóre kobiety, z którymi byłem od czasu przybycia do Glasgow. - To jest Glasgow, Bob - powiedziałem. - Musisz być bardziej konkretny.

Wielki Bob się zaśmiał.

- Trudno go z kimkolwiek pomylić. Naprawdę, naprawdę wielkie chłopisko. Większe ode mnie.

- Zostawił jakąś wiadomość?

- Tylko że chce z tobą porozmawiać. O interesach.

Pomyślałem przez chwilę.

- Powiedziałeś, że ma bliźnię. Świeżą? Czy nie miał przypadkiem opatrunku na policzku?

- Nie... To była jakaś dawna blizna. Facet wyglądał jednak na twardego sukinsyna.

Ach, tak, jeszcze coś... miał na sobie garnitur w prążki. Jak biznesmen.

- Jak oni wszyscy, nie? - rzuciłem, sącząc swoją whisky. Nawet jeśli nie był to facet, którego ściagałem po mieście, nie znaczyło to, że nie był to jeden ze współników Lillian.

Miałem dziwne wrażenie, że wkrótce znowu się odezwą. Nie udało im się mnie odstraszyć i czułem, że coś się święci.

*

Czekał na mnie na zewnątrz: potwór w prążkowanym garniturze. Opis podany przez Boba wydał mi się mętny, ale kiedy zobaczyłem faceta, uświadomiłem sobie, że trudno o lepsze określenie niż „wielki, szpetny kutas ze szramą po brzytwie”. Opierał się o jakiś samochód, prawdopodobnie swój, i nie był to 16HP.

Zacisnąłem rękę na skórzanej palce w kieszeni. Niełatwo mnie przestraszyć i byłem nawet gotów przyłożyć McNabowi i ponieść konsekwencje, ale ten gość to była zupełnie inna para kaloszy. Miał co najmniej dwa metry wzrostu i taką budowę, że gdyby mnie przygniół, pewnie zginąłbym na miejscu. Ale mój niepokój budziła nie tylko jego sylwetka. Wyglądał na urodzonego zabójcę. Na szczęście miałem swoją pałkę, chociaż czułbym się znacznie pewniej, gdybym dysponował czymś bardziej konkretnym, jak łyżka do opon lub pistolet.

Albo czołg. Miałem wrażenie, że podczas swojej ostatniej potyczki ten wielkolud został

zaskoczony przez małego żydowskiego chłopca z procą. Widząc mnie, wyprostował się i zdziwiłem się, że przy okazji nie wgniół błotnika samochodu.

- Pan Lennox? - zapytał barytonem, który musiał chyba spowodować drganie szyb w nieodległym Paisley. Przynajmniej był uprzejmym zabójcą.

- A z kim mam do czynienia? - odparłem, starając się w myśli obliczyć, ile to jest sześć łokci. I pięćdziesiąt.

- Przysłał mnie pan Sneddon. Mamy się z Pedikiurkiem panem opiekować.

Próbowałem pana znaleźć wcześniej, ale nie zastałem pana w domu. - Podszedł do mnie i z każdym krokiem stawał się większy. Faktycznie był wyjątkowo szpetnym okazem. Wyglądał

tak, jakby zatłukł połowę populacji Glasgow, używając swojej twarzy jako tępego narzędzia.

Miał też tę bliznę, o której wspominał Bob - długą, głęboką bruzdę na policzku. Byłem pod wrażeniem zasięgu ramienia ambitnego - choć pewnie już świętej pamięci - glasgowczyka, który ją tam umieścił.

- Chyba nie byłeś u mnie w mieszkaniu? - Wyobraziłem sobie panią White otwierającą drzwi i dziwiącą się, że z zewnątrz nie dochodzi światło dnia.

- Nie, nie... Widziałem, że pana samochód tam nie stoi. Pan Sneddon powiedział, żebym był dyskretny. Mam pana zawiadomić, że pana pilnujemy i że gdyby pan potrzebował

pomocy, wystarczy tylko krzyknąć.

Powstrzymałem ironiczny uśmiech wywołany myślą o dyskretności w wykonaniu tej dwumetrowej i stu pięćdziesięciokilowej szafy.

- Dzisiaj akurat mogliście mi się przydać. Znasz kogoś, kto jeździ austinem 16HP?

Goliat wzruszył ramionami. Robiło to wrażenie, biorąc pod uwagę ich rozmiar.

- Chodzi o to, że dzisiaj miałem konfrontację z kimś jeżdżącym 16HP. Jeździł za mną cały dzień, a mnie wydawało się, że to któryś z was, chłopaki.

- Nie.

- Jeśli macie zamiar mnie ubezpieczać, moglibyście zwrócić uwagę, czy nie kręci się gdzieś w pobliżu? Granatowy albo czarny austin 16HP.

- Nie ma sprawy, panie Lennox.

- Jadę teraz do domu. Dla was na dziś fajrant.

- W porządziu - powiedział lekko Goliat swoim dudniącym barytonem. - Ale pojedę za panem do domu. Tak dla pewności.

32 Nawiązanie do stów z Biblii (1 Sam17:4): „Wtedy wystąpił z obozu filistyńskiego pewien harcownik imieniem Goliat, pochodzący z Gat. Był wysoki na sześć łokci i jedną piędź”.

- Domyślam się, że jesteś Semple - powiedziałem, otwierając drzwi swojego samochodu. - Pan Sneddon mówił mi o tobie. A tak przy okazji - jak masz na imię?

- Wszyscy mówią mi Mały - odparł bez cienia ironii. - Mały Semple.

Kiedy budzimy się rano, to zawsze w pierwszej chwili jesteśmy niejako oderwani od swojego codziennego

życia.

Każdemu

zdarza

się

doświadczyć

tego

uczucia

niewytłumaczalnego szczęścia, zadowolenia, niepokoju albo beznadziei. Leżymy w takich chwilach i myślimy: czuję się tak z jakiegoś powodu, ale nie pamiętam z jakiego.

Kiedy obudziłem się następnego ranka, poczułem gdzieś w trzewiach, że mój nastrój lepiej oddaje powiedzenie „nowy dzień, to samo gówno” niż powiedzenie „kolejny dzień, kolejny dolar”. Chwilę później, jak cegły spadające komuś na głowę w komedii z Flipem i Flapem, w pamięci zaczęły mi się stopniowo wyłaniać wszystkie parszywe wydarzenia ubiegłego dnia. Leżąc jeszcze w łóżku i zanosząc się kaszlem, wypaliłem pierwszego playersa. Przemknęła mi przez głowę kusząca myśl, aby zostać w łóżku przez resztę dnia albo żeby wreszcie dowiedzieć się, czy ten bilet do Halifaxu w Nowej Szkocji jest nadal ważny.

Zwlokłem się jednak bez przekonania z łóżka, umyłem i włożyłem drogą koszulę z kory, jedwabny krawat i najlepszy garnitur. Nie ogoliłem się, postanawiając wpaść na golenie i strzyżenie do ‘Phersona. Miałem po prostu poczucie, że dzisiaj bardzo dobrze mi to robi.

Nie ma bowiem nic lepszego, jak rozpocząć kolejną gównianą dobę od gorącego ręcznika na twarzy.

Na ulicy przed domem stał zaparkowany sunbeam talbot 90 i kiedy go mijałem, siedzący w nim Pedikiurek McBride podniósł głowę znad swojego „Reader’s Digest” i uśmiechnął się przyjaźnie. Najwyraźniej zmienił Małego, który pewnie odpoczywał gdzieś na swojej łodydze fasoli³³. Miałem wrażenie, że Pedikiurek jest wdzięczny za tę małą przerwę, bo lektura całej strony „Reader’s Digest” bez odpoczynku przyprawiłaby go pewnie o migrenę. Nic dziwnego, skoro czytając, Pedikiurek ruszał bezgłośnie ustami. To samo zresztą robił, gdy patrzył, jak czyta ktoś inny. Powiedziałem mu, że idę do ‘Phersona na strzyżenie, i poprosiłem, żeby podjechał tam po mnie za pół godziny.

Zakład fryzjerski ‘Phersona znajdował się na West Endzie, przy ulicy Byres, więc niedaleko od

mojej kwatery. Nie wiem, gdzie zgubił się przedrostek „Mac”, ale nikt nigdy nie mówił o zakładzie MacPhersona, tylko ‘Phersona. Prawdę mówiąc, bardzo to miejsce 33 Nawiązanie do baśni o Jasiu i magicznej fasoli. Jedną z postaci jest tam olbrzym, mieszkający w zamku na szczycie gigantycznej lodygi fasoli.

lubiłem. W dwudziestowiecznym Glasgow dobry zakład fryzjerski pełnił podobną funkcję, jak pokój jadalny za czasów Regencji, kiedy po posiłku opuszczały go już panie - był oazą męskości. Podobno wyróżniający zakłady fryzjerskie czerwono-biały słup był kiedyś znakiem rozpoznawczym balwierzy i symbolizował krew i bandaże. To nieprawda. Był wielkim, pasiastym kutasem sygnalizującym, że oto wkracza się do królestwa mężczyzn.

U ‘Phersona unosiła się ostra woń pomady do włosów, aromatycznych smarowideł, płynu po goleniu i testosteronu. Co było dość dziwne, biorąc pod uwagę, że staruszek

‘Pherson - wąty, przypominający ptaka mężczyzna po sześćdziesiątce o nienaturalnie jak na swój wiek ciemnych włosach - sam był stuprocentowym pedziem.

Przychodziłem tu regularnie co dwa tygodnie na strzyżenie, przy okazji fundując sobie golenie chyba najlepszą brzytwą w Glasgow, nie licząc być może tej, której musiałby się człowiek chwycić po obrzuceniu Młota Murphy’ego stkiem wyzwisk typu „ty feniański pojebie prosto z irlandzkiego bagna”, i to z pędzącego samochodu, tuż przed emigracją na antypody. To u ‘Phersona zaopatrywałem się też w kondomy, nazywane tutaj „gumowymi fartuszkami”. Zdziwiająca była spotykana tu różnorodność określeń. Próbowałem kiedyś wytłumaczyć jakiemuś glasgowczykowi, że „robienie laski” to dla Amerykanów i Kanadyjczyków określenie fellatio.

- A, tak - odparł mój rozmówca. - My na to mówimy „ciągnąć druta”... albo „robić loda”.

Gumowe fartuszki. Druty. Lody. Stopniowo odbierałem edukację na temat osobliwych uroków Starego Świata.

Podczas wojny sam byłem świadkiem, jak działa drzączka: wobec perspektywy bitwy trzęsły się palce i dygotały kolana, ale kiedy zaczynały faktycznie świstać kule, człowiek był

zbyt wystraszony, a jednocześnie zbyt pobudzony, żeby się trząść. Ze starym ‘Phersonem było podobnie: widziało się, jak ostrze brzytwy dygoce w jego szczupłych palcach i czuło się na twarzy drżący dotyk jego drugiej dłoni, lecz chwilę później ostrze jakimś cudownym sposobem przesuwało się gładko i zdecydowanie po naciągniętej skórze.

‘Pherson właśnie mnie strzygł i nożyczki między cięciami trzepotały w powietrzu jak dziobiący coś ptak, kiedy uświadomiłem sobie, że ktoś siada na wolnym fotelu obok mnie.

- Musimy porozmawiać, Lennox.

Spojrzałem na profil Jocka Fergusona odbijający się w lustrze na wprost mnie.

- Brzmi bardzo oficjalnie.

- Bo takie jest - powiedział. - Ale może poczekać, aż skończysz strzyżenie.

Kiedy przechodziliśmy z Fergusonem obok samochodu Pedikiurka, ten spojrzał znad swojego „Reader's Digest” i sięgnął do klamki, ale zmarszczyłem brwi ostrzegawczo i ukradkiem potrząsnąłem głową, więc usiadł z powrotem w fotelu.

Za rogiem czekał na nas nie Morris Ferguson, lecz czarny policyjny wolsley 6/90 z umundurowanym kierowcą. Wszystko faktycznie odbywało się w oficjalnej atmosferze.

Ferguson milczał z kamienną twarzą.

- O co chodzi, Jock? - spytałem.

- Zobaczysz...

Wydedukowałem, że zamiarem Ferguson'a raczej nie jest zrewanżowanie mi się za włoski obiad. Jechaliśmy przez miasto w kierunku parku Glasgow Green i ulicy Saltmarket.

Kiedy kierowca zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi drzwiami stanowiącymi główne wejście do miejskiej kostnicy, zdałem sobie już w pełni sprawę, że Ferguson nie planował

rozrywkowego wypadu na miasto.

Wydawało się, że nasz przyjazd został wcześniej zaanonsowany. Glasgow było miastem niedoborów, zwłaszcza jeśli chodzi o witaminy, i nieprzyzwoicie wesoły pracownik, który poprowadził nas w czeluście kostnicy, miał szpotawe kolana charakterystyczne dla osób, które cierpiały na krzywicę. W Glasgow był to powszechny widok: co czwarty człowiek, który dorastał tu w latach trzydziestych, wyglądał tak, jakby jechał na niewidzialnym kucyku szetlandzkim.

Kostnica Glasgow przeniosła się tutaj w okresie międzywojennym i jej wyłożone białymi kafelkami ściany przywodziły mi na myśl miejską łaźnię. Jasno oświetloną, szeroką klatką schodową zeszliśmy do pomieszczenia w przyziemiu.

Unoszący się w kostnicy zapach nie jest taki, jakiego można by się spodziewać. Nie ma odoru śmierci, lecz raczej coś w rodzaju mieszaniny zapachu mydła karbolowego i innej, lekko stęchłej woni, tak jakby mydło rozpuszczono w zastałej wodzie. Weszliśmy do obszernego, długiego pomieszczenia. Poczulem, że po zejściu na dół chłód bijący zarówno z otaczających nas ścian, jak i od Ferguson'a znacznie się nasilił. Nasz radosny przewodnik o zamaszystym chodzie szympansa zaprowadził nas do jednych z metalowych drzwi, których cały rząd wbudowano w ścianę. Wysunął tacę i odciągnął róg białego prześcieradła, przykrywającego leżące wewnątrz zwłoki.

- Wiesz, kto to jest? - Ferguson nie spodziewał się, że będę zszokowany. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale obaj wiedzieliśmy, że każdy z nas widział wszystko, co wojna ma do pokazania najgorszego. Byliśmy członkami swego rodzaju ponurej masonerii.

Spojrzałem na to, co zostało z twarzy. Dziwne, ale szpakowate włosy Johna Andrewsa nadal pozostawały perfekcyjnie zaczesane, tak jak za życia. Pod linią włosów widniało jednak głębokie

wgniecenie w czaszce. Dojrzałem grzbiet zgruchotanego nosa, pusty prawy oczodół

i poharatany policzek. Po fragmencie ust oraz słabo wykształconym, podwójnym podbródku z bródką bez trudu rozpoznałem jednak Andrewsa.

- To chyba pytanie retoryczne - odparłem. - Przecież wiesz, do cholery, kto to jest.

Jock Ferguson krótkim kiwnięciem głowy dał znak krzywonogiemu pracownikowi kostnicy, aby zostawił nas samych. Ten z przyklejonym nadal do ust uśmiechem podreptał

swym kaczym krokiem do drzwi.

- Dobrze jest być zadowolonym ze swojej pracy - powiedziałem do Fergusona, ale jego wyraz twarzy uświadomił mi, że powinienem się powstrzymać od żartów.

- Tak, wiem, do cholery, kto to jest. Wiem też, że zostałeś napadnięty przez ludzi jeżdżących jedną z furgonetek firmowych Andrewsa. Że już od tygodni węszysz wokół

Andrewsa i jego żony. Wiem też, do cholery, nawet jeśli nie potrafię tego udowodnić, że człowiek nie miażdży sobie w taki sposób twarzy, zjeżdżając solidnym bentleyem z wiejskiej skarpy.

Ponownie spojrzałem na zmasakrowaną twarz i przytaknąłem.

- Może poobijał sobie głowę o kierownicę. Dziesięć albo jedenaście razy. Nie wiem, Jock... ale coś mi się wydaje, że ktoś pomógł mu w tym łyżką do opon.

- Jak Frankiemu McGahernowi.

Spojrzałem na niego przez chwilę. Nie było wyjścia.

- Właśnie. Jak Frankiemu McGahernowi. - Westchnąłem. - Jest coś, co łączy Lillian Andrews, albo Sally Blane, jak brzmiał jej pseudonim zawodowy, z Tamem McGahernem.

- Wiedziałem! - Ferguson podniósł ręce i pozwolił im opaść bezwładnie przy połach prochowca. - Wiedziałem, kurwa. Drażyleś tę gównianą sprawę od samego początku, co?

Ostrzegałem cię, Lennox... Ostrzegałem cię, kurwa. Jeśli McNab dowie się o tym, zrobi ci z dupy futerał na kije golfowe. Mówiłem ci, żebyś trzymał się od tego z daleka. Nie wiesz, z czym igrasz, wierz mi.

- To czemu mi nie powiesz?

Na zazwyczaj pozbawionej wyrazu twarzy Fergusona pojawiła się całkiem niezła próbka wściekłego oburzenia.

- Chyba, kurwa, żartujesz. Gówno się ode mnie dowiesz. - Dziabnął mnie palcem w mostek. - To ty mnie powiesz wszystko, co wiesz. A jak nie, to podam cię McNabowi na srebrnej tacy.

Spojrzałem na Johna Andrewsa, ale on najwyraźniej nie miał na ten temat zdania.

Widziałem, że Jock Ferguson mówi serio. Okłamałem go. Okłamywałem go, jednocześnie korzystając z jego pomocy. Miał uzasadnione powody, żeby być na mnie wkurzonym.

Wystarczy, że powie McNabowi, iż zajmowałem się sprawą McGahernów i nie przekazywałem potrzebnych policji informacji, a McNab wraz ze swoim rumianym pomagierem pograją w kręgle moimi jajami.

- No dobra - powiedziałem zrezygnowanym tonem. Spojrzałem na Jocka Fergusona.

Twarz miał zaciętą i zdeterminowaną. Wiedziałem, że mogę liczyć na to, iż będzie ze mną szczery, i wiedziałem też, że jest na mnie wkurzony, bo myślał to samo o mnie. Nie wiem, dlaczego ludzie tak o mnie myślą.

W każdym razie Ferguson to przyzwoity, prostolinijny facet - jedyny gliniarz, na którym można polegać. Postanowiłem więc skłamać mu w przyzwoity, prostolinijny sposób.

- Prawda jest taka, Jock, że faktycznie zrezygnowałem z zajmowania się sprawą McGahernów. Wyglądało na to, że stanowczo za dużo z nią zachodu i że w sumie nic na niej nie zyskam. Więc odpuściłem. Całkowicie.

Ferguson spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

- Ale prowadziłem pewną inną sprawę. On... - głową wskazałem na zwłoki Johna Andrewsa, tak jakby mógł potwierdzić moją wersję. W każdym razie na pewno jej nie zaprzeczy - ...powiedział mi, że jego żona zaginęła i strasznie się o nią niepokoi. Widziałem, że jego niepokój jest autentyczny, czego nie można było powiedzieć o zaginięciu jego żony.

Potem umówiłem się z nim telefonicznie na spotkanie, a kiedy przyjechałem, powiedział, że żona wróciła i wszystko jest już cacy, że to wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem i że przeprasza, iż mnie fatygował i, proszę, tutaj jest trzy razy więcej kasy, niż jestem panu winien, więc wielkie dzięki i zmywaj się pan jak najszybciej. Wszystko to brzmiało równie przekonująco, jak zapewnienia dziewiętnastolatki z Govan o swoim dziewictwie. No i potem, zamiast wykazać się rozsądkiem i zapomnieć o całej sprawie, spotykam Lillian Andrews przypadkiem na ulicy i idę za nią i jej przyjaciółką.

- Co, jak pamiętam, prowadzi do odsłonięcia cycków i obicia głowy - powiedział

Ferguson.

- Właśnie. Więc po tym jednym szybkim macanku i po dwudziestu szwach na głowie dowiaduję się, że Lillian Andrews to Sally Blane - kurwa i aktorka porno, która ustami radzi sobie z kutasem równie profesjonalnie, jak Larry Adler³⁴ z harmonijką ustną. Później docierają do mnie opowieści o jakimś ekskluzywnym burdelu dla wtajemniczonych, znajdującym się gdzieś w okolicach Byres na West Endzie. Zaledwie kilka dziewczyn, za to z 34 Larry Adler (1914-2001) - amerykański wirtuoz harmonijki ustnej.

klasą i doświadczeniem. Podobno klientela obejmuje wiele ważnych osobistości Glasgow.

Zaczynam przypuszczać, że cały ten interes prowadzi Lillian Andrews. Nie ma w nim udziałów żaden z Trzech Królów i czy ci się to podoba, Jock, czy nie, prowadzi mnie to do wniosku, że jacyś wysocy rangą gliniarze albo są tam klientami, albo dostają swoją dolę w szarych kopertach. W każdym razie gliny zostawiają ten przybytek w spokoju. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że Tam McGahern zapewnia lokalowi ludzi do ochrony.

- Przecież z tego, co mówiłeś, to był niezależny interes.

- Był. McGahern nie był tam szefem, tylko świadczył swoje usługi. Przynajmniej z początku. Później dowiedziałem się, że McGahern miał fioła na punkcie kobiety, która ten interes prowadzi. Jak mówiłem, moim zdaniem była to Lillian Andrews. Wtedy jednak o tym wszystkim jeszcze nie miałem pojęcia. Potem dostałem telefon od jakiejś kobiety, która twierdziła, że ma dla mnie informacje, i spytała, czy mógłbym się z nią spotkać w cichym, odosobnionym miejscu, gdzie można by mi rozwalić głowę. Odparłem, że nie ma mowy, ale że będę czekał pod zegarem na Dworcu Głównym. Czas mijał, ona się nie zjawiała. Kiedy wracałem do samochodu, napadła na mnie banda zbirów z bedforda, którego numer ci podałem.

- I który należy do firmy Johna Andrewsa.

- Tylko że kobieta, która do mnie dzwoniła z rzekomymi informacjami, to nie była Lillian Andrews. Tak przynajmniej mi się wydaje. A informacje, które podobno chciała mi przekazać, miały dotyczyć śmierci Tama McGaherna.

Twarz Fergusona spochmurniała.

- Czyli nadal się tą sprawą zajmowałeś.

- Nie. Mówiłem ci przecież - skłamałem z oburzeniem. - Zrezygnowałem z niej. Ale kiedy ktoś do ciebie dzwoni i mówi, że ma informacje o morderstwie, o których posiadanie bezpodstawnie podejrzewa cię policja, po prostu trzeba to sprawdzić. Gdybym wtedy czegoś się dowiedział, to od razu bym się z tobą skontaktował.

Jock Ferguson uniósł brew. Najwyraźniej wyobrażał sobie albo rosnący mu na dłoni kaktus, albo dziewiętnastoletnie gozańskie dziewczęce.

- To szczerą prawdą, Jock. W każdym razie potem - nie pytaj mnie, w jaki sposób -

trafiły do moich rąk kadry z pornosa, w którym występowała młodsza o kilka lat Lillian Andrews vel Sally Blane, prezentując grę na fleciku z jedną dziurką. Nadal nie wiedziałem, o co chodzi w całej tej sprawie z Andrewsem, więc tak jak ci mówiłem, pokazałem mu te zdjęcia, ale wcale nie był zaskoczony. Wtedy zorientowałem się, że coś tu śmierdzi jak diabli.

Zacząłem się wręcz obawiać o jego bezpieczeństwo. - Zerknąłem w dół na pogruchotaną twarz mojego byłego klienta i przemknęło mi przez głowę, że moje obawy niewiele mu pomogły. - W

każdym razie potem dzwonił do mnie, zestrachany jak królik. Mówił, że jest już w zasadzie trupem, a za wszystkim stoi Lillian. Jak zawsze pełen genialnych pomysłów, poradziłem mu, żeby opowiedział mi wszystko później, a na razie schronił się w jakimś bezpiecznym miejscu. Umówiłem się z nim na spotkanie w hotelu nad Loch Lomond.

- Tylko że zginął po drodze.

- Właśnie. Aha, i przy okazji, zanim zaczniesz mi tu prawić kazanie, chcę ci powiedzieć, że kiedy do mnie zadzwonił, poinformowałem go o możliwości skontaktowania się z pewnym zaufanym gliną. Czyli z tobą.

- Gdyby to zrobił, uszedłby z życiem.

- Może. A może nie. Odniosłem wrażenie, że kiedy zasugerowałem wciągnięcie w to policji, wpadł w panikę. Szczerze mówiąc, Jock, zareagował tak, jakby wiedział, że Lillian i jej wspólnicy mają swoich ludzi w glasgowskiej policji. To pasuje też do moich podejrzeń, że nikt nie ruszał burdelu właśnie z powodu powiązań z policją.

Ferguson zasepił się, ale widać było, że nie wyklucza czegoś takiego - w Glasgow, zazwyczaj w przebieralniach łaźni Victoria, uprawiano pewną zabawę towarzyską, nazywaną Roszadą Szarych Kopert. Łaźnia cieszyła się powodzeniem u starszych rangą funkcjonariuszy policji, biznesmenów i radnych miejskich.

- Cóż, ja mam tyle - powiedziałem tak, jakbym wyjawiał już wszystko. Byłem w sumie dumny z tego, jak to wszystko przekonująco brzmi. Wyraz twarzy Fergusona pozostał jednak jak zwykle nieprzenikniony.

- Powinieneś być przyjsć do mnie od razu po tym, jak Andrews został zabity -

powiedział. Nasze głosy odbijały się echem w czeluściach kostnicy.

- Nie miałem całkowitej pewności, że to było morderstwo. Zresztą i tak nie macie żadnego punktu zaczepienia. - Kiwnąłem głową w kierunku zwłok Andrews. - Nie możecie nawet udowodnić, że to nie był wypadek.

- Ale usłyszałem od ciebie wystarczająco dużo, żeby wszcząć śledztwo o zabójstwo.

Tuż przed zabójstwem prosił o pomoc i twierdził, że jego życie jest zagrożone. Poza tym wiemy, że Tam i Frankie McGahernowie zostali zamordowani, a teraz pojawiło się powiązanie ze śmiercią Andrews.

Pokiwałem głową w zamyśleniu. Wiedziałem, że nie powiedziałem mu wystarczająco dużo, aby mógł sklecić z tego jakąś sensowną całość. Nie wspomniałem o sfałszowanych manifestach ładunkowych, o których mówił mi Andrews przez telefon. I oczywiście nie pisałem ani słowa o czwartym, związanym z pozostałymi zgonie, czyli o Bobbym, który teraz był prawdopodobnie lepszym nadzieiem do pasztecików niż kiedyś drobnym gangsterem. Przemilczałem też wszystkie inne szczegóły, które do mnie dotarły, a także intuicję, że mój sobowtór Freda MacMurraya i jego

kompani nie mieli żadnego związku z bandą partaczy, którzy próbowali mnie zgarnąć z ulicy Argyle. Prawda była taka, że potrzebowałem czasu, aby samodzielnie jeszcze nieco poszperać. Ferguson był dobrym gliną, ale miał wokół siebie cały wachlarz talentów policyjnych, poczynając od niekompetentnych, a kończąc na skorumpowanych. Zaprzepaściliby wszystkie tropy, a jeśli miałem rację i faktycznie jakaś szycha była na liście płac Lillian, to wręcz by je aktywnie pozacierali. Tak czy inaczej, nie pracowałem na rzecz wymiaru sprawiedliwości, lecz dla Williego Sneddona.

- Zamierzacie przesłuchać Lillian Andrews?

- Musimy. Musimy dokopać się prawdy, Lennox.

- Słuchaj, Jock. Pokazałem ci, co ja mam, a teraz pokaż, co ty masz. O co ci chodziło, kiedy mówiłeś, że nie wiem, w co się pakuję?

Ferguson naciągnął prześcieradło na pokiereszowaną twarz Johna Andrewsa, wsunął

tacę ze zwłokami do wnęki i zamknął drzwi. Pomyślałem o Bentleyu Andrewsa, o jego dużym, współcześnie umeblowanym domu i garniturach po sześćdziesiąt funtów. Teraz miał

do dyspozycji tylko całun i mroźną stalową szufladę, a i one były wypożyczone.

Przypomniały mi się czasy wojny, kiedy poznawało się kogoś, kto potem ginął. Gdy człowiek leżał przed nami, posiekany jak mielonka, wtedy to, co nam opowiadał o swoim życiu, i wspólnie odbyte rozmowy - wszystko to stawało się jakby nierzeczywiste.

- Wierz mi, Lennox, naprawdę nie masz pojęcia, w co się pakujesz. Prawda jest taka, że ja też nie. Wiem tylko, że to jakaś polityczna kabała. McNab dostaje już na jej punkcie kota i sądzę, że to z powodu nacisków z Whitehall.

- Co? - Pokręciłem z niedowierzaniem głową. - Mówimy przecież o McGahernach, a nie o Burgessie i Macleanie. Dwóch złodziei i kurwa. Jaki to może mieć związek z polityką? -

W gruncie rzeczy to, co powiedział Ferguson, postawiło mnie jednak w stan gotowości. Skoro chodziło o politykę, pewnie była to polityka bliskowschodnia. Już wcześniej miałem pewne podejrzenia, skąd wzięli się młodszy brat Freda MacMurraya i jego koledzy, ale za żadne skarby nie mogłem zrozumieć, co mieli wspólnego z machlojkami McGahernów.

- Nie wiem dokładnie, o co chodzi - powiedział Ferguson. - Wiem natomiast, że w centrali przy St Andrew's kręcą się od jakiegoś czasu różne typy z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. Czasem również jacyś wojskowi.

- Wczoraj wieczorem natknąłem się na McNaba. Czy może raczej to on natknął się na mnie... przypadkowo, rzecz jasna. Był w towarzystwie dwóch gości z żandarmerii wojskowej.

Prawili jakieś bzdury o skradzionych mundurach.

- To nie bzdury - odparł Ferguson. - Choć o ile wiem, nie ma to związku ze sprawą.

Macza w tym palce zandarmeria, bo zniknęło też kilka mundurów wojskowych. McNaba martwią natomiast te mundury policyjne. Robi w portki ze strachu, że jakaś ekipa wykorzysta je do roboty, podszywając się za policjantów. Kiedy przestępcy podszywają się pod funkcjonariuszy policji, społeczeństwo zaczyna się czuć niepewnie i prowadzi to do najrozmaitszych zawirowań politycznych. A McNab ma wystarczająco dużo na głowie w związku ze sprawą McGahernów.

Wróciliśmy po schodach na górę. Gdy już wyszliśmy z budynku na ulicę, obaj jednocześnie odetchnęliśmy głęboko glasgowskim powietrzem. Powiedzenie, że świeżym, to gruba przesada, ale przynajmniej nie było zatęchłe i nie cuchnęło mydłem karbolowym.

- Nadal tego nie łapię, Jock. No wiesz, jakim cudem ta sprawa z McGahernami może mieć związek z polityką. - Naciskałem go. Wszystko zaczęło się już układać w pewną całość.

Machlojki z wysyłkami towarów za pośrednictwem firmy, która już handlowała z Bliskim i Dalekim Wschodem... Chciałem jednak wiedzieć wszystko to, co wiedział Jock Ferguson.

- Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Bo nic więcej nie wiem.

- Ale to właśnie dlatego od samego początku ostrzegałeś mnie przed mieszaniem się w sprawę McGahernów, tak?

Poczęstował mnie papierosem. Zapaliliśmy i bez pośpiechu rozejrzałem się wkoło. W

odległości około dwustu metrów dostrzegłem stojącego po drugiej stronie ulicy talbota.

Proszę, Pedikiurku - błagałem w duchu - nie wariuj i nie podjeżdżaj tutaj jako mój osobisty szofer.

- Potrzebujesz podwózki z powrotem? - spytał Ferguson. - Powiem kierowcy, żeby cię odwiózł. Ja mam sprawy tu za rogiem. - Miał na myśli plac St Andrew's, gdzie mieściła się komenda główna glasgowskiej policji.

- Nie, dziękuję. Wolę się przejść. - Talbot nadal stał na swoim miejscu. Może to bolesne zmagania z trzysylabowymi słowami w „Reader's Digest” tak pochłaniały uwagę Pedikiurka. - Jock - zaryzykowałem - chciałbym cię prosić o przysługę.

- To zupełnie, kurwa, do ciebie niepodobne, Lennox.

- Czy mógłbyś powstrzymać się z rozmową z Lillian Andrews? Przynajmniej przez kilka dni. Może tydzień.

- Pewnie. Nie ma problemu. I nie omieszkaj mi powiedzieć, gdybyś chciał, żebyśmy przymknęli oko na jakiś samochód uciekający z miejsca napadu. Moglibyśmy nawet załatwić, żeby jakiś posterunkowy z drogówki wstrzymał dla niego ruch. - Sarkazm to wyrafinowana sztuka, a Ferguson najwyraźniej był amatorem. - Andrews został zamordowany. Wszystko wskazuje na to, że stoi za tym Lillian Andrews. Dlaczego miałbym zwlekać?

- Okej, Jock, w takim razie kawa na ławę: dlatego, że jeśli teraz ją dopadniesz, to ona się z tego

wykręci. Nie lubiłem Andrewsa. Absolutnie nic mi się w nim nie podobało. Ale postanowiłem mu pomóc i skrewiłem. Chcę, żeby ta suka skończyła za to na stryczku. Jestem pewien, że więcej dowiem się sam w tydzień niż banda twoich stójkowych przez sześć miesięcy. Potrafię się dogadać z ludźmi, którzy przy tobie nie pisną ani słowa, nawet gdybyś zapytał ich, która jest godzina. Poza tym przypuszczalnie Lillian ma swoich ludzi w komendzie głównej. Daj mi ze dwa tygodnie, a podam ci Lillian Andrews i całą jej szajkę na tacy.

Ferguson zaciągnął się po raz ostatni i upuścił niedopałek na schody przed kostnicą.

Przydeptał go czubkiem buta i przez chwilę utkwiał w nim wzrok.

- Okej - powiedział po chwili. - Dwa tygodnie. Ale nie dam się zrobić w konia. Jeśli to spieprzysz i Lillian zapadnie się pod ziemię, to przysięgam, że podam twoje jaja nadinspektorowi McNabowi na tacy.

- Pasuje.

Odczekałem, żeby Ferguson zniknął za rogiem, po czym przeszedłem na drugą stronę Saltmarket i skierowałem się w stronę ulicy High. Uszedłem ze sto metrów, kiedy podjechał

Pedikiurek i usadowiłem się na fotelu obok niego. Czułem się nieco klaustrofobicznie, mając tuż obok siebie jego zwalistą postać, i wyobraziłem sobie, jak przytulnie będzie jechać razem z nim i Małym Semple'em. Podrzucił mnie do mojego mieszkania i powiedziałem, żeby sprowadził Małego.

- Idziemy w gości - wyjaśniłem.

Kiedy za chłopięcych lat wychowywałem się w Nowym Brunzswiku, uczęszczałem w Rothesay do Szkoły Kolegialnej dla chłopców, która była jedną z najbardziej elitarnych szkół w Kanadzie. Grałem tam w drużynie hokejowej i byłem cholernie dobrym zawodnikiem. Na tyle dobrym, że chciałem przejść na zawodowstwo.

Pewnego dnia graliśmy mecz przeciwko drużynie innej prywatnej szkoły, a mianowicie Królewskiej Szkoły Kolegialnej, mieszczącej się w Windsorze w Nowej Szkocji.

Powinniśmy byli przeczuć, że już sama siedziba tej szkoły to zły omen, jako że hokej na lodzie narodził się podobno właśnie w Windsorze. W każdym razie w tamtej drużynie był

chłopak o nazwisku MacDonald, nie na tyle rośły, aby być silnym skrzydłowym, jednak diabelnie szybki. Grał na pozycji prawoskrzydłowego napastnika, naprzeciwko mnie.

Hokej na lodzie rzadko kojarzy się z elegancją, ale MacDonald grał w sposób naprawdę elegancki. Zawsze gdy byłem przy krążku, zjawiał się koło mnie. Żadnego natarcia, żadnego kontaktu, tylko czerwony błysk i krążek znikał mi przed nosa. Przewidywał każdą moją decyzję. Wyprzedzał każde moje posunięcie. Za każdym razem potrafił mnie przechytrzyć. Czułem się zdeklasowany i to mi się nie podobało.

Teraz Lillian Andrews sprawiała, że czułem się tak samo.

Kiedy dotarliśmy do domu Andrewsów, okazało się, że stoi pusty. Nie była to jednak żadna pośpieszna ewakuacja spowodowana nieoczekiwaną komplikacją, jaką była śmierć Johna Andrewsa. Tabliczka biura nieruchomości, którą minęliśmy na podjeździe, i pozbawione zasłon okna świadczyły o tym, że ta wyprowadzka była starannie i z odpowiednim wyprzedzeniem zaplanowana.

Zaparkowałem na podjeździe i mógłbym przysiąc, że atlantic uniósł się z ulgą o kilkanaście centymetrów, kiedy Pedikiurek i Mały wygramolili się z niego. Powiedziałem Małemu, żeby oparł się o drzwi znajdujące się z tyłu domu i dziesięć minut później byliśmy już pewni, że dom został dokumentnie opróżniony. Nie było żadnych mebli ani rzeczy osobistych i nie musiałem podważać klepek parkietowych ani wydłubywać kafelków w łazience, żeby przekonać się, czy przypadkiem nie ma tam jakichś ukrytych skarbczyków pełnych gotówki i paszportów.

Stałem w pustym salonie, niegdyś stylowo umeblowanym, i wpatrywałem się nieobecny wzrokiem w Pedikiurka i Małego, próbując wymyślić, co robić dalej. Oni tak samo wpatrywali się we mnie. Powiedziałem im wreszcie, że nie ma sensu dłużej tu sterczeć.

Odwiozłem ich w okolice mojego mieszkania, gdzie Pedikiurek zostawił swojego sunbeama, i powiedziałem, że na dziś koniec pracy i że zadzwonię do Sneddona, kiedy znowu będą mi potrzebni. Tak naprawdę potrzebowałem nieco przestrzeni wolnej od mojej dwuosobowej obstawy. A także czasu do spokojnego namysłu. Wyprowadzka z domu w Bearsden nie była nagła ani nieprzemyślana. A skoro w sprzedaż posiadłości zaangażowane zostało jakieś biuro nieruchomości, to dochód musiał

mieć jakiegoś odbiorcę. Przypuszczałem, że to wszystko stanowiło część planu Lillian Andrews, tak jak być może nagłe zboczenie z autostrady samochodu Andrews.

Ponownie uderzyło mnie, że Lillian tańczy wokół mnie podobnie jak MacDonald, hokejowy postrach mojej młodości, na którego tle wyglądałem na lodowisku jak nedorajda.

Przed wybuchem wojny drużyna Ottawa Senators podpisała z MacDonaldem kontrakt. Potem na polu minowym w Anzio urwało mu obie nogi i kontraktu chyba już nie przedłużono.

Ja z kolei będę musiał sprawić, żeby to Lillian zaczął się palić grunt pod nogami.

*

Nie miałem ochoty zaglądać do baru Pod Końskim Łbem, mimo to wpadłem na kilka głębszych. Może dlatego, że wcześniej myślałem o nogach Lillian Andrews, zatęskniłem jednak za jakimś łagodniejszym towarzystwem niż to, jakie zapewniał ten bar.

May Donaldson była typem kobiety, która działa na mężczyznę jak balsam - uczynnej i mało wymagającej. U większości kobiet zdobycie wejściówki kosztowało sporo wysiłku.

May natomiast od razu wręczała cały karnet. I dorzucała jeszcze kilka wejściówek na mecze wyjazdowe.

Jej mieszkanie znajdowało się na West Endzie, niedaleko od mojego, w jednej z niezliczonych kamienic czynszowych otaczających łukami czarne serce Glasgow. Niewiele wiedziałem o życiu May, w każdym razie nie chodziło o typową dla Glasgow historię robotniczego pochodzenia i jakichś życiowych komplikacji. Obiło mi się o uszy, że kiedyś była zamężna z rolnikiem. Najwidoczniej opuścił ją, aby orać na innym poletku.

Jako dżentelmen nigdy nie pytałem jej o wiek, ale oceniałem, że miała trzydzieści kilka lat i była nieco starsza ode mnie. Brytyjczycy podchodzą do instytucji rozwodu tak, jak podchodzono do niej wszędzie indziej ze sto lat wcześniej, a jeśli chodzi o Szkocję, można by jeszcze odjąć z jedno lub dwa stulecia. May była rozwódką, co czyniło z niej wybrakowany towar i poważnie ograniczało jej szanse na ponowne małżeństwo. W konsekwencji przypadła jej smutna, naznaczona desperacją rola łatwej dziewczyny. Stąd May i ja byliśmy sporadycznie towarzyszami zabaw. Nie była to może najgłębsza z relacji, ale jak już powiedziałem, obojgu nam odpowiadała.

Jeśli odnieśliście wrażenie, że jestem krytycznie nastawiony do szkockiego prawa rozwodowego, to nie zrozumcie mnie źle - w sumie sporo mu zawdzięczałem. Kiedy akurat nie pracowałem dla któregoś z Trzech Królów, pomagałem parom z klasy średniej odtańczyć wymagany przez prawo taniec rozwodowy. Nadal było tak, że zazwyczaj to mąż poświęcał

swoją reputację, nawet jeśli to nie on był niewierną połówą. Niejako podkładał się, biorąc winę na siebie, nawet jeśli to jego małżonka „podkładała się” komuś innemu.

May pomagała mi w prowadzonych przeze mnie sprawach rozwodowych. Niezbędna w takich wypadkach i aranżowana przeze mnie choreografia polegała na tym, że May i mąż wynajmowali

pokój w hotelu, na swoje codzienne ubrania naciągali piżamy i wskakiwali do łóżka, po czym zjawiałem się tam z kimś z obsługi hotelu, żeby był świadek, iż *delicto* był

faktycznie *flagrante* 35. Następnie pokojówka lub zastępca dyrektora podpisywali odpowiednie oświadczenie i dostawali swoją dolę, a przyszły eksmałżonek zdejmował piżamę i było po wszystkim. Trudno sobie wyobrazić bardziej odrażający proceder.

Pojechałem spod baru do May taksówką. Później miałem zamiar wrócić od niej do siebie piechotą. Gdy tylko się zjawiałem, May nalała mi whisky i usiedliśmy razem na kanapie.

May nie była ładna, ale jej regularne rysy zyskiwały dzięki makijażowi. Od szyi w dół była jednak dziełem sztuki. Kiedy przyjechałem, miała na sobie białą bluzkę i czarną ołówkową spódnicę, opinającą najsmakowitsze części jej anatomii.

- Jak leci, Lennox?

- Nieźle. A u ciebie?

- Jak zwykle. Masz dla mnie robótkę?

- Nie. Przynajmniej nie teraz. A jeśli już coś będzie, to raczej nie rozwód.

- Więc co mogę dla ciebie zrobić? - spytała. Zirytowała mnie nuta znużenia, jaką wyczułem w jej głosie.

- Przyszedłem tylko się przywitać - powiedziałem. - Czy potrzebuję jakiegoś szczególnego powodu?

- Oczywiście, że nie. - Wstała i nalała sobie kolejną szklaneczkę ginu. Ja nadal sączyłem whisky. Zauważyłem już wcześniej, że zanim przechodziliśmy do rzeczy, May zawsze wypijała dwie albo trzy szklaneczki. Nie tyle, żeby się upić, tylko żeby nieco się rozluźnić przed tym, co - o czym obydwójce wiedzieliśmy - miało za chwilę nastąpić. Był to 35 Łac. *In flagrante delicto* - na gorącym uczynku.

niuans, który niezmiernie miło łechtał moją próżność.

- Dalej pracujesz w hotelu?

- Dalej.

Prawdopodobnie jakieś prawo fizyki uniemożliwiało rozmowę zupełnie o niczym, więc po mojej drugiej whisky i jej czwartym ginie przystąpiliśmy do dzieła. Zaprowadziła mnie do sypialni, a sama wyszła do łazienki, żeby założyć kapturek. Rozebrałem się i położyłem na łóżku, paląc playersa. Żółta tapeta w kwieciste wzory była przypuszczalnie kiedyś biała: May paliła jeszcze więcej ode mnie. Patrząc na meble i różne bibeloty, zauważyłem nieśmiałe próby stworzenia pozorów ogłady. Nagle poczułem, że ogarnia mnie przygnębienie.

May poprawiła mi nastrój, gdy weszła do pokoju, mając na sobie tylko pończochy i pas do nich.

Położyła się obok mnie na łóżku i zagłębiliśmy się w nasz akt nasilonej apatii.

Przynajmniej zgasilem przedtem playera - w Szkocji wynosiło mnie to do rangi Rudolfa Valentino.

Gdy było już po wszystkim, May zrobiła mi kawy i przyniosła ją do sypialni.

Zapaliłem jednego papierosa dla niej i jednego dla siebie.

- Nigdy nie masz ochoty na rozpoczęcie wszystkiego od nowa? - spytała ni stąd, ni zowąd.

- Już to zrobiłem - powiedziałem, wydmuchując delikatne kółko dymu w kierunku popękanego tynku na suficie. - Rozpocząłem życie jako człowiek bogaty i zadowolony. Ale ileż można czegoś takiego znieść. Moje życie jest teraz znacznie barwniejsze. Siniaki miewają najrozmaitsze odcienie.

- Mówię poważnie. Chcę się wyrwać z tego miasta, Lennox. Chcę wyjść za mąż i mieć dzieci, zanim będzie za późno.

- May...

- Nie wpadaj w panikę, Lennox - rzekła i zaśmiała się ironicznie. - To nie są oświadczyń. Nie jestem aż tak naiwna. Zdaję sobie świetnie sprawę, kim dla ciebie jestem, Lennox. Ale czasem po prostu muszę z kimś pogadać. A ty nie?

- O, tak. Gadam. Gadam do upadłego.

- Chcę się wyrwać z Glasgow, z tego pieprzonego hotelowego baru. Wyjechać gdzieś, gdzie nikt nic o mnie nie wie. W jakieś miejsce odcięte od świata. Do Afryki Południowej albo Australii. Albo w sam środek cholernej afrykańskiej dżungli.

- Powinnaś rozważyć Paisley - powiedziałem. - Jest jeszcze bardziej odcięte od cywilizacji, ale można tam dotrzeć autobusem.

- Mówię serio. To gówniane miasto. Moje życie też jest gówniane. Wszyscy tutaj myślą, że wiedzą, kim jestem. Czym jestem. A nie mają o tym pojęcia. Wszystkim w tym szpetnym, pieprzonym mieście wydaje się, że cały świat obraca się wokół Glasgow. Brakuje im po prostu rozmachu. A prawda jest taka, że to nie jest miasto, tylko wiocha. Pełna ograniczonych, głupich, nietolerancyjnych dupków. Kurwa, nienawidzę tej wiochy, nienawidzę. - Zagryzła dolną wargę niemal do krwi.

Pogłaskałem ją po ramieniu.

- To czemu po prostu nie wyjedziesz?

- I co to zmieni? - powiedziała, odsuwając się ode mnie. - Potrzebuję pieniędzy, Lennox. Takich pieniędzy, jakich nie daje ani praca w barze, ani pomaganie ci w twoich przekrętach rozwodowych. Pewnie nie znasz żadnych samotnych, bogatych wdowców?

Puenta na chwilę mnie zaskoczyła.

- Znałem. Jednego. Ale on już nie zagląda do kącika samotnych serc.

XXIV

Coś nie dawało mi spokoju. Wszystkie posunięcia Lillian Andrews były dokładnie przemyślane i zaplanowane. W dużej mierze wynikało to pewnie z jej komitywy z Tamem McGahernem: „Mafeking” Jeffrey mówił mi przecież, że podczas służby wojskowej McGahern cieszył się opinią człowieka inteligentnego, zorganizowanego i urodzonego stratega. Bardziej uderzyło mnie jednak to, co powiedziała May o glasgowczykach, a mianowicie, że brakuje im rozmachu. Zaczynało być jasne, że właśnie Tam wyłamował się z tego stereotypu.

Nic z tego, co słyszałem o tym mieszczącym się na West Endzie burdelu z górnej półki, o którym nikt zbyt wiele nie wiedział, nie trzymało się kupy. Widziałem dom, z którego korzystali. Trzeba było wiedzieć, gdzie go znaleźć. Przypomniałem sobie afektowaną panią domu w Kelvinside, która otworzyła mi drzwi. Nie wyobrażałem sobie kogoś takiego jak ona kierującego zagubionych klientów pod właściwy adres: „Och, obewiem się, że pomylił pan drzwi - burdel jest trochę dalej, pomiędzy gabinetem dentystycznym a biurem księgowym...”. Ustosunkowani klienci Lillian dokładnie wiedzieli, dokąd się udać. Kto więc informował ich o właściwym adresie?

Skorzystałem z telefonu w holu, żeby zadzwonić do Williego Sneddon. Podzieliłem się z nim przemyśleniami i spytałem, czy mógłbym trochę ponaciskać Arthura Parksa.

- Myślisz, że Parky miał jakieś konszachty z tamtą ekipą?

- Nie wiem. Ale ktoś wysyłał tam odpowiednich klientów. Parks obstawia górną półkę branży i może samą śmietankę przekierowywał do tego lukratywnego interesiku.

- Neeee... - odparł Sneddon po chwili milczenia. - Parky wiedział, że przyszpiliłbym go, kurwa, do podłogi za taki numer.

Skrzywiłem się. Sądząc z tego, co słyszałem o stosowanych przez Sneddon środków przymusu, to, co właśnie powiedział, nie było metaforą.

- Może to było warte takiego ryzyka. A może klienci, których tam kierował, i tak by się nie zjawili w jego lokalu.

- Kurwa, fucha to fucha - odparł Sneddon. - Nikt, kto dla mnie pracuje, nie prowadzi jednocześnie własnego interesiku na boku. Parky jest czysty.

- Mimo wszystko chciałbym go nieco przycisnąć. Może z Pedikiurkiem albo Małym do towarzystwa.

- Nie ma mowy. Parky prowadzi jeden z moich najbardziej dochodowych interesów.

Nie chcę go... niepokoić.

- W takim razie niech pan przynajmniej pozwoli mi jeszcze raz z nim porozmawiać.

Może to nie on jest tym naganiaczem. Muszę przyznać, że kiedy pokazałem mu zdjęcie Lillian

Andrews, wyglądało na to, że faktycznie jej nie rozpoznaje, choć kogoś mu przypominała. Ale może coś jeszcze słyszał. Albo o czymś mi nie mówi.

- Przecież słyszałeś, Lennox, nie chcę Parky'ego niepokoić. Przecież wiesz, jak cholernie nerwowe potrafią być te cioty. Dowiedz się tylko tego, czego musisz się dowiedzieć, ale nie denerwuj go. I nie mieszaj w to Pedikiurka ani Małego. Poza tym nie szedłbym tam dziś wieczór. O tej porze interes najlepiej się tam kręci. Parky zamyka interes o siódmej rano, a otwiera o trzeciej po południu. Zadzwoń do niego i powiem, że jutro rano zakłócisz mu sen. Poradzę, żeby współpracował. To powinno wystarczyć.

Przystąpiłem na to i odłożyłem słuchawkę. Nie byłem zbyt usatysfakcjonowany takim obrotem spraw. Niezależnie od tego, czy Parks był w to zamieszany bezpośrednio, czy nie, intuicja podpowiadała mi, że aby wyciągnąć z niego wszystko, co wie, trzeba by go ponaciskać. A Sneddon właśnie tego mi zabronił.

Leżałem na łóżku, paląc. Po głowie chodziły mi najróżniejsze bzdury, jak brzęczące w zamkniętym słoiku pszczoły. Ciągłe wracało do mnie to, co powiedziała May i desperacja, z jaką to powiedziała. Pomyślałem o Lillian Andrews, jej ciemnych włosach i smukłych nogach. Potem, nie wiedząc czemu, przysłała mi do głowy Helena Gersons - piękny ptak uwięziony w klatce georgiańskiej architektury. Coś kiedyś między nami było. Coś naprawdę poważnego. Ale każde z nas było na swój sposób tak popieprzone, że uciekaliśmy od wszystkiego, co sprawiało, że coś czuliśmy. Nie dlatego jednak o niej pomyślałem.

Pomyślałem o niej dlatego, że jeśli to nie Arthur Parks kierował klientów do lokalu na West Endzie, to następną kandydatką na liście była właśnie Helena. W końcu nasza niegdysiejsza komitywa nie była bynajmniej wolna od wzajemnych kłamstw. Najbardziej spędzało mi jednak sen z powiek to, co powiedziała May.

*

Następnego dnia przed udaniem się w okolice Park Circus zjadłem śniadanie w kafejce na ulicy Byres. Deszcz na chwilę się odmeldował i słońce próbowało objąć wachtę, lecz Glasgow buchało mu w twarz kłębami wczesnoporanego dymu. Siedziałem przy oknie, jedząc swoje jajka na szynce, albo jajka na bekonie, jak je tutaj nazywano, i patrzyłem, co się dzieje na zewnątrz. W pobliżu przekuśtykał jakiś starszy mężczyzna z krzywicą gorszą od tej, jaką miał spotkany jakiś czas temu pracownik kostnicy. Wyglądało na to, że nie ma nawet półtora metra wzrostu i zacząłem się beznamytnie zastanawiać, czy gdyby go wyprostować, sięgnąłby metra osiemdziesięciu. Na chwilę przystanął, pochylił się, kciukiem zatkał nozdrze i gwałtownym ruchem wydmuchał zawartość drugiego nozdrza na chodnik. Jakiś dostawca zatrzymał przed kafejką swoją furmankę i konia pociągowego, psując mi panoramę kosmopolitycznego życia ulicznego Glasgow. Clydesdale uniósł nieco ogon i użył bruk gnojem parującym w chłodnym świetle poranka. Zmówiłem krótką modlitwę dziękczynną za to, że nie rzuciło mnie w jakieś mniej wytworne okolice, typu Paryż albo Rzym.

Starożytni Grecy potrafili świetnie odczytywać różne omeny. Gdybym poprawnie odczytał przesłanie zawarte w łajnie clydesdale'a, oszczędziłbym sobie trudów tego cholernego dnia.

Wróciłem do Great Western i zapuściłem się między koncentrycznie położone ulice rejonu Park Circus. Kiedy dotarłem do kamienicy Parksa, okazało się, że wszystkie zasłony są jeszcze zaciągnięte. Nie było stojącego na straży bramkarza o byczym karku, a płycinowe drzwi frontowe w stylu georgiańskim o barwie głębokiej czerwieni wyglądały na tle czarnego od sadzy muru jak jakieś tylne wejście do piekła. Czy raczej tylne wejście do piekła podczas przerwy na herbatę. Pociągnąłem za sznur dzwonka i zastukałem bogato zdobioną kołatką. Po kilku minutach czekania stało się jasne, że nikt mi nie otworzy. A przecież kiedy Willie Sneddon mówił, żeby na kogoś czekać w domu, to człowiek czekał. Zacząłem mieć złe przeczucia.

Zabawna jest nagminna ufność bractwa przestępczego, że wszyscy inni będą przestrzegać prawa. Zszedłem po schodach na poziom przyziemia i odnalazłem tam lekko uchylone okno. Wślizgnąłem się przez nie do małej sypialni, czy raczej pokoju z łóżkiem -

miałem wrażenie, że niewiele się tu sypia. Ściany pokrywała wzorzysta czerwono-czarna tapeta, a na jednej z nich wisiało ogromne lustro w złoczonej ramie, w którym dostrzegłem odbicie łóżka. Romantycznie. W przyziemiu były jeszcze dwa pokoje, korytarz i schody prowadzące do głównych apartamentów. Na górze rozpoznałem salon, w którym poprzednio rozmawiałem z Parksem. Sąsiadowały z nim cztery sypialnie. Wszystkie puste. W powietrzu unosił się słaby, nieświeży zapach papierosów, perfum i whisky. Skądś dobiegały ciche odgłosy grającego radia. Z wyższego piętra. Zawołałem Parksa, ale nikt się nie odezwał.

Zdobione schody prowadziły na piętro, gdzie mieścił się prywatny apartament Parksa.

Gdy wszedłem na górę, wystrój zmienił się z krzykliwego na bardziej wysmakowany.

Muzyka z radia była lepiej słyszalna: to Perry Como informował mnie, że „ona nosi czerwone pióra”. Idąc korytarzem, doszedłem do obszernego, jasnego salonu. Barwne ściany pokrywały oprawione zdjęcia i plakaty teatralne. Umeblowanie było nowoczesne i w dobrym guście, w przeciwieństwie do nienaturalnie wybudowanego wiktoriańskiego stylu panującego w „roboczej” części budynku.

- Cześć, Arthur - powiedziałem do Parksa. Nic nie odpowiedział. Ale też wcale się tego nie spodziewałem. Od razu, kiedy wszedłem do pokoju i moje oczy napotkały oczy Parksa, wiedziałem, że tylko jeden z nas widzi. Siedział pośrodku salonu. Ktoś odsunął na bok stolik do kawy i kanapę, żeby zrobić przestrzeń do zajęcia się przywiązaniem do kuchennego krzesła Parksem. A zajęto się nim pieczołowicie. Szczękę miał ustawioną pod zupełnie niewłaściwym kątem do reszty twarzy. Może próbowali zaradzić jego prognatyzmowi. Większą część twarzy miał spuchniętą i pokrytą czerwonymi plackami poranionej skóry. Zadanie takich ran i powstanie takiej opuchlizny wymaga czasu i miałem wrażenie, że ten, kto zabił Parksa, nie śpieszył się.

Parks miał na sobie tylko podkoszulek i kalesony, a jasny dywan pod nim upstrzony był ciemnymi plamami krwi i moczu. Język zwisał mu ponad przemieszczoną szczęką, a oczy wytrzeszczone były w moim kierunku, jakby Parks chciał podkreślić stan faktyczny: naprawdę, kurwa, nie żyję. Starając się nie zwracać uwagi na zapach, podszedłem bliżej i przyjrzałem się szyi. Ktoś użył do uduszenia Parksa czegoś grubego, podobnego do pasa.

Garota zostawiła na szyi siną sieć pękniętych naczyń krwionośnych.

Zgon Parksa nosił wszelkie oznaki długiego, wypełnionego torturami przesłuchania, zakończonego egzekucją. Cóż, prawda była taka, że do tego właśnie prowadziła działalność, jaką zajmował się Parks. Tak samo mogła się zakończyć działalność, w jaką ja byłem zaangażowany.

Przypuszczenie, że mógł za tym stać Sneddon, było niedorzeczne, ale od wczoraj nie widziałem Pedikiurka i złapałem się na tym, że robię szybki rachunek nagich palców u stóp Parksa.

Usiadłem na odsuniętej na bok kanapie i wlepiłem oczy w Parksa. Nic to nie dało: nie miał żadnych pomysłów na to, co powinienem teraz zrobić. Pewien trop podsunęły mi jednak natarczywe, wibrujące odgłosy zbliżających się samochodów policyjnych. No, ładnie. Znowu przypomniał mi się MacDonald, nastoletni prawoskrzydłowy, który potrafił robić ze mną na lodzie, co chciał. Wrabiano mnie na całego. Syreny wozów policyjnych słychać było ulicę lub dwie dalej, a w każdym razie wystarczająco blisko, aby wyjście przez drzwi frontowe nie wchodziło w grę. Pobiegnę do kuchni. Była wąska i miała wielkie okno przesuwne wychodzące na tył budynku. Policja wysłała samochód również od tej strony, ale ich główna uwaga skierowana będzie na wejście od frontu. Otworzyłem okno. Poniżej kuchenna rura ściekowa odchodziła pod ostrym kątem w kierunku głównej rynny odpływowej. Zejście po głównej rynnie nie powinno być zbyt trudne, w przeciwieństwie do dojścia do niej po rurze kuchennej.

No, ale co za problem, pomyślałem: gdyby znaleźli mnie z połamanymi kostkami po próbie ucieczki z piętra domu Parksa, w którym odkryliby jego zmasakrowane zwłoki, to przynajmniej nie musiałbym zbyt dużo tłumaczyć.

Wyślizgnąłem się przez okno i wymacałem czubkami swoich zamszaków stromo opadającą rurę. Zdjąłem kapelusz i rzuciłem go w dół na podwórko, po czym szukając nogami jakiegoś oparcia na ścianie z piaskowca, zacząłem się opuszczać, trzymając parapetu okna. Przesuwając się centymetr po centymetrze w stronę rynny, słyszałem coraz głośniejsze syreny wozów policyjnych. Nie było szans, żeby stanąć pewnie na rurze ściekowej -

musiałem wykorzystać ją jako chwilowy punkt podparcia i przedostać się do głównej rynny, licząc na to, że zdołam tam znaleźć jakieś solidne zaczepienie.

Ugiąłem kolana i zacząłem przesuwać się w bok, sięgając w kierunku rynny. Obtarłem boleśnie knykcie o kamienny mur, ale udało mi się znaleźć w miarę pewny uchwyt. W pewnej chwili zaczepiłem rękawem marynarki o wspornik rury i usłyszałem odgłos prującego się materiału. Czym prędzej zjechałem po rynnie, waląc się jak kłoda na kamienie brukowe poniżej. Złapałem oddech i spróbowałem wstać. Kostki były w porządku, ale plecy bolały mnie jak cholera. Chwyciłem kapelusz i przebiegłem przez małe podwórko, wymykając się do sąsiedniego zaułka.

Uznałem, że gliny zjawiają się od strony ulicy Sauchiehall, więc skierowałem się w przeciwną stronę. Sprintem dobiegłem do końca uliczki, skręciłem w prawo i dalej poszedłem już normalnie, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Przyjrzałem się swojemu ubraniu.

Miałem na sobie ciemnobrązowy wełniany garnitur i miękkie zamszowe buty. Lubię ubierać się elegancko, nawet jeśli spotykam się tylko z ciotowatym glasgowskim alfonsiem. Mój dzisiejszy wybór ubrania był jednak wyjątkowo trafiony: pobrudzony zamsz na butach i poszarpany wełniany garnitur

w połączeniu z moimi obtartymi knykциями wymownie świadczyły o niedawnym, pośpiesznym zjeździe po rynnie. Obejrzałem rękaw i zauważyłem, że brakuje na nim paska materiału, który prawdopodobnie oderwał się, gdy zahaczyłem o wspornik rury.

Poza mną nie było na ulicy nikogo innego i wystarczyłoby, żeby minął mnie wóz patrolowy, a byłbym kompletnie ugotowany. Chyba tylko mój drogi kapelusz filcowy typu borsalino nie ucierpiał w tej przygodzie. Włożyłem go na głowę i otrzepałem garnitur.

Spokojnie, Lennox. Zachowuj się spokojnie i swobodnie.

W głowie kłębiły mi się jednak gorączkowe myśli. Postanowiłem dojść do parku Kelvingrove i cofnąć się na północ w kierunku Great Western. Domyślałem się, że policja roześle piesze patrole w celu przeczesania okolicy. Zanim się jednak zorganizują, znajdę się poza parkiem, wystarczająco daleko od miejsca zbrodni. Co nie znaczy, że będę już mógł

spać spokojnie. Jeśli zasugerowano policji, że warto się mną zainteresować, to znajdą moje odciski palców na oknach przesuwnych w przyziemiu i w kuchni na piętrze, a także na wielu klamkach.

Mógł to być oczywiście przypadek, że zjawiłem się tam tuż po tym, jak ktoś pomógł

Parksowi zredukować numer kołnierzyka. Istnieje jednak pewne wspaniałe słowo, używane tylko przez Szkotów, i to głównie w kontekście prawnym - *timeous*. Znaczy ono mniej więcej

„w samą porę” albo „na czas”. Otóż moje odkrycie zmalretowanego ciała Parksa nastąpiło

„w samą porę”. Przyjazd policji nastąpił „w samą porę”. Wszystko to nastąpiło aż za bardzo

„w samą porę”, żeby mogło być dziełem przypadku.

Teraz przede wszystkim musiałem jak najszybciej opuścić tę okolicę. Nie wiadomo było jednak, kiedy i jakiego rodzaju cynk dostała policja.

Byłem teraz na ulicy Park Quadrant, która stanowiła najbardziej zewnętrzny krąg koncentrycznych ulic i stojących przy nich szeregowych georgiańskich kamienic. Tutaj akurat łuk kamieniczek stał tylko po jednej stronie szerokiej ulicy. Po drugiej stronie chodnik okolony był metalowym ogrodzeniem, za którym rozciągał się rozległy widok na park Kelvingrove. Niestety po drugiej stronie ogrodzenia był spadek, nie mogłem więc po prostu przeskoczyć przez nie i zaszyć się gdzieś w parku. Szedłem najszybciej, jak mogłem, ale w tempie, którym nie powinienem jeszcze zwracać na siebie uwagi. Dochodziłem właśnie do zbiegu z ulicą Park Terrace, kiedy zauważyłem, że zza zakrętu za mną wytacza się wolno czarny policyjny wolseley. Uskoczyłem w bok pod mizerną osłonę rosnącego w parku drzewa, którego konary zwieszały się po mojej stronie ogrodzenia. Przyłgnałem plecami do metalowych prętów. Za nimi był uskok prowadzący do ciemnozielonego parku, rozciągającego się pod niebem o odcieniu granitu.

To była jedyna droga odwrotu. Za chwilę zaroi się tu od glin. Nie mogłem się jednak ruszyć, dopóki wóz policyjny mnie nie minie.

Wolseley przejechał wolno obok mnie. Gdyby siedzący w nim gliniarze spojrzeli w moim kierunku, musieliby mnie zauważyć. Ale nie spojrzeli. Już myślałem, że szczęście mi sprzyja, gdy w odległości pięćdziesięciu metrów samochód zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Przycisnąłem się, gotów do ucieczki.

Z samochodu wysiadł wysoki gliniarz i podszedł do rzędu georgiańskich kamienic.

Przechylił się przez ogrodzenie i spoglądając w dół, zlustrował znajdujące się poniżej poziomu ulicy wejścia do przyziemia. Wóz patrolowy pełził powoli ulicą, podczas gdy funkcjonariusz sprawdzał w podobny sposób podwórko każdego domu. Ulżyło mi, że nie zmierzają w moim kierunku, lecz jednocześnie poruszali się tak wolno, że nie mogłem wykonać ruchu. Co było problemem, bo wiedziałem, że wkrótce nadjedzie więcej wozów policyjnych i cała sfera gliniarzy będzie tu przeczesywać każdy kąt.

Policjant stopniowo posuwał się do przodu, sprawdzając przyziemia domów po drugiej stronie ulicy. Czarny policyjny wolseley sunął za nim w tym samym tempie.

Postanowiłem działać: wspiałem się szybko na ogrodzenie. Po chwili nogi zawisły mi nad położonymi ponad trzy metry niżej krzakami. Ponownie pomyślałem o swoich biednych kostkach, po czym rozluźniłem uchwyt na prętach ogrodzenia. Spadłem w zarośla, ale hałas nie był na tyle duży, aby zaalarmować gliniarzy. Choć niechętnie, drapiące gałęzie przepuściły mnie na ziemię, gdzie znowu udało mi się uchronić kostki przed złamaniem.

Plecy zaprotestowały jednak paroksyzmem bólu. Pozbierałem się szybko i przebiwszy się przez gęstwinię, wyszedłem na ścieżkę, na szczęście pustą. Otrzeptałem znów garnitur i doprowadziłem do ładu zniekształcony upadkiem kapelusz, po czym nałożyłem go na głowę pod takim kątem, aby ukryć większość twarzy przed wzrokiem ewentualnych przechodniów.

Właśnie skończyłem, gdy dosłyszałem w pobliżu jakieś głosy. Napotkanie innych osób w parku Kelvingrove, nawet w roboczy poranek, byłoby czymś najzupełniej naturalnym, ale instynkt kazał mi znaleźć jakąś kryjówkę.

Na szczęście władze miejskie postanowiły umieścić tuż na wprost mnie okazały pomnik. Na jeszcze większe szczęście nie uzupełniły otaczającego go niegdyś ogrodzenia, które zostało prawdopodobnie przetopione w czasie wojny na potrzeby fabryk zbrojeniowych.

Obiegłem masywny prostokątny cokół i oparłem się plecami o rozbudowany, heroiczny fryz na belkowaniu, przedstawiający mężnych żołnierzy Imperium Brytyjskiego, wyzwalających na całym świecie wdzięcznych tubylców od brzemienia samostanowienia. Spojrzałem na górujący nade mną posąg. Zgryźliwy, stetryczały generał na koniu ogarniał wzrokiem park Kelvingrove, położony nieco dalej uniwersytet i pewnie całe imperium, które już nie istniało, tyle że akurat o tym nikt mu nie powiedział. Głowa jego wierzchowca pochylała się nade mną pogardliwie.

Głosy przycichły, ale usłyszałem dźwięk butów stąpających po wysypanej żwirem ścieżce. I to więcej niż jednej pary. Przywarłem do belkowania, czekając, aż kroki się oddalą, po czym wyjrzałem zza pomnika i zobaczyłem plecy trzech gliniarzy. Kiedy skręcili w sąsiednią alejkę,

pobieglem w przeciwnym kierunku. Musiałem wy dostać się z parku szybko, bo wkrótce zaczną się tu roić od umundurowanych górali, młócających kijami po krzakach.

Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego w trakcie policyjnych przeszukań zarośla zawsze dostają takie solidne cięgi. Może w ten sposób górale przypominali sobie swoje dzieciństwo gdzieś w Stornoway albo Strathpeffer, gdzie jako naganiacze trzepali kijami wrzosowiska, gięli się w pokłonach i starali się uniknąć trafienia przez lokalnych dżentelmenów podczas polowania na kuropatwy.

Na wpół bieglem ścieżką, zwalniając tylko na zakrętach, na wypadek gdybym kogoś tam spotkał - ludzie zapamiętują biegnącego człowieka. Poza tym nie miałem żadnej gwarancji, że policjanci, których udało mi się wcześniej ominąć, byli jedynym patrolem w tej części parku.

Doszedłem do północnej bramy parku, ale przy wejściu od strony ulicy Eldon zauważyłem stojącego na straży policjanta. Skręciłem między drzewa i trzymając się blisko brzegu rzeki Kelvin, przeszedłem w końcu pod mostem przy ulicy Gibson. Przekroczyłem rzekę mostem przy dawnej stacji kolejowej Botanic Gardens. Wspiąłem się na ogrodzenie i zeskoczyłem po drugiej stronie, zwracając tym uwagę pary przechodniów. Naciągnąłem na oczy kapelusz i oddaliłem się szybko w kierunku miejsca, gdzie Great Western biegnie przez most Kelvin.

*

Stojąc po drugiej stronie ulicy, obserwowałem swoje mieszkanie - przed domem nie parkowały jednak żadne wozy policyjne i wszystko wyglądało normalnie. Nie znaczyło to oczywiście, że w środku nie czeka na mój powrót pół tuzina Hamishów³⁶. Przeszedłem pośpiesznie przez ulicę i wszedłem od razu na górę do mieszkania. Rozebrałem się i wziąłem szybką kąpiel. Mydło karbolowe powodowało, że obtarcia na rękach i łydkach szczypały jak diabli. Obtarcia, które stanowiłyby dość przekonujące dowody na pośpieszną ucieczkę.

Ponownie się ogoliłem i włożyłem świeżą koszulę, krawat i garnitur, tym razem niebieski. Zdjęty z siebie garnitur zawinałem w papier pakowy i obwiązałem sznurkiem.

Kapelusz borsalino ocalał i powiesiłem go na wieszaku. Włożyłem inny, pasujący do serży i wyszedłem z domu.

Pojechałem do baru Pod Końskim Łbem i zacząłem od postawienia barmanowi i kilku regularnym obiadowym bywalcom po drinku. Parks nie żył już od wielu godzin, ale przynajmniej ktoś będzie mógł potwierdzić, że mnie widział na luzie i nie w brązowym wełnianym garniturze. Liczyłem na to, że jeśli tych dwóch przechodniów, którzy widzieli 36 Hamish - popularne męskie imię szkockie, odpowiednik angielskiego imienia James.

mnie przeskakującego przez płot parku przy ulicy Great Western, natknie się na gliniarza stojącego na warcie przy bramie, to wspomną mu o tym, jak byłem ubrany.

Wmusiłem w siebie pasztecik, splukałem go dużym piwem i wyszedłem, gdy minęła pora obiadowego wyszynku. Wracałem do samochodu, kiedy nastąpiło zaćmienie słońca.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że to Mały Semple wypełnia mój wszechświat.

- Pan Sneddon chce się z panem zobaczyć.

- Okej - powiedziałem. - Samochód mam za rogiem. Dokąd mam pojechać?

- Niech pan zostawi samochód. Ja mam pana zawieźć. - Może wpadałem w paranoję, ale wyczułem w tonie Małego jakąś chłodną nutę. Zaprowadził mnie do zaparkowanego nieopodal sunbeama, którego zazwyczaj używał Pedikiurek. Jechaliśmy w milczeniu, po przekroczeniu Clyde kierując się Eglinton na południe. W końcu skręciliśmy w uliczkę przy torach, przy której stał szereg obskurnych domów. Przed jednym z nich parkowały trzy samochody i Mały zatrzymał się obok nich. Samochody rzucały się w oczy, bo przy pozostałych domach nie było nawet hetki-pętelki.

Dom wyglądał na opuszczony, ale przechodząc przez korytarz, kątem oka zauważyłem w jednym z pomieszczeń stopy skrzyń. Domyśliłem się, że dom pełnił funkcję paserni. Przy ulicy, której mieszkańcy pewnie zrabowaliby człowiekowi ostatnią koszulę, ten tajny składzik był bezpieczny jak Fort Knox. Nie trzeba było do zabezpieczenia go używać żadnych kłódek ani rygli. Wystarczyło nazwisko. Willie Sneddon. Robin Hood południowego zarzecza, który okradał bogatych i terroryzował biednych.

Przy zdewastowanym kominku, paląc, stali Sneddon, Pedikiurek i jakiś trzeci zbir z fryzurą w kaczy kuper, niższy i szczuplejszy od Małego, ale wyglądający równie groźnie.

Pośrodku pokoju umieszczono krzesło. Przytulnie - pomyślałem. Sporo miejsca do pracy, tak jak w mieszkaniu Parksa. Pedikiurek nie uśmiechnął się do mnie i zrobiłem szybki przegląd pomieszczenia, ale nie zauważyłem żadnych nożyc do prętów. Przynajmniej tyle.

- Siadaj - polecił Sneddon. Nie skorzystałem. W obecności czterech takich gości w pokoju lepiej nie być jedynym siedzącym. Istniało ryzyko, że już się człowiek z tego krzesła nie podniesie.

- Niech pan posłucha, panie Sneddon - powiedziałem, jeszcze na stojąco. - Jeśli to dotyczy Parksa...

- Siadaj, kurwa - odparł Sneddon zimnym, beznamiętnym tonem. Usiadłem. Miałem małe déjà vu: przypomniała mi się mianowicie moja intymna pogawędka na złomowisku Murphy'ego.

- Byłeś dziś rano u Parky'ego?

- Owszem. Tak jak ustaliliśmy.

- Pamiętasz, co mówiłem o tym, że nie chcę Parky'ego niepokoić?

Przytaknąłem.

- Może jestem, kurwa, zbyt oszczędny w słowach. Może powinienem był wyrazić się jaśniej. Gdyby Parky się zdenerwował, byłoby kiepsko. Ale Parky nieżywy to, kurwa, nieco gorsza sytuacja.

- Niech pan posłucha, panie Sneddon. Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Parksa.

W każdym razie nie bezpośrednio. Wydaje mi się, że ktoś nie chciał, żeby on ze mną rozmawiał. Co więcej, wydaje mi się, że oni chcieli, żeby porozmawiał z nimi. Parks coś wiedział. Albo oni myśleli, że coś wie. Kiedy tam przyjechałem, już nie żył. Ktoś długo przestawiał mu twarz, po czym go udusił.

- Ktoś go obrabiał? - Sneddon zaciągnął się, rzucił peta na zapuszczone, nagie deski i rozgniół go butem. Ten jego gest mnie zaniepokoił, bo wyglądało na to, że chce mieć wolne ręce.

- Ujmijmy to tak, że miałby później kłopoty z żuciem gumy. Ktokolwiek go obrabiał, wiedział, że po wszystkim go zabije. Niezależnie od tego, czy Parks coś powie, czy nie. Nie wiadomo, czy w końcu udało im się wyciągnąć z niego, co chcieli, w każdym razie potem rozwalili mu twarz na amen. Parks nie był tylko bity. Torturowano go.

- O ile pamiętam, chciałeś go ponaciskać. Taa... tak właśnie to ująłeś. Zapytam o to tylko raz, Lennox: zabiłeś go? I zanim odpowiesz, chcę, żebyś wiedział, że zdaję sobie doskonale sprawę, jak do takich sytuacji dochodzi. Po prostu wymykają się, kurwa, spod kontroli.

Nie wątpię, że wiesz, jak to jest - pomyślałem.

- Więc powiedz mi prawdę, Lennox - ciągnął Sneddon. - Załatwiłeś Parky'ego?

- Nie. Gdyby pan widział, w jakim stanie była jego twarz, sam by pan to zrozumiał.

Nie jestem aż tak zacięty.

- Okej. Pokaż ręce.

Wyciągnąłem ręce przed siebie, czując, jak przebiega mnie dreszcz. Knykcie obu dłoni miałem mocno poobcierane od szybkiej ewakuacji po rynnie Parksa.

- Niech pan słucha - powiedziałem. - Musiałem uciekać z mieszkania Parksa po rynnie. A potem musiałem przedzierać się przez połowę krzaków w parku Kelvingrove. Te obtarcia nie wzięły się z torturowania Parksa.

Sneddon mierzył mnie przez chwilę ostrym wzrokiem. Zerknąłem na Pedikiurka, który nadal się nie uśmiechał. Odruchowo podkurczyłem palce w butach.

- Okej - rzekł wreszcie Sneddon. - Wierzę ci. Nie obtarłeś sobie tych kostek, katując faceta na śmierć. Miałbyś wtedy ręce spuchnięte jak pieprzone balony.

Dzięki Bogu za ten głos doświadczenia - pomyślałem.

- Co nie znaczy, że go nie zatłukłeś na śmierć, posługując się czymś innym -

powiedział Sneddon. - Ale wierzę ci.

Starałem się trzymać fason i nie pokazać po sobie, jaką poczułem ulgę.

- Parky zarabiał dla mnie mnóstwo kasy, Lennox. Nie podoba mi się, że ktoś zabija jednego z moich najbardziej dochodowych podopiecznych. Bardzo mi się, kurwa, nie podoba.

- Nie wątpię.

- Masz teraz nowe zadanie. Zapomnij o sprawie McGahernów. Dowiedz się, kto zabił

Parky'ego. I to jak najszybciej.

- Prawdę mówiąc, sądzę, że nie powinienem odpuszczać sprawy McGahernów.

Odnoszę wrażenie, że śmierć Parksa ma z nią związek. Zbiegi okoliczności sprawiają, że staję się podejrzliwy. Raczej w nie nie wierzę - kłócą się z moim racjonalnym spojrzeniem na świat.

- Jakie zbiegi okoliczności?

- Że pan ze mną rozmawia, po czym przekazuje Parksowi, żeby się mnie spodziewał.

Przyjeżdżam tam, a Parks już jest martwy. To zbieg okoliczności numer jeden. Potem muszę pryskać tylnym wyjściem, bo policja dostaje cynk właśnie wtedy, kiedy tam jestem. Zbieg okoliczności numer dwa.

- Czyli ktoś chciał cię wrobić?

- No cóż, uznał pan, że musi mnie zapytać, czy go zabiłem, prawda? Martwię się tylko, że mogli podać moje nazwisko policji. Albo podadzą, kiedy się połapią, że nie zostałem ujęty na miejscu zbrodni.

- Chwila, chwila... - Sneddon zmarszczył brwi. - Co to, kurwa, znaczy, że Parks zginął

po tym, jak zaaranżowałem ci z nim spotkanie? Twierdzisz, że ja to wszystko ukartowałem?

- Nie... Wcale nie. - Podniosłem ręce w geście protestu. - To Parks mógł komuś o tym powiedzieć. Albo rozeszło się w jakiś inny sposób. Chodzi mi tylko o to, że całość aż nazbyt dobrze się zazębia. Ostatnio często mnie coś takiego spotyka. I wszystko dotyczy Tama i Frankiego McGahernów oraz Lillian Andrews. Muszę to jeszcze wszystko przemyśleć.

Aktualnie martwię się o to, żebym nie skończył na stryczku, oskarżony o zamordowanie Parksa.

- Ktoś widział, jak stamtąd wychodziłeś?

- Nic o tym nie wiem, ale wystarczyłoby kilku odpowiedzialnych obywateli obserwujących przez okno, jak zgrywam Szerpę Tenzinga na tylnej ścianie domu Parksa.

Poza tym dwójka przechodniów widziała, jak gramolę się przez ogrodzenie parku Kelvingrove.

- Dobrze ci się przyjrżeli?

- Przypuszczalnie tylko mojemu ubraniu. Garnitur mam w bagażniku samochodu.

Wydaje mi się jednak, że jego skrawek mogłem zostawić gdzieś na rynnicy Parksa. Mam zamiar gdzieś ten garnitur wywalić.

- Kiedy podrzucisz go do jego samochodu, zabierz ten garnitur - polecił Sneddon Małemu. Potem zwrócił się znowu do mnie. - Spalimy go. Co do dzisiejszego ranka, kiedy sprzątnęli Parky'ego, to miałeś samochód w naprawie w jednym z moich warsztatów. Dam ci jego nazwę i adres oraz nazwiska dwóch mechaników, którzy potwierdzą, że tam byłeś.

- Dzięki - powiedziałem. Perspektywa uniknięcia oskarżenia o zabójstwo na podstawie mętnego, załatwionego przez Snedдона alibi nie dodała mi jednak zbyt otuchy. Poza tym, gdyby policja nigdy nie znalazła faktycznych sprawców, to Sneddon miałby na mnie haka.

Zastanawiałem się, czy mój garnitur faktycznie zostanie spalony. Moja pozycja negocjacyjna była jednak kiepska.

- Więc dowiesz się, kto sprzątnął Parky'ego? - Sneddon zapalił kolejnego papierosa.

Poczęstował mnie i skorzystałem.

- Jeśli dam radę - odparłem, tak jakbym miał jakiś wybór. - No i Tama McGaherna.

Jak mówiłem, istnieje tu jakiś związek.

Sneddon sięgnął do kieszeni marynarki, a ja o mało co się nie wzdrygnąłem. Wyjął gruby plik złożonych piątek i podał mi go.

- To zaliczka - powiedział. - Bezzwrotna. Ale, kurwa, oczekuję rezultatów, Lennox.

Oko za oko, jasne?

Przytaknąłem.

- Znajdź tego, kto załatwił Parky'ego, a ja zajmę się resztą.

- W porządku - odparłem i nie przeliczając, schowałem gotówkę do kieszeni.

Przypomniały mi się skrzynki kontaktowe Morrisona. Miałem niejasne przeczucie, że do jednej z nich będę za jakiś czas dostarczał jakieś nazwisko. Sneddon postawił sprawę jasno, że niepowodzenie mojej misji nie wchodzi w grę.

Mały Semple odwiózł mnie tam, gdzie zaparkowałem samochód, czyli w pobliżu baru Pod Końskim Łbem. Po drodze był już bardziej rozmowny niż poprzednio.

- To zabawne, że w ten sposób pan się wydostał od Parky'ego - powiedział podczas jazdy.

- Jak to?

- Miał raczej w zwyczaju przyjmować gości od tyłu... - Mały zachichotał swoim barytonem.

Nie za bardzo miałem nastrój do żartów. Mógłbym przysiąc, że kiedy odjeżdżaliśmy z mety Snedдона, w bocznym lusterku mignął mi Pedikiurek, chowający w bagażniku jednego z samochodów nożyce do prętów.

Na szczęście okazały się niepotrzebne.

Przez następne dwa czy trzy dni starałem się rzucać w oczy równie mało, jak napletek na zjeździe rabinackim.

Lada chwila spodziewałem się łomotu do drzwi albo zaaplikowanego bardziej bezpośrednio i zaciągnięcia na plac St Andrew's. Wiedziałem z doświadczenia, że prowadząc dochodzenie, glasgowska policja nagminnie traktuje takie nieistotne szczegóły, jak materiały dowodowe w sprawie, jako coś najzupełniej zbędnego. McNab, jak jakiś dzierżący pałę Salomon, w swej mądrości nieomylnie wiedział, kto jest winien. Potem było tylko kwestią czasu i obtartych knykci przekonanie podejrzanego, jak bardzo się mylił, sądząc, że nie ma ze sprawą nic wspólnego.

Żaden łomot jednak nie nastąpił. A gdybym znajdował się pod obserwacją, z pewnością bym to zauważył, bo dyskrecja i kompetencje w tej sferze nie należały do mocnych stron glasgowskiej dochodzeniówki.

Burdel przy Park Circus został zamknięty. Nawet gdyby Sneddon zainstalował tam jakiegoś ciecia, żeby lokal nadal mógł działać, nie miałoby to żadnego znaczenia, bo gazety prześcigały się w sensacyjnych nagłówkach dotyczących śmierci Arthura Parksa. A to znaczyło, że stali klienci będą się trzymać od tego miejsca z daleka. Znaczyło też, że szare koperty nie powstrzymają już policji od ostatecznej likwidacji przybytku.

Tych kilka dni było dla mnie pełnych napięcia, również dlatego, że gazety wspominały o wysokim mężczyźnie w brązowym garniturze, którego widziano w okolicy miejsca zbrodni tuż po zabójstwie. Opis ograniczał się tylko do tych kilku słów, ale i tak spędzało mi to sen z powiek. Miałem jedynie nadzieję, że Sneddon zrobił użytek ze swojej spalarni. Było jednak coś jeszcze, co nie dawało mi spokoju. W tej samej gazecie, w której przeczytałem wiadomość o zabójstwie Parksa, widniała inna, krótsza notka o pewnym zgonie w Edynburgu. W tym wypadku nie było podejrzeń o kryminalny charakter sprawy, przynajmniej jeśli chodzi o udział osób trzecich. Czołowy edynburski chirurg popełnił w tragicznych okolicznościach samobójstwo. Strzelił sobie w głowę z rewolweru. Notka stwierdzała, że był jednym z najlepszych specjalistów w dziedzinie odtwórczej chirurgii szczękowo-twarzowej. Alexander Knox.

Zbieg okoliczności numer trzy. Nie mijają dwa dni od sprzątnięcia Parksa, a czołowy chirurg plastyczny, który wyświadczył w przeszłości Tamowi McGahernowi kilka przysług, postanawia palnąć sobie w łeb.

*

Policja zaczęła się mną interesować dopiero ponad tydzień po śmierci Parksa. Byłem właśnie w barze Pod Końskim Łbem, kiedy przy moim boku pojawił się Jock Ferguson.

Zaproponowałem, że postawię mu whisky. Zgodził się, co było dobrym znakiem. Gliniarze mają pewne zasady, a mianowicie zazwyczaj nie piją z człowiekiem, dopóki go nie przemaglują.

- Masz mi może coś do powiedzenia? - Podniósł brew. Mnie podskoczyło ciśnienie.

Może nie przyszedł tu w celach towarzyskich.

- Na przykład co?

- Daj spokój, Lennox. Przecież siedzisz po uszy w tym gównie.

- Gównie?

Odwrócił się w moim kierunku, stanowczo postawił szklankę i pochylił się nad kontuarem.

- Nie rób mnie w konia, Lennox. Nie ma możliwości, żeby Willie Sneddon nie wynajął cię do zbadania śmierci Arthura Parksa.

- Ach, to... - powiedziałem, usiłując czym prędzej zetrzeć z twarzy minę oznaczającą:

„a ja sądziłem, że mówisz o tym, iż jestem głównym podejrzanym o to morderstwo”. Chyba nie najlepiej mi się to udało, bo Ferguson zmarszczył podejrzliwie szerokie czoło.

- A ty sądziłeś, że o czym mówię? - spytał.

- Po prostu nie byłem pewien, to wszystko. - Uśmiechnąłem się i pociągnąłem duży łyk szkockiej, którą byłem zmuszony zamówić, bo Wielkiemu Bobowi skończyły się zapasy Canadian club. - Problem z pracą w ryszotku polega na tym, że ma się do czynienia z najrozmaitszymi rodzajami gówna.

Zdaje się, że mój akt samoponiżenia odniósł pożądany skutek, bo Ferguson cofnął się do tyłu i oparł łokciami o kontuar.

- Willie McNab chce się z tą sprawą uwinąć jak najszybciej. Ma teorię.

- Ach, tak?

- Mieliśmy dyskusję o homoseksualistach. - Na twarzy Fergusona pojawił się rzadko goszczący tam uśmiezek. - Dla McNaba cała ta sfera jest trudna do pojęcia. Chyba nie potrafi w ogóle przyjąć do wiadomości, że w Szkocji są ludzie o takich skłonnościach.

- Słyszałem o tej teorii - odparłem. - Święty Patryk wygnał z Irlandii wszystkie węże, natomiast święty Andrzej wygnał ze Szkocji wszystkich pedałów, którzy stali się...

- ...Anglikami - dokończyliśmy jednocześnie, wybuchając śmiechem.

- Mówię poważnie - rzekł Ferguson. - McNab snuje rozmaite teorie na temat zabójstwa Parksa. Uważa, że ma to związek z jakimiś sadomasochistycznymi homoseksualnymi ekscesami. A wie na temat homoseksualizmu tylko tyle, że jest nielegalny i że faceci o takich skłonnościach przejawiają na ogół doskonały zmysł elegancji. Te jego teorie zaczynają chwilami zahaczać o science-fiction. Tak jakby chodziło o Marsjan czy coś takiego. Wiesz, z nim jest jak z królową Wiktoria... naprawdę nie wierzy, że istnieje coś takiego, jak lesbijstwo. „Do czego to podobne - powiedział - same gniazda i

żadnej wtyczki?”.

- Ale czemu sądzi, że zabójstwo Parksa ma jakiś związek z sadomasochizmem? -

spytałem. - Jak on zginął? - Spryciarz Lennox.

- W nieciekawych okolicznościach, Lennox. - Ferguson skrzywił się, ale trudno było powiedzieć, czy z powodu powracającego wspomnienia, czy pitej whisky Bell's. - Ktoś dał

mu taki wycisk, że szkoda gadać: przywiązał do krzesła, a potem zrobił z twarzy tatara.

- Rozumiem, że nie jesteś zwolennikiem teorii homosadomaso?

- Na wojnie poznałem pewnego faceta. To był przyzwoity gość i cholernie dobry żołnierz. Strzelił sobie w łeb, bo wyszło na jaw, że jest homo i miał zostać postawiony przed sądem wojskowym. Nie zrozum mnie źle - sam nie mam takich skłonności, ale nie czuję potrzeby prześladowania ludzi za to, że zostali stworzeni tacy, a nie inni. I wkurza mnie, że policja i sądy tracą tyle czasu na ich prześladowanie. Oni nie są przestępcami. Są tacy, jacy są, i tyle. Nie wyją do księżyca ani nie czczą szatana. I nie wydaje mi się, aby to, co widziałem w mieszkaniu Parksa, miało cokolwiek wspólnego z tym, gdzie wkładał fiuta.

- Mnie też nie - powiedziałem. Patałach Lennox. - Znaczy, na podstawie tego, co powiedziałaś.

- Przypuszczam więc, że Sneddon wynajął cię do powęszczenia wokół zabójstwa Parksa.

- Ferguson znów przemawiał jak glina. - Ale u ciebie to wszystko łączy się ze sprawą McGahernów. Co doprowadza mnie do głównej kwestii.

- Tak też przypuszczałem.

- Dałem ci nieco luzu z Lillian Andrews. Teraz ona zapadła się pod ziemię. Mówiłem ci, Lennox. Mówiłem ci, że muszę z nią porozmawiać o śmierci jej męża.

- Której oficjalną przyczyną nadal jest wypadek samochodowy? - spytałem.

- Co nie ma, kurwa, absolutnie nic do rzeczy. Obaj wiemy, że Andrews został

zamordowany. Chcę wiedzieć dlaczego i przez kogo. Lillian Andrews dała jednak nogę.

Przypuszczam, że za granicę, ale nie mam tylu poszlak, żeby przekonać McNaba, że warto ją ścigać. Zaczniemy więc od tego, że zdasz mi pełną relację z tego, co słyszałeś o zabójstwie Parksa i co wiesz o Lillian Andrews.

- Okej - powiedziałem takim tonem, jakby zmusił mnie do mówienia. - Sneddon faktycznie poprosił mnie, żebym poniuchał tu i ówdzie. Ale tu nie ma punktu zaczepienia.

Tak jak przy zabójstwie McGahernów, wszyscy wiedzą, że nie była to akcja żadnego z Trzech

Krółów. Z mieszkania nic nie zginęło?

- Nic. Ale to nie ma znaczenia. Gdybyś widział, w jakim stanie był Parks, zrozumiałbyś, że nie chodziło im o żaden rabunek. Zależało im na czymś, co wiedział. I to mnie bardzo intryguje. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Sneddon dokładnie wie, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie wie. Wierz mi, Jock - rzekłem bez ironii. - Wygląda mi coraz bardziej na to, że Parks prowadził na boku jakiś własny interesik, ale coś się posypało.

- Tak jak jego szczeka - powiedział Ferguson. Zachowałem kamienną twarz, jakbym nie wiedział, o co mu chodzi.

- A jeśli chodzi o Lillian Andrews - wzruszyłem ramionami - to nie mam zielonego pojęcia, gdzie się podziała ani co robi. Czuję się jednak całkowicie wyprowadzony w pole.

Od czasu naszej ostatniej rozmowy nie posunąłem się w tej sprawie ani o krok naprzód.

Wypiliśmy z Fergusonem jeszcze jedną kolejkę, po czym wyszedłem. Zamówiłem podwójną szkocką i wychyliłem jednym haustem. Ulżyło mi. I to bardzo. Coś nie dawało mi jednak spokoju: skąd wzięło się to niejasne uczucie, że Ferguson nie przycisnął mnie aż tak mocno, jak by mógł?

*

Wyszedłem z baru wkrótce po Fergusonie i udałem się na poszukiwanie prostytutki.

W celach wyłącznie dochodzeniowych.

Lena, dziewczyna, którą kilka tygodni temu proponował mi Parks, nie była z kategorii tych pracujących na ulicy. Była na to zbyt ładna i „luksusowa”. Podobno czar pryskał, gdy zaczynała coś mówić. Jak powiedział mi Sneddon, jej „gorbalska gadka” robiła wrażenie.

Oficjalnie Lena miała przerwę w pracy, dopóki sytuacja nieco się nie uspokoi. Niezależnie od losu, jaki spotkał Parksa, nadal była pod „ochroną” Sneddona. Tydzień to jednak długi okres zastoju w interesie i Sneddon podejrzewał, że Lena i kilka innych dziewczyn zabawiają swoich stałych klientów prywatnie.

Adres Leny, który podał mi Sneddon, okazał się lokalem nad jakimś pubem w dzielnicy Partick. Zaparkowałem atlantica po drugiej stronie ulicy. Bar mieścił się w jednej z ponurych kamienic z okopconymi oknami, ale zza zasłony glasgowskiego deszczu migał

blado neonowy kieliszek koktajlowy, nachylony pod zawadiackim kątem. Mógłbym równie dobrze być na Manhattanie - pomyślałem.

Przeszedłem przez ulicę i wszedłem w wąski zaułek, jakich wiele znajdowało się między budynkami. Śmierdziało moczem i przypominała mi się konfrontacja w należącym do McGahernów barze Highlander. Tylnymi schodami dostałem się na piętro. Czerwone zasłony, zaciągnięte za brudnymi szybami jedyne okna powodowały, że emanowało złowieszczym blaskiem. Podeszedłem do drzwi i

nie pukając, przekręciłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte na zamek i wszedłem do małej, czystej kuchni. Z boku znajdowało się wejście do toalety i domyśliłem się, że drzwi na wprost mnie prowadzą do jedyne go pozostałego pomieszczenia w mieszkaniu. Otworzyłem je z rozmachem i w środku zastałem Lenę i grubego biznesmena w średnim wieku, leżących razem na kanapie. Lena była ubrana w strój pielęgniarki. A ściśle rzecz biorąc, w połowie ubrana. Mogłem się mylić, ale odniosłem wrażenie, że nie ma żadnego przygotowania pielęgniarskiego, chyba że uznać sztuczne oddychanie usta-kutas za skuteczną metodę reanimacji.

- Kochanie! - krzyknąłem wzburzonym tonem. - Mówiłaś, że te dodatkowe pieniądze zarabiasz szyciem!

Oboje zerwali się na równe nogi, a tłuścioszek wpadł w panikę. Podciągnął spodnie, chwycił marynarkę i omijając mnie jak najszerszym łukiem, wybiegł pędem z mieszkania.

Tym razem Lena nie poczęstowała mnie swoją miną Rity Hayworth.

- Kto ty, kurwa, jesteś?! - wrzasnęła. Głos miała cienki i zgrzytliwy. Tak jak mnie uprzedzał Sneddon, pomimo swojego sztywnego wyglądu Lena miała wymowę jak rasowa dziewczyna z Gorbals. Zmrużyła podejrzliwie oczy. - Ja cię znam... byłeś wtedy przy Circus.

Jesteś tym gościem, z którym rozmawiał Arthur.

- Tak, to ja - odparłem i usiadłem w fotelu naprzeciwko niej. Lena chwyciła za szlafrok i zasłoniła swoje najcenniejsze aktywa.

- Wypieprzaj stąd. Za kogo ty się, kurwa, masz, żeś tak tu wparował?

- Miło, że mnie pamiętasz, Leno - powiedziałem z uśmiechem. - Owego wieczoru, kiedy rozmawiałem z Parksem, wykonywałem zadanie dla pana Sneddona. Dziś wieczór jestem tu też na jego polecenie.

Wyraz twarzy jej się zmienił. Widać było, że naprawdę się przestraszyła.

- Słuchaj... to... co widziałeś... nie chodzi mi o to, żeby robić konkurencję panu Sneddonowi. Ale muszę coś jeść...

- Tak, zauważyłem, kiedy tu wszedłem.

- Słuchaj, naprawdę bym nie chciała, żebyś coś mówił panu Sneddonowi. Zrobię wszystko... - Lena zrobiła krok w moim kierunku i rozchyliła szlafrok, odsłaniając piersi. To było zaproszenie do zabawy w doktora i pielęgniarkę.

- Schowaj rekwizyty, Leno. Jestem tu w interesach. Ale dotyczących mojej branży, nie twojej. Siadaj.

Zakryła się i usiadła. Podałem jej zdjęcie Lillian Andrews.

- Znasz ją?

- O, tak. Pewnie, że znam tę pieprzoną dziwkę. To Sally Blane.

- Czy Parks ją znał?

- Nie sędzę, ale znał jej siostrę. Przez jakiś czas u niego pracowała.

- Niech zgadnę - powiedziałem, zapalając papierosa. Nie poczęstowałem Leny: Królewska Szkoła Pielęgniarska byłaby przeciwna. - Siostra Sally Blane nazywa się Margot Taylor.

- Tak - odparła Lena. - Ale Arthur nie znał Sally. Margot farbowała włosy na blond.

Poza tym były bardzo do siebie podobne. Poznałam Sally przez Margot, która chciała, żebym z nimi pracowała. Miały taki mały własny interesik. Sally była chyba jednak zdania, że jestem zbyt, kurwa, pospolita jak na to, co planowały.

- Boże uchowaj - powiedziałem, zaciągając się papierosem.

- Albo to, albo uważała, że jestem za stara - kontynuowała Lena niezrażona. - Sally nieźle zadzierała nosa. Tak czy inaczej, nie byłam zainteresowana. Panu Sneddonowi by się to nie spodobało. Zresztą za te boki Arthur przetrzepał Margot skórę.

Przyjrzałem się Lenie. Miała ze trzydziestkę. Tak jak poprzednio, uderzył mnie jej nieco arystokratyczny wygląd. Nie była piękna, ale niezwykle atrakcyjna. Pasowałaby do luksusowej agencji dziewczyn na telefon. Dopóki nie otworzyłaby ust.

- A gdzie pracowała Sally?

- W Edynburgu. W jakimś ekskluzywnym burdelu. Czemu pytasz?

- Słyszałaś kiedyś o niejkiej Lillian Andrews? A konkretnie, czy przypominasz sobie, aby Sally Blane kiedykolwiek tak o sobie mówiła?

- Nie. Spotkałam ją tylko raz i, kurwa, wystarczy. Na pewno nie powiesz Sneddonowi, że przyjmuję tu klientów?

- Nie obchodzi mnie to. Czy widziałaś kiedykolwiek, aby Parks rozmawiał z którymś z bliźniaków McGahern?

- Małe szanse. Gdyby Arthur w jakikolwiek sposób zadawał się z McGahernami, Sneddon obciąłby mu jaja.

- A co do tego interesu, w który były zaangażowane Sally i Margot... czy dużo ci o nim mówiły?

- Nie. Tylko tyle, że będą tam zarabiać trzy razy więcej, niż wyciągałyśmy przy Circus. Ale Sally kazała Margot siedzieć cicho. Chyba uznała, że Margot za dużo mi powiedziała. Tym bardziej, kiedy stało się oczywiste, że Sally nie chce, abym do nich dołączyła.

- Powiedziano mi, że całym tym przedsięwzięciem kierowała niejaka Molly. Wiesz może, czy Sally albo Margot tak się do siebie nawzajem zwracały?

- Sally tak nazywała Margot... takie niby zdrobnienie. Tak, słyszałam, jak tak się do niej zwraca. Ale to, kurwa, niemożliwe, żeby Margot była szefową. - Lena zamyśliła się na chwilę. Gdy zaczęła mówić dalej, chwilowa iluzja ogłady przysła ponownie. - Coś mówiły między sobą... z czego by wynikało, że jest w tę akcję zaangażowany jeszcze ktoś. Cholera, nie pamiętam dokładnie, co mówiły, w każdym razie dotyczyło to jakiejś cudzoziemki...

jakiejś innej zdziry. No wiesz, kurwy.

- I to ta cudzoziemka była szefową?

- Nie wiem. Może. A może Sally nią była. Ciągle się rządziła. Ale ta cudzoziemska laska była jakoś ważna. Słuchaj, ja naprawdę nic nie wiem. Jak mówiłam, Margot uważała, że będę pasować. Sally przeciwnie. Więc potem już nic o tym wszystkim nie słyszałam, aż do chwili, kiedy Arthur spuścił Margot manto i wywalił ją na zbity pysk.

- Czy ktoś widział, jak spuszczał jej manto?

- Nie. Chociaż... pojechał z nim jeden z chłopaków pilnujących przy drzwiach. Ale czekał w aucie. Arthur poszedł tam z paskiem do ostrzenia brzytwy. I kilka tygodni później usłyszałam, że ona zginęła w wypadku samochodowym.

Przez chwilę paliłem w milczeniu. Zaczął mi się rysować pewien obraz. Tylko że był

to obraz retuszowany. Podejrzewałem, że został namalowany przez Parksa, Lillian i McGaherna. I nadal patrzyłem na niego pod niewłaściwym kątem.

- Masz jakiś pomysł na to, kto mógłby chcieć tak załatwić Parksa? Czy coś szczególnego wydarzyło się w dniach poprzedzających jego śmierć?

- Nie. Dzień jak co dzień. Nie przypominam sobie nic szczególnego.

- Miałem wrażenie, Leno, że byłaś jedną z gwiazd w tym interesie Parksa. W końcu zaoferował mi twoje usługi za darmo. Czy robił coś takiego z innymi niecodziennymi gośćmi?

- Czasami.

- Może pamiętasz kogoś takiego z ostatnich kilku tygodni?

- Nie. Nikt mi nie przychodzi do głowy. - Zrobiła przerwę i zmarszczyła czoło. -

Chociaż zaraz, był taki jeden. Szpetny, gruby sukinsyn. Odniosłam wrażenie, że jest kimś ważnym. Arthur powiedział mi, żebym dała z siebie wszystko. Wiesz, o co mi chodzi?

- Mogę sobie wyobrazić. Pamiętasz, jak się nazywał?

Lena zaniósła się ochryplym śmiechem.

- Żartujesz? Nikt tu nie podaje nazwiska ani adresu. To był klient, który chciał się bzyknąć, a nie nawiązać korespondencyjną znajomość. Ale coś zauważyłam.

- Co takiego?

- Był zagranicznikiem. Akcent miał jakiś taki niemiecki albo coś.

- Mógł być Holendrem?

- Czy ja wiem? Holendry... skąd oni są?

- Z Holandii - powiedziałem. - Tam, gdzie są wiatraki. - Lenie zdawało się to jednak niewiele mówić. Wstałem i włożyłem kapelusz.

- Na pewno nie nakabłujesz na mnie Sneddonowi? No wiesz, o moim kliencie.

- Tak jak mówiłem... nie obchodzi mnie to. - Podeszedłem do drzwi.

Lena zsunęła z siebie szlafrok.

- Zaslugujesz na podziękowanie - oznajmiła. - Co powiesz na małe gratisowe bzykanko?

Spojrzałem na jej ciało, nagie z wyjątkiem czepka pielęgniarzkiego, skurczonego fartucha, podwiązek i pończoch. Zbudowana była bez wątpienia jak trzeba. Jednak mimo jej nęcącego zaproszenia nie uśmiechała mi się perspektywa przemycania później wodą utlenioną członka. Ani uszu, gdyby miała ochotę na dalszą pogawędkę.

- Nie, dziękuję - powiedziałem i wyszedłem.

*

Kiedy się do tego przyłożę, potrafię się nieźle zaprezentować. Miałem do odegrania pewną rolę, więc wstałem następnego dnia wcześniej, wykąpałem się, ogoliłem i włożyłem swój najlepszy granatowy garnitur. Dobrałem do niego bladoniebieską jedwabną koszulę z mankietami i tkany jedwabny krawat w kolorze garnituru, do górnej kieszeni wsunąłem świeżą białą chusteczkę i całość podkreśliłem jeszcze złotą spinką do krawata i złotymi spinkami do mankietów. Nie żałowałem swojej najdroższej, kupionej u 'Phersona wody kolońskiej. Miałem też drogi gabardynowy trencz, który rzadko widywał światło dnia, i wychodząc, przerzuciłem go sobie przez ramię. Właśnie kiedy zszedłem ze schodów, pani White wyszła ze swojego pokoju i wymieniliśmy swoje zwyczajowe poranne powitanie.

Idąc do samochodu, uśmiechnąłem się, bo pani White wbrew sobie spojrzała na mnie przychylnym okiem. Podjechałem do biura i zabrałem z szuflady biurka kilka wizytówek. Nie figurowało na nich jednak ani moje nazwisko, ani nazwa mojej firmy.

Pojechałem do centrum i zaparkowałem przed biurem Masona i Brodiego na ulicy St Vincent. Mosiężna tabliczka przy wejściu informowała, że byli radcami prawnymi i agentami nieruchomości i że mieli biura zarówno w Ayr, jak i w Glasgow. Siedziba w Ayr oznaczała, że historia firmy sięga dziewiętnastego wieku.

Wszystko w biurze Masona i Brodiego tchnęło szkockim establishmentem: solidna dębowa boazeria i masywne biurka, wysłużone szafy biurowe oraz zapach tytoniu do fajek i wosku pszczelego, unoszący się w powietrzu i strzegący niejako atmosfery przeszłości.

Jedynie, co mi nie pasowało w tym otoczeniu, to sekretarka siedząca przy biurku najbliższym drzwi. Była w wieku około dwudziestu lat i miała ciemne włosy i ładne niebieskie oczy.

Kiedy wszedłem, uśmiechnęła się, a ja spytałem, czy mógłbym się zobaczyć z panem Brodciem, jako że prawdopodobnie zajmował się sprzedażą kilku nieruchomości, które mnie interesowały.

Wprowadziła mnie do wyłożonej boazerią sali zebrań, a ja próbowałem oderwać wzrok od jej tyłka. Bez powodzenia. zaproponowała mi herbatę, za którą podziękowałem, i poprosiła, abym kilka minut poczekał, aż sprawdzi, czy pan Brodie nie jest akurat zajęty.

Po kilku minutach w drzwiach pojawił się krzepki mężczyzna w garniturze.

- Pan Scobie!? - huknął w moim kierunku. - Nazywam się Fraser Brodie. - Na podstawie jego osiemnastowiecznego akcentu i faktu, że podając mi swoją mięsistą rękę, wykrzyczał swoje powitanie, domyśliłem się, że pochodzi z hrabstwa Ayrshire. Tamtejsza ludność znana jest z tego, że porozumiewa się z głośnością stu decybeli: wieki krzyczenia do siebie nawzajem na polach lub w szybach górniczych zrobiły swoje. Brodie miał gęste, kręcone, ciemne włosy, krzaczaste brwi i rumianą cerę jurnego pasterza. W głowie wyświetlił

mi się jego obraz, jak z determinacją przemierza pastwiska Ayrshire, a co cnotliwsze owce z jego stada szukają czym prędzej jakiejś kryjówki.

- Rozumiem, że jest pan zainteresowany kilkoma posiadłościami, które oferuje na sprzedaż nasz dział nieruchomości.

- Tak jest - powiedziałem, starając się ukryć swój kanadyjski akcent, i wręczyłem mu jedną z lipnych wizytówek, mających uwiarygodnić fikcyjną tożsamość Waltera Scobiego z firmy księgowej Scobie, Black i MacGregor w Edynburgu. - Muszę jednak nadmienić, że zakup będzie dokonany nie przez nas, ale przez jednego z naszych klientów, który przenosi swoją firmę na zachód. W tej chwili nie mogę jeszcze wchodzić w szczegóły, w każdym razie być może nasz klient będzie też potrzebował pomieszczeń przemysłowych w okolicach Glasgow.

- Rozumiem. - Brodie uśmiechnął się szeroko. - A którą nieruchomością jest pan zainteresowany?

- Domem w Bearsden. Zdaje się, że nazywa się Dom Ardbuach.

- A, tak. Tak, oczywiście. Proszę dać mi chwilę... - Przewertował jakieś akta i wręczył

mi kartkę maszynopisu z załączonym zdjęciem. Był to faktycznie dom Andrewsów. -

Właściwie... - powiedział w zamyśleniu, lecz równie głośno, jak poprzednio - to ciekawy zbieg okoliczności, że pana klient jest też zainteresowany kupnem pomieszczeń przemysłowych, bo nasza klientka sprzedająca Dom Ardbrauch ma zamiar wystawić też na sprzedaż pokaźny zespół takich pomieszczeń: lokale biurowe w mieście i magazyny portowe.

Czy pana klient szukałby właśnie czegoś takiego? A może chodziłoby raczej o produkcję... w takim wypadku mamy...

Podniosłem dłonie.

- Obawiam się, że obecnie nie mogę jeszcze nic na ten temat wyjawić, panie Brodie.

Powiem tylko, że nazwisko mojego klienta z pewnością obito się panu o uszy...

Brodie rozpromienił się, wyobrażając sobie zapewne, że reprezentuję jakiegoś edynburskiego magnata finansowego. Pewnie zareagowałby zupełnie inaczej, gdyby wiedział, kim naprawdę jest mój klient. Nawet tutaj, w tym wygodnym, acz dusznym mateczniku szkockiego establishmentu, wzmianka o Williem Sneddonie wywołałoby małe trzęsienie ziemi. Brodie rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

- Rozumiem - powiedział głośno.

Zapoznałem się ze szczegółami oferty sprzedaży.

- Panie Brodie, jak pan zapewne się domyśla, jestem na bieżąco z cenami nieruchomości w całym rejonie Pasa Centralnego³⁷, nie tylko w Edynburgu. Zwróciło moją uwagę, że Dom Ardbrauch wystawiony jest na sprzedaż po bardzo rozsądnej cenie. Podana tu wysokość ceny minimalnej wydaje mi się wręcz znacząco niedoszacowana... bo spodziewałbym się ceny co najmniej o tysiąc wyższej. Będziemy przeprowadzać dokładną inspekcję nieruchomości, więc nikomu nie pomoże zatajenie jakichś ewentualnych problemów... - Szczeka zaczęła mnie już boleć od plecienia tych wielosylabowych bzdur.

- Ależ skąd - zaniepokoił się Brodie. Zaskoczyło mnie, że nie powiedział „uchowaj Boże”. - Zapewniam pana, że nieruchomość nie ma żadnych mankamentów. Ustalono niższą cenę wyjściową, ponieważ mojej klientce zależy na tym, żeby zainteresować jak najszersze grono potencjalnych kupców.

³⁷ Ang. *Central Belt* - rejon Szkocji o największym zaludnieniu, położony między Glasgow a Edynburgiem.

Uśmiechnąłem się.

- Można? - spytałem i wyciągnąłem swoją srebrną papierośnicę, częstując Brodiego.

Podąłem mu ogień. - Będę z panem szczery, panie Brodie. Podejrzewam, że pana klientce z jakiegoś

powodu zależy na szybkiej sprzedaży. Być może, w zależności od wyników inspekcji, będziemy mogli pójść na rękę i zaakceptować cenę wyjściową lub zbliżoną. Muszę jednak wiedzieć, czy faktycznie moje przypuszczenia są słuszne.

Nieźle mi szło. Tak się wczułem w rolę, że zaczynałem wręcz sam wierzyć w to, że jestem edynburskim księgowym. Brodie przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem. Nad czymś się zastanawiał. A może po prostu liczył w myślach owce. W końcu powiedział:

- Moja klientka porządkuje sprawy majątkowe po zmarłym niedawno małżonku. To dla niej trudny okres i bardzo jej zależy, aby jak najszybciej mieć to już wszystko za sobą.

- Rozumiem. - Odchyliłem do tyłu głowę i wydmuchnąłem smugę dymu w kierunku sufitu. - W takim razie sądzę, że moglibyśmy ubić jakiś interes. Czy można by porozmawiać z pana klientką?

- Obawiam się, że nie - odparł Brodie przepaszającym tonem. - Pani Andrews jest za granicą.

- Rozumiem... - rzekłem tonem sugerującym, że jest to pewien problem. Nie zareagował, ale wyraźnie obawiał się, że się rozmyślę, więc chyba rzeczywiście nie wiedział, gdzie ona jest. Nie śpieszyłem się z przerwaniem milczenia, które zapadło. Wreszcie powiedziałem:

- Mój klient szuka też domu dla swojego dyrektora naczelnego. Dyrektor miał na oku pewną oferowaną przez was nieruchomość przy Dowanside. Ciekaw jestem, czy jest jeszcze na sprzedaż. - Wyjąłem z kieszeni kartkę papieru z adresem dawnego burdelu i podałem ją Brodiemu.

- A, tak... - powiedział Brodie, podnosząc brew, co było nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę, że była gęsta i kudłata jak owcze runo. - Niestety została już sprzedana.

- A kto był sprzedającym? - spytałem. - Dyrektor naczelny właśnie dlatego ją sobie upatrzył: miał wrażenie, że zna właścicieli.

- Pani McGahern - odparł Brodie. Neandertalska przyłbica jego ciężkiego ayrshirowskiego czoła zsunęła mu się podejrzliwie na oczy. Domyślałem się dlaczego.

Pewnie dał mu do myślenia wyjątkowy zbieg okoliczności, że pytam akurat o te dwie nieruchomości: jedną należącą do Lillian Andrews, a drugą do pani McGahern, wdowy wojennej. Która, tak się akurat składało, była siostrą pani Andrews. Brodie rzucił jeszcze raz okiem spod swojej przyłbicy na moją wizytówkę. Wstałem z krzesła.

- No cóż, dziękuję panu, panie Brodie - powiedziałem i wymieniliśmy uścisk dłoni. -

Sądzę, że moglibyśmy się dogadać co do Domu Ardbrauch.

Kudłate brwi uniosły się nieco i Brodie się uśmiechnął. Obiecałem, że będę w kontakcie i wyszedłem.

*

Zadzwońnię do Sneddon z budki telefonicznej przy Great Western i przekazałem mu najnowsze wiadomości. Nie wydawał się szczególnie uradowany tym, że nadal ciągnę sprawę McGahernów, mimo tego, co miałem mu do powiedzenia o Arthurze Parksie, o Margot - siostrze Lillian Andrews i o wielkim Holendrze.

- Dowiedz się tylko, kto zabił Parky'ego - powiedział. - Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

- Niech pan posłucha, panie Sneddon: naprawdę wydaje mi się, że mamy do czynienia z czymś znacznie poważniejszym. Wydaje mi się nawet, że mogłoby to stanowić zagrożenie dla pana i pozostałych dwóch Królów.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś chce przejąć kontrolę nad naszymi interesami?

- Nie, nie wydaje mi się. Nie wydaje mi się nawet, aby byli zainteresowani samym Glasgow. Ale tu mają swoją bazę i odnoszę wrażenie, że zrobią wam tu niezłą rozpierduchę, choćby przez wzięcie policji do galopu.

- A co to ma wspólnego z Parkym?

- Tego jeszcze nie wiem, ale był w to jakoś zamieszany. I mam brzydkie przeczucie, że te skradzione mundury policyjne też mają z tym coś wspólnego. To wszystko zakrojone jest na znacznie szerszą skalę, niż nam się wydaje. Mam pewną roboczą hipotezę, którą muszę dopracować. Gdyby chciał pan rozkręcić działalność polegającą na szantażowaniu różnych nadzianych ludzi, to kogo by pan do tego zaangażował?

- Nie zajmuję się takim gównem - powiedział Sneddon. - Nie da się wtedy uniknąć wciągania w to cywilów.

- Ale gdyby jednak, to kogo by pan zaangażował?

- Właśnie w tym problem. Pewnie skonsultowałbym to z Parkym. No, niby jest ten palant Danny Dumfries. Ale ja bym mu nie ufał. Ma konszachty z Murphym.

- Ach, tak? Nie przypuszczałbym, że Dumfries zajmuje się czymś takim.

- Może nie, ale macza palce w najrozmaitszych gównianych przekrętach, od których my trzymamy się z daleka.

Jasne - pomyślałem - życie to dla ciebie pewnie nieustający ciąg dylematów moralnych.

- To musieli być cholerni twardziele - powiedział Sneddon, zmieniając temat. - Chodzi mi o to, co zrobili Parky'emu.

- Ale o co chodzi? - powiedziałem. - Z całym szacunkiem dla Parksa, ale przypuszczam, że nieco sarkazmu wystarczyłoby, żeby go rzucić na kolana.

- I tu właśnie się mylisz. Trochę o tym ostatnio myślałem. Wiesz, o tej całej sprawie z McGahernami.

Coś mogło jednak łączyć Parky'ego z McGahernem. Parky był twardy. Nie daj się zwieść tej całej pedalskiej aurze. Był równie twardy, jak każdy innych chłopak z mojej ekipy. Twardszy. Wiem, jakie miał skłonności, ale mnie to nie ruszało. Natomiast armia nie mogła zdzierżyć takich jak on - że niby deprawują innych żołnierzy i tego rodzaju pieprzone banialuki. Dlatego Parky się maskował. Udawał kogoś, kim nie był, tylko po to, żeby móc walczyć za króla i ojczyznę.

- Parks walczył na wojnie?

- Więcej. Wcześniej jakoś nie przyszło mi to do głowy. Był w siódmej dywizji pancernej. Parky był Szczurem Pustyni. Jak Tam McGahern.

Tym razem, zamiast pociągiem, pojechałem do Edynburga samochodem. Chciałem w ten sposób uniknąć podróżujących w godzinach szczytu płatnych zabójców. Przed wyjazdem zadzwoniłem, żeby się zaanonsować. Zaparkowałem atlantica przy ulicy St Bernard's Crescent i wprowadzono mnie do tego samego biura co poprzednio.

Weszła Helena i mój brzuch zareagował tak samo jak poprzednio.

- Nie widuję cię całymi latami, a tu nagle dwa razy w odstępie dwóch tygodni. -

Uśmiechnęła się i poczęstowała mnie papierosem z solidnego srebrnego pudełka. - Czy powinnam wyciągnąć z tego jakieś wnioski?

Uśmiechnąłem się.

- Nie jestem tu w interesach, jeśli o to ci chodzi, Heleno - skłamałem. - Chciałem się po prostu znowu z tobą spotkać. Może zjedlibyśmy razem kolację?

Odchyliła lekko do tyłu głowę, uniosła nieskazitelną, ciemną brew i obrzuciła mnie tym swoim nieco władczym spojrzeniem. Tak jakby taksowała mnie wzrokiem. Czasem potrafiła być wyniosła. W takich właśnie chwilach miałem największą ochotę ją zerżnąć.

- W porządku - powiedziała. - Zjemy tutaj. Na najwyższym piętrze mam mieszkanie.

Może przyjdiesz o siódmej? Z tyłu są drzwi prowadzące do kuchni. Jeśli tam zadzwonisz, zejść ci otworzyć. Nie chcę, żebyś wchodził przodem... - Nie dokończyła myśli, ale wiedziałem, o co jej chodzi: nie chciała mi przypominać, jaki prowadzi interes.

Wstałem i podniosłem kapelusz.

- No to jesteśmy umówieni. Będziemy mogli porozmawiać o dawnych czasach.

Jej uśmiech na chwilę przygasł.

- Nie... nie o dawnych czasach. Chcę myśleć tylko o przyszłości.

Pojechałem atlantikiem z powrotem do centrum i zatrzymałem się przy snobistycznym sklepie z winami na ulicy George. Facet za ladą miał nie więcej niż trzydziestkę, ale pozował

na konesera w średnim wieku. Miał na sobie parę tych groteskowych, wąskich spodni w szkocką kratę, które nazywają w Szkocji *trews*, i spoglądał na mnie wzrokiem sugerującym, że nie stać mnie na sprzedawane tu wino. Tak naprawdę był to tylko szpan. Szkoci nie byli wielkimi amatorami wina i pili raczej coś takiego, czego z powodzeniem można by użyć zamiast płynu do udrażniania rur. W Edynburgu wokół wszystkiego, co mogłoby uchodzić za jakąś bardziej ekskluzywną markę, szybko robiono szum i gość za ladą ostentacyjnie sylabizował nazwy poszczególnych win, dając jakby do

zrozumienia, że inaczej nie zrozumieję, co mówi. A ponieważ wychowałem się w Nowym Brunzwicku i dobrze władam francuszczyzną, nie mogłem sobie odmówić przyjemności, aby go trochę pognać.

Popisywałem się więc swoimi umiejętnościami językowymi, pytając o nieistniejące marki win i udając gniew, kiedy odpowiadał, że nie mają ich w sprzedaży.

Schowałem butelkę fronsaca do bagażnika i poszedłem piechotą do księgarni przy ulicy Frances. Zimny wiatr unosił kurz na ulicach i targał połami prochowców naburmuszonych przechodniów. Zatrzymałem się i podniosłem wzrok na zamek górujący nad Frances. Coś drgnęło mi w klatce piersiowej - to samo znajome uczucie niepokoju, które pojawiała się, gdy opuszczałem Glasgow, a niekiedy i wcześniej. Odwróciłem się szybko, czym przestraszyłem młodą kobietę idącą za mną z trzymającym ją za rękę kilkuletnim berbeciem. Minęła mnie, potem jeszcze kilka innych osób, nie dostrzegłem jednak tego, o czego obecności próbował przekonać mnie instynkt. Ruszyłem dalej i wszedłem do księgarni, próbując uspokoić sam siebie, że coś mi się tylko przywidziało. W dalszym ciągu nie dawało mi jednak spokoju uczucie, że jestem śledzony. I to bardzo profesjonalnie.

Zostawiłem atlantica przy ulicy Dean i poszedłem na tyły St Bernard's Crescent.

Helena musiała na mnie czekać w kuchni, bo otworzyła drzwi od razu po moim pukaniu. Tym razem była ubrana w swobodniejszy strój: sukienkę w odcieniu głębokiej czerwieni, eksponującą jej smukłe ramiona i długą szyję. Włosy opadały jej luźno na ramiona.

- Chodź na górę - powiedziała. Weszliśmy na górę wąską klatką schodową, która kiedyś najwyraźniej przeznaczona była dla służby. Najwyraźniej Helenie zależało na tym, abym nie był świadkiem procederu, jaki tu się odbywa. Tak jakbym mógł o tym zapomnieć.

Spodziewałem się poniekąd, że jedzenie weźmiemy ze sobą z kuchni, ale kiedy zaszliśmy na mansardę, stało się jasne, że jest to niezależna część mieszkalna. Osobista przestrzeń Heleny. Odizolowana od tego, co toczyło się poniżej. Zajmowane przez nią pomieszczenia musiały być pierwotnie przeznaczone dla służby, ale biorąc pod uwagę georgiańską skalę domu, i tak całość przedstawiała się dość imponująco. W głębi dostrzegłem oddzieloną koralikową zasłoną wnękę, w której coś bulgotało na kuchence gazowej, wypełniając pokój intensywnym, smakowitym aromatem.

- Brakuje mi tu jedynie pianina. Jedno stoi w bawialni, ale rzadko mam okazję na nim grać. - Wręczyłem jej książkę, którą dla niej kupiłem po południu na ulicy Frances: *Drobniaki w fontannie* Johna Secundariego. Wzięła też ode mnie wino i napełniła nim dwa kieliszki.

Kiedy kończyła gotować, ja wyglądałem przez okno. Dach okalała kamienna kolumnada, a przede mną, ponad drzewami rosnącymi przy łuku biegnącej w dole ulicy, rozpościerało się miasto. Pod niebem oprószonym delikatną czerwienią zachodzącego słońca stał niemy i szary Edynburg. Rozmyślałem nad tym, że wszystko to już kiedyś przeżywałem: z innego mieszkania oglądałem widok innego miasta, Helena gotowała i gawędziliśmy oraz śmialiśmy się, zwodząc się nawzajem nadziejami na przyszłość. Z moich doświadczeń wynikało, że przyszłość przypomina wycieczkę nad morze do Largs³⁸: zapowiada się, że będzie wspaniale, ale kiedy się już tam przyjeżdża, okazuje się, że jest to nadal ta sama gówniana rzeczywistość.

Poczułem nagle znużenie i chęć, aby stąd uciec. Uśmiechnąłem się jednak najradośniej, jak potrafiłem, kiedy Helena wyłoniła się z dwoma talerzami pełnymi gulaszu.

- Tu prawie nie można znaleźć jakichś w miarę przyzwoitych produktów -

powiedziała. - Nie wiem, co Brytyjczycy mają przeciwko jedzeniu, które jakoś smakuje.

Którego chciałoby się spróbować. - Roześmiała się, ukazując nieco tej dziewczyny, jaką prawdopodobnie była przed wojną. Wydawała się zrelaksowana i zauważyłem, że bardziej wtedy słyhać ślady jej cudzoziemskiego akcentu. Było w niej teraz mniej tej Heleny, z którą rozmawiałem dwa tygodnie temu w biurze na parterze. Tak jakby zdjęła z siebie oficjalny strój, noszony tylko podczas załatwiania interesów.

Gulasz był przepyszny. Jak zwykle zresztą. Wypiliśmy przyniesioną przeze mnie butelkę wina, a potem drugą, którą miała w domu. Pogadaliśmy jeszcze trochę, pośmialiśmy się, po czym przypadliśmy do siebie z przerażającą wręcz zachłannością. Drapała mnie i gryzła, wpatrując się we mnie oszalałym wzrokiem z czymś graniczącym z nienawiścią.

Później leżeliśmy nadzy na dywanie, dopijając resztki wina i pałac.

- Dlaczego nie powiesz mi, z jakiego naprawdę powodu tu jesteś? - spytała głosem, który znowu zabrzmiał zimno i surowo.

- Przyjechałem tu po to, żeby się z tobą zobaczyć, Heleno - odparłem i niemal sam w to uwierzyłem. - Odkąd cię ujrzałem dwa tygodnie temu, nie mogłem przestać o tobie myśleć.

O nas. - Przynajmniej tyle było prawdą.

- Nie ma żadnych nas - powiedziała nieco cieplejszym tonem. Odwróciła się na boku w moim kierunku i spojrzeliśmy sobie w oczy. - Nigdy nie było żadnych nas. Więc czemu nie oszczędzisz nam obojgu czasu i nie przejdziesz do tego, czego naprawdę chcesz? Chyba że właśnie to dostałeś.

- Nie bądź taka, Heleno. To do ciebie niepodobne.

38 Largs - nadmorska miejscowość wypoczynkowa, położona ok. 50 km od Glasgow.

- Co? Że jestem zgorzkniała i cyniczna? - Zaśmiała się i położyła z powrotem na plecach. Patrzyła w sufit i paliła, a ja podziwiałem jej pięknie zarysowany profil. - Oboje jesteśmy ulepieni z tej samej parszywej gliny, Lennox. Więc przestań gadać bzdury i powiedz mi, czego chcesz.

- Okej, faktycznie chciałem cię o coś zapytać, ale naprawdę przyjechałem tu po to, żeby się z tobą zobaczyć. Żeby z tobą być. - Usiadłem i zaciągnąłem się głęboko. - Słuchaj, Heleno, ktoś... ktoś z moich znajomych mówił mi niedawno o chęci wyjazdu, o rozpoczęciu wszystkiego od nowa. Czemu my tego nie zrobimy?

Helena odwróciła się do mnie. Jedyne światło padało od strony żarzącego się ognia i jej ciało otaczała czerwonożłota poświata. Gdy wreszcie się odezwała, ton głosu miała niski.

- Przestań. Już to przerabialiśmy.

- Myliliśmy się? Dlaczego miałyby to być niemożliwe? - Zdałem sobie sprawę, że mówię serio. - Moi rodzice mają pieniądze. Ja mam nieco oszczędności. Ty też musiałaś trochę odłożyć. Kiedy tu byłem ostatnio, sama mówiłaś, że marzysz o sprzedaniu interesu i rozpoczęciu nowego życia. Moglibyśmy pojechać do Kanady. Uciec daleko od tego wszystkiego, co okazało się w naszym życiu pomyłką.

Helena wstała i nasunęła na siebie z powrotem sukienkę. Jej ton znowu był lodowaty.

- Główną pomyłką w naszym życiu jesteśmy my sami. Już ci mówiłam, Lennox, że oboje jesteśmy zepsuci. O wszystko obwiniamy to, co nam się w życiu przytrafiło, ale prawda jest taka, że to już od samego początku w nas tkwiło. Nieco zakrętów historii wydobyło to tylko na powierzchnię. Zapomnij o tym, o czym wcześniej mówiłam... czasem gadam od rzeczy. Żeby nie zwariować. Więc czemu mi po prostu nie powiesz, czego tak naprawdę chcesz?

Bywa tak, że człowiek czuje się bardziej nagi od innych. Wstałem i ubrałem się, zakłopotany wzrokiem, którym mnie mierzyła.

- Arthur Parks nie żyje.

- Wiem.

- Mam się dowiedzieć, kto go zabił.

- I co to ma wspólnego ze mną? - Na zewnątrz było zupełnie ciemno i już tylko dogasający ogień oświetlał jej twarz. Wyczułem jednak, że jej rysy stwardniały.

- W porządku, Heleno, powiem ci wszystko, co o tym wiem i czego jeszcze nie mówiłem swojemu klientowi. Z tego zorientujesz się, dlaczego wydaje mi się, że to ma coś wspólnego z tobą. Arthur Parks został zamordowany przez kogoś, kto był też zamieszany w to, co spotkało Tama McGaherna, tego elegancko ubranego twardziela, którego widziałaś z Sally Blane. Oto jak to wszystko widzę albo raczej czego się domyślałem... Tam McGahern widzi, że nie jest w stanie rozszerzyć swojego małego imperium poza granice Glasgow. Trzej Królowie mają go na oku i tylko czekają, żeby zrobił jakiś fałszywy ruch. Może to prawda, że Tam McGahern jest psychopatą, ale jest też bardziej przebiegły od wszystkich Trzech Królów razem wziętych. Orientuje się też, że poza Glasgow, w wielkim, szerokim świecie, jest wiele sposobności, które można wykorzystać. Opracowuje więc pewien plan... i teraz zaczyna się robić nieco mgliście, bo nie mam stuprocentowej pewności, na czym ten plan polegał. W

każdym razie ma coś wspólnego z Bliskim Wschodem. Tam decyduje się więc złapać na haczyk kilka grubych ryb. Nadażasz na razie?

- Mów dalej. - Twarz Heleny na chwilę rozświetlił ogień kolejnego zapalnego papierosa.

- No więc Tam wpada na pomysł aranżowania miodowych pułapek i kompletuje zespół luksusowych lasek. Nie jakichś pospolitych dziewczyn, tylko takich naprawdę dobrze wyglądających, z odrobiną

klasy. Instaluje je w lokalu na West Endzie, ale przypuszczalnie niektórzy z uczęszczających tam klientów nie wiedzą nawet, że te dziewczyny są kurwami, a lokal jest po prostu burdelem. Tam był kiedyś Pustynnym Szczurem i członkiem Gedeona, więc ma interesującą sieć znajomych, do których należał, jak sądzę, Arthur Parks. Tam proponuje Parksowi udział w zyskach w zamian za pomoc w zorganizowaniu interesu, czyli przekierowaniu swoich najlepszych klientów do lokalu na West Endzie. Jak już mówiłem, wydaje mi się, że niektórych absztyfikantów dziewczyny sprowadzają tam już z własnej inicjatywy. Z początku wydawało mi się, że chodzi w tym wszystkim o podstęp polegający na szantażu na tle seksualnym. Ale oni zbyt starannie dobierają ofiary. To cała lista nazwisk, Heleno. Lista osób, których Tam McGahern potrzebuje do przeprowadzenia swojego przedsięwzięcia. Jedną z nich jest chirurg plastyczny Alexander Knox. Nie mam pojęcia, do czego on im był potrzebny. Główną ofiarą jest jednak John Andrews, biedak, który poślubia Lillian, nie zdając sobie sprawy, że tak naprawdę jest ona prostytutką i aktorką porno i nazywa się Sally Blane. Andrews wydaje się ich głównym obiektem zainteresowania, ponieważ potrzebna im jest jego firma importowa.

- Do czego?

- Tego jeszcze do końca nie rozgryzłem. Jestem natomiast przekonany, że dotyczy to jakiejś wymiany z Bliskim Wschodem. Tak czy inaczej, coś się w pewnym momencie zaczyna iść nie tak. Tama bierze na cel ktoś, komu nie podoba się jego duch przedsiębiorczości. Wtedy Tam pozoruje własną śmierć, zabijając brata bliźniaka. Nie przekonuje to jednak jego prześladowców, więc wykańczają do kompletu drugiego z braci.

Tam schodzi ze sceny bez rozgłosu jako swój brat bliźniak. Sally Blane, czyli obecnie już Lillian Andrews, czuwa jednak nad dalszą realizacją całego planu. Jego częścią jest skierowanie podejrzeń o zabójstwo drugiego McGaherna na mnie, a potem wrobienie mnie już na amen przy okazji zabójstwa Parksa.

- Ale to nie ma sensu - powiedziała Helena. Nadal nie zapalała światła.

- Może doszło między nimi do jakichś niesnasek. A może pozbycie się Parksa, tak samo jak pozbycie się Frankiego, było od samego początku częścią całego planu.

- Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną, Lennox.

- Parks nie był jedyną osobą dostarczającą nazwisk i pomagającą zorganizować ten interes na West Endzie. Po prostu tego za bardzo nie czuł. Wdałem się kiedyś w rozmowę z jednym z niegdysiejszych fagasów McGaherna, zerem o imieniu Bobby, który powiedział mi, że McGahern miał bzika na punkcie kobiety, która prowadziła mu ten interes, niejakej Molly.

Z początku myślałem, że chodzi o Lillian, ale potem dobiegły mnie słuchy o jakiejś cudzoziemce.

- O mnie.

- Tego właśnie nie wiem. Na Boga, mam nadzieję, że nie, Heleno. Bo jeśli to ty, to wpakowałaś się w poważne kłopoty. Kimkolwiek są zabójcy Tama, to zawodowcy. I raczej nie chodzi o zwykłych

gangsterów.

- Zdaje się, że nie bardzo wiesz, z czym masz do czynienia, Lennox. Są pewne sprawy, których nie rozumiesz. I nigdy nie zrozumiesz.

- Chcesz powiedzieć, że nie masz z tym nic wspólnego?

- Chcę powiedzieć, że nie wiesz aż tyle, ile ci się wydaje. O mnie. O czymkolwiek.

- No to mnie oświeć.

- Chyba powinieneś już iść. - Wstała i włączyła lampę stołową. Światło na chwilę mnie oślepiło. Potem zobaczyłem jej twarz, a w niej coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Była blada, smutna i ściągnięta. A jednocześnie dostrzegłem w niej jakąś twardość i zdecydowanie. Podała mi kapelusz.

- Myśl, co chcesz, Lennox, ale to nie chodzi o mnie. Mówiłam ci już poprzednim razem, że tego bandziorkowatego faceta Sally z Glasgow widziałam tylko raz. Nie daj się zwieść dzisiejszym wieczorem: zazwyczaj jestem wybredna, jeśli chodzi o to, z kim się pieprzę.

*

Następnego ranka obudziłem się w dość podłym nastroju. Poszedłem do 'Phersona na strzyżenie i golenie i umówiłem się z Pedikiurkiem, żeby tam się ze mną spotkał. Zanim wyszedłem do 'Phersona, zadzwoniłem do Młota Murphy'ego. Potrzebowałem jego zgody na to, co miałem zamiar zrobić.

- Co robimy? - spytał radośnie Pedikiurek, który testował zawieszenie mojego atlantica, gramoląc się na fotel obok mnie. Odwzajemniłem uśmiech, starając się nie myśleć o tym, jak łatwo by mu przyszło równie radośnie zmniejszyć mi numer buta za pomocą swoich nożyc do prętów.

- Robimy Danny'ego Dumfriesa.

- A czego pan od niego, kurwa, chce? To jedna z małpek Murphy'ego.

- Chcę z nim porozmawiać. A ściśle rzecz biorąc, chcę, żeby on porozmawiał ze mną.

I chcę, żebyś nam ułatwił tę rozmowę. Nie martw się, uzgodniłem to z Murphym.

- Okej. Potrzebuję tylko minutki. - Pedikiurek wysiadł z samochodu, poszedł do swojego sunbeama i wziął jakieś rzeczy z bagażnika. Wsiadł z powrotem do atlantica, jeszcze bardziej niezadarnie. Widać było, że w połach prochowca ukrył coś długiego i solidnego.

Nieoczekiwany widok wartego z sześćset funtów, połyskliwego złotego jowetta javelina, stojącego przed ponurą fasadą klubu świadczył o tym, że w środku zastaniemy Dumfriesa. Oficjalnie był to zarządzany przez komitet klub pracowniczy, co znaczyło, że policja mogła się tu zjawiać tylko na zaproszenie. To z kolei znaczyło, że ustawowe godziny sprzedaży alkoholu były tu pojęciem praktycznie nieznanym.

Realia były takie, że klub Dumfriesa był czymś pośrednim między całodobową speluną a burdelem. W głębi znajdowało się kilka pokoi, które dziewczyny z branży mogły wynajmować na godziny. Biorąc pod uwagę, jak długo trwał seks w wykonaniu Szkotów, w takiej godzinie upychało się pokaźną liczbę klientów.

Po wejściu do klubu od razu zanurzyliśmy się w ponury półmrok. W nie wietrzonym pomieszczeniu kłębił się dym papierosowy i unosił odór taniej whisky i potu mężczyzn, zaangażowanych w wyczerpany mozół całodobowego pijaństwa.

Było mroczno i cicho. Kiedy moje oczy oswoiły się z półmrokiem, zobaczyłem Dumfriesa, stojącego przy barze w towarzystwie dwóch typów będących przypuszczalnie jego pracownikami. W głębi stał nieużywany stół do snookera, a przy rozrzuconych po sali stolikach siedziało pięciu albo sześciu zaprawionych w bojach zawodników, skupionych wyłącznie na stojących przed nimi szklankach.

Danny Dumfries był niewysokim, ciemnowłosym, przystojnym mężczyzną pod czterdziestkę, ubranym nienagannie i gustownie. Kluby Dumfriesa pozostawały generalnie w sferze wpływów Młota Murphy'ego, choć Murphy pozwalał Dumfriesowi na nieco więcej niezależności niż swoim pozostałym „kontrahentom”. Gdyby Dumfries całkowicie podlegał

Murphy'emu i w związku z tym korzystał też w pełni z jego ochrony, nie mógłbym przyprowadzić ze sobą do jego klubu Pedikiurka. W istniejącym układzie, aby wykręcić taki numer, wystarczyło jednak wcześniej uzyskać zgodę Murphy'ego.

Kiedy weszliśmy, na twarzy Dumfriesa pojawił się uśmiech wyrażający nie tyle powitanie, ile rozbawienie. To, że przyprowadziłem ze sobą jednego z goryli Sneddona, mogło zostać odebrane jako prowokacja, natomiast szyderczy, arogancki uśmiech Dumfriesa świadczył o tym, że czuł się on chroniony. No, ale nie mógł wiedzieć o mojej rozmowie telefonicznej z Murphym.

- Cóż to, Lennox - powiedział drwiąco. - Wyprowadzasz zwierzątko na spacer?

- Możemy porozmawiać? - spytałem, ignorując fakt, że dwóch goryli stanęło po bokach.

- To wolny kraj.

- Wolałbym gdzieś na osobności.

- A mnie wygodniej tutaj.

- To poważna sprawa, Danny. I jest równie istotna dla pana Murphy'ego, jak dla pana Sneddona. Potrzebne mi są tylko pewne informacje, ale musimy porozmawiać prywatnie.

- Pokaż panom, gdzie jest wyjście - rzucił Dumfries zblazowanym tonem do jednego ze swoich wykidajłów.

Pedikiurek przesunął mnie na bok równie łatwo, jakby odsuwał zasłonę. Zbliżył twarz do twarzy Dumfriesa, a spod prochowca wyjął nożyce do prętów i z trzaskiem położył je na kontuarze. Kilka szklanek potłukło się w drobny mak. Nagle ochroniarze jakby stracili pewność siebie.

- Powiedz swoim jebanym małpiszonom, żeby się odpieprzyli, Dumfries, kutasie jeden. A jak, kurwa, nie, to zabiję jednego z nich, żebyś oprzytomniał. Potem drugiemu wepchnę w dupę twoje pieprzone palce od stóp i zajmę się twoimi grabami, głupia cipo.

Przemknęła mi myśl, że gdyby Dag Hammarskjöld, nominowany niedawno na stanowisko sekretarza generalnego, po rozpoczęciu urzędowania wykazał się podobnym zmysłem dyplomatycznym, ONZ mogłaby w jeden dzień doprowadzić do zakończenia konfliktu koreańskiego.

Jeden z goryli ruszył na Pedikiurka, który machnął na odlew nożycami i wyrznął go w skroń. Człowiek Dumfriesa padł jak kłoda, a drugi rzucił się niezdarnie do przodu. Pedikiurek odwrócił się w jego kierunku i walnął go z byka w twarz, posyłając na podłogę, i kopniakiem pozbawił przytomności.

- Kurwa, spokojnie - powiedział Dumfries, cofając się.

Pedikiurek chwycił go za gors kosztownej koszuli i wymierzył mu dwa mocne policzki.

- Zamknij się.

- Pedikiurku... - wtrąciłem się. - My nie chcemy, żeby się zamknął, tylko żeby nam powiedział, co wie.

- O, przepraszam - odparł Pedikiurek ze skruchą i wymierzył Dumfriesowi jeszcze dwa policzki. - Powiedz nam, co wiesz, kurwa.

- Ale o czym?! - wrzasnął Dumfries. Z nosa pociekła mu strużka krwi.

- Pedikiurku, daj facetowi szansę. On nie wie, czego od niego chcemy. - Następnie zwróciłem się do Dumfriesa: - Ale dam ci wskazówkę albo trzy. Szantaż. Tam McGahern.

Łapanie grubych ryb na cipki.

- Nie wiem, o czym mówisz!

Pedikiurek znowu się zamierzył. Dałem mu znak, żeby odpuścić.

- Zaczniemy jeszcze raz. Arthur Parks i Tam McGahern. Co ich łączy?

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć? - Dumfries był wystraszony nie na żarty.

Rozumiałem go. Sam byłem wystraszony podczas mojej ostatniej pogawędki ze Sneddonem, kiedy Pedikiurek czaił się gdzieś w pobliżu. Tu było inaczej o tyle, że nie miałem zamiaru pozwolić Pedikiurkowi na oddanie się swojemu małemu hobby. Sama groźba powinna wystarczyć.

Nie czułem się komfortowo z tym, jak sprawy się potoczyły. Kiedy to wszystko się przewali, będę musiał przecież dalej w tym mieście funkcjonować. Na razie działałem tak, jakbym był jednym goryli Sneddona.

- Mam szczerą nadzieję, Danny, że nie robisz mnie w konia. Chodzi o kurewsko poważną sprawę. Jak już się pewnie domyśliłeś, w tym wypadku ochrona Murphy'ego nie obowiązuje. A jeśli coś ukrywasz, to będziesz miał na karku wszystkich Trzech Królów. -

Odwrociłem się do Pedikiurka. - Chwila przerwy. Miej oko na tych dwóch. My z Dannym utniemy sobie pogawędkę. Gdzie masz biuro?

Dumfries głową pokazał w głąb klubu. Zaprowadził mnie do obskurnego biura i zapalił światło. Na biurku widać było porozrzucane papiery i przepelnioną popielniczkę.

Dumfries nadal wyglądał na wystraszonego.

- Uspokój się, Danny, do cholery. Siadaj. Potrzebuję tylko pewnych informacji.

Przepraszam za ten entuzjazm Pedikiurka, ale kazano mi zabrać go ze sobą. Nic ci nie jest?

- Jakby cię to, kurwa, coś obchodziło. - Opadł na swój fotel za biurkiem. Ja przysiadłem na brzegu biurka.

- Tak jak mówiłem, Danny, sprawa jest prosta. Tama McGaherna rozwalili, bo nadepnął na niewłaściwy odcisk. Czyj dokładnie, tego jeszcze nie wiem. Ale w grę wchodził szantaż.

- Nie mam z tym nic wspólnego. - Dumfries pociągnął nosem i otarł krew chusteczką.

Poczęstowałem go papierosem, który zapalił ciężką złotą zapalniczką. Ręce mu drżały.

- Słuchaj, Danny. Widziałem, co spotkało Arthura Parksa. I Frankiego McGaherna. Ci goście, którzy ich załatwili, dość umiejętnie posługują się łyżką do opon, poza tym lubią najpierw podręczyć swoje ofiary. Naprawdę podręczyć. Jeśli jesteś w to zamieszany, to twój jedyny ratunek w tym, żeby zapewnić sobie ochronę wszystkich Trzech Królów. Druga sprawa to taka, że jeśli nie dam Sneddonowi tego, czego chce, to Pedikiurek obu nam zafunduje zabieg kosmetyczny. Więc powiedz mi prawdę i nie ukrywaj niczego.

- Przysięgam, że niczego nie ukrywam - powiedział. Wierzyłem mu.

- Okej. Ale trudno będzie o tym przekonać mojego wyrośniętego kompana. Więc lepiej wyteż mózgownicę i wyduś kilka nazwisk, którymi będę mógł się wykazać. Gdybyś chciał zacząć szantażować klientów, to kim byś się do tego posłużył?

Dumfries zapatrzył się na chwilę w ścianę, paląc nerwowo.

- Ale co twoim zdaniem oni kombinowali? - spytał w końcu. - Szantażowali klientów zdjęciami robionymi podczas seksu?

- Chyba tak - odparłem.

- Jest w mieście kilku cwaniaków, którzy potrafią się posługiwać skrzynkowymi kodakami. Ale gdybym to ja miał się czymś takim zająć, to zwróciłbym się do Ronniego Smailsa. Zajmuje się głównie pstrykaniem świńskich zdjęć, ale podobno jeśli chce się kogoś zrobić, to najlepiej z nim właśnie rozmawiać.

- Czy on pracuje dla któregoś z Trzech Królów?

- Nee. Facet za głęboko siedzi w rynsztoku, żeby mieli sobie nim zawracać głowę.

Wierz mi, Lennox, po pięciu minutach rozmowy z Ronniem Smailsem ma się ochotę wziąć prysznic. To tandetny pornograf i w ogóle nędzna kreatura.

Pokiwałem głową, choć pogardliwe opinie Danny'ego Dumfriesa sprawiły na mnie dość groteskowe wrażenie, biorąc pod uwagę obskurny charakter lokalu, który sam prowadził.

- Gdzie mogę znaleźć Smailsa? - spytałem.

- Ma atelier w Cowcaddens. Oficjalnie zajmuje się robieniem zdjęć portretowych, dziecięcych - tego rodzaju działalnością. Nie wiem, czy właśnie on jest tym, kogo szukasz, w każdym razie do niego bym uderzył. - Dumfries zapisał adres i wręczył mi go.

- Wpadnę do niego. Nic ci nie jest?

Dumfries pokręcił głową, ale w oczach pojawił mu się nienawistny błysk.

- Słuchaj, Danny, przykro mi z powodu tych rękoczynów, ale nie powinieneś być

uruchamiać swoich ludzi. Nie panuję nad Pedikiurkiem. Pogadam ze Sneddonem i Murphym.

Może jakoś ci to wynagrodzą. Okej?

Dumfries przytaknął.

- Tylko nigdy tu już nie przychodź, Lennox.

XXVII

Uznałem, że poradzę sobie z Ronniem Smailsem bez udziału Pedikiurka, któremu po energicznych działaniach w klubie Dumfriesa dałem wolne popołudnie. Najpierw poszedłem do siebie, zadzwoniłem do kumpla w porcie nad Clyde i umówiłem się z nim w barze Highlander na wieczorną pogawędkę przy piwie.

Potem pojechałem do Cowcaddens i odnalazłem lokal Smailsa. Była to dwupokojowa pracownia na parterze osmalonej sadzą czynszówki. W rogu zapuszczonego okna, w sąsiedztwie miejsca wiecznego spoczynku kilku much, widniał wydrukowany wykaz cen za zdjęcia rodzinne i ślubne. Tuż obok, na pożółkłym zdjęciu para nowożeńców szczerzyła się w szczerbatym uśmiechu. Panna młoda górowała o głowę nad panem młodym, który albo pożyczył swój ciemny garnitur od kogoś jeszcze niższego, albo preferował solidną wentylację wokół kostek.

Próbowałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte i nikt nie odpowiadał na moje pukanie. Smails był gdzieś w terenie, prawdopodobnie asystując Richardowi Avedonowi podczas sesji zdjęciowej z Audrey Hepburn. Postanowiłem, że wrócę tu później.

*

Z Jimmym Fraterem poznaliśmy się przypadkiem którejś mglistej nocy w jakimś barze. Byłem wtedy w Glasgow od niedawna i obaj jeszcze cuchnęliśmy wojną. Był to jeden z tych wieczorów, kiedy z towarzyskiej rozmowy wylania się zbieżność indywidualnych losów i przygnębiające rozpoznanie podobnie złamanej duszy. Różniło nas to, że Fraterowi udało się nadać swojemu życiu jaki taki kierunek. Pracował w administracji portu nad Clyde i od czasu do czasu okazywał się cennym źródłem informacji.

Czekając na Fratera, zamówiłem dla niego kufel średniocznego, a dla siebie żytnią whisky. W przeciwieństwie do mnie Frater był statecznym facetem, na którym można było polegać. Wiedziałem, że stawi się na spotkanie punktualnie.

- Miałeś chwilę, żeby przyjrzeć się tym szyfrom, które ci przekazywałem? - spytałem, kiedy się zjawił.

- Na pewno nie pakujesz się w coś nielegalnego, Lennox?

- Nie pakuję się w nic nielegalnego - odparłem. - Oczywiście i tak bym ci coś takiego powiedział, ale w tym wypadku to akurat prawda. Co więcej, jeśli moje przypuszczenia co do tych szyfrów okażą się słuszne, to będę przekazywał te informacje policji.

- Okej - powiedział Frater, choć nie wyglądał na całkiem przekonanego. - Miałeś rację. Wszystkie te zapiski dotyczą wysyłek dokonywanych z portu przez SIC. Chodzi o trzy statki, z których każdy figuruje tam kilka razy, i związane z nimi manifesty ładunkowe.

- Co było wysyłane?

- Części do maszyn, głównie rolniczych. Dwa transporty zawierały wyposażenie do szybów naftowych. Wspólnym elementem wszystkich wysyłek było ich miejsce przeznaczenia: Akaba w Jordanii. Coś ci to pomogło?

- Tak jakby - odparłem. Prawda była taka, że pomogło mi to bardzo, bo potwierdzało moją tezę o jakichś powiązaniach z Bliskim Wschodem.

Wypiliśmy jeszcze kilka kolejek, po czym Frater usprawiedliwił się, że musi wracać do żony i dzieci. To mi pasowało, bo chciałem jeszcze tego wieczoru namierzyć Smailsa, a poza tym nic nie przygnębiało mnie bardziej niż czyjeś powodzenie i szczęście.

*

Kiedy wróciłem do atelier Ronniego Smailsa, nadal panowała w nim ciemność.

Domyślałem się, że mieszka piętro wyżej, ale tam też było ciemno. Jeszcze raz sprawdziłem drzwi wejściowe, ale były nadal zamknięte.

Przeczekałem, aż tramwaj przejedzie z turkotem ulicą, rozejrzałem się, czy nikt nie nadchodzi, i skupiłem uwagę na czterech małych szybkach w przeszklonych drzwiach wejściowych. Podłubałem w kicie mocującym jedną z nich, który zaczął mi się kruszyć w palcach. Podważając szybkę scyzorykiem, w końcu udało mi się ją wyjąć, precyzyjnie przesuwać rękę przez powstały otwór i przekręcając klamkę, otworzyć drzwi. Spuściwszy żaluzje, uznałem, że mogę zapalić światło.

Nawet jeśli Smailsa miał jakiś talent jako fotograf, nigdy nie zatrudniłbym go u siebie do sprzątania. Atelier było strasznie zapuszczone i wyglądało tak, jakby od miesięcy nikt w nim nawet nie zamiótł. Przejrzałem niektóre z szuflad i znalazłem w nich zbiór zdjęć. Były to głównie zdjęcia ślubne i portretowe, niektóre już bardzo stare. Ruch w interesie był u Smailsa mizerny.

Przeszedłem do ciemni. Na sznurku wisiało kilka odbitek. Wszystkie przedstawiały to, co zazwyczaj działo się po ceremonii ślubnej. Tak naprawdę Smailsa zajmował się właśnie tego rodzaju fotografią. Cechą wspólną wszystkich tych zdjęć było to, że przedstawiały akt seksualny między dwiema lub kilkoma osobami. Ich inna wspólna cecha polegała na tym, że z jakichś niewytłumaczalnych powodów żaden z widniejących na nich mężczyzn nie zdjął

skarpetek.

Przewertowałem stalową szafę na dokumenty, w której znalazłem więcej tego typu, mało się od siebie różniących ujęć działań ssąco-tłoczących. Były to jednak zdjęcia pozowane, a nie robione ukradkiem i nadające się do szantażu. Jeden ze znajdujących się tam zestawów wzbudził we mnie, o dziwo, nieco nostalgii. Oparty na niezwykle oryginalnej koncepcji, przedstawiał mianowicie funkcjonariusza Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej i kanadyjskiego trapera, demonstrujących młodej damie w zdekompletowanym stroju Eskimoski, na czym polega dźganie bobra. Poczulem, jak łąza kręci mi się w oku i musiałem stłumić w sobie impuls, aby pełną piersią zaintonować „O, Kanado!”³⁹.

Miałem już odłożyć te zdjęcia, gdy zdałem sobie sprawę, że Eskimoska kogoś mi przypomina. Szczerze mówiąc, wcześniej nie zwróciłem za bardzo uwagi na jej twarz, więc teraz lepiej jej się przyjrzałem. Była w gruncie rzeczy dość ładna i bez wątpienia gdzieś ją już widziałem, ale w zupełnie odmiennych okolicznościach. Schowałem do kieszeni jedno ze zdjęć, na którym było w miarę wyraźnie widać jej twarz, a resztę odłożyłem do szafki.

Przetrząsałem resztę pomieszczenia, ale nie znalazłem nic, co mogłoby jakoś kojarzyć się z szantażem. Zgasilem światło i wszedłem po schodach na piętro. Może tam znajdowała się jakaś kryjówka. Na górze też było ciemno, więc przekręciłem włącznik światła. Nic. Musiałem po omacku pójść korytarzem, aż trafiłem na jakąś stojącą lampę. Jej mdłe, żółtawe światło rozjaśniło nieco korytarz i odchodzące od niego pomieszczenia. Smails najwyraźniej miał upodobanie do nor, bo cały lokal aż lepił się od brudu i śmierdział jak kloaka. Miałem poważne wątpiwości, czy McGahern w ogóle zadawałby się z kimś takim.

Byłem w błędzie.

Znalazłem Smailsa w salonie. Tym razem była to zwykła egzekucja, bez żadnych śladów tortur. Siedział na brudnym fotelu klubowym, obok którego stał stolik z filiżanką zimnej od dawna herbaty. W palcach trzymał wypalonego papierosa, który osmalił nieczującą już niczego skórę. Na podłodze u jego stóp leżał egzemplarz czasopisma erotycznego

„Spiek”, który musiał wysunąć mu się z rąk. Najwyraźniej Smails uważnie śledził literaturę fachową w swojej branży.

Dokonałem bliższych oględzin. Wyraz jego twarzy wskazywał jednoznacznie, że został uduszony jak Arthur Parks, i to narzędziem o tej samej szerokości. W przeciwieństwie do Parksa Smails nie dysponował żadnymi informacjami, których uzyskanie wymagałoby stosowania tortur, został więc uśmiercony szybko i bezgłośnie.

Może niczego nie powiedział swoim zabójcom, mnie natomiast mówił dokładnie to, 39 Pierwsze słowa kanadyjskiej pieśni patriotycznej, która w 1980 roku stała się hymnem narodowym Kanady.

co chciałem wiedzieć: był niewysokim mężczyzną o tłustych, szpakowatych włosach, które dawno nie widziały fryzjera. Otwartymi oczami w coś się wpatrywał. Najwyraźniej miał też wrodzony defekt, a mianowicie opadała mu prawa powieka. Właśnie tak Bobby opisywał

„mikrusa z tłustymi strąkami”, którego rozmowy z Tamem McGahernem był świadkiem niedługo przed śmiercią tego ostatniego.

A więc to jednak o Smailsa mi chodziło. Teraz byłem już pewien, że to on robił

zdjęcia wykorzystywane później do szantażu. Wiedziałem jednak, że nie ma sensu prowadzić tu dalszych poszukiwań, bo zdjęcia i negatywy bez wątpienia dawno stąd zniknęły.

Parks nie żyje. Smails nie żyje. Tam McGahern spotkał się przed śmiercią jeszcze z dwoma ludźmi: grubym Holendrem i bandytą Jackiem Gillespiem. Ciekaw byłem, czy obaj jeszcze żyją.

Pamiętając o swoich doświadczeniach w lokalu Arthura Parksa, postanowiłem szybko się ulotnić, na wypadek gdyby gliny znowu były w drodze, tym razem może już bez syren i kogutów. Poświęciłem tylko nieco czasu, aby przetrzeć chusteczką te klamki i powierzchnie, których dotykałem. Moje odciski palców nie figurowały w kartotekach, ale było ich pełno w lokalu Parksa i nie chciałem, żeby stanowiły element łączący dwa miejsca zbrodni. Zgasilem wszystkie światła i wymknąłem się na ulicę.

Miałem wcześniej na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie parkować atlantica przed samym wejściem, a chodziło mi głównie o to, aby nie odstraszyć Smailsa, gdyby wrócił, a ja byłbym jeszcze w środku. Już miałem przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy przed wejściem do lokalu Smailsa zatrzymała się taksówka. Wsiadły z niej dwie kobiety. Nie widziałem ich zbyt wyraźnie, ale wyglądało na to, że obie są niczego sobie, i domyśliłem się, że to któreś z

„modelek” Smailsa. Jedna z nich podeszła do drzwi, aby zadzwonić, podczas gdy druga płaciła taksówkarzowi. Kiedy wychodziłem, zamknąłem drzwi na zatrask i naprędce zamocowałem w nich z powrotem wyjętą wcześniej szybkę. Kurewka spod drzwi krzyknęła coś do swojej towarzyszki, najwyraźniej dając jej do zrozumienia, żeby powiedziała taksówkarzowi, aby poczekał. Zadzwoiła ponownie, po czym zaczęła pukać do drzwi.

Wyglądało na to, że włożona szyba jakoś wytrzymuje to pukanie. W końcu kobieta zrezygnowała i wsiadła z powrotem do taksówki.

Pojechałem za nimi przez miasto. Zauważyłem, że nie były biednie ubrane, nie wyglądało też na to, aby przejmowały się kosztami jazdy taksówką. Ciemnowłosa dziewczyna, która pukała do drzwi Smailsa, wysiadła przy ulicy Saltmarket. Postanowiłem trzymać się taksówki. Pojechała na południe, minęła stadion Hampden i w końcu zatrzymała się pod czynszówką w dzielnicy Mount Vernon. Dziewczyna wysiadła i zapłaciła taksówkarzowi. Bingo: był to nikt inny, jak moja Eskimoska! Teraz przypomniałem sobie też, dlaczego wydała mi się znajoma. Była to kobieta, którą dwukrotnie widziałem w towarzystwie Lillian Andrews. Próbowałem nie rzucać się w oczy, ale nie było to łatwe na ulicy, na której było tak mało samochodów.

W pobliżu zatrzymał się tramwaj numer dwanaście, z którego wysiadło kilka osób.

Zaparkowałem samochód i szybko wszedłem między nie. Blondynka znikła w przejściu prowadzącym na tył kamienicy. Dotarłem tam w samą porę, aby zobaczyć, jak skręca za róg na końcu korytarza i zaczyna wchodzić po schodach. Poszedłem za nią jak najciszej i zza rogu obserwowałem, jak otwiera drzwi do swojego mieszkania. Zapamiętałem numer i wróciłem do atlantica.

Nie złożyłem jej wizyty od razu z jednego powodu: nie chciałem, aby domyśliła się, że jechałem za nią od Smailsa. Ktoś go przecież w ciągu najbliższych dni znajdzie i policja z grubsza określi czas zgonu, który mniej więcej zbiegał się z moją obecnością w mieszkaniu Smailsa. A glosowska policja miała problem z koncepcją zbieżności czasowej zdarzeń.

W drodze powrotnej znowu przejechałem obok lokalu Smailsa. Na zewnątrz nie stały żadne wozy policyjne, a w oknach nadal panowała ciemność. Próbowałem dodzwonić się do Williego Sneddona, żeby zdać mu relację, ale go nie zastałem. Wróciłem więc na kwaterę i położyłem się spać. Za

każdym razem, kiedy nadchodził sen, spychało go jednak na bok coś przemożnego, szpetnego i groźnego. Leżałem po ciemku, myśląc o Helenie, Fionie White, May Donaldson i nowych perspektywach w Kanadzie, które nigdy nie wyglądały równie kusząco. Tym razem wdepnąłem w coś nieco zbyt niebezpiecznego. Zdałem sobie wręcz sprawę, że po raz pierwszy od długiego czasu mam trochę stracha.

*

Moje złe przeczucia okazały się uzasadnione. Następnego dnia o siódmej rano rozdrażniona pani White zawołała mnie na dół do telefonu. Dzwonił Willie Sneddon.

- Lennox, nic nie mów, tylko słuchaj. Policja jest w drodze, żeby mnie aresztować i mam zamiar tu być, kiedy się zjawia. Gdzieś z godzinę temu zwinęli już Murphy'ego i Cohena. Mieli mnie zgarnąć o tej samej porze, ale nie było mnie w domu. Skurwysyny zgarnęli też większość mojej ekipy, łącznie z Pedikiurkiem i Małym. Chcę, żebyś skontaktował się z George'em Meldrumem - moim adwokatem - i powiedział mu, żeby mnie z tego wyciągnął. Nie mogę się do niego dodzwonić, a oni lada chwila tu będą. Gliny dadzą ci spokój, bo nie należysz do ekipy żadnego z nas.

- A co się, do diabła, stało?

- Nie wiem, kurwa. Złap tylko jak najszybciej Meldruma.

- Okej, ale jeśli sytuacja jest faktycznie aż tak poważna, to nie dopuszczają cię do niego.

- Zrób, co ci powiedziałem. - Odwiesił słuchawkę.

Słyszałem o Śliskim George'u Meldrumie. Przypuszczam, że jego zdjęcie wisiało na tarczach do gry w rzutki w każdej kantynie policyjnej w Glasgow. Nazywano go Śliskim George'em z kilku powodów: wymuskanego wyglądu, przesadnej elokwencji i nabrylantowanych włosów, a także faktu, że czegokolwiek się tknął, stawało się śliskie.

Zawsze gdy policja miała już jakieś solidne dowody przeciw któremuś z Trzech Królów, wymykały im się z rąk za sprawą Śliskiego George'a.

Znalazłem w książce telefonicznej numer Meldruma i zadzwoniłem do niego. Nie odbierał. Szybko się ubrałem, jeszcze raz bez powodzenia spróbowałem się z nim połączyć, po czym wskoczyłem do atlantica. Uznałem, że nie ma sensu jechać do niego do domu do Milngavie. Postanowiłem zamiast tego pojechać do swojego biura i poczekać do dziewiątej, kiedy prawdopodobnie uda mi się złapać Meldruma w jego biurze przy ulicy Wellington.

Po drodze słuchałem przez radio Serwisu Zagranicznego BBC. Jedno wydarzenie zdominowało wiadomości. Szybko zjechałem na bok i stanąłem przy krawężniku, żeby uważnie wysłuchać całej relacji. Mruknąłem „kurwa”, gdy nagle wszystkie elementy tej układanki utworzyły jedną całość. Niestety to, że utworzyły jedną całość, znaczyło, że rozpęta się teraz piekło. Stało się jasne, dlaczego przymknęli Trzech Królów. Pojechałem prosto do biura Meldruma i usiadłem na zewnątrz, aż zaczęli zjawiać się jego pracownicy. Wszedłem z nimi do środka.

Ładna recepcjonistka powitała mnie nieco lekceważąco, najwyraźniej zirytowana tym, że jakiś petent zjawił się tak wcześnie, nie dając jej czasu na przygotowanie się do pracy. Nie wpadła też w zachwyty, gdy okazało się, że nie byłem umówiony na spotkanie. Dopiero gdy powiedziałem, że reprezentuję interesy pana Williama Snedдона - a w domyśle również panów Michaela Murphy'ego i Jonathana Cohena - nagle stała się znacznie bardziej usłużna.

Siedziałem w poczekalni przez godzinę, próbując przy okazji wykombinować, na jaką jeszcze usłużność mogłaby się zdobyć recepcjonistka. Wreszcie przybył Śliski George. Był

dość wysokim, dobrze zbudowanym, łysiejącym mężczyzną, ubranym w drogi, granatowy garnitur w prążki. Zatrzymałem go, gdy przechodził przez recepcję.

- Sporo o panu słyszałem, panie Lennox - powiedział uprzejmie. - Ale nasze ścieżki nigdy się nie zeszły. Niektórzy z naszych wspólnych klientów bardzo dobrze się o panu wyrażają. Proszę... - Otworzył przede mną drzwi swojego gabinetu.

- Próbowałem dodzwonić się do pana do domu - rzuciłem, siadając.

- Niestety spędzałem noc w mieszkaniu przyjaciółki. - Nadal się uśmiechał. Był to taki rodzaj uśmiechu, który bez żadnego racjonalnego powodu miało się ochotę zgasić pięścią. -

Moja poczciwa żonka i dzieci wyjechali na kilka dni, więc skorzystałem z okazji, aby odwiedzić przyjaciółkę.

- Rozumiem. - Obaj wiedzieliśmy, że rozumiem. - Czy słyszał pan, co podawano dzisiaj w wiadomościach?

- Co takiego, panie Lennox?

- Chodzi o zbrojny napad. To był główny temat porannych wiadomości. Z pewnością będą o tym pisały następne wydania gazet. Z Królewskiego Arsenалу Zbrojeniowego w Fazakerley pod Liverpooliem jechał konwój wojskowy do koszar Redford i koszar Dreghorn.

Został zatrzymany przez funkcjonariuszy policji w punkcie kontrolnym. Tylko że nie byli to tak naprawdę funkcjonariusze policji. To był dokładnie zaplanowany napad, ale najwyraźniej nastąpiły jakieś tragiczne komplikacje, ponieważ zginęło dwóch żołnierzy, a kierowca został

ciężko pobity i jest w śpiączce. Z konwoju zabrano tonę najnowszego modelu pistoletów maszynowych.

- Rozumiem... - Uśmiech zniknął mu z twarzy. - Domyślam się, że miało to coś wspólnego z tym skradzionym wcześniej umundurowaniem.

- Wie pan o tych mundurach? - spytałem.

- Tak, wiem. Panowie Sneddon, Murphy i Cohen byli ostatnio przedmiotem nieco zbyt nachalnego zainteresowania ze strony naszej policji.

- Właśnie dlatego tu jestem. Dzwonił do mnie dziś rano Sneddon. Dochodzeniówka zabrała ich wszystkich na przesłuchanie. Sneddon chce, żeby pan pojechał na ulicę St Andrew's z kartą „wyjście z więzienia za darmo”⁴⁰.

- Obawiam się, że za darmo to nie da rady.

Uśmiechnąłem się.

- Przypuszczam, że zechce pan wydobyć stamtąd całą trójkę jak najszybciej. W końcu razem wzięci, Trzej Królowie płacą panu chyba więcej, niż wydaje pan na krawca.

- W takim razie, o ile się orientuję, jesteśmy obaj w takiej samej sytuacji.

- To prawda - odparłem. - Sugeruję więc, abyśmy obaj, każdy na swój sposób, podjęli działania na rzecz uwolnienia naszych źródeł dochodów.

Wyszliśmy razem, a po drodze Meldrum powiedział sekretarce, żeby odwołała jego wszystkie umówione na ten dzień spotkania. Ciekawe, ilu jego klientów było pod telefonem.

Że też udawało mu się tylu z nich wybronić przed wymiarem sprawiedliwości. Jego sława 40 Popularna metafora oznaczająca coś umożliwiającego wywikłanie się z niepożądanego sytuacji, nawiązująca do nazwy jednej z kart używanych w grze planszowej monopol.

zataczała coraz szersze kręgi wśród różnych szumowin i wiadomo było, że każdy korzystający z usług Śliskiego George'a Meldruma z pewnością ma coś na sumieniu.

Rozstaliśmy się na ulicy przed jego biurem. Meldrum uściskał mi dłoń i wręczył jedną ze swoich eleganckich tłoczonych wizytówek.

- Dzięki - uśmiechnąłem się - ale nie przypuszczam, abym kiedykolwiek potrzebował pana usług.

- Nigdy nic nie wiadomo; panie Lennox. Zresztą nie dlatego ją panu dałem. -

Otworzył drzwi swojego nowego bentleya R Type i mógłbym przysiąc, że z odległości dwudziestu metrów wyczułem bijący z samochodu zapach polerowanego drewna i skóry. - To ja mogę potrzebować w przyszłości pana usług. - Wsiadł do bentleya i odjechał. Wlepiłem wzrok w jego wizytówkę. Nieformalną współpracę zaproponowali mi na razie płatny morderca i najbardziej nienawiedzona postać szkockiego wymiaru sprawiedliwości. Może powinienem popracować nad zmianą swojego publicznego wizerunku.

Włożyłem wizytówkę do kieszeni. Powiedziałem Meldrumowi, że nigdy nie będę korzystał z jego usług. Prawda była jednak taka, że gdyby policja jakoś powiązała ze sobą morderstwa Parksa i Smailsa, to Śliski George mógłby się okazać właśnie tym fachowcem, którego pomoc byłaby mi potrzebna.

XXVIII

Trudno zarzucić glasgowskiej policji nadmierny dynamizm. Wyciągnięcie z aresztu Sneddon, a potem pozostałych dwóch Królów zajęło Śliskiemu George'owi pełne dwie doby. Tyle samo czasu zajęło policji znalezienie ciała Ronniego Smailsa. Jego filiżanka herbaty była już wtedy całkiem lodowata, a wszelkie tropy zupełnie zwietrzałe.

Lokalne gazety działały nieco prężniej. Zaczęły się stopniowo pojawiać szczegóły dotyczące napadu. Przeprowadzono go w Szkocji, tuż za granicą z Anglią. Pułapkę zastawiono z iście wojskową precyzją. Ze względu na charakter przewożonego trzema ciężarówkami ładunku konwój był eskortowany przez wojskowy samochód. Ładunek składał

się z fabrycznie nowych pistoletów maszynowych typu Sterling-Patchett L2A1, które miały zastąpić dotychczas używane steny. W wymianie ognia na drodze zginęli dwaj brytyjscy żołnierze, a jeden z kierowców nadal znajdował się w stanie krytycznym i nie odzyskał

przytomności. Jeden z pozostałych kierowców udzielił policji informacji na temat przebiegu napadu i dokonujących go bandytów, z których jeden został raniony przez żołnierzy, ale zdołał zbiec.

To była właśnie ta akcja, którą cały czas przygotowywał McGahern.

I chyba dość dobrze sobie wyobrażałem, co będzie działo się dalej.

Miałem w planie dwie wizyty. Obie w południowej części miasta. Najpierw jednak pojechałem na kwaterę po dwie rzeczy. Wziąłem webleya i schowałem go pod fotelem atlantica obok siebie. Pewnego sobotniego wieczoru przed kilkoma miesiącami wdałem się w dyskusję z jakimś typem na ulicy Argyle. Próbował skompensować braki charakteru i finezji, grożąc mi nożem: pięknym włoskim sprężynowcem z perłową rękojeścią. Konfrontacja zakończyła się tym, że mnie przybył jeden nóż sprężynowy z perłową rękojeścią, a jemu ubyło kilka sztuk niezbyt perłowego uzębienia. Zatrzymałem ten nóż i teraz wsunąłem go do kieszeni marynarki.

A następnie ruszyłem.

Najpierw pojechałem Paisley Road West. Była to podróż w przyszłość. Jackie Gillespie mieszkał w okolicy parku Bellahouston. Jego dom, stosunkowo nowy komunalny bliźniak, wyglądał schludnie i tchnął optymizmem. Prawdziwa przyszłość wyłaniała się jednak nad nim: pajęczna sieć rusztowań oplatała rząd wielkich, niemal wykończonych bloków mieszkalnych. Osiedle Moss Heights. To tutaj mieli zamieszkać glasgowczycy przyszłości -

wolni od przeludnionych, trapiionych chorobami czynszówek.

Wolni od wszelkiego poczucia wspólnoty.

Rzeczywistość była taka, że Glasgow rozrosło się jak wrzód i zaczęło napierać na ustanowiony jako wolny od inwestycji budowlanych Zielony Pas wokół miasta. Geniusze w radzie miejskiej uznali natomiast, że wyjściem z sytuacji mieszkaniowej, w której glasgowczycy wchodzili jeden drugiemu

na głowę, było zapewnienie im możliwości, żeby mieszkali jeden nad drugim.

Nauczony doświadczeniem płynącym z ostatnich dwóch złożonych przeze mnie wizyt na wszelki wypadek zaparkowałem w pewnym oddaleniu od domu Gillespiego. Pod moimi stopami biegł dziewiczy chodnik i w podobnie wyglądały dachy i pierwsze tynki mijanych domów. Okalające je ogródki były jeszcze kawałkami surowej, rozoranej ziemi, czekającej na pierwsze obsianie trawą. Z odległego o niecały kilometr podniebnego placu budowy niosły się echem odgłosy pracy ciężkich maszyn.

O ile się orientowałem, Jackie Gillespie nie miał żony ani dzieci, było jednak jasne, że jego nowo wybudowany komunalny bliźniak zaplanowano jako dom dla całej rodziny.

Wyglądało na to, że druga część budynku nie została jeszcze zasiedlona. Nikt nie zareagował

na moje dzwonienie do drzwi, więc sprawdziwszy, czy nie obserwują mnie jacyś sąsiedzi, zakradłem się na tyły domu. Tylne drzwi nie były zamknięte. A w zasadzie nie tyle były niezamknięte, ile zamek wyłamano. Ktoś potraktował go z buta i drewno popękało.

Stawiałem na górala w niebieskim mundurku. Tym razem przygotowałem się nieco lepiej i wyjąłem z kieszeni peleryny parę rękawiczek, które założyłem przed uchYLENIEM drzwi.

Weszło mi ostatnio w nawyk znajdowanie w tego typu sytuacjach świeżo uduszonych zwłok i kiedy w środku nie natknąłem się na witającego mnie z wybałuszonymi gałami Gillespiego, niemal doznałem zawodu. W każdym razie nie było go tu ani żywego, ani umarłego. Natomiast niezależnie od tego, czy było to dzieło gliniarzy, czy nie, ktoś gruntownie przewrócił do góry nogami cały dom.

Nie zabawiłem długo. Nawet jeśli gliniarzy jeszcze tu nie było, z pewnością wkrótce się zjawią. Potrafili w końcu kojarzyć fakty, tyle że szło im to nieco wolniej niż innym. Ja wiedziałem, że widziano Gillespiego rozmawiającego z Tamem McGahernem i że Tam McGahern planował spory skok, który umożliwiłby mu wyrwanie się na dobre z Glasgow.

Gliniarze tych faktów nie znali. Na pewno byli jednak w trakcie sprawdzania swojej listy czołowych bandytów, którzy mogliby przeprowadzić taki skok. A Jackie Gillespie znajdował

się na niej na jednym z poczesnych miejsc.

W każdym razie ten, kto przewrócił do góry nogami jego dom, doszedł do tego przede mną. A to nie bardzo pasowało do tempa działania policji.

Wróciłem do samochodu i pojechałem na południe. Po drodze zatrzymałem się przy jakiejś budce telefonicznej, żeby zadzwonić do Sneddona. Ton jego głosu był jeszcze zimniejszy i ostrzejszy niż zwykle.

- Ktoś za to zapłaci, Lennox. Drogo zapłaci. Od lat żaden gliniarz nie śmiał podnieść na mnie ręki.

- McNab?

- Pieprzony zdrajca. Przecież, do kurwy nędzy, jest podobno oranżystą. Zamiast dopieprzać się do mnie, powinien był dokopać temu jebanemu fenianinowi Murphy'emu.

- Prawdę mówiąc, panie Sneddon, chyba dokładnie to zrobił. To samo z Jonnym Cohenem.

- Możliwe. Masz jednak rację co do Cohena. Podobno nieźle zainkasował. Psiarnia uwzięła się szczególnie na niego, bo napady z bronią w rękę to jego specjalność.

Mogłem sobie to wyobrazić. Jonny Cohen był pewnie pierwszy na liście. Interesowało mnie jednak inne nazwisko.

- A czy zgarnęli Gillespiego? - spytałem.

- A skąd, kurwa, mam wiedzieć? - powiedział Sneddon przygaszonym głosem. I po chwili: - A co? Czy Gillespie jest w ekipie, która wykręciła ten numer?

- Nie wiem. Tak mi się wydaje. Niech pan posłucha, panie Sneddon, chyba udało mi się to wszystko zebrać do kupy. Jak już panu mówiłem, to może bardzo nabruździć panu, Murphy'emu i Cohenowi. Dzisiejszy dzień to tylko początek. Cała ta sprawa ma też aspekt polityczny. Czy mógłby pan zwołać zebranie? Skrzyknąć pozostałych dwóch Królów, żebym mógł przedstawić, co wiem? Żeby to rozgryźć do końca, będą potrzebne połączone siły was wszystkich.

- Czy ja wiem, Lennox. Gliny nadal lepią się do nas jak gówno do butów. Zrobię, co w mojej mocy.

- Zadzwoń za dwie godziny.

Odwiesiłem słuchawkę i ruszyłem, aby złożyć drugą wizytę tego dnia. Pojechałem do Mount Vernon i zaparkowałem za rogiem kamienicy, do której weszła Eskimoska owej nocy, kiedy Smailsowi zmniejszono numer kołnierzyka. Parter kamienicy zajmowały sklepy, a nad nim były jeszcze trzy kondygnacje zajęte przez poszczególne mieszkania. Przed przejściem prowadzącym na tyły kamienicy stał zaparkowany austin A30. We wszystkich mieszkaniach paliły się światła i domyślałem się, że Eskimoska też jest w domu. Liczyłem na to, że jest sama. Gdyby była w towarzystwie, pewnie bym sobie poradził, ale mogłoby to skomplikować sytuację. Spowolnić tempo moich działań.

Wszedłem po schodach i zapukałem do zapamiętanych drzwi. Otworzyła je ta sama dziewczyna, za którą jechałem wtedy spod lokalu Smailsa. Wyglądała na nieco niepewną siebie i nie zdjęła łańcucha z drzwi. Miała ładną, niemal piękną twarz. Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie ją widziałem z Lillian Andrews. Miała w sobie pewną klasę, tak jak Lillian, tak jak Wilma i tak jak Lena, która została odrzucona, bo jej klasa ulatniała się za każdym razem, gdy coś mówiła.

- Czego pan chce? - spytała.

- Jestem znajomym Tama - powiedziałem, starając się mówić konspiracyjnym tonem i sprawić wrażenie, że bardzo mi się śpieszy. - Tama i Sally. Mam dla ciebie wiadomość.

Wydawało mi się, że i scenariusz, i wykonanie były bez zarzutu, ale od razu stało się jasne, że źle oszacowałem swoją widownię. Usiłowała zatrzaskać drzwi, ale zdążyłem zablokować je barkiem.

Łańcuch nie puścił. Wsunąłem nogę w szparę i ponownie walnąłem barkiem w ciężkie tekowe drzwi. Tym razem łańcuch pękł i drzwi otworzyły się z trzaskiem, odrzucając dziewczynę do tyłu. Zatoczyła się na ścianę i z gardła zaczął jej się wydobywać krzyk, ale w porę go zastopowałem.

- Słuchaj, siostró - wysyczałem jej do ucha najgroźniej, jak potrafiłem, jednocześnie przyszpilając jej gardło ręką do ściany. - Wybór należy do ciebie. Możesz zacząć krzyczeć, a wtedy uduszę cię bez mrugnięcia okiem, albo możemy usiąść na kanapie i w cywilizowany sposób porozmawiać. Powinnaś jednak wbić sobie coś do głowy tu i teraz. Niezależnie od tego, czego one dotyczą, twoje konszachty z Sally Blane albo Lillian Andrews, czy jak ona naprawdę się nazywa, to już przeszłość. Teraz grasz w inną grę, która nazywa się przetrwanie.

Porozmawiamy i będę ci zadawać pytania, a potem zawiozę cię do Trzech Królów. I wierz mi, że jeśli oni przekazują swoim chłopcom laleczkę, to nie wychodzi ona z tego cało. Więc to, czy dziś wieczorem będziesz torturowana i czy zostaniesz zgwałcona i zabita, czy nie, zależy od tego, na ile uda mi się przekonać Trzech Królów, że przekazałaś mi wszystkie potrzebne informacje. Rozumiesz? - Rozluźniłem uchwyt na tyle, aby mogła zaczerpnąć powietrza i energicznie przytaknąć, po czym znowu go zacieśniłem. - Więc bez żadnych sztuczek. Okej?

Znowu przytaknęła i puściłem ją. Spojrzała na mnie błędnym wzrokiem i rozmasowała szyję. Wykręciwszy jej do tyłu ramię, siłą poprowadziłem ją do salonu i pchnąłem na fotel. Nie ma co, w niezłej wylądowałem branży. Właśnie w chwilach, kiedy tak jak teraz pomiatałem kobietami, byłem najbardziej dumny z wyboru swojej drogi życiowej.

Mieszkanie było wyposażone w drogie meble i urządzone z zaskakującym smakiem.

Pod jedną ze ścian stał stół i kilka krzeseł. Przesunąłem jedno z nich i usiadłem naprzeciwko kobiety.

- Nazywasz się Molly? - spytałem.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, mam na imię Liz. Molly to była Margot... siostra Sally. Już nie żyje.

- Uczestniczyłaś w tym przekręcie, prawda? Domyślam się, że chodziło zasadniczo o szantaż?

Liz przytaknęła.

- Nie bardzo wiem, co wymuszano potem na tych klientach, z którymi się zadawałyśmy. Robiłam tylko, co mi kazano.

- Jak to przebiegało?

- Podesyłano nam jakiegoś frajera... jakiegoś bogatego albo ważnego gościa. Czasem wiedział, że jesteśmy dziewczynami z branży, a czasem nie. Ale zawsze był żonaty. I szanowany. W pewnej chwili wpadał Tam McGahern, wrzeszcząc, złorzecząc i grożąc.

Czasem trochę gościa obijał, żeby go zmiękczyć. Bez względu na to, która z nas akurat miała dyżur,

podawał się za naszego faceta. Mówił, że zlecił detektywowi, aby nas śledził, po czym pokazywał zdjęcia. Groził, że wyśle je żonie frajera albo do gazet.

- Gdyby frajer nie zrobił dokładnie tego, czego od niego zażądał Tam.

- Tak to z grubsza wyglądało.

- A John Andrews był właśnie frajerem podsuniętym Sally Blane?

- To się już ciągnęło na długo przed tym, jak dołączyłam do ekipy. I poznałam Sally już jako Lillian Andrews. Dopiero później dowiedziałam się, że ta dziewczyna, która zginęła, była jej siostrą i że Lillian tak naprawdę ma na imię Sally.

- Więc Margot faktycznie nie żyje?

- Tak, i jej śmierć miała właśnie związek z tym, czym się zajmujemy. Tam jak zwykle odstawił wściekłego faceta Margot przed jakimś klubem, który odwiedziła ze swoim gachem.

Była z nimi też Lillian. Tam miał ze sobą zdjęcia. Zaczął wyciągać gościa z samochodu, ale ten spanikował i odjechał. Margot i Lillian były jeszcze w środku. Znaczący, w samochodzie.

Tam zaczął ścigać faceta po mieście, aż wyjechali na Paisley Road West. Facet stracił

panowanie nad kierownicą i wyrznął w most kolejowy. On i Margot zginęli na miejscu.

Lillian siedziała z tyłu. Była trochę poobijana, ale zasadniczo nic jej się nie stało. Miała tylko rozbity nos i szczękę. Myślała, że będzie już na stałe oszpecona, ale Tam znalazł jakiegoś specjała, który się tym zajął.

- Kto ci to wszystko powiedział?

- Jedną z dziewczyn. Wilma.

- Wilma Marshall?

- Tak. Pan ją zna?

- Poznałem.

Liz potarła gardło i zmarszczyła brwi.

- Mogę wziąć sobie szklanekę wody?

- W porządku, ale pójdę z tobą.

Przeszliśmy do niedużej kuchni i napełniła szklanekę wodą z kranu. Oparłem się o framugę drzwi i uśmiechnąłem się do niej. Byłem z siebie dość zadowolony. Wymieniliśmy spojrzenia i w tej samej

chwili zorientowała się, że wiem, kim naprawdę jest. Z jej oczu zniknął strach, ustępując miejsca zimnej, ciemnej nienawiści.

- Masz świetny zawód, Lennox - powiedziała.

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

- Nie przypominam sobie, żebym się przedstawiał.

- Taa, świetny zawód. Musisz się chyba ciągle oglądać za siebie.

- Czy ja wiem? - odparłem. - Chyba nie. Mam raczej skłonność do wybiegania w przyszłość. Pasuję do nowych czasów.

- Naprawdę? Może już czas, żebyś się jednak obejrzał za siebie. - Uśmiechnęła się, a w mojej głowie błysnęła tylko myśl „o, kurwa!”.

Zanim zdążyłem zareagować, coś mignęło mi przed oczami i zacisnęło się mocno na szyi. Coś przypominającego gruby skórzany pasek. Oddychanie nagle przestało być czymś oczywistym i zostałem pociągnięty do tyłu, w objęcia napastnika. Ze dwa razy przekręcił coś za moimi plecami i poczułem, jakby moja głowa i klatka piersiowa miały eksplodować - do jednej przestała dopływać krew, a do drugiej powietrze. Za chwilę miałem dołączyć do Parksa i Smailsa.

Próbowałem oderwać pasek od szyi i na oślep złapać coś za sobą, ale bez skutku. Brak tlenu uruchomił w mojej głowie piłę tarczową i zacząłem wpadać w panikę. I wtedy uaktywniły się elementy przeszkolenia wojennego. Zamiast kontynuować bezproduktywną szarpaninę, ugiąłem nogi i osunąłem się bezwładnie na podłogę. Ruch był tak szybki i niespodziewany, że udało mi się przesunąć środek ciężkości przeciwnika. Nie rozluźnił

uścisku garoty, ale zmusiło go to do stanięcia z rozsuniętymi nogami i trzymania mnie jak owcy do strzyżenia.

Sięgnąłem do kieszeni marynarki i otworzyłem sprężynowiec. Mierząc na oślep w punkt położony około trzydziestu centymetrów nad moją głową, z całej siły wymierzyłem cios. Liczyłem na to, że tam właśnie znajdują się jego jaja. Musiałem nieźle trafić, bo facet wydał straszny okrzyk, a uścisk garoty na mojej szyi nieco osłabł. Rękojeść noża miałem nadal w ręce, więc przekręciłem ją mocnym szarpnięciem, żeby zamieszać jajecznicę.

Kolejny okrzyk bólu i pogratulowałem sobie, że facet raczej nie przekazuje swoich umiejętności dusiciela następnemu pokoleniu.

Zerwałem się na nogi i odwróciłem, żeby stanąć na wprost niego. Miał około metra siedemdziesięciu, był smagły i wyglądał mi na kogoś z Bliskiego Wschodu.

Celowo obróciłem nóż podczas wyszarpywania z jego krocza. Opadł na kolana, trzymając się rękoma za genitalia, z których płynęła krew. Jego ciałem wstrząsały potężne skurcze, jakby chciał coś wycharczyć. Skurwysyn nie stanowił już żadnego zagrożenia, ale przecież usiłował mnie zabić. No i

załatwił Parksa i Smailsa.

Wymierzyłem dokładnie, chcąc mieć pewność, że kopniak wyląduje w samym środku jego twarzy i usunie kilka zębów. Byłem znowu w punkcie, w którym aż nazbyt często znajdowałem się w czasie wojny. Pojawiło się znajome mrowienie, spowolnienie czasu i uczucie całkowitej obojętności wobec człowieka, którego się właśnie zabijało. A wiedziałem, że za chwilę to właśnie zrobię. Chwyciłem go za włosy i szarpnąłem w górę jego głowę, żeby zrobić miejsce na nóż, który za chwilę miał się zanurzyć w jego tchawicy. Skurwiel sam się przekona, jak to jest walczyć o oddech.

Nie wziąłem pod uwagę jednej rzeczy, mianowicie tego, że na wojnie zazwyczaj nie stoi za nami kobieta mająca dostęp do ciężkich przyborów kuchennych. Zupełnie zapomniałem o obecności Liz. Głównie z tej racji, że rozwojowi wypadków nie towarzyszył

jej histeryczny krzyk. Już miałem dobić mojego arabskiego koleśka, kiedy w tył głowy wjechała mi rozpędzona lokomotywa.

Padłem na ziemię, ale nie straciłem przytomności. Zamachnęła się jeszcze raz i trafiła mnie jakimś żeliwnym naczyniem w skroń. Tym razem światło nieco przygasło, więc mogłem podziwiać sztuczne ognie, które rozbłysły w mojej głowie. Byłem poważnie zamroczony, ale jeszcze nie urwał mi się film i Liz wiedziała, że musi szybko się zmywać.

Usłyszałem, jak stawia na nogi swojego ciemnego towarzysza i razem wybiegają z mieszkania. Opierając się o kuchenny blat, dźwignąłem się. Głowa pękała mi z bólu jak cholera, po szyi spływała ciepła strużka krwi, a świat jeszcze nie całkiem wyprostował się na swojej osi. Spojrzałem na rzuconą na podłogę żeliwną patelnię. W sumie miałem szczęście, że nie przyszło jej do głowy, aby użyć noża. Spośród wszystkich domowych pomieszczeń glasgowczycy mordują się najczęściej w kuchni. Co prawda, zazwyczaj bierze się to z tego, jak gotują, ale i tak uważałem się za szczęściarza, że uszedłem z życiem z tego starcia.

Zmoczyłem wodą jakąś ścierkę i przyłożyłem do głowy, a następnie podjąłem próbę pościgu. Na kuchennym linoleum widniały ślady krwi prowadzące na zewnątrz, na klatkę schodową. Zbiegłem na dół, czując przy każdym kroku bolesne pulsowanie w głowie.

Pobiegłem przejściem prowadzącym na ulicę, ale już ich nie było, tak samo jak małego austina.

Zataczając się lekko, dotarłem do zaparkowanego atlantica, choć w połowie drogi musiałem przystanąć, bo chwyciły mnie torsje. Poranione gardło zapiekło od wymiocin. Ulica była akurat pusta, ale nawet gdyby ktoś się po niej plątał, to glasgowczyk trzymający się latarni i puszczający pawia na chodnik nie należał w tym mieście do widoków nadzwyczajnych. Poczulem się nieco lepiej, ale nadal miałem wrażenie, jakby ktoś w mojej głowie walił raz po raz w wielkie czyny. Dwa razy dostałem niezły wycisk i czułem, że jest ze mną kiepsko. Może nawet miałem pękniętą czaszkę. Opadłem na fotel atlantica i odczekałem chwilę, aż wirujący wokół mnie świat stanie się nieco wyraźniejszy, po czym uruchomiłem silnik i odjechałem.

Kiedy już będzie po wszystkim, wystawię Trzem Królom słony rachunek i powiększę odłożoną już wcześniej sumkę. Może kiedy to wszystko się wreszcie przewali, a ja nadal będę żywy, to popłynę

jednak tym statkiem do Kanady. Człowiek nigdy do końca nie wie, czy już dotarł do dna, od którego będzie mógł się wreszcie odbić, ale naprawdę miałem wrażenie, jakby to już nastąpiło.

Zadzwoiłem do Sneddon z jakiejś budki. Zaaranżował spotkanie na kolejny wieczór. Spytałem, czy nie mogłoby się odbyć wcześniej, ale odparł, że każdy z Królów będzie musiał wymyślić jakiś sposób, żeby wymknąć się glinom. Opowiedziałem mu, co wydarzyło się w mieszkaniu.

- Facet, który usiłował mnie udusić, zabił Parksa i Smailsa - powiedziałem.

Opowiedziałem też Sneddonowi, co zrobiłem Arabowi.

- Świetnie. Wygląda na to, że sukinsyn wykrwawi się na śmierć. Chcę mieć jednak pewność. Zobaczymy się jutro o ósmej w Shawfield.

- Okej - odparłem i odwiesiłem słuchawkę. Nie chciałem mówić Sneddonowi, że jest ze mną nie najlepiej. Uwarunkowania religijne i wydarzenia, które dopiero przechodziły do historii, sprawiały, że Sneddon i Murphy szczerze się nienawidzili, ale w gruncie rzeczy stanowili swoje lustrzane odbicia. Lepiej było nie pokazywać przed nimi słabości.

Wykręciłem jeszcze jeden numer.

- Jonny? - powiedziałem. - Mogę przyjechać? Dasz radę załatwić mi jakiegoś lekarza?

Dom Jonny'ego Cohena w Newton Mearns położony był akurat bliżej niż domy pozostałych dwóch Królów, ale chodziło nie tylko o to. Intuicja podpowiadała mi, że właśnie u Jonny'ego znajdę pomoc.

Uznałem za wskazane uprzedzić go, że jestem w kiepskim stanie, i zasugerować, żebyśmy może spotkali się gdzieś indziej, a nie w jego domu, ale on nalegał, mówiąc, że będzie na mnie czekał przy drzwiach i załatwi mi opiekę. Powiedział, że będę musiał się pogodzić z tym, iż gliniarze mnie zobaczą, kiedy przyjdę, ponieważ go obserwowali, tak samo jak pozostałych dwóch Królów i ich najważniejszych ludzi.

Nie było to łatwe, ale jakoś udało mi się dojechać do położonego na południu Newton Mearns i zaparkować atlantica trzy przecznice od domu Jonny'ego. Miałem nadzieję, że w ten sposób gliny nie zwrócą na niego uwagi. Najwięcej kosztowało mnie właśnie przejście tego odcinka do domu Jonny'ego. Naciągnąłem kapelusz głęboko na oczy i postawiłem kołnierz prochowca. Zrobiłem to z dwóch powodów: aby maksymalnie ukryć twarz oraz aby zamaskować odcień jaskrawej czerwieni, jaki przybrał kołnierz mojej koszuli. Staralem się iść w miarę prosto i zdecydowanym krokiem, ale zaczęło mi się robić gorąco i zdawałem sobie sprawę, że to, co wydawało mi się potem wsiąkającym w potnik kapelusza i spływającym mi po karku, jest tak naprawdę krwią.

Jonny otworzył drzwi i swobodnym tonem zaprosił mnie do środka. A przynajmniej mogącym sprawiać wrażenie swobodnego z miejsca, gdzie stał wóz policyjny. Nie poprawił

mi za bardzo samopoczucia widok zszokowanej twarzy Jonny'ego, szczególnie że i ona była posiniaczona i napuchnięta pod jednym okiem w następstwie spotkania z nadinspektorem McNabem i jego chłopcami.

- Do kurwy nędzy, Lennox... - rzekł, gdy zamknął za mną drzwi. Nie odpowiedziałem, bo byłem zbyt zajęty nurkowaniem na spotkanie ozdobnych włoskich płytek, którymi miał

wyłożony przedpokój.

*

Ocknąłem się mniej więcej w porze obiadowej następnego dnia. Przy moim łóżku siedziała, czytając gazetę, otyła kobieta w średnim wieku. Gdy usłyszała, że się ruszam, wstała, pochyliła się nade mną i położyła mi ręce na barkach, żeby przytrzymać mnie w pozycji leżącej.

- Nie teraz, złotko - powiedziałem słabym głosem. - Boli mnie głowa.

- Faktycznie, bardzo śmieszne - odparła tonem nie wskazującym wcale, że ją to rozbawiło. - Nie wstawaj i nie ruszaj głową. Pójdę po pana Cohena.

Leżałem bez ruchu, patrząc w sufit. Czułem się kiepsko jak diabli, a w głowie nadal utrzymywał się świdrujący ból. Przyszedł Jonny i pochylił się nade mną.

- Co ty, kurwa, robiłeś, Lennox? Sprowadziłem doktora Banksa, żeby cię zbadał.

Założył ci szwy, ale bardzo nalegał, żebyś jak najszybciej poszedł do szpitala. Mówi, że możesz mieć pękniętą czaszkę.

- Nie ma na to czasu, Jonny. Wiesz o spotkaniu dziś wieczorem?

- W Shawfield? Tak. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Lennox. Przez ostatnie pięć lat służyłem jako bufor między Sneddonem a Murphym. Starałem się nie dopuścić, żeby się skurczybyki pozarzynały. Przy każdym spotkaniu Murphy zaczyna kpić z królowej, a Sneddon z papieża. Wiesz, te wszystkie sekciarskie bzdury. Wkurza mnie to.

- Ty pewnie jesteś neutralny. No, jako Żyd.

- To wcale nie jest takie oczywiste. - Uśmiechnął się. - W Glasgow nie można być tylko Żydem. Trzeba być albo protestanckim Żydem, albo katolickim Żydem. Kiedy tu dorastałem, ciągle pytano mnie, komu kibicuję - Rangersom czy Celticowi.

- I co mówiłeś?

- Że jestem kibicem klubu Partick Thistle.

- Sprytnie... omijałeś sekciarskie podziały, a jednocześnie zyskiwałeś sympatię.

- Fakt. Choć i tak mi się dostawało za to, że jestem Żydem. Pamiętam, jak sprąłem jednego dzieciaka w szkole, który gadał, że my, Żydzi, mamy całą kasę. To nawet nie jego obelgi mnie wkurzyły... po prostu byłem kurewsko wściekły na swoich bogatych żydowskich starych, którzy kazali nam mieszkać w jakimś czynszowym slumsie w Newlands.

Roześmiałem się, a gdzieś w mrocznym zakątku Haiti jakiś czarownik wudu wepchnął

szpilkę w podobiznę mojej głowy. Korpulentna kobieta zacmokała głośno z dezaprobatą i powiedziała mi, żebym się nie kręcił.

- Daj nam jeszcze minutkę, Lizzie - rzekł Jonny. - Dopilnuję, żeby był grzeczny.

- Chyba mnie lubi - powiedziałem, kiedy sobie poszła.

- To Lizzie Sharp - wyjaśnił Jonny. - Była kiedyś siostrą przełożoną w szpitalu Western General. Dorabiała, pomagając czasem młodym paniom pozbyć się małego kłopotu.

Dostała za to trzy lata. Bardzo się przydaje, kiedy ktoś poobijany potrzebuje opieki. Słuchaj, Lennox, musisz iść do szpitala. Doktor Banks martwi się o ciebie.

- Gdyby doktor Banks kiedykolwiek martwił się czymkolwiek poza tym, skąd wziąć kolejnego drinka, toby nie stracił licencji. Wyliżę się. - Podciągnąłem się do pozycji siedzącej, żeby pokazać, że mam rację, ale kolejne ukłucie w wykonaniu czarownika zniweczyło moje próby.

Jonny wzruszył ramionami i rzucił mi buteleczkę, która zagrzechotała mi w ręce, kiedy ją złapałem.

- Doktor powiedział, że uśmierzą ból. Mówił, że są naprawdę mocne, ale musisz się pilnować i odstawić procenty, bo inaczej dostaniesz świra.

Byłem pod opieką zdeprawowanej pielęgniarki i leczył mnie zdeprawowany lekarz, który przypuszczalnie dostawał tego rodzaju medykamenty od zdeprawowanego aptekarza.

Wysypałem kilka pigułek na rękę. Były kobylaste. Może doktor Banks dostał je z kolei od jakiegoś zdeprawowanego weterynarza?

- Do diabła, Jonny - powiedziałem. - Ostatnim razem, kiedy ktoś dostał takie tablety, musiał je znieść z góry Synaj. Czy mam po ich zażyciu dobiec do Troon?

- Doktor powiedział, żebyś przed zażyciem przełamał tabletkę na pół. Nie przejmuj się... On jest lojalny. - Podał mi szklankę wody. - Prześpij się kilka godzin, a potem spróbujemy zgubić naszych niebieskich przyjaciół i pojechać do Shawfield.

*

Zostawione przez doktora Banksa tabletki podziałały bez zarzutu. Ból na tyle zelżał, że zasnąłem niemal natychmiast. Zanurzyłem się w sugestywny świat marzeń sennych, pełen przeraźliwie jaskrawych barw i boleśnie ostrych konturów. Była tam oczywiście stała bywalczyni moich snów, Lillian Andrews. Siedziała w niskim, nowoczesnym fotelu pośrodku pozbawionego ścian, rozciągającego się w nieskończoność pokoju i paliła, a wszędzie wokół

niej zabijali się mężczyźni. Podłoga pod jej nogami wyłożona była dywanem o barwie głębokiej czerwieni.

- To bardzo praktyczne - powiedziała spokojnie. - Zupełnie nie widać śladów krwi. -

Jej słowa zilustrowała scena, która rozegrała się obok niej: Młot Murphy zamachnął się ołowianym młotem i zmiażdżył Bobby'emu pół głowy, z której trysnęła krew o takiej samej barwie jak dywan i usta Lillian, opryskując jej policzek.

- Zabiję cię - rzekłem bez śladu gniewu czy urazy, siadając naprzeciw niej na krześle, które pojawiło się tuż za mną. Dołączyli do nas Ronnie Smails i Arthur Parks - siedzieli na krzesłach, na których ich znalazłem martwych. Milczeli. Żuchwa Parksa nadal skrzywiona była pod nienaturalnym kątem. Lillian podała mi kieliszek czerwonego wina i wypiliśmy toast za jej męża.

- Posuniesz mnie teraz czy potem? - spytała Lillian rzeczowo.

- Jeszcze nie zdecydowałem.

Coś odpowiedziała, ale jej głos zagłuszyły krzyki walczących i umierających.

Wypiłem nieco wina, które było gęste, ciepłe i miało miedziany odcień.

Obudziłem się.

Zasłony były zaciągnięte i sypialnia wydała mi się nagle mała i ciasna po nieprawdopodobnych przestrzeniach z mojego snu. Poczulem mdłości. Wstałem i wybiegłem z pokoju. W samą porę znalazłem znajdującą się na końcu korytarza łazienkę. Zwróciłem wszystko, co miałem w żołądku, ale odruchy wymiotne nie dawały mi spokoju jeszcze przez kilka ciągnących się w nieskończoność minut.

Umyłem twarz i przejrzałem się w lustrze. Świat nadal wydawał się pełen ostrych, hiperrealistycznych konturów z mojego snu. Spoglądała na mnie blada, ściągnięta twarz z cieniami pod oczami. Sklejone włosy leżały mi na czole jak czarne wodorosty na plaży.

Wyglądałem staro. Czulem się staro. Na głowie, w miejscu gdzie doktor Banks założył mi szwy, miałem przyklejony plasterm opatrunek. W drzwiach za mną pojawił się Jonny.

Spojrzałem na odbicie jego posiniaczonej twarzy.

- W porządku? - spytał.

- Będę żył - powiedziałem bez wielkiego przekonania. - Chodźmy.

Lizzie, matrona-aborcjonistka, założyła mi na głowę mniej rzucający się w oczy opatrunek i zażyłem jeszcze dwie piguły od doktora Banksa. Znowu coś przestawiło mi się w głowie i czulem się tak, jakbym był na seansie *Przeminęło z wiatrem* w technikolorze.

Przynajmniej przestał mi dokuczać ból.

Jeden z goryli Jonny'ego przypominał go posturą i karnacją. Poczekaliśmy, aż przebierze się w jeden z garniturów Jonny'ego, jego prochowiec i kapelusz. Jonny wręczył

mu klucze do riley'a i widzieliśmy potem przez okno, jak sprzed domu rusza za fałszywym Jonnym wóz policyjny.

- Czuję się wręcz winny - rzucił Jonny. - To trochę jak zabawa w chowanego z małymi dziećmi.

Odczekaliśmy kilka minut, po czym wyszliśmy tylnymi drzwiami, przeleźliśmy przez kilka sąsiedzkich płotów i wyszliśmy na ulicę. Zgodnie z przyjętą etykietą Jonny zabrał ze sobą na spotkanie dwóch goryli. Minęliśmy trzy przecznice, za którymi zaparkowałem atlantica i pojechaliśmy przez Giffnock i Pollokshields do Rutherglen. Stadion Shawfield miał

pseudoegipskie główne wejście w stylu art deco, z którego mógłby być dumny faraon, gdyby kiedykolwiek istniał taki, który by nadawał swoim chartom myśliwskim takie imiona jak Blue Boy i Jack's-m' Lad i miał słabość do obstawiania gonitw.

Stadion pękał w szwach. Zaparkowaliśmy na ambitnie rozległym parkingu, z rzadka wypełnionym samochodami, ale pełnym widzów, którzy przechodzili nim na skróty na trybuny. Poszedłem za Jonnym i jego chłopcami do wejścia oznaczonego „Apartamenty administracyjne”. Weszliśmy na górę do dużego pokoju z czerwonym dywanem, barem i panoramicznymi oknami, z których rozciągał

się widok na tor.

Willie Sneddon już był na miejscu. Pedikiurek McBride i Mały Semple czaili się złowrogo gdzieś w kącie. Ktoś spuścił Pedikiurkowi manto i jedno oko miał niemal zamknięte. Ktokolwiek dał mu taki wycisk, nawet jeśli był to jakiś gliniarz, nie powinien od tej pory sypiać zbyt mocno.

Choć Sneddon narzekał przez telefon, jego twarz była w stosunkowo dobrym stanie.

Może udało mu się zająć ręce McNaba masońskimi uściskami rąk. Paranoiczne podejrzania Młota Murphy'ego nie były całkowicie wysrane z palca. Sneddon opierał się o kontuar przy barze, trzymając w ręce szklaneczkę whisky. Kiwnął głową na powitanie, gdy weszliśmy.

- Jak u ciebie, Willie? - spytał Jonny Cohen z uśmiechem.

- Niezbyt, że tak powiem, komfortowo - burknął Sneddon. - U ciebie też?

Jonny dołączył do niego przy barze. Stojący za barem młodzieniec, mający na sobie białą kelnerską marynarkę i zbyt dużo brylantyny, nalał Jonny'emu szkockiej. Sneddon zaproponował mi to samo, ale podniosłem rękę w odmownym geście. Wolałem zachować jak największą jasność umysłu w swojej poobijanej głowie i uniknąć wrażeń, jakie mogłaby wywołać kombinacja alkoholu i tabletek doktora Banksa.

Murphy się spóźniał. Wszyscy wiedzieliśmy, że się spóźni. Nie przepuściłby okazji, żeby czegoś nie zademonstrować. I nie zrobić entré. Na położonych poniżej trybunach rozległ się ryk widzów, gdy przy szczęku otwierających się boksów startowych charty wystrzeliły na tor. W tej samej chwili do pokoju wkroczył Murphy w obstawie tych samych dwóch twardzieli, którzy zaprosili mnie jakiś czas temu do taksówki. Sneddon podniósł się ze stołka przy barze i zwrócił w kierunku Murphy'ego. U jego boków pojawili się Pedikiurek i Mały Semple.

- Murphy... - Sneddon chłodno kiwnął na powitanie głową.

Murphy nie odpowiedział, ale coś za plecami Snedдона przykuło jego wzrok i rzucił

w tamtym kierunku szydery uśmiech. Wszyscy zwróciliśmy tam oczy. Chodziło o wiszący na ścianie portret naszej nowej monarchini. No świetnie, zaczyna się zabawa - pomyślałem.

W pełnej sekciarskiego ferworu atmosferze Glasgow panujący monarcha zawsze symbolizował to, co protestanckie, i przeciwstawiany był papieżowi. Zależnie od tego, w jakich się akurat było okolicach Glasgow, widziało się różne napisy na murach: „Pierdolić papieża” albo „Pierdolić królową”. Formalnie rzecz biorąc, królowa jest oczywiście głową Kościoła Anglii, a nie Kościoła Szkocji. Ale „Pierdolić królową” pisało się łatwiej i szybciej niż „Pierdolić jego wielebność doktora Jamesa Pitta-Watsona, moderatora Zgromadzenia Ogólnego Kościoła Szkocji”.

- Nosisz te pieprzone obrazki ze sobą i wywieszasz wszędzie, gdzie się zatrzymujesz, Sneddon? - Murphy próbował uśmiechnąć się żartobliwie, ale wyszło mu tylko obnażenie zębów.

- Chcesz drinka, Murphy? - Sneddon nie dawał się podpuścić. - Jeśli chcesz, możemy wznieść toast

za Jej Królewską Wysokość.

- Taa... toast. Też pomysł. Pewnie już się, kurwa, nie możesz doczekać koronacji, co?

- Będę ją oglądał w telewizji - odparł Sneddon spokojnie. - Słyszałeś pewnie o tym wynalazku?

- I założę się, że będzie jak zwykle siedziała na jednej z tych grubych atłasowych poduszek.

- No i co z tego? - W głosie Sneddona zaczął już pobrzmiwać ostrzejszy ton.

- Skoro wszyscy już tu jesteśmy - wtrąciłem, chcąc jak najszybciej zmienić temat rozmowy - to chciałbym wam opowiedzieć, czego dowiedziałem się o Tamie McGahernie...

- Wiesz, dlaczego na nich siedzi? - ciągnął Murphy. Najwidoczniej mój głos nie był

już aż tak donośny jak kiedyś.

- Mam dziwne wrażenie, że mi to powiesz - odparł Sneddon. Postawił szklankę na kontuarze i zwrócił się do młodzieńca w kelnerskiej marynarce: - Ty... spieprzaj. Ale zostaw butelkę.

W mojej głowie znowu saloonowe pianino przestało grać w połowie melodii. Kelner wyszedł, ale Murphy demonstracyjnie dogonił go, wręczając dziesięcioszylingowy napiwek.

- Nie zrozum mnie źle - powiedział Murphy. - Nic do niej nie mam. Nawet miła z niej kobitka. Nie ma za bardzo na co popatrzeć, no, ale sądzę, że Filuś i tak spędza większość czasu, patrząc na jej potylicę.

- O co ci, kurwa, chodzi? - Zwarta sylwetka Sneddona zwarła się jakby bardziej, a zacięta twarz zacięła mocniej. Jonny Cohen spojrział na mnie wzrokiem bardzo wymownie komunikującym: „O kurwa!”.

- Słuchajcie, chłopaki - powiedział Jonny. - Teraz nie czas...

- O nic mi nie chodzi - rzucił Murphy. - Tylko że ona siedzi na tych wielkich poduchach. Zastanawiam się po prostu, czy to nie dlatego, że wyszła za pieprzonego Greka. A chyba wiesz, co to znaczy.

- Czemu mi nie powiesz? - powiedział Sneddon. Rękę miał opartą na kontuarze w pobliżu butelki whisky.

- No wiesz, Sneddon... Filuś jest Grekiem. A Grecy lubią od tyłu, jeśli łapiesz, o co mi chodzi... - Murphy zwrócił się do swoich goryli: - Jak sądzicie, chłopaki?

- Myślę, że to element jego pieprzonej kultury - powiedział jeden z nich. - Pewnie mają to zapisane w jakimś swoim kodeksie prawnym.

- Taak - rzekł Murphy. - A może to jest gdzieś w greckiej przysiędze ślubnej...

„ślubuję cię szanować i być ci posłuszną, i brać rurkę w tylną dziurkę”.

Przynajmniej - pomyślałem - Murphy usiłował mówić o czymś, co interesowało Sneddon. A nic nie było bliższe sercu Williego Sneddon - ultrapatriotycznego, oranżystowskiego, konserwatywnego, protestanckiego lojalisty - niż nowa królowa. Gdybym mógł wybierać, wołałbym już wpakować się w jakąś inną rozróbę.

- Ten twój papież sam, kurwa, siedzi na całym stosie poduch, wiesz? - rzucił nagle Sneddon. Ręką obejmował już butelkę whisky. Przypuszczałem, że nie po to, aby zaproponować Murphy'emu drinka.

- Jej Wysokość przynajmniej nie potrzebuje, żeby ją nosić na pieprzonym krześle.

Pewnie papież ciągle na nim przesiaduje, bo jest, kurwa, wyczerpany uganianiem się za ministrantami.

O takiej atmosferze, jaka zapanowała, mówi się, że jest tak gęsta, iż można by ją kroić nożem. W tej konfrontacji między Młotem Murphym i Willie Sneddonem krojenie nożem -

albo zmiżdżenie młotem - dotyczyłoby jednak czegoś innego niż atmosfera. Obaj wbijali w siebie mordercze spojrzenia. Choć jeśli chodzi o Murphy'ego, to nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział go patrzącego na cokolwiek i kogokolwiek inaczej niż z nienawiścią. Może w sytuacjach intymnych z małżonką albo chwilach czułości z dziećmi nieco odpuszczał i jego spojrzenie można by zaliczyć do kategorii napaści kwalifikowanej i groźby bezprawnej.

- No, panowie - powiedziałem. - Pozartować zawsze można. Nic się nie stało.

- Lennox ma rację - poparł mnie Przystojniak Jonny z ujmującym uśmiechem. - Cóż byśmy poczęli bez poczucia humoru?

- Przenieśliśmy się do Edynburga? - zażartowałem. Sneddon i Murphy skierowali na mnie swoje mordercze spojrzenia, jakby chcieli dać do zrozumienia, że swoimi żartami zafunduję sobie przedwczesny zgon. Sprawilem przynajmniej, że co do jednej rzeczy byli zgodni. Nadeszła chwila, żeby wykonać kolejny krok.

- W każdym razie - kontynuowałem - choć bardzo niechętnie zakłócam te obrady zespołu ekspertów, sądzę, że powinniśmy zacząć rozmawiać o tym, czego się dowiedziałem, zamiast wodzić się za łby. - W trakcie, kiedy mówiłem, Jonny Cohen obszedł Małego Semple'a i stanął pomiędzy Sneddonem a Murphym.

- Lennox ma rację - powiedział. - Jeśli zaczniemy się wadzić, to już, kurwa, po nas.

Nie łudźmy się, że w mieście działają tylko nasze trzy firmy. Jest jeszcze czwarta... policja.

Gliny byłyby zachwycone, gdybyśmy przestali stanowić zjednoczony front. Lepiej posłuchajmy, co Lennox ma do powiedzenia.

I znowu pomieszczenie zaczęło mi się wydawać zbyt jasne, barwy zbyt intensywne, a kontury zbyt

ostre.

- Muszę usiąść - oznajmiłem i opadłem na skórzany fotel. Jonny przyniósł mi wody z dzbanka stojącego w barze.

- Coś z nim, kurwa, nie tak? - spytał Sneddon. Rozczulił mnie jego zatroskany ton.

- Wszystko w porządku - odparłem. Wypiłem łyk wody. - Wiecie, co mi się w was podoba? Każdy z was jest dokładnie tym, za kogo się podaje. Wiem, że każdy z was jest sobą, czyli skończonym draniem.

- Lennox... - powiedział Jonny ostrzegawczo.

- Nie, nie... - rzuciłem radośnie. - To bardzo dobrze. Traktujcie to jako komplement.

Widzicie, wszyscy inni dranie, z którymi miałem do czynienia, udawali kogoś innego.

- Lennox, gadasz bez sensu - zwrócił mi uwagę Jonny tonem, który wyrażał już pewne zaniepokojenie. Zaniepokojenie nie tym, że stan mojego zdrowia się pogorszył, ale że się pogorszy - nagle i nieodwracalnie - jeśli jakoś nie udobrucham Sneddona i Murphy'ego.

- No ale właśnie o to chodzi, że nic w tym wszystkim nie miało sensu. Ani że Frankie McGahern rzucił się na mnie na oczach obserwującego to McNaba, ani że potem kręcił się po okolicy, czekając, aż ktoś mu zrobi z mózgu jajecnicę w jego warsztacie. Ale nabiera sensu, jeśli przyjmie się, że nikt nie jest tym, za kogo się go uważa. Jeśli się nad tym zastanowić, wszystko staje się dość oczywiste. Bliźniacy. Tam - bystrzacha, odznaczony Szczur Pustyni, dawny członek Oddziałów Gedeona... no i nieudacznik Frankie.

- To twoja teoria, że w dupę nad Highlanderem zainkasował Frankie, a nie Tam? -

spytał Sneddon. Z ulgą zauważyłem, że zamiast zamachnąć się na Murphy'ego butelką, nalewa sobie z niej drinka.

- To był Frankie. Z początku sądziłem, że zaszła zwykła pomyłka co do osoby, że to przez zwykły przypadek nad Highlanderem znalazł się akurat Frankie, a nie Tam. Bo oni mieli taką swoją zabawę. Według Wilmy, dochodzącej panienki, która była tam owej nocy, Tam namówił Frankiego, żeby od czasu do czasu z nią sypiał - ot tak, żeby sprawdzić, czy ona się zorientuje. Żeby był ubaw. Ale chodziło o coś zupełnie innego. Frankie został

wpuszczony w kanał tak samo jak John Andrews i *pół* tuzina innych. Frankie był bliźniaczym bratem Tama. Krew z krwi, kość z kości. Ale dla Tama był tylko kimś o identycznej twarzy, a więc kimś, kto mógł go wybawić z opresji. Tam planował skok na ten transport sterlingów.

Tylko że ze względu na to, jakich znalazł na nie nabywców, podpadł jakiejś mafii, która by nigdy nie odpuściła, dopóki by go nie dopadła i nie kropnęła.

- Nie zajęło im to dużo czasu - powiedział Jonny. - Jeśli faktycznie „Frankie” był

Tamem, to i tak dostał w czapę kilka tygodni później.

- W tym sęk, że nikt nie jest tym, kim się wydaje. Tam McGahern żyje i ma się bardzo dobrze.

- To kim, do kurwy nędzy, był ten gość z wgniecioną facjatą?... - Sneddon zdał sobie sprawę z ciężaru gatunkowego swoich słów i zamilkł.

- Właśnie. Z wgniecioną facjatą. Tam McGahern wychodził ze skóry, żeby nigdy nie dopuścić, aby odciski palców jego i jego brata dostały się do kartotek policyjnych.

Podejrzewam, że tym biednym skurwysynem ze zdemolowaną fizjonomią był dawny dowódca Tama, wałkoń Jimmy albo Jamie Wallace. Wallace dostarczał sporo tajnych informacji i ogólnej wiedzy, niezbędnych do przeprowadzenia tej całej operacji. Dostarczył

też ciała o mniej więcej zbliżonych rozmiarach.

- Ale to przecież już coś innego niż z tymi bliźniakami - powiedział Murphy. - Za pierwszym razem mamy gościa, który wygląda jak pieprzona kopia autentyku. Ale za drugim razem musieli widzieć, że namierzyli niewłaściwego faceta. Chyba że chcesz, kurwa, powiedzieć, że to były trojaczki?

- Nie. Chodzi mi tylko o to, że za drugim razem to nie byli ci sami goście co przy pierwszym zabójstwie. Załatwił to sam Tam McGahern. Zmasakrował Wallace'owi twarz i przebrał go w ubranie Frankiego.

- Więc McGahern gdzieś się ukrywa? - spytał Jonny. - Albo to, albo opuścił miasto, bo Bóg mi świadkiem, że nie mógłby się nigdzie w Glasgow pokazać.

- Któregoś wieczoru miałem randkę z jedną dziewczyną - powiedziałem. - Poszliśmy na film, w którym grał Jack Palance, i powiedziała mi, że go jej przypominam. Odparłem, że to nie bez powodu. Pewien Amerykanin ukraińskiego pochodzenia o niemożliwym do wymówienia nazwisku nie chce skakać na spadochronie ze swojego palącego się bombowca.

Bardzo heroiczna postawa, ale jego twarz ulega poważnym poparzeniom. Po wielu miesiącach zabiegów chirurgicznych lekarzom nadal nie udaje się zadowalająco zrekonstruować jego twarzy i opinająca ją skóra jest zbyt ciasna. Ale za to ma niepowtarzalny wygląd. Znika Wołodymyr Palahniuk, a rodzi się Jack Palance. Jestem do niego podobny, bo dostałem w twarz szrapnelem z wybuchającego granatu. W rezultacie mam napiętą skórę na twarzy, wydatne kości policzkowe i tak dalej.

- Serio? - powiedział Murphy z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. - To abso-kurwa-lutnie fascynujące. Ale czy możesz wreszcie przejść do rzeczy? Bo jak nie, to każę chłopcom zatańczyć tu na twojej twarzy. Wtedy będziesz mógł zabawiać każdą cipę opowieściami o tym, jak dorobiłeś się wyglądu pieprzonego Lona Chaneya.

- Rzecz polega na tym, że Tam McGahern nie pokazuje swej twarzy w Glasgow, bo już jej nie ma. Wraz z Sally Blane, czyli Lillian Andrews, jak się obecnie nazywa, obmyślili akcję z miodowymi pułapkami, w które złapali wiele grubych ryb. Ich ofiarą padł też, jak mniemam, jakiś wysoko

postawiony gliniarz. Jak również chirurg plastyczny Alexander Knox. Tam nie wymusił od niego pieniędzy, tylko nową twarz. Knox wyszykował już twarz Lillian po jej wypadku samochodowym i został zmuszony do połatania jednego z towarzyszy broni Tama. Sądzę jednak, że Tamem nie kierowała lojalność wobec kompana... Chciał się po prostu przekonać, jakim Knox jest specjalistą. Chodzi o to, że Tam McGahern ma już nową tożsamość i nową twarz.

- Jak ci się udało do tego wszystkiego dojść? - spytał Sneddon.

- Cóż mogę powiedzieć? Jestem po prostu geniuszem. Poza tym część tej historii opowiedziała mi wysokiej klasy kurwa o imieniu Liz. Idę jednak o zakład, że i ona nie jest tym, za kogo się podaje, jak to jest z wszystkimi innymi draniami. Tak jak Tam udawał

Frankiego, a Sally udawała Lillian, Margot Taylor, czyli siostra Sally, udaje moim zdaniem Liz. Co z kolei znaczy, że to, co od niej wyciągnąłem, jest co najmniej w połowie fikcją. -

Przerwałem na chwilę, aby napić się wody. - Wydaje mi się, że faktycznie miała miejsce jakaś kraksa i czyjaś twarz została trochę zniekształcona, ale Margot moim zdaniem nie zginęła. Mogę się jednak mylić. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że Margot i Sally vel Lillian pomagały Tamowi aranżować te miodowe pułapki. Ale nie one jedne. W ten interes zaangażowany był też Arthur Parks. Kierował tam klientów i niektóre ze swoich lepszych dziewczyn. Z początku wydawało mi się, że gdy Tam i Lillian już osiągnęli założone cele, Arthur Parks okazał się zbędny, więc go zabili. Nie pasuje do tego jednak sposób, w jaki zginął. Parksa zabił ktoś, kto chciał od niego wyciągnąć jakieś informacje. Nie była to szybka śmierć. Według mnie stali za tym albo nowi wspólnicy Tama, albo ludzie z tej niezwykle profesjonalnej ekipy, która sądziła, że go załatwiła owej nocy nad Highlanderem. Ronniego Smailsa załatwił ten sam gość co Parksa.

- Smails był torturowany? - spytał Jonny.

- Nie, nie był. I to właśnie nie bardzo pasuje do reszty. Na razie.

- Więc co to za niezwykle profesjonalna ekipa, o której ciągle tak trąbisz? - Sneddon zapalił papierosa i spojrzał na mnie chłodno. Wręcz sceptycznie - pomyślałem.

- No i tu właśnie dochodzimy do aspektu politycznego. To właśnie z tego powodu wam też się dostało. - Wypiłem kolejny łyk wody. Głowa znowu zaczęła mnie boleć i wszystko nadal wydawało się jakieś nierealne, tak jakbym stał gdzieś obok i przysłuchiwał się własnym, obco brzmiącym słowom. - Otóż ja wiem, gdzie mają wylądować te zrabowane pistolety maszynowe. Nie wiem kiedy, ale wiem, w jaki sposób mają zostać wysłane, i mogę nawet pokusić się o określenie, którym statkiem. Pewna moja przyjaciółka powiedziała kiedyś, że ma już serdecznie dość Glasgow, bo ludzie tutaj nie mają rozmachu. Otóż Tam McGahern go miał. Służył na Bliskim Wschodzie i zorientował się, że ten rejon czekają całe dziesięciolecia konfliktów, które dają spore możliwości działania. Był ambitny, ale za każdym razem kiedy próbował rozwinąć skrzydła, dochodziło do konfrontacji z Trzema Królami. Postanowił więc zrobić coś na własną rękę, coś wykraczającego poza waszą sferę działania. Te zrabowane pistolety maszynowe będą wkrótce w drodze do Akaby w Jordanii, a stamtąd, jak sądzą, trafią prosto w ręce arabskich rebeliantów.

Dałem im chwilę na przetrwanie tego, co powiedziałem.

- Oceniam, że Tam zajmuje się tym od ponad roku - ciągnąłem. - Zaczął od starej broni z demobilu. Ale Arabowie mają za przeciwnika jedną z najlepiej wyposażonych i najbardziej zdyscyplinowanych armii na świecie. Tam dostrzegł w tym sposobność szybkiego wzbogacenia się. To miała być jedna duża transakcja, zapewniająca mu nową twarz i życie w nowym kraju. W Stanach. Zaplanował więc ten napad z Jackiem Gillespiem, a potrzebne do tego dodatkowe finanse i niezbędnych specjalistów zapewnił sobie szantażem. Przypuszczam, że na swojej liście ma co najmniej jednego wysokiej rangi brytyjskiego wojskowego.

- To wszystko wygląda na kurewsko misterny plan - powiedział Sneddon. - Trochę zbyt ambitny jak na dwóch pieprzonych *taigów*. Bez urazy, Murphy.

Młot Murphy milczał, nadal patrząc z tą swoją morderczą nienawiścią na Sneddona.

Na nas wszystkich.

- Bardzo ambitny - kontynuowałem. - Ten skradziony ładunek broni nie składa się z jakichś zdezelowanych staroci. Rozmawiałem z kumplem z wojska, który powiedział mi, że zamówiono jej produkcję w zeszłym roku i miała zastąpić dotychczasową broń ręczną sił

zbrojnych. Chodzi o pistolet maszynowy Sterling-Patchett L2A1, o szybkostrzelności pięćset pięćdziesiąt strzałów na minutę. Arabom coś takiego jest rozpaczliwie potrzebne. Tam trafił

na żyłę złota, ale potrzebna mu była nowa twarz i nowe życie, bo wiedział, że Izraelczycy już trafili na jego trop i nie dadzą mu spokoju, dopóki go nie dopadną. To jest właśnie ta profesjonalna ekipa, panie Sneddon. Mosad, jeśli się nie mylę. I właśnie dlatego jesteście wszyscy w poważnych opałach. Na głogowską policję będą wywierane ogromne naciski, aby to wszystko rozwikłać. Nie mam pojęcia, ile gliny wiedzą o przeznaczeniu tej broni czy o tym, że zamieszani są w to Izraelczycy. Bez wątplenia wpadną jednak na to, że miejscem przeznaczenia tych pistoletów ma być Bliski Wschód.

Zamilkłem. Znowu łupało mi w głowie i poczułem mdłości. Napilem się jeszcze wody. Zauważyłem, że wszyscy zwrócili oczy na Jonny'ego Cohena.

- Co?! - powiedział ze złością i niedowierzaniem. - Myślicie, że skoro jestem Żydem, to mam z tym coś wspólnego? Tylko dlatego, że Murphy jest pieprzonym Irlandczykiem, nie znaczy wcale, że zajmuje się przemytem broni dla IRA.

- Spokojnie, Jonny - powiedziałem i zwróciłem się do pozostałych:

- Jonny nie kłamie. Mosad polega tylko na własnych agentach.

- I jednym z nich jest ten facet, którego spotkałeś w Perth?

- Tak. Przedstawił się jako Powell. Wyglądał jak Fred MacMurray. On i jego kumple trzymali tu rękę na pulsie od samego początku. To oni zabili Frankiego McGaherna, sądząc, że to Tam. Ale nie tak łatwo ich wykiwać, więc wywieźli Wilnę i dowiedzieli się od niej, że dopadli nie tego McGaherna.

- Więc twierdzisz, że torturowali i zabili Parky'ego? - spytał Sneddon.

- Być może. Wydaje mi się jednak, że tu chodzi o coś więcej. Jest w to zamieszany również jakiś Holender. Wielki, gruby gość. I bogaty. Przypuszczam, że pośredniczył w transakcji sprzedaży broni.

- To te wyjazdy McGaherna do Amsterdamu? - spytał Sneddon.

- Na to wygląda.

- Te pieprzone moški zdrowo nam namieszały - powiedział Murphy. - Moim zdaniem, trzeba by im dać łupnia, żeby nabrali respektu.

Roześmiałem się na słowa Murphy'ego, a on przypomniał mi groźnym spojrzeniem, że nie jest przyzwyczajony do takiego traktowania.

- Chyba się nie rozumiemy - powiedziałem. - Nie dalej jak osiem lat temu doliczono się, że w całej Europie zginęło sześć milionów Żydów. Może więcej. Miliony innych zostały bez dachu nad głową albo ich życie uległo drastycznej zmianie. Żydzi wiedzą teraz jedno: że dokonano bardzo poważnej i niemal udanej próby zmiecenia ich z powierzchni ziemi. Cóż, można by powiedzieć, że są nieco przeczuleni, ale wygląda na to, że trochę ich to wszystko wkurzyło. Niech pan sobie to wbije do głowy, panie Murphy... i wszyscy tu obecni... że ludzie, z którymi chcecie wyrównywać rachunki, to najtwardsze, najniebezpieczniejsze, całkowicie pozbawione litości skurwysyny, jakie kiedykolwiek chodziły po tej ziemi. Nie wiem, jakie Mosad wybrał sobie motto, ale przypuszczam, że coś w rodzaju „nikt już nie będzie pogrywał z Żydami”.

- No to co robimy?

- Są trzy statki, którymi McGahern wysyłał broń do Jordanii. Wszystko to odbywało się za pośrednictwem firmy spedycyjnej Johna Andrewsa. Muszę się tylko dowiedzieć, kiedy planują przerzut tych pistoletów.

- I wtedy co?

- Jedno z dwojga. Możemy dać cynk glinom, żeby przyskrzynili McGaherna i spółkę na gorącym uczynku albo jednoczycie siły i ruszacie na niego sami. Potem zostawiamy gdzieś broń i dajemy znać glinom, gdzie ją mogą znaleźć. Dla mnie idealnym rozwiązaniem byłoby nawiązanie kontaktu z chłopcami z Mosadu. Oni z powodzeniem daliby sobie już dalej z tym radę. Niestety chyba zapomnieli umieścić swój numer w książce telefonicznej.

- Łatwy wybór, kurwa - powiedział Murphy. - Dajemy cynk glinom i oni, kurwa, biorą na siebie całe ryzyko. No i może wreszcie by się od nas odpieprzyli.

- To byłoby idealne wyjście... ale jak mówiłem, mam dziwne przeczucie, że McGahern ma na liście płac jakiegoś gliniarza, który mógłby go ostrzec, a wtedy wracamy do punktu wyjścia.

- Więc, kurwa, pozostaje krwawa łaźnia w porcie. To właśnie sugerujesz? - spytał

Murphy.

- Słuchajcie, alternatywą jest to, że stracie swoje korony. Do tej pory była to gra na cztery drużyny: wasze trzy ekipy i policję. I powiedzmy sobie szczerze, chłopaki, każdy z was też ma w kieszeni co najmniej kilku gliniarzy. Tylko że Tam McGahern podniósł stawkę, no i zrobiło się gorąco. Z powodu utraty tej broni w Glasgow zaroi się od różnych typów z Ministerstwa Obrony, Wydziału Specjalnego Scotland Yardu i wywiadu wojskowego. Na domiar wszystkiego gdzieś tam grasuje pluton egzekucyjny Mosadu i, jak się domyślam, jest tu też kilku Arabów, mających oko na przebieg całej operacji.

Odchyliłem się do tyłu na fotelu. Nadal kręciło mi się w głowie. Przymknąłem oczy i znowu wypilem duży łyk wody.

- Musimy przede wszystkim odszukać Jackiego Gillespiego. Podobno jeden z uczestników napadu jest ranny i podejrzewam, że to może być Gillespie.

- Dlaczego? - spytał Jonny.

- Bo idę o zakład, że nie został raniony pociskiem wojskowym. Przekonałem się już, jak pracują Tam i Lillian. Nie chcą mieć współników. Bardzo by im było na rękę zostawienie Gillespiego martwego w miejscu napadu. Nikt nie kojarzy go z McGahernami, natomiast każdy wie, że od czasu do czasu pracuje dla każdego z was.

- Skurwiel... - wymamrotał Sneddon.

- Jackie Gillespie na pewno się znajdzie, jeśli wszyscy wasi ludzie zaczną go szukać.

Może się ukryć przed policją, ale nie przed Trzema Królami. - Znowu wypilem nieco wody.

Czułem się już bardzo źle i chciałem przestać wreszcie gadać. - Musicie się w trójkę zorganizować. Potrzebni będą wasi najtwardsi i najbardziej doświadczeni ludzie. Kiedy dowiemy się, jaki to statek i kiedy ma nastąpić załadunek, wtedy zaatakujemy skurwieli. I jeszcze jedno. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z was bawił się w jakieś sentymenty, ale muszę postawić pewną sprawę jasno. Choć Lillian Andrews to kobieta, jest mózgiem tej operacji w nie mniejszym stopniu niż Tam. Musicie ich oboje potraktować w taki sam sposób. To wszystko.

W pokoju rozpętała się ożywiona dyskusja między Sneddonem, Murphym i Jonnym.

Siedziałem na fotelu, czując w głowie bolesne pulsowanie. Wyjąłem kolejną tabletkę od doktora Banksa, przełamałem ją na pół i połknąłem partiami, popijając resztą wody.

Zamknąłem oczy. Na zewnątrz znowu przetoczyła się wrzawa tłumu, gdy po raz kolejny szczęknęły boksy startowe. Nawet gdy miałem zamknięte oczy, wszystko wydawało się większe, ostrzejsze i bardziej natarczywe, niż powinno. Wyobraziłem sobie, że czuję, jak każda łapa każdego charta dotyka toru. W moich trzewiach zaczęła narastać jakaś fala.

Otworzyłem oczy i wstałem. Skierowałem się do drzwi z napisem „Do toalet”, niezauważony przez

innych, którzy pochłonięci byli omawianiem, kto co ma zrobić i kim komenderować.

Wszedłem do krótkiego korytarzyka, na którego końcu widniały kolejne drzwi z napisem

„WC”.

Zdażyłem w ostatniej chwili. Po opróżnieniu żołądka znowu wstrząsnęły mną skurcze odruchu wymiotnego. Kiedy wreszcie się skończyły, nabrałem do ręki wody i przepłukałem usta. Uznałem, że tabletką została pewnie zwrócona, więc przepołowiłem następną, zażyłem i popiłem wodą z kranu. Podniosłem się i oparłem czoło o wyłożoną chłodnymi płytkami ścianę. Uświadomiłem sobie, że z apartamentu obok dobiegają głosy. Ale zbyt głośne. Nie była to już rozmowa, lecz krzyki.

Wróciłem korytarzykiem, słysząc odgłosy tłuczonego szkła i łamanych mebli. Kurwa mać. Liczyłem na to, że zdobędą się jednak na współpracę, a oni zrobili rozróbę. Otworzyłem drzwi prowadzące do apartamentu, ale jak najszybciej i jak najciszej zamknąłem je z powrotem. Chyba nikt mnie nie zauważył. To, co sam zobaczyłem, było natomiast porażające. Jeszcze raz uchyliłem minimalnie drzwi i wyjrzałem przez szparę. Sneddon, Murphy, Jonny i ich ochroniarze leżeli wszyscy na podłodze z twarzami wciśniętymi w czerwony dywan przez krzepkich górali. Pały śmigwały w powietrzu i na żebra, ramiona i głowy leżących spadał grad uderzeń. Zauważyłem nadinspektora McNaba, przechadzającego się spokojnie pośród tej jatki. W pomieszczeniu była co najmniej dwudziestka gliniarzy.

Połowa po cywilnemu, a połowa w mundurach.

Cofnąłem się w głąb korytarzyka. Gdybym wszedł do apartamentu, zostałbym potraktowany tak samo jak pozostali, a kolejny cios czymś twardym w głowę mógłby mnie wykończyć. Poskromienie uczestników zebrania i zakucie ich w kajdanki było kwestią minut, a potem policja zaczęła sprawdzać toalety w poszukiwaniu ewentualnych maruderów.

Wszedłem z powrotem do toalety, zamykając za sobą drzwi, ale nie na zasuwkę. Obok zbiornika na wodę, wysoko na ścianie znajdowało się wąskie okienko z matowego szkła.

Zaczyna mi to wchodzić w krew - pomyślałem, opierając jedną stopę na sedesie, a drugą o ścianę i podnosząc się, aby przekręcić klamkę i uchylić okno. Zużyłem resztki energii, aby podciągnąć się i przecisnąć przez okno głowę i prawy bark. Spojrzałem z wysokości drugiego piętra na położony w dole parking. Przeciskałem się dalej, trzymając się drewnianej framugi okna. W końcu udało mi się przełożyć jedną nogę i postawić ją na parapecie. Usłyszałem głosy dobiegające z korytarzyka przy toalecie. Przecisnąłem się do końca i zamknąłem za sobą okno.

Znalazłem się na zewnątrz, ale i tak było mnie widać z drugiej strony na tle matowej szyby. Parapet wystawał na odległość trzydziestu paru centymetrów po obu stronach okna i drobnymi kroczkami przesunąłem się na jeden z jego końców. Tym razem na ścianie stadionu nie było ani rynny, ani żadnego oparcia dla stóp. Odwróciłem się plecami do okna i znieruchomiałem, licząc na to, że nikt nie zwróci na nie szczególnej uwagi. Rozległy się głosy w toalecie. Potem nastąpiła cisza.

Spojrzałem w dół na parking. Zaczynało się ściemniać, ale widziałem stojące tam wozy policyjne i

furgonetkę. Wokół wałęsało się jeszcze trochę kibiców. Serce znowu podeszło mi do gardła, gdy dostrzegłem postać człowieka opartego o furgonetkę i palącego.

Miał na głowie czapkę z daszkiem i otokiem w czarno-białą szachownicę, charakterystycznym dla glasgowskiej policji. Nie patrz do góry - pomyślałem. Tylko nie patrz do góry.

Wiedziałem, że wkrótce na parkingu zjawią się gliny z zatrzymanymi i prawdopodobieństwo, że pozostanę niezauważony, zmaleje do zera. Ponieważ byłem zbyt elegancko ubrany jak na czyściciela szyb, uznałem, że najrozsądniej będzie wleźć ponownie do toalety. Starając się zrobić to jak najciszej, prześlizgnąłem się z powrotem przez wąskie okno. Z apartamentu nadal dobiegały głosy, ale skoro toaletę już raz sprawdzano, nie sądziłem, aby ktoś odwiedził ją ponownie.

Patałach Lennox. Oczywiście nie wziąłem pod uwagę jednego: że choć moja kryjówka została już przeszukana, to w końcu to toaleta. Ledwo udało mi się uskoczyć za drzwi, gdy się otworzyły i do środka weszła rosta umundurowana postać. Facet stanął do mnie plecami i najwyraźniej zaczął rozpinać rozporek. Mężczyzna jest najbardziej bezbronny właśnie wtedy, kiedy trzyma w dłoni swojego fiuta, więc wiedziałem, co muszę zrobić.

Zakląłem w duchu, wyjąłem z kieszeni skórzaną pałkę i wymierzyłem gliniarzowi cios w potylicę. Zatoczył się do przodu, ale zdołał oprzeć się ręką o ścianę. Nie stracił przytomności.

Zamachnąłem się ponownie, z większą siłą, starając się nie myśleć, co stanie się z moim karkiem, jeśli zabiję gliniarza. Tym razem poleciał twarzą na sedes, opryskując go krwią.

Wszystko przebiegło cicho. Niechlujnie, ale cicho. Tylko czy wystarczająco cicho?

Znieruchomiałem, nasłuchując, czy ktoś nadchodzi. Nikogo. Wyszedłem w korytarzyk. Drzwi na końcu były uchylone, ukazując pusty już apartament. Najwidoczniej gliniarz, któremu przyłożyłem, wrócił się odlać. Jego nieobecność zostanie jednak zauważona.

Przeszedłem szybko przez apartament i po chwili znalazłem się na klatce schodowej.

Odczekawszy, aż ostatni gliniarz zniknie za drzwiami na parterze, bezszelestnie zbiegłem na dół. Przez szparę w drzwiach zobaczyłem, jak policja zagania Trzech Królów i ich obstawę do furgonetki. Tabletkę, którą wcześniej zażyłem, zaczęła działać i znowu znalazłem się w technikolorze. Zobaczyłem kilka zakrwawionych twarzy, które w zapadającym zmierzchu zdawały się lśnić w jaskrawym świetle stadionowych reflektorów.

Na parkingu zebrał się mały tłum gapiów, przyglądających się przebiegowi wydarzeń.

Kiedy jakaś kolejna grupka mijała wejście do apartamentu, wmieszałem się w nią i przemieściłem na płytę stadionu.

Obejrzałem trzy gonitwy, zanim odważyłem się wrócić na parking. Wozów policyjnych już nie było, więc uznałem, że brak jednego z policjantów nie został jeszcze zauważony. Znalazłem budkę telefoniczną i odbyłem krótką rozmowę ze Śliskim George'em.

Wyjaśniłem, że powinien raz, dwa uruchomić swojego bentleya i siebie. Wsiadłem do atlantica i odjechałem. Wiedziałem, że kiedy gliniarz z twarzą w sedesie się ocknie albo ktoś go znajdzie, każdy z Trzech Królów zostanie dokładnie przemaglowany, żeby wydusić z nich, kto z ich ludzi wywinął się z policyjnej obławy. Ale wiedziałem też, że mnie nie wydadzą.

Nie ze względu na jakieś braterskie uczucia czy lojalność, lecz po prostu dlatego, że byłem ich jedyną nadzieją na wydostanie się z tej matni.

Marne szanse - pomyślałem, spoglądając na swoją twarz w lusterku wstecznym atlantica.

Zawsze uważałem się za bystrzachę. Nieco oleju w głowie to coś, co wprawia człowieka w samozadowolenie. Ogólnie rzecz biorąc, miałem się za kogoś, kto zawsze znajdzie na wszystko odpowiedź. Dziś wieczorem ta odpowiedź musiała się jednak przemieszczać po całym Glasgow, bo zacząłem jeździć po mieście zupełnie bez celu, nie zauważając ulic, a mój potłuczony i odurzony mózg odmówił współpracy.

Może jednak nie do końca. Znalazłem się bowiem z powrotem w przyszłości. Na tle nocnego nieba wyłoniły się przede mną czarne, częściowo wykończone monolity osiedla Moss Heights. Ponownie zaparkowałem atlantica w pewnej odległości od nowo wybudowanego domu Gillespiego, choć trudno powiedzieć, że dzięki temu mniej rzucił się w oczy, bo na całej ulicy stały jeszcze tylko dwa inne samochody.

Tylne drzwi nadal były uchylone. Poszedłem do kuchni, klnąc w duchu, że nie wziąłem ze sobą latarki. Nie bardzo nawet miałem pojęcie, po co tam przyjechałem. Byłem zdany na samego siebie. Trzej Królowie wypadli z gry na nie wiadomo jak długo. Nie można było liczyć na posiłki w postaci Pedikiurka i Małego. Trudno nawet powiedzieć, że przyjechałem tu, wiedziony jakąś intuicją.

Przeszedłem do salonu. Więcej można było tu zobaczyć, bo przez okno wpadało z ulicy żółtawe, mdłe światło latarni. Panował tu dalej ten sam bałagan co wcześniej. Z jedną różnicą: w kącie, częściowo ukryta w cieniu, siedziała jakaś postać. Zauważyłem ją głównie z powodu żółtej poświaty na wycelowanej we mnie dubeltówce z obciętymi lufami.

Podniosłem ręce, nie wykonując poza tym żadnego innego ruchu.

- Cześć, Jackie - powiedziałem. - Dobrze się czujesz?

- Nie. - Dobiegający z rogu głos był głęboki, lecz słaby. - Jesteś Lennox?

- Spodziewałeś się mnie?

- Tak jakby - powiedział Gillespie. Opuścił obrzyn, a ja ręce. - Jesteś ulubionym tematem rozmów McGaherna i jego dziwki. Miałeś dać się załatwić. Tak jak ja.

- Ciekawe, ale jakoś spodziewałem się, że cię tu zastanę.

- Każdy już tu myszkował, więc wszyscy skreślili to miejsce ze swoich list. Tylko tu jestem jeszcze bezpieczny. - Gillespie przesunął się nieco w bok i na twarz padła mu żółta poświata. Na moje oko twarz miałby żółtą i bez niej. Na jego koszuli i marynarce dostrzegłem lśniąca w świetle latarni czarną plamę. Na podłodze obok niego widniała podobna.

- Kurwa, Gillespie. Niech no cię obejrzę. - Ruszyłem w jego kierunku, ale podniesieniem dubeltówki zasugerował, że bym się nie zbliżał. Usłuchałem jego sugestii.

- Daj spokój, Lennox. Gadasz z upiorem. Przecież też byłeś na wojnie i wiesz, że jak ktoś straci tyle

krwi, to ma przesrane. Zresztą mogłem wczoraj pojechać do szpitala. Tylko po co? Wykurowaliby mnie, a potem powiesili w Barlinnie. A tak sam decyduję, gdzie i kiedy umrę.

- Chyba dobrze myślę, że to McGahern i Lillian tak cię załatwili?

- Wydymali mnie. - Gillespie znowu opuścił broń. Skinął głową, gdy spytałem, czy mogę obok niego usiąść. Zobaczyłem z bliska jego tułów. Miał rację. Nie było sensu dalej o tym dyskutować. - McGahern do mnie strzelił. To on dokonał egzekucji tych pieprzonych żołnierzy. Nie zginęli w wymianie ognia. To byli poborowi. Dzieciaki. Potem, kurwa, zupełnie na zimno odwrócił się do mnie i strzelił. Ale ja też strzeliłem. Chybiłem i skurwiel wziął nogi za pas i odjechał furgonetką. Ja wziąłem samochód. Ledwo mogłem prowadzić.

Zostawiłem gdzieś wóz, odczekałem do zmroku i doszedłem tutaj. Ten spacer niemal mnie zabił. Miałem nadzieję, że się zjawisz.

- Jakoś tak się domyśliłem, że tu będziesz. Mogę coś dla ciebie zrobić? Przynieść wody?

Gillespie potrząsnął przecząco głową.

- Jedyne, co możesz dla mnie zrobić, to załatwić tych skurwieli. McGaherna i jego zdzirę. To ona wszystko, kurwa jedna, zaplanowała.

- Nie McGahern?

- Nie. To był jego pomysł, ale ona wszystko zorganizowała. Teraz się zamknij i słuchaj. Zostało mi niewiele czasu. Wbij sobie do głowy to, co ci powiem. *Karpacka królowa*.

To jeden z trzech statków, które wykorzystywał McGahern. Odpływa pojutrze o jedenastej.

Ale wielka wypłata ma nastąpić jutro w południe. McGahern ma pokazać towar i dostać połowę kasy. Reszta płatna przy odbiorze. Pośrednikiem jest taki wielki, gruby Holender.

Nazywaliśmy go zawsze Grubym Holendrem, ale McGahern zagalopował się kiedyś, rozmawiając z Lillian, i wymienił jego nazwisko: De Jong. Musisz uważać na Holendra: porusza się w towarzystwie dwóch Arabów. To niebezpieczni dranie.

- Jeden z nich już nie - powiedziałem. - Doszło między nami do małego starcia.

Potomków już nie spłodzi.

- I tak bądź ostrożny, Lennox. Wszyscy spotykają się w pustym magazynie w doku numer trzynaście. Jak mówiłem - jutro w południe.

- Może zmienili plany. W końcu ty wiesz o tym spotkaniu.

Śmiech Gillespiego zamienił się w mokry kaszel.

- Umarli nie donoszą. Tak czy inaczej, wiem więcej, niż przypuszczają. Lennox, obiecaj mi, że ich dopadniesz.

- Obiecuję. Mam z nimi własne rachunki do wyrównania. A Trzej Królowie jeszcze większe.

I wtedy Gillespie powiedział coś, co mnie dziabnęło. Sprawilo, że poczułem się jeszcze bardziej bezbronny i osamotniony. Coś, co przypadkiem usłyszał, ale o czym nie umiał nic więcej powiedzieć.

Potem siedzieliśmy w milczeniu w czarno żółtej mozaice cienia i światła latarni.

Wszystko przycichło. Nie było słycać ani psów, ani żadnych samochodów.

- Lennox?

- Tak?

- W czasie wojny służyłem w Birmie. A ty?

- Pierwsza Kanadyjska. Włochy i Niemcy.

- Więc ty też wiesz. Znaczą, wiesz, jak to się kończy.

- Pewnie, Jackie. Wiem, jak to się kończy.

- Zawsze chciałem pojechać do Kanady. Czytałem te wszystkie komiksy o drwalach, kiedy byłem gnojkiem. Opowiedz mi o tym.

Więc opowiedziałem. Gillespie siedział bez słowa, czasem tylko pokasłując, i słycał

o dzieciństwie nad brzegiem Kennebecasis.

O pełnych śniegu zimach i słonecznych, upalnych latach. O przyglądaniu się, jak fala powrotna sunie w górę zatoki Fundy. O zapachu lasu podczas pierwszych roztopów. Sam byłem zaskoczony, ile mam do powiedzenia, i nie mogłem skończyć, nawet gdy Gillespie przestał już kaszleć.

Tak jak mu powiedziałem - wiedziałem, jak to się kończy.

Zostawiłem martwego bandytę siedzącego z obrzynem na kolanach w swoim nowo wybudowanym domu.

Kiedy wróciłem do atlantica, siedziałem w nim przez chwilę, wracając do tego, co mi powiedział i co wstrząsnęło mną bardziej niż cokolwiek innego: „Jeszcze coś, Lennox. Nie wiem któremu, ale jednemu z Trzech Królów nie można ufać”.

*

Dotarłem na swoją kwaterę o czwartej nad ranem. Jeśli nawet pani White usłyszała, jak wkradam się

do domu, nie zasygnalizowała mi tego przez włączenie u siebie światła.

Położyłem się na łóżku w ubraniu, a wyczerpanie zmagало się we mnie z mdłościami i pulsowaniem w głowie. Wyczerpanie przeważyło.

Poderwałem się ze snu z ukłuciem bólu w głowie. Spojrzałem na zegarek: było wpół

do dziesiątej. Opuściłem głowę z powrotem na poduszkę. Ból nadal był przemożny, ale poczułem, że jednak zelżał.

Wstałem i zażyłem tyle aspiryny, że przeżarłaby nawet stalowy żołądek, po czym wykąpałem się, ogoliłem i przebrałem w nowe ubranie. Włożyłem czarny garnitur w czerwone prążki i krawat w odcieniu głębokiego burgunda. Stroiłem się do trumny. Mój plan nie uległ najmniejszej zmianie od zeszłego wieczora, kiedy objaśniłem go Trzem Królom.

Różnica polegała tylko na tym, że zamiast ruszyć w otoczeniu zjednoczonych sił

glasgowskiego półświatka, byłem zdany tylko na siebie. Oczami wyobraźni widziałem już epitafium na swoim nagrobku: *Tu leży Lennox: działał w pojedynkę. Palant.*

Pojechałem do stoczni i zaparkowałem atlantica. Do kieszeni marynarki wsunąłem sprężynowiec, sprawdziłem komorę nabożową webleya, zatrzasnąłem go i wsadziłem za pasek spodni. Znalazłem jakąś dziurę w ogrodzeniu i przemykając się między magazynami, odnalazłem dok numer trzynaście. Może okaże się to moją szczęśliwą liczbą. Przyjrzałem się magazynowi, przed którym stała furgonetka Bedford, taka jak ta, do której chcieli mnie zgarnąć z ulicy. Ładunek miała przykryty brezentem. Zaczęło padać. Coś po drugiej stronie doku grzmociło w metal, niosąc się dźwięcznym echem po wodzie. Pobieglem na tyły magazynu i schowałem się za nim. Wyciągnąłem zza paska webleya i zapiałem z powrotem marynarkę i prochowiec. Spojrzałem na zegarek: była za dziesięć dwunasta. Gary Cooper przynajmniej uniknął deszczu.

W odstępie pięciu minut nadjechały dwa samochody. Zajechały przed wejście do magazynu i nie widziałem, kto z nich wysiadł. Przeszedłem wzdłuż tylnej ściany magazynu i skręciłem za róg. Były tam jakieś drzwi, ale zamknięte na kłódkę. Musiałem dostać się do środka tą samą drogą co wszyscy. Puściłem się biegiem wzdłuż magazynu i skoczyłem za stertę ogromnych beczek na ropę. W samą porę, ponieważ nadjechał trzeci samochód, kabriolet marki Nash, z którego wysiadł rudowłosy mężczyzna w marynarce w pepitkę i spodniach z diagonalu, wyglądający na kogoś z wyższych sfer. Obserwowałem, jak facet, będący przypuszczalnie ich wtyczką w armii, znika w magazynie. Wyglądał na kogoś, kto mógł z powodzeniem wpaść w pułapkę zastawioną przez Lillian i jej dziewczyny.

Zawahałem się przez chwilę. Sam nie bardzo wiedziałem, jakiego spodziewam się finału tej mojej jednoosobowej misji specjalnej. Chyba nadal miałem jakąś cichą nadzieję, że mój znajomy sobowtór Freda MacMurraya i jego kołesie z Mosadu przygalopują mi na pomoc jak oddział amerykańskich kawalerzystów w jarmułkach.

Spojrzałem bezsilnie na trzymanego w dłoni webleya. No cóż, Lennox - pomyślałem -

nikt nie żyje wiecznie. Przynajmniej pozbędę się bólu głowy. Podkradłem się do drzwi i uchyliłem je na tyle, aby widzieć, co dzieje się w środku.

Magazyn miał dwa poziomy i zobaczyłem, że facet wyglądający na oficera właśnie wchodzi po metalowych schodach na górną kondygnację. Na parterze nie było nikogo, tylko pośrodku przestronnej hali stało kilka skrzyń. Domyśliłem się, że zostały na chybił trafił

wyładowane z ciężarówki, aby nabywcy mogli sprawdzić towar.

Podszedłem po cichu do skrzyń, położyłem na jednej z nich webleya i wziąłem w rękę oparty o nie łom. Na razie nieźle mi idzie - pomyślałem. Wszystko popsuło dźgnięcie czymś zimnym, twardym i przypominającym lufę w mój kark.

- Niech pan się nie rusza, panie Lennox. - Rozpoznałem holenderski akcent. - Jestem ekspertem w zabijaniu strzałem w kark.

Podniosłem rękę. Ktoś szybko zgarnął mojego webleya.

- Proszę się odwrócić.

Wykonałem polecenie i stanąłem twarzą w twarz z wysokim, nieskazitelnie ubranym mężczyzną o zwalistej posturze. Gruby Holender. Obok niego stał drobniejszy, smagły mężczyzna. Drugi z Arabów. Trzymał mojego webleya i wpatrywał się we mnie beznamiętnie. Trudno było wyczytać z jego twarzy, o czym myśli. Może snuł marzenia na jawie o skrzywdzeniu jakiejś młodej arystokratki. Błysnęła mi nieprzyjemna myśl, że może jednak marzy o skrzywdzeniu mnie, i zwróciłem się do grubasa.

- To chyba nie jest twój etatowy przydupas, co? - spytałem. - Czy nie kręci się wokół

ciebie zazwyczaj Peter Lorre?

Grubas się nie roześmiał. No ale trzeba przyznać, że wcale nie przypominał Sydneya Greenstreeta⁴¹.

- Nie jest pan wcale taki dowcipny, jak się panu wydaje, panie Lennox. - Grubas mówił po angielsku z typowym dla Holendrów syczącym akcentem. Pod koniec wojny spędziłem w Holandii całkiem sporo czasu. W każdym razie wystarczająco dużo, aby nabrać cholernego szacunku do narodu, który tak dostał w kość i został niemal zagłodzony na śmierć⁴², a potem po prostu zakasał rękawy i zabrał się do odbudowy kraju. Pewnie mieli to 41 Peter Lorre (1904-1964) i Sydney Greenstreet (1879-1954) - aktorzy znani m. in. z filmu *Sokół*

maltański.

⁴² Podczas tzw. zimy głodu (hol. *Hongerwinter*) na przełomie lat 1944 i 1945 z powodu blokady niemieckiej zmarło w Holandii około 20 tysięcy osób.

we krwi po całych wiekach zmagania z morzem, takich jak na przykład dwa miesiące temu podczas wielkiej powodzi na Morzu Północnym. Lubiłem Holendrów. Miałem szczerą nadzieję, że za chwilę

nie zmienię zdania.

- Czemu nie odłożycie z Ciemniaczkiem tych spluw, Tulipindo? Sprawię, że się posracie z uciechy. - Niestety „Tulipinda” była aktualnie szczytem moich możliwości: trudno jest obrazić Holendra, a ja miałem za sobą kilka ciężkich dni. Odzewu jednak nie było. - Więc to ty jesteś De Jong? - powiedziałem. Znowu pozostało to bez reakcji, widziałem jednak, że nie spodziewał się, iż znam jego nazwisko.

- Dawny wojenny kolaborant i członek Czwartej Ochotniczej Brygady Grenadierów Pancernych SS Nederland. Mam rację?

De Jong zmarszczył czoło. Trafiłem w sedno. Próbował teraz dojść do tego, skąd tyle o nim wiem. Prawda była taka, że wydedukowałem to z jego przechwałki o byciu ekspertem w strzelaniu w kark. Entuzjastycznych holenderskich kolaborantów nie było w czasie wojny aż tylu, żeby można było utworzyć więcej niż właśnie tę jedną brygadę SS. Na razie jego zaintrygowanie mogło dać mi nieco większe pole manewru.

- Na górę... - rzucił De Jong, wskazując ruchem głowy metalowe schody.

*

Kiedy weszliśmy na górę, zastaliśmy tam trzy osoby: Lillian Andrews, faceta wyglądającego na oficera i jeszcze jednego, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Biorąc pod uwagę stan jego twarzy, i tak trudno byłoby go rozpoznać. Był blondynem o odstających uszach i mniej więcej tyle tylko dostrzegłem, bo nos i szczękę miał pokryte opatrunkami, a resztę twarzy pokrywała zaogniona opuchlizna. Trzymał w objęciach obrzyn. Holender położył na podłodze dużą wojskową torbę z grubego płótna.

- Wszystko tu jest - powiedział De Jong. - Połowa pieniędzy. Obejrzałem towar i jestem zadowolony.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - spytał zabandażowany blondyn, patrząc na mnie spod nabrzmiałych powiek. Może nigdy go wcześniej nie widziałem, ale na pewno już kiedyś słyszałem jego głos.

- Niezły efekt, McGahern, w każdym razie jak wszystko się już zagoi. Szkoda wprawdzie, że tak wyszło z uszami... - powiedziałem. - A może te radary były częścią całej transakcji? - McGahern najwyraźniej nie przejął się moją krytyczną oceną aż tak, jak bym chciał. Zignorował mnie i spojrzał na Holendra.

- Powiem ci, co się dzieje - rzekł De Jong. - Wasza ochrona jest do niczego.

Znaleźliśmy go na dole, jak węszył przy skrzyniach...

- Węszył przy skrzyniach - pośpieszyłem z pomocą. - Nie *węszył* i *sksyniach*. I błagam

- dodałem, wskazując na swój policzek - nie mów mi, że to szramy na całe życie. - W gruncie rzeczy angielszczyzna Holendra wcale nie była taka zła. Łatwiej go było zrozumieć niż większość

glasgowczyków.

McGahern zaśmiał się z mojego dowcipu. Następnie machnął na odlew strzelbą i walnął mnie w twarz. Padłem na podłogę z rozoranym policzkiem. Cały ból, który jakby czekał uszpiony w mojej głowie, odezwał się po tym uderzeniu z poprzednią intensywnością.

Nie wstawałem z ziemi, ale Arab chwycił mnie pod ramię i podciągnął na kolana.

- To za to przed barem Pod Końskim Łbem - powiedział McGahern.

Wierzchem dłoni przykryłem krwawiący policzek i sprawdziłem, czy nie mam uszkodzonej szczęki. Przyjrzałem się McGahernowi. Z tego, co zdołałem dostrzec pod bandażami, cały układ jego twarzy został zmieniony. Nawet wargi miał pełniejsze.

Zmienienie komuś oczu jest jednak trudniejszym zadaniem i rozpoznałem to zacięte, szurcze spojrzenie, które zapamiętałem z naszego poprzedniego spotkania.

- Przecież sam tego chciałeś, nie? - powiedziałem, ale McGahern mnie zignorował.

- Ja natomiast jestem ciekaw, skąd on tyle o mnie wie - rzekł Holender. - Nazwisko i inne szczegóły.

McGahern spojrzał na mnie i pokręcił głową.

- On gówno wie. Zabij go.

- Wiem o wszystkim. Albo niemal o wszystkim. Wiem o tu obecnym De Jongu i jego dwóch arabskich koleśkach. Teraz już, rzecz jasna, tylko jednym. Jego drugiemu ciemnemu kompanowi pomogłem zmienić karierę. Stara się teraz o stanowisko naczelnego eunucha haremu. I wiem wszystko o tym całym interesie, który kręcicie już od roku. O wysyłkach do Akaby. Wiem o Parksie i Smailsie. - Zwróciłem się znowu do Holendra. - To twoja robota, co? A ściśle rzecz biorąc, to pewnie dzieło tego tu syna szejka... albo jego kuzyna, zanim zaczął śpiewać sopranem. Spanikowałeś, kiedy McGahern zabił Johna Andrewsa, a Lillian zapadła się pod ziemię. Wiedziałeś, że Parks był współnikiem, więc próbowałeś torturami wydusić z niego, co jest grane. Smails dostał w czapę później, kiedy już daliście sobie buzi na zgodę. Pewnie taka przysługa dla McGaherna na otarcie łez po Parksie. I wiem wszystko o Alexandrze Knoksie i waszym tu obecnym kumplu z wojska. Jak mi na razie idzie?

- Idzie ci nieźle - powiedziała Lillian. Do tej pory stała z boku, paląc i patrząc, co się dzieje. Upuściła peta i zdusiła go czubkiem czólenka z czarnego aksamitu. - Ale to są wszystko domysły. Bajasz tylko, żeby ocalić skórę.

- Czyżby? Może powiedz to chłopcom z Mosadu, kiedy tu się zjawią.

Trzy pary oczu spojrzały na mnie bez wyrazu. Widziałem jednak, że moje słowa nimi wstrząsnęły.

- Mamy Gillespiego - kontynuowałem. - Wraca do zdrowia w zadziwiającym tempie.

Oko już nie to, co dawniej, McGahern.

- Bzdura - odparł McGahern. - Teraz wiem, że kłamiesz.

- Naprawdę? Więc skąd wiem, że ci dwaj żołnierze nie zginęli w wymianie ognia? Że była to para przestraszonych nastoletnich poborowych, których z zimną krwią zastrześliłeś i natychmiast próbowałeś zrobić to samo z niczego niespodziewającym się Gillespiem?

Trafiłeś go w prawy bok, prawda?

Strzał w dziesiątkę. McGahern spojrzał na Lillian, jakby szukając rady.

- Gdzie jest Gillespie? - spytała.

- W bezpiecznym miejscu. Gdzieś, gdzie go nie dostaniecie. - Przynajmniej to było prawdą.

- Nie... - Lillian pokręciła przecząco głową. - Nie, coś w tym wszystkim nie pasuje.

Jeśli Lennox tyle wie i inni wiedzą tyle samo, to jak to się stało, że jest tu sam?

- Mówiliście, że wszystko będzie związane na ostatni guzik - odezwał się po raz pierwszy rudowłosy oficer. Miał angielski akcent, a podwyższony ton głosu zdradzał strach. -

Obiecywaliście, że nikt mnie nie zobaczy. Że będę poza wszelkim podejrzeniem.

- Wszystko będzie związane na ostatni guzik - powiedziała Lillian.

- Będiesz poza wszelkim podejrzeniem. - Kiwnęła do McGaherna, który podał jej swój obrzyn. Wyglądało na to, że pozbędę się bólu głowy na dobre. Ale wycelowwała nie we mnie. Odgłos strzału w magazynie był ogłuszający. Nadal oddychałem, natomiast Lillian zmarnowała wojskowemu jego pepitkową marynarkę. Leżał teraz na ziemi, bulgocząc, i ciekła z niego krew i mocz. Lillian podeszła do niego i strzeliła z drugiej lufy. Przestał

bulgotać.

Spojrzałem w kierunku martwego Anglika.

- Milutko - powiedziałem. - Zdecydowanie powinniśmy się częściej spotykać.

Lillian oddała strzelbę McGahernowi, który wsunął do komór dwa nowe naboje. Na schodach za sobą usłyszałem kroki. Kobięce buty na wysokich obcasach. Kobieta wyłoniła się i stanęła obok Lillian, całkowicie przyćmiewając ją urodą.

- Witaj, Heleno - powiedziałem. - Tak myślałem, że cię tutaj spotkam.

- Nigdy nie wiedziałeś, kiedy odpuścić, Lennox - rzekła z autentycznym, pięknym smutkiem na twarzy.

- Więc to ty prowadziłaś dla nich tę akcję z miodowymi pułapkami? Cały czas myślałem, że McGahern szaleje za Lillian. A tymczasem od samego początku chodziło o ciebie.

- Ja tu wszystkim kieruję - wtrąciła się Lillian. - Nie byłeś na tyle bystry, żeby to rozgryźć. - Spojrzała na stojącego za moimi plecami Holendra. - Zejdź na dół i powiedz kierowcy, żeby załadował skrzynie z próbkami. Araba zostaw tutaj. Chcę, żeby Lennox zdechł z jego rąk. Powoli i w mękach.

Usłyszałem, jak stojący za mną Arab robi jakiś ruch. Wiedziałem, że zarzuci mi na szyję garotę i mnie udusi. Miałem zamiar poczekać, aż zrobi ruch pierwszy i dopiero wtedy sięgnąć po schowany w kieszeni marynarki sprężynowiec. Gruby Holender popełnił błąd, nie przeszukawszy mnie. Może uda mi się uporać z Arabem i jeszcze kimś, zanim mnie zastrzelą.

Tak jak Gillespiemu, odpowiadała mi myśl, że sam zdecyduję, jak odejdę.

Pasek mignął mi przed oczami. A więc to już. Jednocześnie usłyszałem strzał i Arab upuścił garotę, padając na podłogę. Podniosłem wzrok. Helena Gersons trzymała w ręku broń automatyczną, mierząc teraz w Lillian i McGaherna.

- Odłóż strzelbę - rozkazała McGahernowi. - Powolutku.

Wstałem. McGahern odłożył obrzyn na podłogę. Zauważyłem, że wymienił spojrzenie z Lillian. Helena spojrzała na mnie i uśmiechnęła się nerwowo.

- Nic nie jest takie, jakie się wydaje - powiedziała. - Pamiętasz? Kiedyś już ci to mówiłam.

Ruszyłem po obrzyn. W tej samej chwili u szczytu schodów pojawił się Gruby Holender. Helena obróciła broń w jego kierunku, a ja dałem nura po leżącą u stóp McGaherna strzelbę. McGahern zablokował mnie i obaj padliśmy na podłogę. Jakoś udało mu się znaleźć nade mną i kantem dłoni wymierzył mi cios w grdykę, ale zdążyłem się obrócić i trafił mnie w bok szyi.

Rozległ się strzał. Obaj spojrzeliśmy w kierunku Lillian, która trzymała w rękach strzelbę. Helena leżała na brudnej podłodze magazynu, a w miejscu, gdzie powinna być jej twarz, widniała tylko miazga krwi, kości i poszarpanego ciała. Usłyszałem swój krzyk, a w dłoni poczułem rękojeść sprężynowca. Pchnąłem nim McGaherna pod żebra i szarpnąłem do góry. Spojrzał mi w oczy zszokowany. Zaskoczyłem go jeszcze bardziej, przekręcając nóż o sto osiemdziesiąt stopni. Poczulem ciepłą strugę jego krwi spływającą mi po rękę i nadgarstku pod mankiet koszuli.

Zepchnąłem go z siebie i zerwałem się na nogi. W samą porę, aby Lillian zdążyła wypalić do mnie z drugiej lufy. Dostałem w lewy bok, tuż nad biodrem. Nie poczułem nawet wielkiego bólu, tylko nagle znalazłem się jakby w próżni, walcząc o napełnienie pustych płuc.

Padłem obok ciała Heleny, z policzkiem przy jej udzie. Było jeszcze ciepłe. Chwyciłem leżący przy niej pistolet maszynowy i zacząłem strzelać na oślep w stronę Lillian.

Nadal trzymając broń, dźwignąłem się na nogi. Lillian znikła, ale zajęta uskakiwaniem przed moimi strzałami, zostawiła płócienną torbę z gotówką. Helena leżała, pozbawiona twarzy. Oficer, Arab i

McGahern też nie stanowili rewelacyjnego towarzystwa. Oparłem się o ścianę i przycisnąłem rękę do boku, z którego w rytm tętna płynęła krew. Próbowałem złapać oddech, wsłuchując się w odgłosy deszczu i tępego metalicznego dudnienia gdzieś po drugiej stronie doku.

Spojrzałem na Holendra, który nadal stał u szczytu metalowych schodów.

Pada deszcz. Cały świat za oblepionymi brudem oknami jest szary i ciężki jak mokry ołów. Porywisty wiatr miota kroplami deszczu o szyby jak garściami kamyków, tak jakby chciał zwrócić moją uwagę na to, jakie wszystko na zewnątrz jest do dupy. Szum deszczu przerywają głuche odgłosy jakiegoś masywnego urządzenia przemysłowego, tłukącego miarowo w metal - czasem głośne, a czasem przytłumione, w zależności od kaprysów wiatru.

Moja uwaga jest jednak w dużej mierze skupiona na tym pomieszczeniu. Musiałem w swoim życiu wydobywać się z wielu matni, ale ta przebija je wszystkie.

Opieram się o ścianę na pierwszym piętrze pustego stocznioowego magazynu. Opieram się o ścianę, bo chyba inaczej nie wstanę. Próbuję sobie przypomnieć, czy w dolnej lewej części brzucha, tuż nad biodrem, są jakieś ważne narządy wewnętrzne. Staram się przywołać w pamięci rysunki anatomiczne z wszystkich przewertowanych za młodu encyklopedii, bo jeśli tam w dole są jakieś ważne narządy, to w zasadzie jestem udupiony.

Opieram się o ścianę pustego stocznioowego magazynu, usiłując przywołać w pamięci rysunki anatomiczne, a trzy metry przede mną leży na ziemi kobieta. Nie muszę sobie przypominać żadnych encyklopedii z dzieciństwa, żeby wiedzieć, że w czaszce mieści się jeden z najważniejszych narządów, choć przez ostatnie cztery tygodnie ze swojego nie robiłem zbyt wielkiego użytku. Tak czy inaczej, leżąca na podłodze kobieta to Helena Gersons i zostało jej niewiele czaszki, a twarzy nie ma w ogóle. A szkoda, bo była to piękna twarz. Naprawdę piękna. Obok niej leży duża płócienna torba, z której po rzuceniu na brudną podłogę wysypała się połowa zawartości, absurdalnie dużo używanych banknotów o wysokich nominałach.

Opieram się o ścianę pustego stocznioowego magazynu, trzymając się za ranę w lewym boku i usiłując przywołać w pamięci rysunki anatomiczne, a na podłodze leżą Helena Gersons pozbawiona swojej pięknej twarzy oraz wielka torba gotówki. Ale to jeszcze nie całość moich kłopotów, bo Gruby Holender spogląda na leżącą dziewczynę, na trzech martwych mężczyzn, na torbę, a teraz i na mnie. Trzyma w rękach strzelbę - tę samą, która odjęła śliczną twarz Helenie. De Jong robi kilka kroków, odwraca w moim kierunku obrzyn i mierzy w moją głowę. Odciąga oba kurki i naciska na spusty. Rozlegają się dwa niemal jednoczesne, głuche szczęknięcia.

- Pech - mówię. - Lillian za bardzo się śpieszyła, żeby przeładować.

- Mierzę z automatu w jego twarz. Strzelba upada z brzękiem na podłogę i De Jong podnosi rękę. - Grzeczny Holender - mówię z uśmiechem, ale coraz trudniej mi się oddycha. -

A teraz zrób dwa kroki do tyłu.

Robi to.

- Obawiam się, że masz jednak większego pecha - mówię przeproszającym tonem.

- Co?

Odpowiadam na jego pytanie, posyłając mu ostatnie trzy pociski z automatu w twarz.

Jeden trafia go w oko i Holender ginie, zanim jeszcze dosięgnie ziemi.

Rozglądam się wokół siebie. Pięć martwych ciał leżących w wielkich, lepkich kałużach krwi.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu - mówię do pozostałych ze słabym uśmiechem -

to chyba się do was przyłączę. - Osuwam się po ścianie aż do pozycji siedzącej. Myślę o Gillespiem i o tym, jak do niego mówiłem, aż umarł. Też bym tak chciał. Ale przynajmniej dorwałem McGaherna. I zapobiegłem wysyłce broni. Patrzę na ciało Heleny i zbiera mi się na płacz. Dręczy mnie to, że tej suce Lillian udało się zwać. A więc to jednak ona była mózgiem całej operacji. Prawdę mówiąc, chyba w końcu nie dostałem odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Zastanawia mnie jedno: przecież Tam McGahern był inteligentny. I walczył ramię w ramię z palestyńskimi Żydami. Wiedział, jacy są twardzi. Że nigdy się nie poddadzą. Nie pasuje mi to, że zajął się przemytem broni dla Arabów. Wiedział, do czego to doprowadzi. No i ten sposób, w jaki ciągle oglądał się na Lillian. Tak, to ona była mózgiem całej ekipy.

Spojrzałem na ciało McGaherna.

- Ty wcale nie jesteś Tam, prawda?

Brak odpowiedzi.

- Zresztą, nieważne, Frankie.

Zimno mi. I sennie. Nie jest aż tak źle, Lennox - myślę. Zamykam oczy i czekam na śmierć.

*

Irytuje mnie, że ktoś próbuje mnie obudzić. Klepie mnie po policzkach. Ktoś inny ciągnie mnie za ubranie w miejscu, gdzie zostałem postrzelony. Odpieprzcie się i dajcie mi spać. Kolejne klepięcia i ktoś ciągnie mnie za powieki. Otwieram je.

- Jonny? - mówię słabym głosem, patrząc w nachyloną tuż nade mną przystojną twarz.

To nie może być Jonny Cohen. Chyba mam halucynacje. Ktoś rozcina moje ubranie. Czuję małe ukłucie igły na ramieniu.

Patrzę ponad ramieniem Jonny'ego i widzę, że ktoś jeszcze tam stoi. Mam już pewność, że to halucynacje. Bo co hollywoodzki aktor Fred MacMurray robiłby w glasgowskim magazynie portowym?

EPILOG

Stoję i spoglądam na grób. Pogoda pasuje jak ulał do stania i spoglądania na grób: nade mną jest stalowoszare szkockie niebo, a w dolinie czai się *haar*, jak lirycznie usposobieni Szkoci nazywają gęstą mgłę. Tutaj, na wzgórzu mżawka jest mizerna i podstępnie wnika w każdy odnaleziony centymetr kwadratowy ubrania.

Lato roku 1953 okazało się w Szkocji rekordowe pod względem liczby słonecznych dni, lecz to i tak nie wyjaśnia, w jaki sposób dorobiłem się tak głębokiej opalenizny. Trzy miesiące temu siedziałem jeszcze w promieniach słońca, którego nigdy nie widziano w Glasgow. Minęło kilka miesięcy, zanim doszedłem z grubsza do siebie, i wtedy właśnie siedziałem w cieniu palm - najpierw na wózku inwalidzkim, a potem na szpitalnym leżaku.

Cień nie przeszkodził mi w dorobieniu się tej intensywnej opalenizny, która tutaj tym bardziej rzuca się w oczy.

To Jonny zaaranżował wszystko, ale przypuszczam, że to jego kolesie z Mosadu mnie tam przetransportowali i zorganizowali mi tam opiekę. Podczas pobytu tam miałem gościa. A w zasadzie nawet kilkoro, w tym, ku mojemu zaskoczeniu, Jonny'ego, który był w odwiedzinach u rodziców oraz „doglądał pewnych interesów”, jak to ujął.

Prawdziwym zaskoczeniem była jednak Wilma Marshall - opalona i wyleczona z gruźlicy. Jej też pomogli, głównie dlatego, że przekazała tyle informacji na temat McGahernów i operacji prowadzonej przez Lillian Andrews. Co ciekawe, wcale nie miała zamiaru wracać do domu. Miała chłopaka i dobrą pracę i wysyłała pieniądze swojej rodzinie w Glasgow. Choć raz ucieszyłem się, widząc, że ktoś zmienił tożsamość.

Ale na moją rekonwalescencję nie składało się tylko leniuchowanie na słońcu i sympatyczne spotkania. Zawsze, kiedy myślałem o tej jatce w Glasgow, kręciła mi się też łza w oku na wspomnienie plaż w Anzio. Jak więc potoczyły się losy pozostałych?

Otóż policja odzyskała broń i gotówkę i uznała, że wszystko wskazuje na porachunki między gangami. Glasgowscy policjanci lubią powtarzać fragment starego powiedzenia:

„Gdy złodzieje się kłocą...”. Tak jakby to wszystko wyjaśniało.

Oczywiście gdy tylko znowu się pojawiłem, od razu się mną zainteresowali, bo zapadłem się pod ziemię dokładnie w tym samym czasie, kiedy wybuchła strzelanina w magazynie. Opalenizna wsparła jednak moje wyjaśnienia, że przez sześć miesięcy byłem za granicą. Miałem nawet oficjalną dokumentację, uzasadniającą moją nieobecność.

Wyjaśniłem, że był to po prostu zbieg okoliczności. Trzeba jednak przyznać, że był to bardzo naciągany zbieg okoliczności, biorąc pod uwagę, że wszystkich zamieszanych w tę sprawę zdawało się coś ze mną łączyć.

Co ciekawe, policja wcale aż tak mnie nie naciskała. W porównaniu z naszym poprzednim bolesnym

spotkaniem moja obecna rozmowa z McNabem to było małe piwo.

Miałem wrażenie, że wie więcej, niż chce przyznać, i że z góry przyszły instrukcje, aby nie drażyć za bardzo mojej sprawy. Tak czy inaczej, okazało się w końcu, że wróciłem do tego, co robiłem poprzednio. Zacząłem nawet starać się poszerzać liczbę klientów, dla których prowadziłem legalne sprawy.

Nigdy nie zdobyłem całkowitej pewności, kim był gliniarz, którego Lillian miała w kieszeni. Może to był McNab. A może nie. O pewnych rzeczach i ludziach starałem się za dużo nie myśleć. Dotyczyło to szczególnie Jocka Fergusona, jedyne go uczciwego gliny, co do którego miałem poczucie, że mogę się z nim jakoś dogadać. W miarę jak po omacku brnąłem przez to wszystko, sporo mówiłem Fergusonowi o tym, co się dzieje. A w każdym razie tyle, ile w ogóle mógłbym powiedzieć gliniarzowi. Ale jak już wspominałem, cały czas miałem wtedy wrażenie, że Lillian ciągle mnie o krok wyprzedza. Dziwna rzecz - te zbiegi okoliczności. Popytałem nieco o Fergusona. Zawsze miałem poczucie, że wojna nieźle dała mu w kość. No i okazało się, że był Szczurem Pustyni.

Jeśli chodzi o sprawy sercowe, to nigdy już nie spotkałem mojej pielęgniarzki, tak samo jak kelnerki Jeannie, choć jestem pewien, że to właśnie ją widziałem w filmie *Koralowa wyspa*, jak terroryzuje właściciela hotelu⁴³. Pedikiurek zrezygnował z kariery ochroniarza i zajął się zgłębianiem podologii⁴⁴. Obecnie prowadzi praktykę objazdową na wyspie Lewis.

Do Małego Semple'a uśmiechnęło się szczęście, gdy Howard Hawks obsadził go w roli

„Rzeczy” w sequelu do filmu *Rzecz z innego świata*. Młot Murphy odnalazł Boga, zrezygnował z przywództwa w gangu i według ostatnich wieści odosobnił się w seminarium, aby uczyć się na księdza.

Wszystko to oczywiście wierutne bzdury: Pedikiurek nadal torturuje, Mały Semple nadal zarabia na życie, strasząc swoim wyglądem, a Młot Murphy nadal jest skondensowanym jądrem nienawiści w centrum swojego pełnego przemocy małego imperium.

⁴³ Gangstera terroryzującego właściciela hotelu grał w tym filmie (tyt. oryg. *Key Largo*) Edward G.

Robinson.

⁴⁴ Dziedzina medycyny zajmująca się leczeniem schorzeń stóp.

Nowy dzień, to samo gówno, jak mawiają w Glasgow.

Nigdy nie uwolniłem się od obrazu Heleny Gersons leżącej z odstrzeloną twarzą. Nikt mi w końcu nie powiedział, czy pracowała dla Izraelczyków, czy nie. No, ale z drugiej strony nikt mi tego też nie powiedział o Jonnym. Nie żebym myślał, że byli jakimiś szpiegami, agentami czy coś w tym rodzaju. Sądzę po prostu, że po tym, co się wydarzyło w czasie wojny, stali się częścią czegoś dużego, czego nigdy w pełni nie zrozumieć. Jakikolwiek był

jednak udział Heleny w tej sprawie, nie mogłem o niej zapomnieć. Kiedy odzyskiwałem siły w Izraelu, ból spowodowany tym, co ją spotkało, przeistoczył się w gniew, a gniew w nienawiść.

Rozgorzało we mnie pragnienie wyrównania rachunków.

Kiedy wróciłem, przez ponad dwa miesiące nikomu nie mówiłem o swoim powrocie.

Oczywiście poza moją gospodynią, panią White, i Jonnym. Pani White zatrzymała dla mnie kwatery i chyba była nawet lepiej do mnie usposobiona, mimo mojego nagłego zniknięcia i długiej nieobecności. Okazało się, że Jonny skontaktował się z nią i wyjaśnił, że z dnia na dzień musiał mnie zaangażować do zbadania pewnych problemów, jakie pojawiły się w związku ze środkami bezpieczeństwa w jednym z prowadzonych przez niego, odległych zamorskich interesów. Zapłacił czynsz za sześć miesięcy z góry, dorzucając pewną sumkę tytułem rekompensaty za przysporzony kłopot. Kiedy wróciłem z opalenizną, której nie sposób było się dorobić w Wielkiej Brytanii, resztki wątpliwości, jakie mogła mieć jeszcze pani White, rozplynęły się. Myślę, że przystojna, budząca zaufanie aparycja Jonny'ego w połączeniu z sugestią dotyczącą zamorskiej delegacji przekonały ją, iż moja praca polega nie tylko na wikłaniu się w jakieś ciemne sprawy. No i gotówka na pewno też w tym pomogła.

Kiedy wróciłem na stare śmieci, najpierw sprawdziłem, czy wszystko jest na swoim miejscu, a mianowicie moje „złoto Nibelungów” i kupka funtów i dolarów, przechwyconych z kryjówki Tama McGaherna pod wanną. Moje następne posunięcie będzie kosztowne, ale środków na jego pokrycie miałem aż nadto. Zresztą tym razem miałem gdzieś, czy coś na tym zyskam od strony finansowej.

Dbiałem o to, aby nadal tylko Jonny i pani White wiedzieli, że wróciłem do Glasgow.

Trzymałem się z dala od baru Pod Końskim Łbem, a swojego atlantica zostawiłem zaparkowanego przed domem pani White, gdzie stał przez okres mojej nieobecności.

Poprosiłem Jonny'ego o wypożyczenie na pewien czas jakiegoś mniej rzucającego się w oczy samochodu. Zrobił to bez zadawania żadnych pytań i chyba od samego początku wiedział, co zamierzam.

Odszukanie Lillian Andrews zajęło mi sześć tygodni. Oczywiście nazywała się już inaczej. Jak się tego spodziewałem, wpaść na jej trop nie było łatwo. Ale udało się.

Znalazłbym ją wcześniej, gdybym nie musiał tak bardzo trzymać się w cieniu. Jak jednak zauważył Morrison, jestem urodzonym tropicielem. Lillian przeniosła się na południe, do Anglii. Zmienił się jej akcent i wygląd, choć tym razem już bez pomocy operacji plastycznej.

To jednak zadziwiające, ile potrafi działać farba do włosów i zmiana garderoby. Prowadząc szczegółowe notatki, rozpracowałem jej rozkład zajęć. Po tygodniu wróciłem z powrotem do Szkocji, nie zatrzymując się nigdzie po drodze.

*

A więc teraz stoję w deszczu na cmentarzu i spoglądam na grób. Czyj grób? Tego nie wiem, ponieważ napis zatarł się już w surowym szkockim klimacie. Ale nie ma to znaczenia, bo widzicie, to nie lokator tego grobu jest przedmiotem mojego zainteresowania. Sięgam w dół, połuzowuję kawałek

ułamane nagrobka i wyciągam ukrytą pod nim puszkę po tytoniu.

Umieszczam w niej kartkę papieru, po czym wkładam ją z powrotem pod odłamek.

Odwracam się od kościoła Kirk o' Shotts i zaczynam schodzić z powrotem w dolinę.

Co jest napisane na tej kartce papieru? Tylko numer telefonu baru Pod Końskim Łbem i termin, kiedy można mnie tam zastać. Morrison będzie wiedział, kogo poprosić do telefonu.

A w moich rękach nadal jest gotówka znaleziona pod wanną Tama McGaherna.

Zabawne, że zawsze miałem się za zbyt wielkiego cynika, aby ulegać takim emocjom jak chęć zemsty.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym serdecznie podziękować następującym osobom: mojej żonie Wendy za jej nieustające wsparcie i rady, a Sophie i Jonathanowi za cierpliwość; mojej agentce Carole Blake, która od samego początku była wielką fanką Lennox; pracownikom wydawnictwa Quercus - wyśmienitej redaktorce Jane Wood za doszlifowanie tej książki. Ronowi Beardowi za jego entuzjazm, a Sophie Hutton-Squire za adiustację. Chciałbym też wyrazić wdzięczność Louise Thurtell z Allen and Unwin, Australia za jej pełne energii wsparcie i nieocenione uwagi, jak również Larry'emu Sellynowi, Elaine Dyer, Chrisowi Martinowi i mojemu szwagrowi i przyjacielowi, Colinowi Blackowi, któremu dedykuję tę książkę.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)